



ROMANSE



GLORIA DALE SKINNER

Półdiabły

Tytuł oryginalu  
HELLION

*Makowe Wzgórze, Kolorado*

Rosellen Lattimer zatrzymała się na chwilę przed wahadłowymi drzwiami, prowadzącymi do Silver Nugget Saloon – największego w miasteczku lokalu z wyszynkiem i paniami do towarzystwa.

Z chodnika przed wejściem można było mieć w miarę dokładny ogląd niemal całej miejscowości, której większość poszarzałych ze starości, wysmaganych wiatrem i deszczem domów mieściła się właśnie przy przebiegającej tu głównej ulicy. Rosellen rozejrzała się, jakby chcąc się upewnić, że wszędzie panuje cisza i spokój jak zresztą niemal zawsze we wczesne niedzielne popołudnie. Zsunęła na plecy swój kowbojski kapelusz z luźno zawiązanymi pod brodą rzemykami i barkiem pchnęła wahadłowe drzwi. Pałace słońce spróbowało wejść do środka wraz z nią, ale drzwi zaraz się zamknęły i Rosellen musiała chwilę odczekać, żeby w ogóle cokolwiek widzieć. W pozbawionym okien pomieszczeniu było ciemno, gorąco i – jak na tego rodzaju lokal – zaskakująco cicho. W powietrzu unosił się zastarzały odór dymu papierosowego i taniej whisky.

– Spóźniła się pani.

Rosellen obróciła się w stronę baru i zobaczyła tam młodą kobietę. Rozpoznała ją niemal od razu. Nazywano ją Delta, chyba tak, Delta. Widywała czasami tę wyzywająco ubraną osobę w niedawno otwartym luksusowym sklepie, kupującą najczęściej jakieś koronki, jaskrawe i błyszczące tkaniny albo buteleczki perfum.

Jej strofujący za spóźnienie ton był co najmniej równie irytujący jak wygląd, ale Rosellen postanowiła tym razem zmilczeć –przynajmniej do momentu, kiedy się dowie, po co ją wezwano Najpewniej miało to związek z jej zamiarem ubiegania się o stanowisko szeryfa.

Całe Makowe Wzgórze aż huczało, kiedy wieść o tym się rozeszła.

- Kobieta szeryf?! Co jej strzeliło do głowy?! – mówiono najczęściej.
- Szeryf miałby mieć na imię Rosellen! Co za pomysły!

Garđłowy głos Dety przywołał ją do rzeczywistości:

- *Madame Gayla* czeka, a druga osoba już tu jest. Rosellen postarała się ukryć zaskoczenie. A więc zaproszono jeszcze kogoś? Ale po co?

W głębi sali coś się poruszyło i z cienia wyłoniła się sylwetka młodego mężczyzny. Wysoki i dobrze zbudowany, przez chwilę widoczny był wyraźniej w paśmie padającego gdzieś z góry światła. A Rosellen nagle uświadomiła sobie, że jej ciało w dziwny i niepokojący sposób napina się.

Rzeczywiście robił wrażenie. Kasztanowozłote włosy opadały mu na czoło; wydawał się nie tylko wysoki, ale wręcz wyniosły, a w zaskakująco smukłych palcach trzymał elegancki czarny kapelusz typu Stetson.

Rosellen zawsze uważała, że kto jak kto, ale ona musi znać wszystkich w swoim miasteczku. Ten mężczyzna z pewnością był obcy. Instynktownie czuła, że nie może to być zwykły kowboj – był na to zbyt pewny siebie, zbyt swobodny.

Podniosła wzrok i spojrzała w jego piwne oczy, które mierzyły ją od stóp do głów mniej więcej tak, jak oczy rewolwerowca mogłyby mierzyć przeciwnika tuż przed sięgnięciem do biodra. W każdym razie z całą pewnością obejrzał ją sobie bardzo dokładnie.

A ona nagle poczuła, że miękną jej kolana. Na szczęście była to tylko chwila. W końcu po coś się ma starszych braci – właśnie po to, by nauczyli siostrę, jak stanowczo i zdecydowanie radzić sobie z mężczyznami i nie dać się onieśmielić. Wyprostowała się i postanowiła, że w rewanżu podda tego wyzywającego osobnika równie bezceremonialnym oględzinom.

Nie widziała jego rysów dostatecznie wyraźnie, ale i tego, co udało się jej dostrzec, z całą pewnością wystarczyło: większość kobiet

padałaby jak muchy, nie było co do tego wątpliwości. Ta gładko wygolona skóra opalanej twarzy, ta mocna szczęka. Bardzo zdecydowana linia nosa, wyraziste kości policzkowe...

Miał na sobie czarne spodnie i białą koszulę, na szyi jedwabną apaszkę. Zawinięte ponad łokcie rękawy ukazywały budzące szacunek mięśnie. Pas z rewolwerem zsunięty był dość nisko na młodzieńczo szczupłych biodrach. Wystająca kolba wyłożona kością słoniową. Broń z pewnością bardzo kosztowna, a przy tym wyraźnie wytarta od częstego używania. Po plecach Rosellen przebiegł nagły dreszcz.

Opanowała się jednak natychmiast. W końcu jeśli zamierza zostać szeryfem, nie może jej przerażać każdy niebezpiecznie wyglądający mężczyzna, który pojawi się w miasteczku.

Skinęła głową nieznanemu i zdecydowanym krokiem ruszyła w głąb sali. Zauważyła, że odpowiedział jeszcze bardziej zdawkowym kiwnięciem głowy, ale nie zamierzała się przejmować jego nie najlepszymi manierami.

- Gdzie mamy rozmawiać z *madame*? - spytała. Wpatrzona w nieznanego Delta dopiero po chwili odwróciła wzrok i wolno oblizała wargi. Przybysz z pewnością nie miał wątpliwości, co w tym momencie wyrażały jej oczy.

- Proszę iść za mną - powiedziała wychodząc zza baru i skierowała się stronę drzwi w głębi sali. Szła wolno, profesjonalnie kołysząc biodrami, opiętymi różową, bardzo obcisłą suknią z błyszczącego atlasu.

Rosellen szła za nią, stukając o szerokie deski podłogi obcasikami swych nowych kowbojskich butów, a o jej biodro obijał się lekko wetknięty w skórzaną kaburę stary wojskowy colt z krótką lufą - dostała go od ojca na szesnaste urodziny. Sala była wyludniona, przy stolikach do gry nie było nikogo. O tej porze w niedzielę ludzie w miasteczku jeszcze święcili dzień święty albo zajmowali się rodzinami, a lokale w rodzaju Silver Nugget Saloon rzeczywiście świeciły pustkami.

Inaczej niż przed laty, kiedy to ojciec został pierwszy raz wybrany na szeryfa miasteczka. W tamtym okresie pierwszej i największej gorączki złota nikt nie zważał na porę dnia czy nocy. Saloony i lupanary takie jak ten były otwarte na okrągło. Rosellen pamiętała słowa ojca, przepowiadającego podówczas, że kiedy wreszcie jakiś porządek publiczny zapanuje w takich górniczych miasteczkach poszukiwaczy złota, te właśnie lokale pierwsze to odczują, i to mocno.

Delta zatrzymała się przy wejściu do korytarza. Wyginając się kuszaco i niemal nie spuszczać oczu z nieznanego, powiedziała:

– Jej pokój jest w głębi, ostatnie drzwi po prawej stronie. Proszę tam wejść, *madame* was oczekuje.

Rosellen skręciła w bok i omal nie wpadła na idącego tuż za nią mężczyznę. Z pewnym zaskoczeniem zobaczyła, że ten nadal patrzy na nią, całkowicie ignorując imponujący dekolt różowej sukni, niedwuznacznie eksponowany przez Deltę.

Ledwie zauważalny dołeczek w podbródku nieznanego łagodził twardy zarys jego męskiej szczęki. Pełne, pięknie zarysowane wargi wydawały się lekko rozchylone. I znów, nie wiadomo dlaczego, Rosellen poczuła przyspieszone bicie serca.

– Nie lubię mieć za plecami kogoś, kogo nie znam! – powiedziała, odwracając się nagle. Zabrzmiało to ostrzej, niż chciała.

Ale nieznanomy najwyraźniej wcale się tym nie przejął.

– Jest na to prosty sposób, żeby przestał być nieznanym – powiedział z beztroskim uśmiechem. – Nazywam się Cason Murdock. Już dobrze?

Nazwisko wydało się jej znajome, podobnie jak twarz, ale nie potrafiła tego dokładniej umiejscowić. Mogła go jednak widzieć na którymś liście gończym, zwyczajowo wieszanym na ścianie miejscowego aresztu. Ten typ wyglądał na kogoś takiego. Całkiem możliwe, że jest ścigany.

Dosyć tych niemądrych dywagacji, powiedziała sobie, naciskając klamkę drzwi prowadzących do pokoju *madame*. Wkrótce się okaże, czy ta instynktowna reakcja była uzasadniona i czy naprawdę było się czego obawiać.

W środku nie było aż tak gorąco, jak można by się było spodziewać, ale już od progu uderzała wchodzących słodka fala zapachu ciężkich perfum i drogiego tytoniu.

Plotka głosiła, że *madame* Gayla jest umierająca, ale to, co zobaczyła Rosellen, raczej tych pogłosek nie potwierdzało. Stara kobieta wyglądała zupełnie dobrze i wciąż zachowywała ślady dawnej urody. Siwiejące, niegdyś rudawozłote włosy miękkimi falami otaczały jej twarz o ogromnych, wciąż bardzo pięknych oczach. Umoszczona na pokrytym różową atłasową pościelą szerokim łóżu, podniesiona licznymi poduszkami do pozycji półleżącej, spoglądała na wchodzących bystro i uważnie. Okna były zasłonięte koronkowymi firankami i ciężkimi aksamitnymi zasłonami, ale ustawiona na ozdobnej komódce staroświecka lampa oliwna rozjaśniała pomieszczenie swym złotawym światłem.

– Podejź tu, dziecko – powiedziała stara kobieta. – Nie bój się, ja nie gryzę. – Zachichotała nieco ochryple. – Mam wrażenie, że się znamy, choć nie byliśmy sobie formalnie przedstawione.

Rosellen z całą pewnością ją знаła. Wszyscy znali właścicielkę Silver Nugget. Jakieś dwadzieścia lat temu – kiedy to Makowe Wzgórze było, jak wiele podobnych miasteczek, ogarnięte gorączką złota i falą towarzyszącego temu wszystkiemu bezprawia – lokal i dziewczęta *madame* Gayli cieszyły się największym powodzeniem w całej okolicy, a ona sama może nawet jeszcze większym. Miała wówczas opinię damy niezwykle pięknej i wyrafinowanej. Rozumiała mężczyzn i wiedziała, czego im naprawdę potrzeba. W rezultacie osobiście zabawiała niemal wszystkich – a w każdym razie co bardziej znacznych – zarówno

miejscowych, jak i przyjezdnych, ku powszechnemu, jak można było sądzić, zadowoleniu zainteresowanych.

Plotka głosiła, że była bliską przyjaciółką możnych i bogatych, a jednocześnie każdy nawet początkujący kopacz złota wiedział, że w razie pilnej potrzeby właśnie u Gayli znajdzie pożyczkę na niezbędny sprzęt górniczy – za odpowiedni procent udziału w zyskach. Tak czy inaczej, jej Silver Nugget Saloon prosperował świetnie już wtedy, gdy górnicze miasteczko Makowe Wzgórze składało się głównie z rozstawionych w szczyrim polu namiotów poszukiwaczy.

Gayla zawsze angażowała młode, ładne dziewczyny i, jak mówiono, nigdy nie oszukiwała ich przy wypłacie. Co więcej, wręcz zmuszała je do oszczędzania zarobionych pieniędzy, aby po jakimś czasie miały z czym zacząć nowe życie. W rezultacie niemal nie zdarzało się, żeby któraś z dziewcząt Gayli wcześniej rozpiła się czy też popadła w uzależnienie – na przykład od opium – przez co gdzie indziej przedwcześnie kończyła życie niejedna młoda prostytutka.

W dodatku co jakiś czas lokal *madame* Gayli oferował wszystkim alkohole za darmo. Nic więc dziwnego, że popularność jego właścicielki nigdy nie malała tak wśród miejscowych, jak i przyjezdnych gości.

– Widywałam cię nieraz, choć nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy – kontynuowała, wciąż patrząc na Rosellen. – Prawda?

Rosellen tylko skinęła głową. Uznała, że lepiej będzie nic nie mówić, póki nie dowie się, w jakiej właściwie sprawie została zaproszona.

– Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego twój ojciec nie tylko pozwalał ci na różne eskapady w towarzystwie twoich braci, ale jeszcze i sam nieraz zabierał cię ze sobą podczas patrolowania ulic w najbardziej niebezpiecznych porach. Taka swoboda dla młodej dziewczyny, to sprawa ryzykowna. Nie sądzisz?

– Potrafiłam doskonale dać dobre radę – odpaliła szybko Rosellen. Może nawet trochę za szybko. – Potrafiłam i wtedy, i teraz.

Tymczasem stara kobieta patrzyła już gdzieś ponad nią. Jej pomarszczona twarz rozjaśniła się, a umalowane usta uśmiechnęły się na widok stojącego za Rosellen młodego mężczyzny.

– Cason! – powiedziała ciepło. – Wiesz, że poznałabym cię wszędzie.

W kącikach jej oczu zakręciły się łzy. Otarła je i dyskretnie pociągnęła nosem.

– Nie przypuszczałam, że będziesz aż tak podobny do ojca. Może jesteś trochę od niego wyższy i silniejszy, ale on – och, jaki on był przystojny! Zupełnie jak ty!

Ochrypli głos starej kobiety był przepełniony emocją. Była naprawdę wzruszona, ale Rosellen nie za bardzo rozumiała, co to wszystko może mieć wspólnego z nią. Ona przecież nie знаła ani tego faceta, ani tym bardziej jego ojca!

Na wzmiankę o ojcu twarz młodego człowieka stężała, a wargi zacisnęły się w dziwnym grymasie.

– Mój ojciec nie żyje od piętnastu lat – powiedział. – Rozumiem więc, że chciała pani rozmawiać raczej nie ze mną.

– Ależ owszem, właśnie z tobą. Doskonale pamiętam tamten dzień, kiedy Frank został zastrzelony. I ciebie pamiętam — jak przybiegłeś tam niemal bez tchu, zapłakany i zrozpaczony, biedny dzieciak. Chciałam ci wtedy pomóc, ale nie za bardzo wiedziałam jak. A poza tym wtedy jeszcze nie wiedziałam wszystkiego.

Cason Murdock popatrzył na nią bez życzliwości.

– Nie zamierzam z nikim rozmawiać na temat mojego ojca – powiedział stanowczo i odwrócił się, zamierzając wyjść.

– Nawet z kimś, kto może pomóc przywrócić dobre imię Franka Murdocka? – spytała Gayla.

Frank Murdock! No tak! Teraz Rosellen już wiedziała, o kogo chodzi.

Nic dziwnego, że Cason sprawił na niej wrażenie rewolwerowca. Jego ojciec był bandytą i mordercą. W biały dzień wjechał do



miasteczka, obrabował bank i zabił kasjera. A jej ojciec, który był wtedy szeryfem, doścignął go i zastrzelił.

I syn tego bandyty ośmielił się tu przyjechać! Ktoś jednak powinien bronić tutejszych spokojnych ludzi przed takim zagrożeniem. Również i ona, jako przyszły szeryf...

Odwróciła się do niego, stając niemal twarzą w twarz.

- Co pan robi w moim mieście? - zapytała tonem surowego przedstawiciela władzy.

Cason Murdock ledwie na nią spojrzał.

- W tej chwili rozmawiam z tą starszą osobą o moich sprawach - powiedział cierpko. - Jeśli pani również ma do mnie jakąś sprawę, proszę się ustawić w kolejce - powiedział, mocnym ramieniem odsunął ją na bok i odwrócił się w stronę łóżka.

Tego już było za dużo jak na temperament Rosellen. Nie pozwalała traktować się z góry nawet swoim starszym braciom, więc tym bardziej ktoś taki jak ten nie będzie jej tak demonstracyjnie ignorował!

- Za kogo mnie pan uważa, żeby mnie tak bezceremonialnie odpychać?! - wykrzyknęła.

- Za kogoś, kto stoi na mojej drodze i powinien szybko się z niej usunąć - odparł z irytującym spokojem.

- Proszę nie mówić do mnie jak do dziecka!

- Więc niech pani nie zachowuje się jak dziecko. I nie wtrąca się w sprawy, które pani nie dotyczą.

- Zostałam tu zaproszona! A pan w ogóle nie wiadomo skąd się wziął!

- Uspokójcie się wreszcie! - krzyknęła Gayla i poirytowana uderzyła dłońią o poduszkę. - Zaprosiłam tu was oboje. Ale nie po to, żebyście się kłócili jak nieznośne dzieci, tylko żebyście mnie wysłuchali.

Cason Murdock spojrzał na nią.

- Wiec proszę mówić - powiedział bez śladu entuzjazmu. Stara kobieta westchnęła.

- Chyba muszę od razu przejść do sedna sprawy. Nie będzie to raczej wesołe... - Machinalnie poprawiła poduszkę, a potem podniosła dłoń, żeby znów otrzeć kąciaki oczu. - Przede wszystkim muszę wam powiedzieć, że znałam i kochałam ich obu - spojrzała na Rosellen i Casona. - Waszych ojców.

Rosellen zeszytywniała. Ostatnią rzeczą, której mogła się spodziewać, była jakakolwiek więź między jej zmarłym ojcem a tą osławioną *madame* z największego w mieście domu publicznego. Mimowolnie cofnęła się o krok.

- O co tu chodzi?! - zapytała ostro. - Nie mam ochoty tego słuchać. Sądziłam, że będziemy rozmawiać o mojej kandydaturze na szeryfa, a nie o jakichś mocno wątpliwych wspomnieniach... *Madame* Gayla zmarszczyła brwi.

- Moje dziecko, możesz usłyszeć to, co mam do powiedzenia, teraz albo później, to zależy tylko od ciebie. Ja w każdym razie zamierzam to opowiedzieć, a dotyczy to twego ojca. Masz wybór.

W głosie starej prostytutki było coś, co sprawiło, że Rosellen powstrzymała się od natychmiastowego wyjścia. Przyglądała się jej pomarszczonym dłoniom, kiedy ta sięgnęła po jeden z kilkunastu ułożonych w specjalnym pudełku staroświeckich papierosów z gilzą. Zapach siarki z przystawionej do papierosa płonącej zapałki wkrótce ustąpił miejsca aromatom dobrego tytoniu. Rosellen przypomniało to okres, kiedy jako nastolatka sama próbowała palić od czasu do czasu. Zrezygnowała z tego - podobnie jak z paru innych rzeczy - kiedy ostatecznie postanowiła zostać poważną i szanowaną obywatelką swego miasta.

- Ty, Casonie, powinieneś to wszystko dobrze pamiętać - kontynuowała stara kobieta. - Musiałeś mieć wtedy trzynaście albo czternaście lat, ale Rosellen miała tylko sześć.

- Dobrze, do rzeczy! - sarknęła Rosellen. - Nie mam zamiaru spędzić tu całego dnia.

Gayla uśmiechnęła się lekko i znów obróciła się do syna Franka Murdocka.

- Twój ojciec był niewinny, Casonie. Nie miał nic wspólnego z tym napadem na bank przed piętnastu laty ani z zabójstwem kasjera.

Rosellen zauważyła, że stojący obok niej młody mężczyzna nagle zeszytywniał, choć jego wciąż nieruchoma twarz nie zmieniła wyrazu. Z uwagą przyglądał się starej kobiecie.

- Co, u diabła, pani wie?! - spytał. - Coś, czego ja nie wiem? Gayla zaciągnęła się głęboko.

- Wiem wszystko.

- To znaczy co? - spytał Cason.

- I co to w ogóle ma wspólnego ze mną? - dodała Rosellen. Stara kobieta zwróciła ku niej twarz. W jej oczach była jakaś smutna powaga i coś jeszcze. Może współczucie.

- To twój ojciec obrabował bank - powiedziała. - I to on zabił kasjera.

Oburzenie Rosellen niemal odebrało jej mowę. Ta... ta stara prostytutka ośmieliła się powiedzieć coś podobnego?! Przecież to musiało być kłamstwo! Wstrętne, obrzydliwe kłamstwo!

Miała nieodparta ochotę, żeby ściągnąć tę okropną starą babę z łóżka na podłogę, przycisnąć kolanami, tak jak jej się to zdarzało z braćmi, nawymyślać od ostatnich i uchwyciwszy za gardło, zmusić do natychmiastowego odszczekania wszystkiego.

Potrafiła się jednak powstrzymać. Przez ostatnie lata bardzo się zmieniła. Wiedziała już, że ani przekleństwa, ani tym bardziej rękoczynny nie są właściwym sposobem postępowania nawet w takich sytuacjach.

- Cholerne, sakramenckie kłamstwo! - powiedziała, natychmiast zapominając, że miała się powstrzymać od przeklinania. -Mało mnie obchodzi, że pani jest chora i o wiele starsza ode mnie! Nie pozwolę, żeby ktoś mówił takie rzeczy o moim ojcu!

- Przysięgam na Boga, że to prawda. - Gayla zgmiotła w popielnicze nie dopalonego papierosa. - Twój ojciec przyznał mi się do tego napadu już wiele lat temu. I do zabicia kasjera. A biedny Frank Murdock po prostu nawinał się tam jako kozioł ofiarny.

Rosellen zaciskała pięści w bezsilnej wściekłości. Paznokcie boleśnie wbijały się w skórę dłoni.

- Pani kłamie! - wykrzyknęła. - Nie wiem dlaczego, ale pani kłamie! Gayla potrząsnęła głową.

- Nie, nie kłamie. Tak, zdarzało mi się w życiu kłamać, kiedy miałam po temu powody... ale nie teraz. Teraz mówię prawdę.

- Ale jeśli pani wiedziała o tym od dawna, dlaczego mówi pani o tym dopiero dzisiaj? - spytał Cason. - Dlaczego nie wcześniej?

- A jak mogłam to zrobić? Nie miałam dość odwagi, by wydać Henry'ego, kiedy jeszcze żył. W końcu był szeryfem. Nie muszę tłumaczyć, co mógłby mi wówczas zrobić. A poza tym, dotąd w ogóle nie wiedziałam, gdzie jesteś i co się z tobą stało. Zniknąłeś niemal od razu, a mnie Henry Lattimer powiedział o wszystkim znacznie, znacznie później. Ale gdy wczoraj dowiedziałam się, że znów jesteś w mieście, uznałam to za zrządzenie niebios. Za szansę zrobienia czegoś dobrego, naprawienia strasznej krzywdy... zanim Pan powoła mnie na swój sąd.

- Może pani być pewna, że powoła! - wykrzyknęła Rosellen. - I za takie kłamstwa wiadomo, dokąd pani trafi! Prosto do piekła!

*Madame* Gayla zignorowała jej słowa i ponownie zwróciła się do Casona:

- Poczułam, że muszę cię zobaczyć i powiedzieć wreszcie prawdę.

- Jaką prawdę?! - Rosellen była już bliska hysterii. Miała ochotę uderzyć tę kobietę. - Pani to nazywa prawdą?!

Jej bracia w swoim czasie nauczyli ją męskich chwytów zapasniczych i nawet walki na pięści. Potrafiła też jeździć konno, strzelać niezwykle celnie i wiele jeszcze rzeczy robić lepiej niż niejeden

mężczyzna, ale nie potrafiła tego jednego – zamknąć kłamliwych ust tej bezczelnej starej babie.

– To, że mówi pani tak okropne rzeczy o moim ojcu, wcale nie znaczy, że to prawda! – krzyknęła.

Cason ponownie spróbował odsunąć Rosellen na bok.

– Jakie pani ma dowody? – zwrócił się do starej kobiety. Rosellen gwałtownie wyrwała ramię. Nie zamierzała dać się tak traktować.

– Nie ma żadnych dowodów! – wykrzyknęła. – Nie może mieć, bo to wszystko to po prostu jedno wielkie kłamstwo. Czy nie widzi pan, że ta kobieta jest szalona?

Cason patrzył na nią z góry, co nie było trudne przy jego wzroście i posturze. Rosellen wyczuwała jego fizyczną siłę, a jeszcze bardziej siłę jego emocji, choć on na razie jeszcze nad nimi panował.

– Jeśli pani nie ma dość odwagi, by tego słuchać, to proszę po prostu stąd wyjść. Ja zamierzam wysłuchać tego do końca – powiedział chłodno.

Rosellen z największym wysiłkiem starała się powściągnąć i dorównać mu spokojem. Czuła, że poddawana jest działaniu jakiejś dziwnej siły, którą trudno było odeprzeć i nad którą nie mogła zapanować. Dotychczas sądziła, że jest wysoka, silna i naprawdę bystra. Była z tego dumna, podobnie jak i z tego, że ze wszystkim sama potrafiła dać sobie radę. Casonowi Murdockowi nie mogła co prawda dorównać wzrostem ani siłą, ale to wcale nie oznaczało, że miała się od razu poddać. Ustąpić przed tym jego bezlitosnym spojrzeniem.

– Nie wyjdę – powiedziała. – A pan... wcale się nie dziwię, że pan tak od razu rzuca się na wszystko, co ona mówi. W końcu próbuje wybielić mordercę, kogoś, kto zabijał z zimną krwią! – Głos Rosellen drżał od gniewu i z trudem hamowanej frustracji.

Zimne spojrzenie mężczyzny nie zmieniło się.

– Znów mi pani staje na drodze – powiedział.

W jego głosie była groźba, ale Rosellen nie zważała na to.

- Mój ojciec był szeryfem przez dwadzieścia lat i nikt nigdy nie powiedział o nim nawet jednego złego słowa. A teraz ta... ta dziwka chce oczernić jego dobre imię! On sam się już nie może bronić, ale ja, póki tu jestem...

- Więc lepiej niech pani stąd zjeżdża - przerwał jej Cason, patrząc na nią z nie ukrywaną już wrogością. - Bo już najwyższy czas, by ktoś wreszcie powiedział prawdę.

Kłamstwa! Kłamstwa! Gayla przerwała ten spór:

- Nie mam dla was żadnych dowodów, dla żadnej ze stron - powiedziała. Jej zdarty od papierosów głos stał się jeszcze bardziej ochrypły, a oczy znów zwilgotniały. - Próbuję tylko zrobić to, co powinnam była zrobić już dawno: powiedzieć prawdę.

- Cholernie prawdziwą prawdę - dodała szyderczo Rosellen. Stara kobieta popatrzyła na nią ze smutkiem.

- Twój ojciec zapowiedział wtedy, że wyjeżdża z miasta na cały dzień, ale tak naprawdę pojechał tylko do pobliskiej opuszczonej kopalni, żeby spotkać się ze swoim współnikiem. Ten przyprowadził potrzebne do napadu konie i przywiózł jakieś stare traperskie łachy jako przebranie dla nich obu. Ucharakteryzowali się na włóczągów, wysmarowali twarze błotem i sadzą i spokojnie pojechali do miasta, w przekonaniu, że nikt ich w tym nie pozna.

I rzeczywiście nikt nie zwrócił wtedy na nich uwagi. Mieli zamiar tylko obrabować bank, bez rozlewu krwi, ale młody kasjer mimo wszystko rozpoznał znajomą twarz, a wtedy Henry po prostu pociągnął za cyngiel, zanim zdążył pomyśleć, co robi.

- Kłamstwo! - powtórzyła Rosellen, ale Gayla mówiła dalej.

- Twój ojciec był cholernym głupcem, sądząc, że w przebraniu nikt go nie pozna podczas rabunku. W jego rodzonym mieście, gdzie przez tyle lat był szeryfem!

- Dość! Proszę już przestać! - w głosie Rosellen drżała bezsilna prośba.

- To gorączka złota zniszczyła Henry'ego Lattimera. Wykończyła go chciwość, tak jak wielu innych. Wtedy stale się o tym słyszało, zewsząd. Za każdym razem, kiedy odkrywano jakieś nowe eldorado, setki mężczyzn ogarniało szaleństwo. - Oczy Gayli zdawały się patrzeć gdzieś daleko, a jej twarz niespodziewanie złagodniała. - Tutaj każdy stawał się bogaty. Tymczasem Henry musiał się zadowalać tym marnym groszem, który mu płacono za utrzymywanie spokoju w miasteczku. A nie była to praca łatwa ani bezpieczna. Bywało nieraz, że moje dziewczyny zarabiały w jeden dzień więcej, niż szeryf otrzymywał za cały miesiąc. Niełatwo było patrzeć na to wszystko i nie zechcieć samemu uszczknąć trochę tego powszechnego bogactwa. Postanowił więc sam wziąć od miasta to, co jego zdaniem słusznie mu się należało.

- To wierutna bzdura - zaprotestowała Roselleen. - Nigdy nie słyszałam, żeby ojciec skarżył się na wysokość zarobków.

Gayla uśmiechnęła się szyderczo.

- Nie skarżył się wam, chętnie w to wierzę. Kiedyś się dowiesz, że do tego znacznie lepsze są dziwki - takie jak ja. Nam mówi się to, czego żony ani dzieci nigdy nie usłyszą.

- Suka! - Rosellen nie wytrzymała.

- Czasami bywałam. - Gayla uśmiechnęła się. - Ale mówię szczerą prawdę.

- Ale jaka w tym wszystkim była rola mojego ojca? - spytał Cason.  
- I dlaczego został zastrzelony?

- Twój ojciec akurat płukał złoto w strumyku w pobliżu kopalni, w której Henry zostawił przed napadem swoje rzeczy i konia. Wtedy jeszcze można było w takich opuszczonych przez kopaczy miejscach coś wypłukać, czasem nawet parę samorodków, jeżeli się miało cierpliwość i trochę szczęścia. Więc kiedy Frank zobaczył zbliżających się konno dwóch ludzi, wyglądających na traperów, podszedł do nich, żeby im powiedzieć, że już opalikował tam swoją działkę. A wtedy Henry zdał

sobie sprawę, że ten człowiek jako świadek będzie dla nich bardzo niebezpieczny.

- Zrozumiał, że wpadł - mruknął Cason. Gayla skinęła głową.

- Dlatego trzeba było pozbyć się świadka. A kiedy już go zabił, nietrudno było przywieźć trupa do miasta i powiedzieć, że to właśnie jeden z tych dwóch rabusiów, zastrzelony podczas pościgu.

- Ale jak szeryf zdołał przekonać mieszkańców miasteczka, że mój ojciec mógł być zamieszany w taki napad?

- To wcale nie było trudne. Wasza rodzina dopiero co przeprowadziła się do Makowego Wzgórza, twój ojciec nikt właściwie jeszcze nie znał. A Henry Lattimer powiedział, że wracając do miasta zauważył dwóch podejrzanych osobników, dziwnie pośpiesznie zmieniających odzież, którzy widząc jego odznakę, zaczęli do niego strzelać. Powiedział, że jednego z nich zabił, a drugi uciekł ze zrabowanymi pieniędzmi. Szeryfowi nikt nie zadawał zbyt dociekliwych pytań.

- No pewnie! - burknął Cason. - I jeszcze zostałem bohaterem! Sukinsyn!

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie Rosellen i chwyciła Casona za ramię. - Czy nie zdaje pan sobie sprawy, że świadectwo kogoś takiego jak ona nie ma żadnej wartości? Że to nie może być prawda? Pan nie znał mojego ojca, więc pan nie wie, że on po prostu nie mógłby zrobić czegoś takiego!

Zamiast odpowiedzieć, Cason Murdock chwycił ją za nadgarstek i ścisnął tak mocno, że aż drgnęła, zaszokowana nie tyle jego gwałtowną reakcją, ile raczej czymś w rodzaju prądu elektrycznego, który nagle przemknął przez całe jej ciało. On tymczasem bez trudu uwolnił swoje ramię z jej palców.

- Takie hymny pochwalne niech pani zachowa do kościoła - powiedział. - Ja nie chcę już więcej tego słyszeć. To, co zrobił pani ojciec, zabiło też moją matkę. Nie przebaczę mu tego ani nie zapomnę!



Dla Rosellen było to jak uderzenie w twarz. Więc teraz jeszcze obwinia jej ojca także za śmierć swojej matki?! Nieprawdopodobna bezczelność!

- Jest pan cholernym głupcem, jeśli uwierzył pan choćby w jedno słowo. - Zabrakło jej tchu. - Tym razem ta ladacznica posunęła się za daleko! Mój ojciec nigdy nie zabił żadnej kobiety i.. - spojrzała na Casona - i nigdy nie zabił mężczyzny, który by na to nie zasłużył!

Słyszac te słowa. Cason na moment odwrócił się ku niej.

- Pożałuje pani tych słów! - powiedział z gniewem.

- Jeszcze się okaże, kto pożałuje - równie gniewnie odparła Rosellen.

Ale on już znów pochylił się ku Gayli.

- A kim był ten drugi mężczyzna z napadu na bank? - spytał groźnie. - I gdzie jest teraz?

- Nie wiem, gdzie jest teraz - odparła stara kobieta. - To był przyjezdny, chyba jakiś kuzyn Henry'ego... albo może tylko przyjaźnili się w dzieciństwie. Nazywał się Dodge. I wiem też, że miał dużą, poszarpaną na krawędziach bliznę na grzbiecie lewej dłoni. Po tym wszystkim oczywiście nikt go już tu nie widział. Ale dotrzymywał danego słowa i -jak powiedział mi sam Henry -przez lata przysyłał mu co miesiąc pewną sumę pieniędzy z tego, co stanowiło jego część łupu. Henry nie chciał ich dostać od razu, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

- Niechże pani już skończy! - znów spróbowała jej przerwać Rosellen. Bez skutku.

- Henry powiedział żonie, że to pieniądze ze spadku po jakimś dalekim krewnym, i że przesyła je prawnik. Nie miała powodu, żeby wątpić w jego słowa. Kiedy pieniądze przestały przychodzić.

Henry pojechał do Denver, żeby wyjaśnić to u Dodge'a, ale tam już nie było po nim nawet śladu. Wrócił bardzo przygnębiony i spędził tu całą noc, pijąc swoją najlepszą whisky. To właśnie wtedy opowiedział mi wszystko.

- Co jeszcze może pani powiedzieć o tym Dodge'u?- spytał Cason.

Gayla przyglądała się swoim dłoniom, które wyraźnie drżały.

- Mieszkał w Denver. Tyle tylko wiem.

Cason zamilkł. Nie odezwał się też ani słowem, kiedy nieprzytomna z oburzenia i gniewu Rosellen zaatakowała ich oboje już wprost:

- Nasłuchiłam się już dosyć tych odrażających kłamstw - i jej, i pana! I powiem wam tylko tyle: jeżeli choć jedno słowo z tych oszczerczych kalumnii wyjdzie z tego pokoju, jeśli usłyszę je od kogoś w mieście - znajdę was! I nie powstrzyma mnie ani starość schorowanej kobiety, ani sześciostrzałowiec u pasa mężczyzny! Znajdę was, a moja broń też będzie wtedy nabita!

Scandalous

Cason patrzył w ślad za Rosellen Lattimer, która trzaskając drzwiami wyszła z pokoju. Była oburzona; szła wyprostowana i sztywna jak kij, ale i tak zauważył, że jest w tym swoim kowbojskim stroju niezwykle zgrabna.

Ale chyba jeszcze większe wrażenie wywarła na nim wzruszająca lojalność tej dziewczyny, jej gotowość do obrony swoich bliskich. Tu rozumiał ją szczególnie dobrze. Wiedział, jak bezsilnie wściekła musi być teraz, po tak strasznym oskarżeniu jej zmarłego ojca... Jak rozpaczliwie bezradna.

Znał to bardzo dobrze, bo sam to przeżył.

Znał ten odbierający wszelką siłę stan frustracji i braku nadziei, kiedy chciałoby się krzyknąć z poczucia krzywdy i niesprawiedliwości, a nikt nie chce tego słuchać. Przeżył przecież to wszystko, piętnaście lat temu, i wyszedł z tego podobnie załamany i rozbity, jak teraz ta córka szeryfa Lattimera. Zastanowił się przez chwilę, czy on także był, tak jak teraz ona, równie śmieszny i żaloszny, kiedy wyprowadzał z miasta konia z ciałem zabitego ojca.

Zawsze był przekonany o jego całkowitej niewinności, ale nie miał żadnej nadziei, że kiedykolwiek potrafi tego dowieść. Aż do dzisiaj.

Wierzył w każde słowo tej starej kobiety. I żałował tylko jednego – że człowiek, który z zimną krwią zamordował jego ojca, już nie żyje. Nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności niż strzał między oczy tego skorumpowanego szeryfa. Taki sam jak ten, który uśmiercił jego ojca.

Cason nigdy nic zapomniał tego letniego popołudnia, kiedy szeryf Lattimer podjechał konno pod ich dom. by powiedzieć im, że ojciec nie żyje. Podobnie jak nie zapomniał rozpaczliwego, zawodzącego płaczu matki. Tyle lat po jej śmierci ten głos wciąż jeszcze budził go czasem ze snu.

Pamiętał też, jak waliło mu serce, kiedy biegi przez całe miasteczko, żeby osobiście sprawdzić prawdziwość tej strasznej nowiny, w którą wciąż nie chciał, nie potrafił uwierzyć. Musiał to zobaczyć na własne oczy.

Nawet wiele lat później wciąż to do niego wracało – poczucie bezradności i strasznego odtrącenia, rozpaczliwy krzyk bólu, który wydarł się z jego gardła na widok ojca opartego plecami o murowaną ścianę aresztu, z przerażająco wielką dziurą w czole nad półotwartymi, niewidzącymi oczami, po których łążyły brzęczące w upale muchy. A obok tego martwego ciała stali ludzie kompletnie obojętni na śmierć – ba, nawet nią rozbawieni. Rozmawiali, żartowali, poklepywali po ramieniu swego szeryfa, gratulując mu zastrzelenia groźnego bandyty.

Cason usiłował wtedy odepchnąć tych ludzi, rozpaczliwie krzycząc dziecięcym jeszcze głosem, że to nieprawda, że zastrzelono nie tego, kogo należało. Ktoś pchnął go w plecy tak silnie, że upadł twarzą w piach, ktoś inny splunął na niego. Nikt nie miał zamiaru go słuchać.

Nikt też mu nie pomógł, kiedy z wysiłkiem próbował ułożyć martwe ciało ojca na ziemi, a potem przykrył mu twarz własną, mokrą od potu koszulą.

I pamiętał coś jeszcze. Ładną, małą dziewczynkę o jasnych włosach, z uwielbieniem wpatrzoną w stojącego obok swego ojca – szeryfa.

Rosellen Lattimer. Teraz była już dorosła, choć z pewnością nie mniej ładna niż piętnaście lat temu.

– Cholernie ładna. Za ładna! – mruknął sam do siebie i potrząsnął głową, jak gdyby próbował się otrząsnąć z myślenia o przeszłości.

Tak więc teraz Rosellen Lattimer chce zostać szeryfem. Jak jej ojciec, łajdak i morderca. Nie, nic z tego, mruknął do siebie Cason. Nie zostanie – przynajmniej jeśli to będzie zależało od niego.

- Czy ona jest jedyną córką Henry'ego Lattimera? - zapytał. Gayla zachichotała, uniosła się na łokciu, żeby zapalić kolejnego papierosa, po czym znów opadła na poduszki.

- Oj tak, jest jedyna, dzięki Bogu. Makowe Wzgórze nie wytrzymałoby dwóch takich jak ona. - Znów roześmiała się, wydmuchując spory obłok dymu. - Zawsze to było szeryfowe półdiabłe, od kiedy tylko zaczęła podrastać. Ale też ojciec puszczał jej płazem wszystkie wybryki: wszczynanie bójek w szkole, wybijanie szyb w opuszczonych domach, zagładanie przez okna do sypialni szacownych obywateli, żeby zobaczyć, kto z kim śpi. Sprawiała więcej kłopotów niż banda najgorszych chłopaków razem wziętych. Chodziła po ulicach tego miasteczka tak, jak gdyby należało ono tylko do niej. Henry nieraz porządnie sprzął swoich chłopców i oni już wiedzieli za co, ale Rosellen wszystko uchodziło płazem. I sądząc z tego, co dzisiaj zobaczyłam, niewiele się zmieniła. To wciąż to samo półdiabłe.

Pewnie, że półdiabłe, pomyślał Cason. Wystarczyło przypomnieć sobie, jakim tonem spytała go, co też on robi w jej mieście. Z jakiegoś powodu ta jej pełna wyższości postawa nie tylko go nie zirytowała, ale nawet zaciekawiła.

- Ilu ma tych braci? - spytał.

- Trzech. - Papieros wolno dopalał się w palcach Gayli, która przestała go już nawet podnosić do ust. Opowiadanie o córce Henry'ego najwyraźniej sprawiało jej przyjemność. - Ta trójka, też z piekła rodem, na pewno miała spory wkład w to, co z niej wyrosło, zwłaszcza że to ona w gruncie rzeczy nimi rządziła, a nie oni nią. No i nieraz obrywali za swoje od ojca, podczas gdy jej wszystko uchodziło na sucho, nawet wtedy, gdy wypiała Henry'emu prawie pół butelki whisky i wypaliła wszystkie jego papierosy.

Papieros dotlił się tymczasem do końca i Gayla zdusiła resztkę, a Cason zastanawiał się, po co ona właściwie natychmiast zapala następnego.

- Oczywiście pochorowała się ciężko po tym wszystkim i przez trzy dni rzygała jak kot. I to, i cała reszta, to z pewnością także wina braci, ale głównie jednak rodziców. Pozwalali jej od najmłodszych lat na szwendanie się w podejrzanych okolicach, na chodzenie cały czas tylko w spodniach i w ogóle na wszystko. Przecież ona wcześniej zaczęła nosić ten rewolwer u pasa, niż dojrzała do zameścia. - Gayla urwała na chwilę. - Na szczęście nie znalazł się u nas nikt na tyle nierozsądny, żeby próbować się do niej zalecać.

Nikt nawet się do niej nie zalecał? Casonowi nie za bardzo chciało się w to wierzyć. Przypomniał sobie, jak wkroczyła do sali z tym sześciostrzałowcem u boku. Rozumiał, że niektórych mogła onieśmielać, ale przecież nie wszystkich. Na pewno nie jego.

Prawdę mówiąc to wyzwanie mogłoby go nawet zaciekawić, gdyby nie to, czyją była córka. Bo z córką Henry'ego Lattimera z pewnością nie chciał mieć nic wspólnego.

Gayla tymczasem mówiła dalej:

- Co innego, gdybym to ja miała u siebie taką pełną ognia dziewczynę. Zarobiłabym na niej sporo, bo myślę, że w łóżku mogłaby być naprawdę świetna. Mężczyźni uwielbiają właśnie takie nieposkromione i dzikie. Płacą za to każde pieniądze.

Z tym, że Rosellen Lattimer mogłaby być świetna w łóżku, Cason łatwo by się zgodził, nie chciał jednak o tym myśleć. W ogóle postanowił zakazać sobie podobnych rozważań. Choćby miała się okazać wulkanem pożądania i temperamentu, nie potrafił i nie chciał zapomnieć, że w tej pięknej twarzy musi być jakiś rys podobieństwa do człowieka, który z zimną krwią zastrzelił jego ojca, a matkę doprowadził do szaleństwa i w końcu do śmierci.

- Rosellen uważa, że kłamię - mówiła dalej Gayla - ale to nieprawda. Nie kłamałabym w takiej sprawie, nie łamałabym dziewczynie życia. Po prostu przed śmiercią próbuję jeszcze coś naprawić..

Urwała, jakby oczekując, że Cason coś powie, on jednak milczał. Nie czuł sympatii do tej starej kobiety, która przecież nawet nie próbowała go odszukać, kiedy się już wszystkiego dowiedziała. Sama zresztą powiedziała, że nie miała na to dość odwagi. Najwyraźniej uważała, że to było w porządku.

- I pewnie zabrałabym do grobu wszystko to, czego się dowiedziałam, gdyby nie ten zakład moich dziewczyn.

- Jaki zakład?

- Delta powiedziała mi, że do miasta przyjechał niezwykle przystojny młody człowiek, i że one założyły się, która z nich go ściągnie do swego pokoju. Zapytałam, jak się nazywa ten piękny mężczyzna i wtedy dopiero dowiedziałam się, że to ty.

W każdym innym momencie ta anegdota mogłaby go nawet rozbawić, teraz jednak nie był nawet w najmniejszym stopniu zainteresowany apetytami dziewczyn Gayli. Interesował go zupełnie kto inny - osobnik o imieniu Dodge.

- Co jeszcze powiedział pani Lattimer tej nocy, kiedy się przyznał do morderstwa?

- Wiesz, wówczas wypiliśmy oboje dość dużo... i w ogóle to już było tak dawno. Nic poza tym nie pamiętam, bardzo mi przykro...

Cason chętnie zapłaciłby jej za jakąkolwiek dodatkową informację, ale umierającej *madame* pieniądze i tak nie mogłyby się na nic przydać.

- Chciałbym coś jeszcze wiedzieć o tym jego kuzynie, który zniknął. Jaki był? Wysoki czy niski? Gruby czy chudy?

- Nie był gruby. Ale rosły, mniej więcej taki jak Henry. Przyjechał do niego tylko raz. Myślę, że to wtedy dogadali się, że napadną na bank.

- Czy on zawsze mieszkał w Denver, czy też dopiero po napadzie?

- Chyba mieszkał tam już wcześniej, ale nic wiem jak długo. -

Urwała i spojrzała na Casona. - Chcesz go szukać?

- Oczywiście! - odpowiedział.

- Za dużo czasu upłynęło. Niczego się nie dowiesz. Przecież Henry po to samo pojechał do Denver już osiem albo i dziewięć lat temu, i też nic nie znalazł. Mówił mi później, że to było tak, jak gdyby ten jego kuzyn nagle gdzieś się rozplątał. Znalazł kilku ludzi, którzy pamiętali faceta o imieniu Dodge, z blizną na grzbiecie dłoni, ale nikt nie wiedział, co się z nim stało.

- Czy Lattimer dowiedział się od nich, jak ten jego kuzyn żył tam w Denver? Rzucał pieniędzmi czy oszczędzał? Pił albo może grał w karty?

- Henry nic mi o tym nie mówił. Jego obchodziło tylko to, że Dodge przestał mu przysyłać pieniądze. Reszta go mało interesowała.

Kątem oka Cason zauważył otwierające się drzwi, w których pojawiła się Delta. Oparła się o framugę, jakby w oczekiwaniu na zakończenie przedłużającej się rozmowy, która mogła zmęczyć umierającą kobietę.

- Ja naprawdę chciałabym ci pomóc, Casonie - mówiła Gayla. - Tobie i twojej rodzinie wyrządzono straszną krzywdę, więc jeśli przypomnę sobie coś jeszcze, natychmiast dam ci znać. Ale teraz już muszę odpocząć. - Przymknęła oczy.

Cason obrzucił wzrokiem opartą o futrynę młodą prostytutkę w różowej atlasowej sukni, ściśniętej bardzo ciasno w talii, ale za to tym szczerzej rozchylonej gdzie indziej.

Jej spojrzenie na niego też było dość jednoznaczne, nie obchodziło go to jednak zupełnie. Miał w pamięci inne oczy -niebieskie, przenikliwe, pełne gniewu. Była w nich duma i nieustępliwość, i budząca mimowolny szacunek siła charakteru. Z jakiegoś powodu te cechy Rosellen Lattimer pociągały go znacznie bardziej, niż wyzywająco obnażone wdzięki Delty.

- Pokażę panu drogę - powiedziała ze słodkim uśmiechem. - Oczywiście, jeśli się pan śpieszy. Bo jeśli nie, to mój pokój jest na piętrze.



- Sam trafię do wyjścia. - Cason wyminął ją, nawet na nią nie patrząc.

To z pewnością nie był moment, żeby iść do łóżka z płatną dziwka, zresztą w ogóle z kimkolwiek.

Jechał do Makowego Wzgórza z jednym tylko, bardzo konkretnym zamiarem - żeby zniszczyć to miasteczko, które nie okazało Frankowi Murdockowi żadnej litości. Teraz miał jeszcze jeden, dodatkowy cel - oczyścić pamięć ojca. Nigdy dotąd nie przypuszczał, że to okaże się możliwe, ale też tym bardziej należało do końca wykorzystać tę szansę.

Zdażył już zobaczyć, jak bardzo zmieniło się Makowe Wzgórze na przestrzeni tych kilkunastu lat. Typowa dla okresu gorączki złota, pośpiesznie sklecona osada poszukiwaczy, w której rządziło bezprawie i żądza szybkiego wzbogacenia się, zdażyła się przekształcić we wcale solidne górnicze miasteczko, na tyle bezpieczne, że miejscowa społeczność poważnie rozważała możliwość zatrudnienia kobiety na stanowisku szeryfa.

Cason zastanawiał się, co tak naprawdę mogło skłonić Rosellen do ubiegania się o to stanowisko. Czy pociągało ją noszenie broni? Wyglądała na wystarczająco dzielną i twardą, by miejscowi ludzie chcieli ją wybrać. Ale i tak nie będą mieli na to szansy. Ani oni, ani ona.

Cason zamierzał zniszczyć Makowe Wzgórze. Zrobić wszystko, by znikło z mapy, stając się jeszcze jednym wymarłym miasteczkiem, jakich nie ma na Dzikim Zachodzie. Także w stanie Kolorado.

Rosellen zwolniła dopiero wtedy, kiedy znalazła się na własnym ganku, w typowym dla Makowego Wzgórza niewielkim drewnianym domku, w którym mieszkali od zawsze. Była zdyszana i spocona po szybkim marszu przez niemal pół miasteczka, serce waliło jej młotem, a w dodatku od nowiutkich kowbojskich butów porobiły jej się na stopach bolesne bąble. Odczekała dłuższą chwilę, próbując wyrównać oddech. Nie chciała, by matka spostrzegła jej zdenerwowanie i domyśliła się, że stało się coś złego.

Domek miał zamknięte okiennice i był dodatkowo chroniony przed upałem wysokim i gęstym żywopłotem. Wszędzie było cicho i ktoś mógłby sądzić, że wewnątrz akurat nikogo nie ma, ale Rosellen wiedziała, że matka jest w jadalni i właśnie stawia na stole wcześniejszą kolację. Teraz w żadnym wypadku nie wolno było dopuścić, by chore zmyślenia tej okropnej *madame* z saloonu dotarły do matki i reszty rodziny. Cóż za czelność, swoją drogą! Można by się z tego po prostu śmiać, gdyby oskarżenie nie było tak ciężkie. Podwójne morderstwo – coś potwornego!

Kiedy tylko zostanie szeryfem, szybko znajdzie sposób, by zamknąć tę podłą spelunę. Mało ją obchodziło, że Silver Nugget Saloon był najpopularniejszym lokalem w mieście. Nauczy tę kłamliwa, stara prostytutkę, co to znaczy szargać dobre imię jej ojca!

Rosellen odetchnęła głęboko jeszcze parę razy. Wracała do domu pieszo, mając nadzieję, że wysiłek forsownego marszu choć trochę ją uspokoi. Ale nic takiego się nie stało. Czuła się jeszcze bardziej rozgrzankowana, a jednocześnie zdążyła zdać sobie sprawę, że jest kompletnie nieprzygotowana na to wszystko, co się wydarzyło.

A w dodatku był jeszcze ten Cason Murdock, na którego reagowała w sposób doprawdy szczególnie! Serce biło jej mocniej nie tylko od wysiłku. Nie, powiedziała sobie. Nie należy w ogóle zastanawiać się nad

kimś takim ani nad – związanymi z nim –swoimi dość dziwnymi odczuciami. Musi o nim zapomnieć, nawet jeśli był w ogóle pierwszym mężczyzną, który ją jakoś zaciekaWił. Będzie miała czas o tym pomyśleć, kiedy już zostanie szeryfem.

Otworzyła drzwi.

– Mamo, już wróciłam! – krzyknęła, rzucając swój kowbojski kapelusz na stojący w holu żelazny wieszak. Pas z rewolwerem już po chwili zawisł tuż obok.

Kiedy rozgorączkowana i gniewna wybiegała z Silver Nugget, myślała tylko o jednym – żeby wrócić jak najszybciej do domu. wyprowadzić klacz i galopować na oślep przed siebie, póki ciemna końska sierść nie pokryje się białą pianą. Potem jednak zdała sobie sprawę, że nic może tak postąpić. Musi się kontrolować, jeśli chce zostać szeryfem. Czas poprzednich dziecinnych zachowań minął. Wiedziała, że mówiono o niej wtedy „póldiablę”, ale to już była przeszłość. Ojciec nieraz powtarzał, że nie nadaje się na szeryfa ktoś, kto nie potrafi nad sobą panować.

Już prawie od roku usilnie pracowała nad tym, żeby jakoś okiełznać swój nadmierny temperament. Zaczęło się to od chwili, kiedy po raz pierwszy pomyślała, że mogłaby się starać o tę posadę i że z pewnością byłaby w niej lepsza od tych różnych nieciekawych i chępliwych osobników, których radni miejscy kolejno wynajmowali na zastępstwo po jej ojcu – z jak najgorszym, jak dotąd, skutkiem.

Przechodząc przez duży pokój, mimo woli rozejrzała się po rzeczach i meblach, sprawdzając z niepokojem, czy jest wśród nich coś, co byłoby ponad miarę kosztowne albo luksusowe. Były tam na przykład dwa srebrne świeczniki, a na kominku piękny zegar z brązu i marmuru. Przy fotelu matki stał cenny stolik z różanego drzewa z mosiężnymi zdobieniami, a w oszklonym chińskim kredensie z hebanu pysznił się serwis z delikatnej angielskiej porcelany, wyjmowany tylko na

szczególne okazje. Z kolei w jadalni był stół z egzotycznego drewna i stara srebrna zastawa do kawy i herbaty.

No cóż, były w ich domu przedmioty, które mogłyby się wydawać zbyt kosztowne, zwłaszcza w zestawieniu z niewysokim wynagrodzeniem, które otrzymywał szeryf małego miasteczka. Ale mieli te piękne rzeczy tylko dlatego, że rodzice przez całe życie byli bardzo oszczędni, a nie dlatego, że jej ojciec rabował banki. Te oskarżenia były kompletnie niedorzeczne!

A tymczasem ten... ten cały Cason wierzył w każde głupie słowo tej starej prostytutki! I nie można już było wepchnąć jej tych słów z powrotem do gardła! Na myśl o tym Rosellen miała ochotę krzyknąć z wściekłości.

– O, dobrze, że już jesteś – powiedziała matka. Odwróciła się do niej.

– Wołałam, że jestem, ale chyba mnie nie usłyszałaś.

– Byłam za domem, wylewałam wodę po umyciu naczyń.

Matka, podobnie jak ona, była wysoka i szczupła. Przez lata można było brać je za siostry, ale ostatnio w zwiniętych w gładki francuski kok włosach Evelyn Lattimer pojawiła się bardzo już wyraźna siwizna, a zmarszczki przy oczach i kącikach ust niepokojąco się pogłębiły.

Rosellen przyjrzała się twarzy matki. Chyba jednak nie potrafił jej zapytać o coś takiego – czy ojciec rzeczywiście otrzymywał jakieś comiesięczne przekazy albo czy wyjeżdżał do Denver. I czy miał kuzyna o imieniu Dodge?

Nie, nie, powiedziała sobie stanowczo. Nie pozwoli, by kłamstwa tamtej podłej kobiety zasiały w niej jakiegokolwiek zwątpienie i odebrały spokój jej matce. Nie będzie żadnych pytań.

– Kolacja już jest gotowa – powiedziała Evelyn. – Możemy siadać do stołu, jak tylko się umyjesz.

Wcześniej niż zwykle pora wtorkowych kolacji brała się stąd, że w ten dzień tygodnia matka regularnie odwiedzała jedną z najbliższych

sąsiadek, spędzając tam czas na haftowaniu, szydełkowaniu i oczywiście na kobiecych plotkach. Rosellen zazwyczaj zostawała wówczas sama w domu i, prawdę mówiąc, bardzo lubiła te wieczory. Nalewała gorącej wody do stojącej w kuchni ocynkowanej wanny, dodawała parę kropel olejku waniliowego i kokosowego, a potem wylegiwała się w tym, dopóki woda zupełnie nie ostygła.

Tego dnia czuła wyraźnie, że jest jej to szczególnie potrzebne – żeby się jakoś uspokoić i pozbierać po tym wszystkim, co się wydarzyło. Zanurzyć się w ciepłej wodzie, przestać myśleć o tych okropnych oskarżeniach i o Casonie Murdocku.

- Masz wypieki na twarzy, Rosellen. Nie jesteś chora?

- Nie, mam. Po prostu szłam trochę za szybko – skłamała bez mrugnięcia okiem. - Nie chciałam się spóźnić, bo wiem przecież, że we wtorki wychodzisz.

- To bardzo ładnie, córeczko. Myślisz o innych, to dobrze. Mężczyźni to cenia.

Takie sentencje zawsze denerwowały Rosellen, nawet wypowiedane w najlepszej wierze. Mama powtarzała je zdecydowanie zbyt często, pouczając córkę, jak ma się zachowywać, żeby się podobać mężczyznom. Tymczasem Rosellen wcale nie zamierzała o to zabiegać, ponieważ, jej zdaniem, nie było o co. Już dawno przekonała się, że może być lepsza, sprawniejsza i sprytniejsza od większości z nich, niezależnie od tego czy chodziło o posługiwanie się głową, czy rewolwerem. I taki stan rzeczy w pełni ją zadowalał.

Idąc do swego pokoju, żeby się umyć, znów mimo woli pomyślała o Casonie Murdocku. Ten mężczyzna miał w sobie coś, co najwyraźniej przebijało się przez jej pancerz ochronny. Coś, czego nie rozumiała i co ją coraz bardziej niepokoiło. Przecież to wysoce podejrzany typ. Syn przestępca! Coś z nią musiało być nie w porządku!

Nie mogła się już doczekać tego momentu, kiedy po zjedzeniu kolacji zostanie sama. Kiedy rozbierze się, ściągnie buty z obolałych nóg i zanurzy się wreszcie w ciepłej kąpieli.

Stukanie do frontowych drzwi przerwało jej rozmyślenia. To musiał być jeden z braci – tylko oni pukali w ten sposób. Nie było niczym niezwykłym, że któryś z nich wpadł tu czasem po drodze z kopalni do swego domu, ale nigdy we wtorki. Zaniepokojona Rosellen pobiegła do drzwi.

Zaniepokoiła się jeszcze bardziej, kiedy z holu zobaczyła, że są wszyscy trzej. To się zdarzało tylko na Boże Narodzenie i w Święto Dziękczynienia. A zatem musiało się coś stać. Czyżby już i do nich dotarła ta ohydna plotka, pomyślała nagle i zmartwiła z przerażenia.

Oni tymczasem zajmowali miejsca na kanapie i fotelach. Wszyscy dość podobni do siebie, jasnowłosi i niebieskoocy. Najstarszy Jarred nie dorównywał wzrostem swym młodszym braciom, choć bynajmniej nie był niski. Średni brat Simon był od niego cokolwiek wyższy i o dobrych kilkanaście kilogramów cięższy, a jeszcze wyższy był najmłodszy i najszczuplejszy z nich, Walter.

Starając się ukryć narastający w niej niepokój, weszła do salonu. Coś się stało? – spytała i znów poczuła, że miękną jej kolana. Zafrasowane twarze wszystkich trzech nie wróżyły nic dobrego.

– O, jesteś, Rosellen – powiedział Jarred. – To dobrze, bo właśnie z tobą chcieliśmy porozmawiać.

– Ze mną?

Jarred obrócił się do matki.

– Mamo, nie chcemy cię zatrzymywać. Wiemy, że masz dziś swoje spotkanie haftujących pań.

– Och, tym nie musicie się przejmować – powiedziała Evelyn Lattimer. – Jest mnóstwo czasu, jeszcze nawet nie zjadłyśmy kolacji. A ja leż chciałabym wiedzieć, co spowodowało, że przyszlście tu wszyscy trzej.

Rosellen usiadła w głębokim fotelu i spojrzała na braci.

- No więc o co chodzi? - spytała.

- Martwimy się o ciebie, Rosellen - powiedział Simon.

- Tylko tyle? - spytała, udając beztroskę, której wcale nie czuła. Ale jeśli rzeczywiście chodziło im tylko o nią, to jeszcze pół biedy. - To akurat chyba nic nowego - kontynuowała jeszcze bardziej kpiąco. - W końcu, jak daleko zdołam sięgnąć pamięcią, zawsze was coś we mnie martwiło. A to pływałam w za głębokiej wodzie, a to jeździłam na zbyt narowistym koniu, a to upiłam się za mocnym alkoholem..

- Czy ty nie mogłabyś stać się wreszcie damą? - spytał Walter. -A nie wciąż udawać cholernego twardego kowboja?

- Walter, nie przy mamie - upomniał go Jarred. - Nie mówi się „cholerny”, zwłaszcza przy kobietach.

- Przepraszam, mamó. Jarred obrócił się do Rosellen.

- Tamte twoje wybryki martwiły nas dlatego, że to nam się za nie dostawało. Zwłaszcza jeśli tobie stało się coś złego.

- Baliśmy się głównie o siebie - wyjaśnił Simon. - Ale tym razem martwimy się już naprawdę o ciebie. Podobno na serio zamierzasz ubiegać się o stanowisko szeryfa.

A więc o to tylko chodzi, pomyślała z ulgą Rosellen. Chwała Bogu!

- Oczywiście, że zamierzam na serio - powiedziała. - Właśnie jutro rano spotykam się z członkami rady miejskiej, żeby namówić ich do zatrudnienia mnie na stanowisku szeryfa do czasu nowych wyborów. Wydawało mi się, że zapowiadałam to wam dostatecznie jasno.

Gruby Simon pochylił się ku niej. Guziki koszuli nie dopinały mu się na brzuchu.

- Właśnie dlatego tu jesteśmy, że nie chcemy, żebyś to robiła - powiedział.

- To niebezpieczna praca - dodał Jarred.

- Taak? - spytała. - A od kiedy to ja boję się niebezpieczeństwa?

- To właśnie jest twój problem - włączył się Walter. - Nigdy niczego się nie bałaś. Stawiałabyś się każdemu, niezależnie od tego, kto by to był.

Jarred obrzucił Waltera takim wzrokiem, że się zaniknął.

- Po prostu boimy się o ciebie. - Jarred był z nich najlepszy w roli troskliwego starszego brata. - I dlatego chcielibyśmy, żebyś się ustatkowała, znalazła sobie dobrego męża i zapomniała o tym niemądrym pomysle.

- Za propozycję szukania męża pięknie dziękuję, nie skorzystam - powiedziała kąśliwie. Mimo wszystko zaczynało ją to irytować. - A co jesteście uprzejmi rozumieć pod określeniem niemądry? Bo ja jak najbardziej serio zamierzam zostać tu szeryfem.

- To jest robota dla mężczyzny. Nie dasz sobie rady - powiedział Walter.

- Dziękuję serdecznie za zaufanie - nie potrafiła ukryć przebijającego poprzez sarkazm głębokiego rozczarowania.

- Walter nie powiedział dokładnie tego, co należało - pośpieszył z wyjaśnieniem Simon, który zawsze próbował łagodzić konflikty. - Chodź nam o to, że praca szeryfa jest zbyt niebezpieczna dla kobiety. A ty nią w końcu jesteś.

- No właśnie - poparł go Jarred. - Mama miała rację, kiedy mówiła, że już najwyższy czas, żebyś schowała spodnie do szafy i zaczęła nosić sukienkę na co dzień, a nie tylko od święta. Nie jesteś już tą smarkułą, która szwendała się za nami po całym mieście, tylko piękną młodą kobietą, więc powinnaś i ubierać się, i zachowywać tak, jak kobiecie przystało.

Matka patrzyła na Rosellen, kiwając potakująco głową.

- Tak, znajdź sobie miłego męża.

- I przestań się obnosić z tą cholerną spluwą!

- Walter! - ponownie skarcił brata Jarred. Rosellen najeżyła się.



- Może bylibyście łaskawi zauważyć, że już dawno przestałam włączyć się za wami, co najmniej od czasu, kiedy pozakładaliście własne rodziny. Prawda jest taka, że jestem już zupełnie inna i tylko wy nie raczycie tego zauważyć.

Patrzyła na braci gorzko rozczarowana. Tyle wysiłku włożyła w to, żeby przekonać wszystkich w mieście, jak bardzo się zmieniła i wydorosłała po śmierci ojca. Miała nadzieję, że przynajmniej bracia to dostrzegą i w razie czego znów staną za nią murem, tak jak w przeszłości. Zawsze dotąd mogła na nich liczyć. Więc co się nagle stało? Dlaczego obracają się przeciwko niej właśnie teraz, kiedy najbardziej potrzebuje ich wsparcia?

- Powinniście wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, że nie boję się żadnego mężczyzny. A gdybym się nawet bała, to przecież Makowe Wzgórze nie jest już tym dzikim miasteczkiem sprzed lat, kiedy to tata każdej nocy musiał interweniować w bójkach, a różne pijane typy strzelały do siebie na ulicach. Teraz tu jest spokój, ludzie pracują, chodzą do kościoła. Bójek i awantur jest nieporównanie mniej.

- Ale wystarczy nawet jedna bójka albo strzelanina, żeby narazić się na poważne ryzyko - powiedział Simon.

- A jednej zabłąkanej kuli dość, by trafić na cmentarz - dorzucił Walter, ku nieukrywanemu przerażeniu matki. - Przepraszani, mamó, nie chciałem cię przestraszyć.

- Tylko spokojnie - powiedział Simon. - Popatrzmy na to realnie. Jak zamierzasz sobie poradzić w takiej sytuacji jak na przykład bójka w saloonie? No wiesz, zadymiona sala pełna pijanych ludzi, rzucających w siebie krzesłami, stołami i butelkami whisky? I co ty wtedy zrobisz?

Rosellen miała zupełnie dość już tej jednej awantury z Gaylą i Casonem Murdockiem, nie miała ochoty klócić się jeszcze z braćmi, ale też nie zamierzała się poddawać.

- Jak to co?! - odparła. - Dokładnie to samo, co zrobiłby tata. Strzeliłabym parę razy w powietrze, żeby mnie zauważyli, a potem

bardziej awanturnicznych zakułabym w kajdanki i zabrała do aresztu, żeby się tam przespali.

- To nie takie łatwe, Rosellen.

- Pewnie, że nie takie łatwe. - W jej głosie czuło się rozdrażnienie. - Niby to nie wiecie, ile razy stałam pod saloonem i patrzyłam, jak ojciec kończy takie bójki. A ja, także dzięki wam, nauczyłam się paru skutecznych chwytów. W końcu żaden z was nie powie, że nie potrafię powalić faceta, a nawet skuć go w razie potrzeby.

- My pozwalaliśmy ci z nami wygrywać - wtrącił się Walter, ale Rosellen tylko uśmiechnęła się szyderczo.

- Akurat, pozwalaliście! W każdej chwili możemy spróbować, z każdym z was!

- Rosellen - powiedział ostrzegawczo Jarred. - Trzymaj się jak najdalej od tych ludzi z rady i pozwól im wybierać na szeryfa, kogo tylko zechcą. Bo inaczej...

- Co inaczej? Przywiążecie mnie znów do fotela, tak jak dawniej, kiedy nie chcieliście, żebym za wami łąziła? Czy wy nie rozumiecie, że jeśli ja to odpuszczę, to ta rada znów wynajmie na zastępstwo jakiegoś kolejnego niedołęgę? Jeden rzuca pracę, bo w innym miasteczku zaferowali mu o pięć dolarów więcej, drugi głównie nocami pije, a w dzień śpi! I to oni mają zapewniać bezpieczeństwo?

- Dlatego rada chce teraz zaangażować kogoś odpowiedniego.

- Właśnie mnie!

- Nie, wcale nie - powiedział stanowczo Jarred. Widać było, że mówi to szczerze i z przekonaniem.

- Wiecie, że ja po prostu nie mogę w to uwierzyć! - wybuchła Rosellen. - Jeżeli nawet nie mogę uzyskać poparcia mojej własnej rodziny, to jak mam przekonać innych? A tak liczyłam właśnie na was, że mi pomożecie.

- Słyszeliśmy, co ludzie gadają w kopalni - powiedział Walter. - Mało który z nich uważa, że potrafisz sobie poradzić z taką pracą.

Chyba tak myślą tylko ci, którzy pamiętają twoje wcześniejsze wyczyny na koniu, kiedy to przejeżdżałaś galopem po ulicach, płosząc wszystkich i wszystko.

- To było dawno i bardzo dobrze wiecie, że teraz jestem zupełnie inna. Wydoroślałam i stałam się odpowiedzialna. Od ojca nauczyłam się wszystkiego, co jest potrzebne w tej pracy, poznałam większość szeryfów i sędziów tego regionu, widziałam też niemało przestępców. Więc kiedy ludzie w kopalni będą dyskutować o wyborze nowego szeryfa, możecie im powiedzieć, że właśnie ja najlepiej się nadaję na to stanowisko.

- Żaden mężczyzna nie potraktuje poważnie szeryfa kobiety - powiedział Walter.

- A to niby dlaczego?

- Bo kobieta ma gotować, szyc i opiekować się dziećmi.

- No właśnie. To nasza wina, że nauczyliśmy cię strzelać i jeździć konno. Przez to pewnie nie dowiedziałaś się, że jesteś kobietą, a nie mężczyzną.

Czy naprawdę nie wiem, że jestem kobietą? Chyba jednak już wiem, pomyślała Rosellen. Ten Cason Murdock patrzył na mnie jak na kobietę, nie ma wątpliwości.

- No dobrze, było ze mnie półdiabłą, a nie kobieta. - Nie chciała się z nimi spierać. - Ale teraz dorosłam i już wiem, kim jestem. I jeśli dostanę tę pracę, potrafię w czasie zasłużyć na szacunek.

- Nic z tego nie wyjdzie.

- Chcę tylko dostać szansę. Wtedy udowodnię wam, że potrafię. Walter popatrzył na nią i odkaslnął.

- Myśleliśmy nawet o tym, że może na przykład ja powinienem zrezygnować z pracy w kopalni i zostać szeryfem.

- Co takiego? - wykrzyknęła wstrząśnięta Rosellen. Czulię się tak, jakby nagle dostała cios w żołądek.. - Ty?

To była zdrada, cios naprawdę poniżej pasa. Powiodła wzrokiem po braciach. Ich miny winowajców wskazywały wyraźnie, że już wcześniej to z sobą omówili.

– Rosellen... – zająknął się Walter.

– Nie możesz mi tego zrobić! – zawołała i poczuła, jak nagle zapiekły ją oczy. Zatrzepotała powiekami, żeby się nie rozplakać. Tego jeszcze brakowało!

– My tylko rozważaliśmy taką możliwość – powiedział szybko Simon. – Nic na razie nie jest postanowione.

Rosellen wiedziała, że nigdy nie uzyskałaby poparcia członków rady, gdyby któryś z jej braci zechciał podjąć się tej pracy. To było dla niej oczywiste. Wszyscy trzej byli lubiani – i byli mężczyznami.

– Wy doskonale wiecie, jak bardzo chcę tej pracy, a tymczasem Walterowi wcale na niej nie zależy. Po prostu nic chcecie, żebym to ja ją dostała. Jesteście wszyscy niesprawiedliwi i samolubni!

– Nie masz racji, kochanie – powiedziała matka. W jej oczach było pełne zrozumienia współczucie. – Oni tylko boją się o ciebie, podobnie jak ja.

– Zupełnie niepotrzebnie – odpowiedziała Rosellen, znów walcząc z napływającymi do oczu łzami. – Moja dawna koleżanka Karen Forehand umarła miesiąc temu przy porodzie swego pierwszego dziecka. Miała tyle lat co ja, rok temu wyszła za mąż. Gdybym was słuchała w sprawie zamążpójścia, mogłabym być na jej miejscu!

– Nie mów takich rzeczy, córeczko.

– Kiedy to prawda!

– Nie, skarbie. Po prostu niektóre kobiety z racji swej budowy nie są predestynowane do rodzenia dzieci. Ale ty jesteś wysoka i dobrze zbudowana, nie ma powodu sądzić, że u ciebie miałyby to przebiegać inaczej niż u mnie. A ja całą waszą czwórkę urodziłam prawie bezboleśnie.

- Mnie chodzi tylko o to, mamó, że przecież wszystkich nas czeka to samo - w końcu nawet ksiądz powtarza nam to co niedziela. Każdy prędzej czy później umrze, powołany przez Pana, więc co za różnica, czy przy nieudanym porodzie, czy na przykład od kuli rewolwerowej?

Obróciła się w stronę braci. Nadal ich kochała, ale czuła się dogłębnie zraniona.

- Jutro spotkam się z radnymi - oświadczyła stanowczo. Potem spojrzała na Waltera. - Wolałabym, żebyś mnie wspierał, a nie konkurował ze mną, ale tak czy inaczej nie zamierzam się wycofać.

Ruszyła do stojącego tuż za otwartymi drzwiami żelaznego wieszaka i sięgnęła po pas z rewolwerem. Ojciec nigdy nie wychodził z domu bez broni, ona również.

- Rosellen, dokąd? - spytała matka.

- Idę się przejść.

- Dajże spokój, wracaj do nas! - Jarred wstał i pobiegł za siostrą do przedpokoju. - Nikt z nas nie chciał cię rozgniewać.

- Nie rozgniewaliście mnie. Jest mi tylko bardzo smutno. Myślałam, że przynajmniej wy będziecie mieli do mnie więcej zaufania. Bardzo się pomyliłam.

- Nie uciekaj tak, córeczko. - Głos matki był pełen niepokoju. - Nawet nie zjadłaś kolacji.

- Nie jestem głodna.

- My przecież tylko chcieliśmy ci pomóc i zastanawialiśmy się, co jest dla ciebie najlepsze.

- Nie potrzebuję pomocy. Nie takiej.

Jarred popatrzył na nią poważnie.

- Teraz nie jesteś za bardzo rozsądna.

Zatrzymała się w drzwiach i jeszcze raz spojrzała najstarszemu bratu prosto w oczy.

- Jeśli nie chcecie mi pomóc, to przynajmniej postarajcie się nie przeszkadzać i nie stawajcie mi na drodze.

Wyszła z domu, ostrożnie zamykając za sobą drzwi, choć miałyby ochotę nimi trzasnąć. Nie zrobiła tego, co świadczyło o tym, że się zmieniła. Nie, nie była już taka jak kiedyś. Z całą pewnością.

Już pierwsze kroki uświadomiły jej, że ma na stopach pęcherze, popękane do żywego ciała. Nie mogła teraz wrócić, by zmienić obuwie na wygodniejsze, postanowiła więc, że po prostu będzie cierpieć. Ruszyła w stronę centrum. W takim miasteczku jak Makowe Wzgórze nie było wielkiego wyboru.

Zapadł już zmierzch i tylko nieliczne ciemnopurpurowe chmury rozjaśniały krawędzie gasnącego powoli nieba. Upał się skończył, od zachodu wiał łagodny wietrzyk, lekko rozwiewając jasne włosy Rosellen i przyjemnie chłodząc wciąż wilgotną jeszcze skórę na jej ramionach i karku.

Makowe Wzgórze położone było w głębi szerokiej, żyznej doliny, która rozciągała się niczym jakaś bezkresna łąka, tu i ówdzie upstrzona kępami drzew, ogrodami i stojącymi w nich domami. Dolina otoczona była ze wszystkich stron górami, pełnymi ostrych szczytów, urwistych zboczy, przełęczy i wąwozów, a także kamienistych piargów, kryjących w sobie najbogatsze w świecie zasoby złota i srebra. Za najbliższymi szczytami w głębi można było dostrzec jeszcze dalsze i wyższe, należące do łańcucha potężnych Gór Skalistych, które otaczały rejon miasteczka ze wszystkich stron i nie pozwalały na jakikolwiek ruch rozgrzanego upałem powietrza. W rezultacie jego gruba warstwa niczym ciepła wełniana kołdra okrywała Makowe Wzgórze niejednokrotnie przez wiele kolejnych dni.

Rosellen zatęskniła nagle do tych cudownych chwil, kiedy wolno jej było jechać konno aż do podnóża gór i obserwować tam pasące się stada muflonów, górskich owiec albo jeleni wapiti, ogryzających delikatne listki z najniższych konarów drzew. Czasami zdejmowała wówczas buty i brodziła w strumieniu, póki stopy jej całkowicie nie zdrętwiały od zimnej górskiej wody.

Jako dziecko narażała się nieraz na gniew rodziców, a już przynajmniej na utratę kolacji, pozostając tam czasami jeszcze po zmroku, żeby podziwiać nieprawdopodobny spektakl barw gasnącego nad górami nieba, kiedy ostre szczyty mieniły się wszystkimi odcieniami czerwieni, żółci i fioletu.

Teraz szła, deptąc szary miejski kurz, i wiedziała z całą pewnością, że ten beztroski czas niczym nie skrepowanej młodości bezpowrotnie się dla niej skończył. Tak, bardzo się zmieniła, bo stała się dorosła.

Doszła do jednej z głównych ulic, nadal cichej i spokojnej o tej porze. Ludzie jeszcze siedzieli w swoich domach, kończąc kolację. Za to późno wieczorem Front Street z pewnością ożyje. Miejscowi i przyjezdni przyjdą tu, żeby strzelić sobie szklaneczkę whisky, zagrać w karty, zabawić się w jakimś saloonie. Zewsząd będą dobiegały dźwięki muzyki, ludzie będą cieszyć się, grać w karty, tańczyć, śmiać się i kochać.

Kochać? Rosellen potrząsnęła głową. Skąd jej to przyszło na myśl?

Tak, to przez niego. Cason Murdock był pierwszym mężczyzną, który działał na nią w ten sposób. Sam jego widok powodował szybsze bicie jej serca i dziwne ściskanie w dołku. Najróżniejsi młodzi ludzie z miasteczka najwyraźniej mieliby ochotę zabiegać o jej względy, ale dotąd żaden z nich nie wzbudził w niej zainteresowania. Dlaczego musiał wpaść jej w oko akurat ten? Nie, do diabła, nie wolno jej o nim myśleć. Tak jak nie wolno myśleć o popekanych pęcherzach na obolałych stopach.

Ci jej bracia też okazali się dobrzy! Najpierw przez lata sami wychowywali ją w twardej szkole swej męskiej grupy, a kiedy w końcu potrafiła już im dorównać niemal we wszystkim, nagle domagają się, by z dnia na dzień stała się słodką i miłą kobietką, laka jak na przykład ich żony. No więc o tym nie mogło być mowy! Skończyła z pićm i paleniem, to prawda, bardzo też starała się zapanować nad zwyczajem przeklinania przy lada okazji, ale w żadnym wypadku nie zamierzała stawać się słodka czy łagodna. Makowe Wzgórze potrzebowało kogoś

naprawdę twardego na stanowisku szeryfa i to ona właśnie miała być tą osobą.

- Do stu tysięcy diabłów, cholera jasna, niech to szlag! - mruknęła pod nosem.

Jej dawne szczenięce wybryki, jak wybijanie szyb w opuszczonych domach, podkradanie ciasta z werandy sąsiadów czy szaleńcza jazda galopem głównymi ulicami miasteczka, też już należały do bezpowrotnie minionej przeszłości. Zresztą tata i tak zawsze płacił za ewentualne szkody, a w końcu to nie jej wina, że w Makowym Wzgórzu nie było innych okazji do zabawy. Chłopcy w tym względzie zawsze mieli więcej możliwości...

Głośny huk wystrzału raptownie przerwał jej rozmyślenia. Odruchowo sięgnęła po swego colta i zamarła. Serce waliło jej tak, jak gdyby chciało wyskoczyć z piersi.

Pobiegła w stronę, skąd dobiegł ten odgłos. W zapadającym zmroku niewiele było widać, ale to musiało być gdzieś blisko. Za zakrętem na samym środku ulicy zobaczyła w świetle latarni jakiegoś obcego osobnika z rewolwerem w dłoni, wycelowanym w leżącego na ziemi innego mężczyznę. Tego drugiego rozpoznała niemal natychmiast, był to niejaki Shoestring Palmer. Postrzelony w ramię przyciskał ranę dłonią, a krew sączyła się między jego drżącymi palcami.

Starając się zapanować nad oddechem i biciem serca, Rosellen bezgłośnie zbliżyła się do obcego. Wycelowała trzymany oburącz rewolwer i zawołała:

- Rzuć broń!

Nieznajomy odwrócił głowę i spojrzał w jej stronę, ale nie przestał celować w Palmera. To był najwyraźniej jeden z tych, których na Zachodzie nazywano „chłopcami z kwaśnego ciasta”. Był zarośnięty i rozczochrany, mocno zniszczone spodnie i bluzę miał upačkane zaschnięta glina – jak wielu takich wędrownych poszukiwaczy złota,



którzy wciąż jeszcze szukali szczęścia na obrzeżach terenów eksploatowanych przez wielkie kopalnie.

- Lepiej opuść ten rewolwer, panienko, bo możesz sobie sama zrobić krzywdę - powiedział. Jego oczy lśniły niebezpiecznie.

W co ja się wdałam, pomyślała Rosellen. A co, jeśli on nie rzuci broni? Czy będzie miała odwagę nacisnąć spust i strzelić do niego? Sama jeszcze tego nie wiedziała, czuła jednak, że przekracza jakąś granicę i że nic ma już odwrotu.

Udało się jej zapanować nad mięknącymi zdradziecko kolanami. Trzymany oburącz rewolwer nie zadrżał ani przez chwilę. Musiała panować nad wszystkim i nie pozwolić się onieśmielić. Kątem oka zobaczyła dwóch miejscowych mężczyzn, wychodzących ze sklepu po drugiej stronie ulicy, byli oni jednak wciąż zbyt daleko.

- Ostrzegam, że strzelam bardzo celnie - powiedziała. - Pan Carmichael i pan Wilkins, którzy właśnie tu idą, mogą to potwierdzić.

- Nie patyczkuj się, Rosellen, tylko naszpikuj go ołowiem! - krzyknął wciąż leżący na ziemi Palmer. - Ten typ mnie ciężko zranił i pewnie zaraz umrę bez pomocy lekarza.

- Niech panienka się nie wtrąca - ostrzegł włóczęga - To nie jest sprawa pani ani nikogo innego w tym mieście.

- Nie byłaby moja, gdyby pan nie strzelił do pana Palmera. No, dalej! Rzucić broń, bo strzelam!

- Kim pani w ogóle jest? To oszust, okradł mnie! Zasłużył na to, żeby go zastrzelić!

Co ojciec zrobiłby w takiej sytuacji? Zastanawiała się nad tym przez chwilę i powiedziała:

- Może to on na to zasłużył, a może pan. Posłuchajmy, co ma w tej sprawie do powiedzenia sam pan Palmer. Oszukał go pan?

Jak niemal wszyscy w Makowym Wzgórzu wiedziała, że już kilkakrotnie oskarżano Palmera o szwindle podczas transakcji z poszukiwaczami.

- To wierutne kłamstwo! - wykrzyknął Palmer.

- Taak?! To proszę popatrzeć na paznokcie przy jego kciuku i palcu wskazującym - jakie są długie i do tego jeszcze zakrzywione! Specjalnie wyhodowane do złotego piasku! Za każdym sięgnięciem do mieszka wyciąga tego drugie tyle!

Rosellen słyszała już o niejednym tricku miejscowych wydrwigraczy, o ich sposobach oszwabiania płacących z reguły właśnie złotym piaskiem wędrownych poszukiwaczy. W uczciwym rozliczeniu jedna szczypta warta była dolara. Sprytni oszuści potrafili na przykład specjalnie kancerować sobie skórę na opuszkach palców, żeby złoty pył osadzał się w zagłębieniach. Albo smarowali palce lepkiem tłuszczem. W przypadku Palmera Rosellen była niemal pewna, że słuszność była po stronie oskarżającego go poszukiwacza.

Uświadomiła sobie, że wcale się nie boi tego człowieka ani jego broni. Jeżeli czegoś się obawiała, to tylko tego, że popełni jakiś błąd i nie wykorzysta okazji, by pokazać całemu miastu, jak radzi sobie w sytuacji prawdziwego niebezpieczeństwa.

Odkasznęła i powiedziała.

- Nawet jeśli to prawda, nie może go pan za to tak po prostu zastrzelić. Proszę natychmiast rzucić broń i odsunąć się!

Poszukiwacz złota rozejrzał się. Rosellen widziała, że w pobliżu zdążyło się już zebrać kilku mieszkańców pobliskich domów, ale żaden z nich nie pośpieszył jej z pomocą, ograniczając się do biernego obserwowania rozwoju wydarzeń. Tymczasem jej ręce zaczynały już drętwieć od trzymania broni w niewygodnej pozycji, a na czole pojawiły się drobne kropelki potu. Sytuacja znów stawała się groźna, gdyż ten człowiek najwyraźniej nie zamierzał rzucić swego rewolweru.

- Co to za miasto, w którym pozwala się kobietom machać bronią?!  
- powiedział głośno, kierując te słowa jakby do wszystkich i jednocześnie do nikogo.

Rosellen nagle poczuła tuż za sobą czyjaś obecność. I zaraz po tym usłyszała znajomy głos:

- To po prostu miasto, które wie, że ona poradzi sobie z takim upartym durniem, nawet jeśli jest uzbrojony. Radzę natychmiast rzucić broń!

To był Cason Murdock!

Poczuła ulgę, ale niemal natychmiast także i ogarniającą ją złość. Wcale nie chciała jego pomocy! Poradziłaby sobie, choć oczywiście jego obecność w tym momencie niewątpliwie dodała jej sił. I teraz już z pewnością mogła dokończyć wszystko sama!

- Pańska pomoc nie jest mi potrzebna, panie Murdock - powiedziała półgłosem.

- Nie wygląda jakoś na to, żeby chciał pani pomagać ktoś z miejscowych.

- Ponieważ wiedza, że dam sobie radę

- Wychowanie, które odebrałem, każe mi stanąć po stronie samotnie walczącej kobiety.

- A moje wychowanie każe mi prosić, by zechciał się pan stąd wynieść! I to natychmiast! - Te ostatnie słowa powiedziała już bardzo ostro i na tyle głośno, żeby wszyscy to usłyszeli.

- Pozwoli pan kobiecie tak się do siebie odzywać? - spytał ironicznie brodaty poszukiwacz.

- Ma prawo, bo to ona tu jest władzą - powiedział Cason Murdock.  
- Ja tylko... - zawiesił głos na króciutką chwilę - ja tylko zabezpieczałem tyły, na wypadek, gdyby było was dwóch.

Rosellen jęknęła w duchu. Tylko ona wychwyciła ironię tego zawieszenia głosu. No oczywiście! Zachowała się jak idiotka! Zapomniała o jednej z podstawowych zasad, wpajanych jej przez ojca - zawsze uważaj, co się dzieje za tobą! A ona nawet nie spojrzała do tyłu. Gdyby ten uzbrojony poszukiwacz miał współnika, mogłaby już nie żyć.

Kątem oka spojrzała na Casona. Nie wyciągnął broni. Po prostu stał obok niej, żeby ten uparty typ wiedział, że w razie czego będzie miał do czynienia także i z nim. Chcąc nie chcąc Rosellen poczuła dla młodego Murdocka coś w rodzaju podziwu.

- Więc co? Miałem mu się dać okraść tak bez niczego? - spytał brodac. - I nie walnąć go?

- Walnąć może tak, ale nie musiał pan do niego strzelać - powiedziała Rosellen. - Następnym razem proszę wnieść skargę do szeryfa.

- A gdzież on jest, ten wasz szeryf? Bo na pewno wolałbym rozmawiać z nim niż z panią.

- Akurat teraz nie mamy tu szeryfa. Pańskie szczęście. Sam pan zdążył wymierzyć sobie sprawiedliwość, więc proponuję po dobroci schować broń, wsiąść na konia i odjechać stąd, póki nie napyta pan sobie większych kłopotów.

- Ten bandyta strzelał do mnie! - wrzasnął Shoestring Palmer. - Nie można mu pozwolić tak po prostu odjechać! Trzeba go powiesić na najbliższej gałęzi albo przynajmniej wsadzić do więzienia!

- Panie Palmer! Ten człowiek nie jest pierwszy, który uskarża się na pańskie zbyt zręczne palce i zbyt długie paznokcie. Niech pan je lepiej przytnie krótko i uważa na siebie, bo następny klient może strzelać celniej.

Poszukiwacz złota opuścił ku ziemi rewolwer, dotąd wciąż skierowany w stronę Palmera.

- Nigdy jeszcze z żadnego miasta nie wypędziła mnie kobieta - powiedział. Pokręcił głową z niedowierzaniem, wsadził broń do skórzanej kabury na biodrze i wolnym krokiem odszedł.

Rosellen nie zmieniła pozycji i nie opuściła broni. Nie potrafiła oderwać oczu od pleców odchodzącego mężczyzny. Czyżby jednak się jej udało? Zmusiła go do opuszczenia miasta bez dalszej strzelaniny?

– On rozwalił mi ramię! Nie można go tak puścić! – krzyczał Palmer jeszcze donośniej. Niech go ktoś zatrzyma! Złapcie go!

Nikt się nawet nie ruszył.

– Może pani już opuścić broń – powiedział Cason.

Rosellen wciąż jeszcze patrzyła w ślad za odchodzącym poszukiwaczem. Odczekała aż do momentu, gdy wsiadł na swego konia i ruszył, nie oglądając się już za siebie. Dopiero wtedy opuściła rewolwer. Huczało jej w głowie, bolały ją zeszywniałe mięśnie ramion, a kolana znów zrobiły się podejrzanie miękkie.

Z pewnością winna była jakąś wdzięczność Casonowi Murdockowi, ponieważ to jego interwencja pozwoliła jej odzyskać pewność siebie i zapanować nad sytuacją. Jednakże, zamiast mu podziękować, powiedziała ostrym tonem:

– Chciałam pana ostrzec, panie Murdock, że jeśli jeszcze raz spróbuje pan wtrącać się w moje sprawy, to będzie pan tym następnym obcym, którego stąd przepędzę.

Cason popatrzył na nią lekko ironicznie:

– Sądzi pani, że się przestraszę?

– Wyszłoby to panu na zdrowie.

– Może pani w to wierzyć albo nie, ale ten poszukiwacz nigdy by się nie cofnął, gdyby za panią ktoś nie stanął.

– Widzę, że wciąż pan woli wierzyć w to, co nie jest prawdą.

– A ja myślę, że w tej chwili mówi pani o sobie.

– Powiem panu jedno, panie Murdock. Nie wiem, po co pan tu przyjechał, ale nie podoba mi się pańskie zachowanie. Będę miała na pana oko, a jeśli tylko zrobi pan coś podejrzanego, przycisnę pana tak, że..

Kąciki ust Casona drgnęły w uśmiechu.

– Naprawdę zamierza pani mnie przycisnąć? – spytał.

Była w tym nie tylko kpina, ale i niedwuznaczne męskie wyzwanie.

- Będę z niecierpliwością oczekiwał momentu, kiedy mnie pani przyciśnie, panno Rosellen. - Dotknął palcem rónda kapelusza i odszedł.

Powinna była go palnać. Spoliczkować za to, co powiedział, i za ten pełen arogancji uśmieszek na przystojnej męskiej twarzy. Tymczasem w niej działo się coś niezwykłego, przebiegały po niej jakieś dziwne dreszcze, fale ciepła, podniecenia i niezrozumiałego ukojenia zarazem. Nigdy dotąd nie odczuwała czegoś podobnego. Jej ciało reagowało na tego mężczyznę jakby zupełnie bez udziału jej woli. Przerazało ją to, ale też tym bardziej pociągało - i to dopiero było naprawdę niepokojące.

Na razie trzeba było się opanować i wracać do rzeczywistości. Zwróciła się w stronę gapiów.

- Niech ktoś pomoże rannemu Palmerowi dojść do domu doktora Harmona. O właśnie. Dziękuję.

- Rosellen! - usłyszała czyjś krzyk. Podniosła wzrok.

To był Jarred, a razem z nim dwaj pozostali bracia. Pełni niepokoju o siostrę pędzili teraz ku niej co sił w nogach. Zupełnie tak samo jak przed laty, kiedy jeszcze wszyscy byli dziećmi. Kochającymi się dziećmi.

W jednej chwili wybaczyła im wszystko. Postąpili tak, jak postąpili, bo po prostu bali się o nią, a ona teraz znacznie lepiej rozumiała ich lęki. Funkcja szeryfa rzeczywiście była niebezpieczna, ale Rosellen miała nadzieję, że właśnie teraz dowiodła wszystkim, iż potrafi sobie z nią poradzić. A następnym razem obejdzie się już bez Casona Murdocka.

- Córeczko, kochanie, nic ci nie jest? - spytała matka, która pojawiła się w ślad za braćmi.

- Wszystko w najlepszym porządku, mamó.

- W cholernym porządku! - wybuchnął Walter. - A mówiłem, że to nie dla niej?!

- Czemu nam to robisz? - dołączył się Jarred. - Mógł cię ten typ naprawdę zastrzelić!

Rosellen patrzyła na nich zdruzgotana. Wiec to tak? A już chciała im wybaczyć! Naiwnie sądziła, że czegoś dokonała, że ten sukces ich przekona.

– Ten typ celował w Palmera, nie we mnie – próbowała się jeszcze bronić, jednakże te słowa do nikogo już nie dotarły. Do jej rodziny dołączył bowiem pan Wilkins, pan Carmichael, a także tłoczący się teraz wokół różni inni gapie, i wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Nie sposób było ich przekrzyczeć. Zamilkła więc i pozwoliła im gadać.

Poza ich plecami, w głębi ulicy dostrzegła Casona Murdocka, który z daleka przyglądał się temu wszystkiemu. I nagle poczuła coś zupełnie niespodziewanego... zdała sobie sprawę, że chciałaby być tam przy nim.

To była najprawdziwsza tęsknota. Przypomniała sobie wszystkie tak dziwne i tak ją samą zaskakujące reakcje swego ciała – poczynając od momentu, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Nagle miała nieprzepatą ochotę, żeby zostawić tych wszystkich gadających jeden przez drugiego ludzi i pobiec do Casona. Podziękować za to, co dla niej zrobił. I pozwolić, żeby wziął ją w swe mocne ramiona.

Poczuła, że zasycha jej w ustach. Coś jest z nią nie w porządku. Takich myśli nie może mieć córka powszechnie szanowanego szeryfa. Jak w ogóle mogła czuć pociąg do kogoś, kto był synem przestępcy i mordercy?

Następny rano Rosellen rozpoczęła tym samym, czym późno w nocy zakończyła poprzedni wieczór – długimi i męczącymi rozmyślaniami. W starych butach i grubych zimowych skarpetkach, które włożyła, żeby jakoś chronić obtarte i obolałe stopy, chodziła lam i z powrotem po swym pokoiku, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w rosnące tuż za oknem drzewa. Choć nie zjadła śniadania – podobnie jak wczoraj kolacji – nie odczuwała głodu. Nie czas na jedzenie, kiedy ma się tyle rzeczy do przemyślenia.

Nad wczorajszym incydentem z tym zbyt łatwo sięgającym po rewolwer poszukiwaczem złota przeszła już właściwie do porządku. Mogła o tym myśleć zupełnie spokojnie i niemal bez wrażenia. Znacznie gorzej wyglądała sprawa konfliktu z braćmi, którzy nadal nie tylko nie popierali jej zamiaru zostania szeryfem, ale w dodatku chyba byli gołowi wręcz namawiać Waltera, by jednak zgłosił swoją kandydaturę. Wtedy oczywiście, nie miałyby już żadnych szans.

Nie opuszczał jej też niepokój na myśl o tym, że Gayla mogłaby mimo wszystko rozgłosić w mieście te swoje chore wymysły na temat ojca.

I wreszcie pozostawała sprawa najtrudniejsza. Pałaca prawda, której nie dało się już dłużej ukrywać, nawet przed sobą.

Cason Murdock.

Widziała go ledwie dwa razy, a mimo to wywarł na niej silniejsze wrażenie, niż jakikolwiek inny mężczyzna w całym jej dotychczasowym życiu. Każdego z tamtych mogła łatwo zakwalifikować do jednej z dwóch kategorii – albo przypominali jej kogoś z braci, albo byli jakoś podobni do ojca. Ale Cason Murdock nie mieścił się w żadnej z nich, dla niego trzeba byłoby stworzyć coś specjalnego. Choćby dlatego, że obudził w niej zupełnie nowe uczucia, których dotąd nie znała. I choć nawet przed samą sobą przyznawała to bardzo niechętnie, w gruncie



rzeczy była szczęśliwa, że poprzedniej nocy stanął przy niej, by jej pomóc.

Coś dziwnego działo się z nią, gdy tylko na niego popatrzyła. Przypomniała sobie to wczorajsze tak nagle i niemal nieodparte pragnienie, żeby zostawić wszystkich – rodzinę, znajomych i nieznajomych – i biec do niego, by znaleźć ukojenie w jego ramionach.

Jak to w ogóle było możliwe? Przecież jednocześnie trwało w niej niezachwiane przekonanie, że nienawidzi tego człowieka, tak jak i wszystkiego, co się z nim wiązało. Dlaczego więc, gdy tylko przymykała oczy, natychmiast widziała go takim, jakiego go zapamiętała – choćby z wczorajszego wieczoru, kiedy tak ironicznie przyglądał się temu całemu kołowrotowi swoich i obcych, składających jej gratulacje, wypowiadających słowa pochwały albo przestrogi. A ona widziała tylko jego, nie ich.

Dlaczego nie potrafiła wyrzucić go ze swoich myśli? Dlaczego tak wyraźnie pamiętała jego smukłe palce, długie mocne nogi, szczupłe biodra i wysoką sylwetkę? I tę siłę, która z niego promieniowała, tę pewność siebie. Czemu aż tak ją zabolalo to, że za pierwszym razem potraktował ją zdawkowo i lekceważąco?

Przecież nic dla niej nie znaczył. Nigdy dotąd nie przejmowała się tym, jak na nią patrzają tacy czy inni mężczyźni. Nie zwracała na to uwagi. Miała swych braci i miała ojca, i to jej wystarczyło. Nikogo innego po prostu nie potrzebowała. Aż do momentu, kiedy zobaczyła Casona.

Mimo wszystko trzeba było teraz przestać o nim myśleć. Za niecałą godzinę miała się spotkać z panem Vestly i paroma innymi radnymi. To była dla niej okazja, żeby formalnie zgłosić zamiar kandydowania na stanowisko szeryfa Makowego Wzgórza.

Drzwi pokoju uchyliły się i pojawiła się w nich matka, jak zawsze w kuchennym fartuszkach. Popatrzyła na córkę z pewnym niepokojem.

- Już od rana słyszę, jak chodzisz po pokoju tam i z powrotem - powiedziała. - W końcu wydepcesz dziurę w dywanie.

- Nie ma obawy - odpowiedziała Rosellen, starając się, by zabrzmiało to możliwie beztrąsko. - To bardzo dobry dywan.

- No właśnie, bardzo dobry i bardzo drogi. Twój ojciec zapłacił za niego mnóstwo pieniędzy, więc nie powinnaś tego lekceważyć.

Rosellen drgnęła mimo woli, ukłuta nieprzyjemną myślą, ale też natychmiast skarciła się za nią. To, że dywan był taki drogi, wcale przecież nie oznaczało, że ojciec musiał rabować banki.

- Musimy się teraz bardzo liczyć z pieniędzmi, moja droga - mówiła dalej matka. - To, co zdołałam odłożyć jeszcze przed śmiercią Henry'ego, właściwie już się rozeszło. Więc jeśli nie zrezygnujesz z tego niemądrego pomysłu zostania szeryfem i nie zaczniesz wreszcie poważnie myśleć o wyjściu za mąż, sama doprawdy nie wiem, co z nami będzie.

Rosellen mimo wszystko czuła się trochę winna wobec matki, czuła się jakoś odpowiedzialna za jej zmartwienia. Z drugiej strony takie stałe zamartwianie się tym czy tamtym leżało jakby w samej naturze Evelyn Lattimer. Ostatnimi czasy była to właśnie sprawa zamażpójścia córki.

- Wszystko będzie dobrze, mamó - powiedziała Rosellen. - Zobaczysz.

- Po tym twoim wczorajszym rewolwerowym wyczynie naprawdę nie wiem, czy jeszcze znajdzie się młodzieniec dość odważny, by starać się o twoją rękę.

Rosellen nie potrafiła się nawet gniewać na nią za te wyrzuty. Z czułością patrzyła na jej wciąż jeszcze piękną, choć już tak pobruźdowaną troskami twarz. Zapewne wszystkie matki wiążą ze swymi córkami te same nadzieje - że gdy dorosną, wyjdą dobrze za mąż, będą miały dom i dzieci, i że wszystko będzie tak, jak należy. Tyle tylko, że w niej la potrzeba jeszcze się nie obudziła, przynajmniej do tej pory. Czasami nawet przychodziło jej do głowy, że to się nigdy nie stanie.

W każdym razie na pewno znacznie częściej myślała o tym, co mogłaby robić już jako szeryf. Wyobrażała sobie, jak chodzi po ulicach, rozmawia z mieszkańcami miasteczka o ich codziennych sprawach, jak skutecznie dba o ich bezpieczeństwo i zaprowadza porządek tam, gdzie trzeba.

Wczoraj wieczorem udowodniła, że potrafi to robić. Nawet jeśli jej bracia wciąż uważali, że nie nadaje się na to stanowisko, pan Vestly i inni członkowie rady mogą być teraz zupełnie innego zdania. Ciekawe, co myśli o tym burmistrz?

Czy na pewno nie popełniła tam błędu? Może nie należało wypuszczać tego człowieka, tylko go zatrzymać i zaprowadzić do aresztu?

– Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię? Znow zaczynasz chodzić tam i z powrotem?

Rosellen zatrzymała się.

– Mamu, na razie w ogóle nie myślę o wychodzeniu za mąż. Nie potrzeba mi mężczyzny po to tylko, żeby się mną opiekował. To ja zamierzam opiekować się tobą. Dostanę tę pracę, zobaczysz, a wtedy nie będziemy się musiały martwić o pieniądze ani o naszą przyszłość.

– Och, córeczko, ja nie o swoją przyszłość się martwię, tylko o twoją. Wiesz doskonale, że w razie czego każdy z twoich braci chętnie weźmie mnie do swego domu. Natomiast ty...

– O mnie się nie martw, mamu. Ze mną też wszystko będzie dobrze.

Evelyn potrząsnęła głową; pasemko siwych włosów wysunęło się jej z koka.

– Nic potrafię się jakoś przebić z tym do ciebie, dziecko. Nie rozumiesz mnie. Wczoraj, kiedy usłyszałam ten strzał, myślałam, że mi serce pęknie. Wiedziałam, że tam właśnie poszłaś i to było zupełnie tak jak z twoim ojcem, tylko jeszcze gorzej.

Rosellen zdawała sobie sprawę, że matka nie martwi się o pieniądze, tylko o nią, że naprawdę bardzo mocno to przeżywa. Znow

obudziło się w niej poczucie winy. Ale jak miała zrezygnować / tego, na czym jej tak ogromnie zależało? Objęła matkę ramieniem i przytuliła do siebie:

- Mamu, ja rozumiem, że przejmujesz się mną jak każda matka, i jestem ci za to wdzięczna. Wiem, że to znaczy, że mnie kochasz, ale uwierz mi - ani teraz, ani wcześniej nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. I przyrzekam ci, że nadal będę bardzo ostrożna. Zawsze jestem..

Evelyn pogłaskała ją po policzku.

- Och, córeczko! - powiedziała cicho. Niemal w tej samej chwili dało się słyszeć gwałtowne stukanie, a potem odgłos otwieranych frontowych drzwi. To musiał być któryś z braci.

Tyle tylko, że to przecież był dzień powszedni i od rana wszyscy trzej powinni być w pracy w kopalni. Musiało zatem wydarzyć się coś złego.

Zbiegły do hallu.

- Co się stało? - wykrzyknęła Rosellen na widok wyrazu twarzy Jarreda.

- O tej porze wyszedłeś z pracy, synku? - spytała matka. - Zachorowało któreś z twoich dzieci?

Jarred pokręcił głową. Jego jasne oczy wydawały się dzisiaj szare.

- Nie, z dziećmi wszystko w porządku. Po prostu już dziś nie pracuję.

Rosellen zauważyła, że jej brat wygląda inaczej niż zwykle. Plecy miał pochylone, jego szerokie ramiona dziwnie opadły. Ogarnęło ją nieprzyjemne przeczucie czegoś złego.

- Usiądź i powiedz, co się stało. Był jakiś wybuch w kopalni?

- Nie, mamu, przecież musiałybyśmy to usłyszeć - powiedziała Rosellen.

- Czy może coś się stało Walterowi albo Simonowi? - W głosie matki był coraz większy niepokój.

- Nie, nic im się nie stało. - Jarred przetarł powieki i usiadł na brzegu kanapy. - Ale stało się coś bardzo niedobrego. Kopalnia została sprzedana.

- Zaraz. Czy to znaczy, że straciłeś stanowisko kierownika? - spytała Rosellen.

- Ależ córeczko, to przecież niemożliwe - zawołała matka. - Po tylu latach pracy. Nikt nie zna się lepiej na funkcjonowaniu tej kopalni niż twój brat!

Z nadmiaru emocji sama odpowiedziała za Jarreda, jednakże widząc wyraz jego twarzy, nagle przygasła.

- Pomyliłam się? - spytała. - Nowy właściciel ma kogoś innego na twoje miejsce?

- Nie, mamu. To jeszcze mógłbym zrozumieć. Jest znacznie gorzej.

- Gorzej?!

- Nowy właściciel nie chce w ogóle żadnych pracowników. Zwołał z samego rana zebranie i oznajmił nam, że z końcem miesiąca zamierza zamknąć kopalnię.

- Ależ to po prostu śmieszne! - wykrzyknęła Rosellen. - Kto kupuje czynną kopalnię złota po to, żeby ją zamykać?! Musiałeś go chyba źle zrozumieć.

- Ja też tak początkowo sądziłem, ale okazało się, że jednak nie. On naprawdę postanowił ją zamknąć. Kiedy to do mnie dotarło, nagle zdałem sobie sprawę, że nie ma sensu dalsze przygotowywanie zamówień na paliwo i materiały, ponieważ niczego więcej nie będzie się zamawiać. Moje papierki nie są już nikomu potrzebne. Wobec tego zamknąłem biurko i po prostu wyszedłem. Najpierw do domu, żeby powiedzieć o wszystkim żonie, a potem tu do was. Słyszałyście kiedykolwiek o czymś takim?!

Rosellen potrząsnęła głową, nie przestając gorączkowo myśleć. Najwyraźniej ten człowiek, który kupił kopalnię, nie zdawał sobie sprawy, co jej zamknięcie będzie oznaczało dla miasteczka. Przecież to

przedsiębiorstwo było źródłem utrzymania dla ponad stu rodzin, wliczając w to także rodziny jej trzech braci. Być może dochód z tej niewielkiej kopalni był za maty dla tego człowieka, ale wobec tego po co ją w ogóle kupował? Jemu te pieniądze mogły nie być potrzebne, ale z czego mieli odtąd żyć pozbawieni pracy mieszkańcy Makowego Wzgórza?

- To chyba jakiś wariat, ten nowy właściciel - powiedziała po chwili. - Jak się nazywa?

- Cason Murdock.

Rosellen poczuła się tak, jak gdyby coś ciężkiego nagle przygniotło jej klatkę piersiową. Na chwilę zabrakło jej tchu.

Nie mogła po prostu uwierzyć w to, co usłyszała. Zatem to on kupił kopalnię? Musiał więc być bardzo bogaty. A ona uważała go za jakiegoś ściganego przez prawo przestępcę albo rewolwerowca.

- Jesteś pewien, że tak właśnie się nazywa?

- Oczywiście, że jestem pewien. Byłem parę kroków od niego, kiedy taki jego jednoręki wspólnik albo może tylko zaufany współpracownik, starszy już człowiek, przedstawił go zebranim ludziom. Potem Murdock powiedział nam to, co miał do powiedzenia, a ten stary już tylko potakiwał, kiwając głową po każdym zdaniu. - Jarred zamilkł i spojrzał na siostrę. - Strasznie zbladłaś, Rosellen. Zaraz! Czy ty znasz tego człowieka?!

- Nie, nie znam go, ale spotkałam go wczoraj w mieście... i wiem, kto to jest.

- To znaczy?

- Jego ojciec, też Murdock, piętnaście lat temu został tu u nas zastrzelony po napadzie na bank.

Nie musiała już mówić nic więcej. Jarred z błyskiem w oku pochylił się ku niej.

- Więc to syn tego Franka Murdocka?

Rosellen skinęła głową. Nawet nie próbowała zrozumieć, jak to się stało, że ten obcy mężczyzna, który tak poruszył jej serce, okazał się jednocześnie tym, który z zimnym rozmysłem zamykał kopalnię. Jedyne źródło utrzymania trzech czwartych mieszkańców miasteczka.

- Tak, chyba sobie przypominam - powiedział Jarred, marszcząc czoło w namyśle. - Nikt wówczas nie umiał powiedzieć, co się stało z synem Murdocka.

- Zgadza się - potwierdziła matka. - W jakiś czas po tej strzelaninie Henry pojechał do domku Murdocków, żeby sprawdzić co się dzieje z żoną zabitego rabusia i z jego synem. Ostatecznie znalazł tylko drugi grób obok grobu Franka, z imieniem i nazwiskiem żony, natomiast po ich synu nie było już śladu. Wszyscy w miasteczku wiedzieli, że matka była poważnie chora. Henry uważał, że właśnie wtedy musiała umrzeć, a syn pochował ją i wyjechał, nie mówiąc nikomu ani słowa.

Tak więc wszystko zaczynało się łączyć w całość. Cason mówił coś o tym, że zabity wtedy został nie tylko jego ojciec, ale i matka. Może chodziło o to, że po śmierci męża po prostu nie chciała już żyć, pomyślała Rosellen. Nic dziwnego, że młody Murdock z taką wrogością wyrażał się o jej ojcu. Przeszedł ją mimowolny dreszcz na samą myśl o utracie obojga rodziców naraz. To musiało być dla niego straszne, pomyślała przez moment, ale też natychmiast skarciła się za to. Nie wolno jej tak myśleć! Jeszcze tylko tego brakowało, żeby zaczęła mu współczuć!

- Skąd ten człowiek mógł wziąć pieniądze na coś takiego? - spytała matka. - Kupić kopalnię złota, to przecież nie byle co!

- I to kupić tylko po to, żeby zamknąć! - dodał Jarred.

- Jego ojciec był ścigany przez prawo, był bandytą - podsumowała Rosellen. - Więc skąd mógł mieć pieniądze?

- Z napadów na banki? - spytała matka.

Jarred kiwnął głową.

Rosellen podniosła się z oparcia fotela matki.

- Nie myślę tolerować takich ludzi w moim mieście! - powiedziała z determinacją. - Nie pozwolę mu zamknąć kopalni i wyrzucić ludzi na bruk!

- Rosellen, przecież on ją kupił! Może robić, co mu się podoba!

- Nie w moim mieście - oświadczyła dumnie. Podeszła do stojącego w holu wieszaka i sięgnęła po pas z rewolwerem.

- Chcesz tam iść? - spytał Jarred. - Daj spokój, jesteś taka podenerwowana, że jeszcze zrobisz coś głupiego!

- Nasze Makowe Wzgórze może się ostatecznie obejść bez kopalni - mitygowała ją matka.

- Nie, mamo, dobrze wiesz, że nie może. Mało to jest podobnych wymarłych miasteczek choćby tylko w naszym stanie Kolorado? - Zapięła pas na biodrach i sięgnęła po kapelusz.

- No a co z tym twoim planowanym spotkaniem z panem Vestly i innymi radnymi?

- O cholera! - mruknęła Rosellen, mając nadzieję, że matka nie usłyszała. Gdyby nie ona, z pewnością klęłaby jak szewc.

- Wstąpię do nich po drodze i przelożę to na później - powiedziała.

- Rosellen, bądźże rozsądna! - próbował ją zatrzymać Jarred. - Ten człowiek jest niebezpieczny! No dobrze, wczoraj dowiodłaś, że nie lękasz się niebezpieczeństw! - dodał, widząc jej pełen oburzenia wzrok. - Ale tym razem to już nie jakiś tam włóczęga o niepewnej ręce, tylko ktoś nieporównanie groźniejszy! Przy bramach już postawił uzbrojone strażę, na wypadek gdyby coś się działo. Nie powinnaś zaczynać z kimś takim!

- Lepiej posłuchaj swego brata, córeczko, i nie rób nic pochopnie - poparła go matka. - Po co w ogóle ty miałabyś się wdawać w walkę z kimś takim? Niech to załatwi pan Vestly i jego ludzie!

- Pan Vestly i jego ludzie nie potrafią nawet znaleźć dla nas przyzwoitego szeryfa! Więc jak mieliby sobie dać radę z kimś takim jak Cason Murdock?



- No to może ludzie pracujący w kopalni zorganizują jakiś protest albo strajk?..... W spojrzeniu matki była prośba. - Niech oni się tym zajmą, nie ty!

- Mamo, ale jeżeli to mnie uda się powstrzymać tego człowieka od zamknięcia kopalni? Wtedy na pewno wszyscy mnie poprą! I posadę szeryfa będą miała w kieszeni!

- Rosellen, tylko zastanów się, co ty mówisz! Choć raz w życiu spróbuj kierować się zdrowym rozsądkiem - zawołał Jarred.

- Właśnie kieruję się rozsądkiem, niczym innym - odpowiedziała niewzruszona. - Czy kiedy wychodziłeś z pracy, Murdock wciąż tam był?

Jarred już miał odpowiedzieć, ale rozmyślił się i pokręcił głową.

- Nie powiem ci nawet tego, bo po prostu nie chcę, żebyś pakowała się w kłopoty. Nie możesz w tym mieście robić wszystkiego!

- Nie, ale to akurat mogę! I zrobię to, zobaczysz. Jarred westchnął ciężko.

- Nawet jeśli ci powiem, że wciąż tam jest, i tak cię tam nie wpuszczą. Uzbrojone straże pilnują wszystkich wejść.

- Mogą cię zastrzelić! - wykrzyknęła matka

- Nie, nie mogą. Na początek chcę z nim tylko porozmawiać. Ten człowiek najwyraźniej pomylił miasteczka i przyjechał nie do tego, do którego powinien. To nie jest miejsce dla niego i zamierzam mu to jasno wytłumaczyć!

- Rosellen, zrozumże wreszcie, że zostać szeryfem, a dać sobie radę z kimś takim jak Murdock, to zupełnie co innego! - powiedział Jarred.

- To nie jakiś tam sobotni pijak, którego mogłabyś tak po prostu zwinąć i posadzić za kratki - poparła go matka.

Rosellen patrzyła na nich, kręcąc głową. Nie przekonywało jej to zupełnie.

- Nie boję się go! - powiedziała. - Ani jego pieniędzy, ani broni! Wcisnęła mocniej kapelusz na oczy i wyszła.

Kelnerka w mocno średnim wieku uśmiechnęła się do Casona i zabrała niepotrzebne już talerze.

- Czy chce pan, żebym podała kawę do ciasta?

Siedzącego obok znacznie starszego Bustera ledwie zaszczyliła spojrzeniem.

- Tak, dla nas obu - odpowiedział Cason, nie podnosząc wzroku, aby w ten sposób zniechęcić ją do dalszych prób nawiązywania z nim rozmowy. Od chwili, gdy rozeszła się wiadomość, że zamierza zamknąć kopalnię, nikt w mieście nie odezwał się do niego nawet słowem - i to mu najbardziej odpowiadało. On też nie miał już ochoty rozmawiać tu z nikim. Nawet z tą czupurną Rosellen Lattimer. Dlaczego w ogóle przyszła mu teraz na myśl? Miał ważniejsze rzeczy na głowic niż rozmyślanie o córce człowieka, którego nienawdził.

Spojrzał na wciąż milczącego Bustera. Jego stary partner, a potem także i przyjaciel na przestrzeni tak wielu już lat, nie wydawał się zbyt zadowolony. Nim wyruszyli do Makowego Wzgórza, Cason sugerował nawet, że nie musi mu towarzyszyć i płać się w tak bardzo prywatną i osobistą sprawę, ale Buster odparł na to, że za długo już robili wszystko razem, żeby się teraz rozdzielać.

Lata ciężkiej pracy poszukiwacza można było odczytać w każdej zmarszczce przedwcześnie postarzałej, spalonej słońcem twarzy Bustera O'Malleya. Był niewysoki i raczej drobny, ale wieloletni wysiłek machania kilofem i łopatą w samym sercu Gór Skalistych dał mu naprawdę mocne mięśnie i odporne na trudy ciało. Tę sprawność utrzymał nawet po wypadku, w którym utracił rękę.

Pochodził z bogatej rodziny ze Wschodniego Wybrzeża i - choć nigdy o tym nie mówił - musiał być człowiekiem wykształconym, z czego Cason dość szybko zdał sobie sprawę, właściwie już po pierwszym spotkaniu. Odtąd stale powtarzał mu, że jest za inteligentny na to, żeby

w tak prymitywny sposób wciąż tylko kopać i kopać, a potem machać patelnią w strumieniu – i że w związku z tym z pewnością nic mu z tego nie wyjdzie. Ta przepowiednia przez długi czas zdawała się sprawdzać, zanim wreszcie, po latach ciężkiej pracy, zupełnie niespodziewanie znaleźli dziewczyną żyłę złota u ujścia jednego z niepozornych górskich potoków.

Cason zdawał sobie sprawę, że przed poznaniem Bustera O'Malleya żył przez wiele lat jak człowiek niemal szalony – prowokował los, stale balansował na granicy życia i śmierci, raz po raz ryzykował wszystko. Po utracie obojga rodziców nie bał się śmierci, można by nawet powiedzieć, że jej szukał. Mógłby ją też nieraz znaleźć, gdyby nie O'Malley. Spotkali się po raz pierwszy właśnie w górach, podczas straszliwie mroźnej zimy. Zabłąkany w zawierusze Cason z pewnością zamarzyłby na śmierć, gdyby nie to, że Buster odnalazł go w śniegu i zabrał do swego obozu.

Później jeszcze parę razy ratował mu życie, nie mówiąc już o tym, że nauczył go też kopać i płukać złoto, a także wysadzać złotonośną skałę dynamitem. Właściwie nauczył go niemal wszystkiego, jako że wcześniej ani chora matka, ani rzadko bywający w domu ojciec nie mieli na to sił i czasu. To Buster nauczył Casona jak, w razie potrzeby, sprawnie posługiwać się rewolwerem i strzelbą. Oraz jak być dżentelmenem – również w razie potrzeby. Można by powiedzieć, że traktował go jak syna, ale i równego sobie partnera. Ich wzajemny szacunek rósł w miarę upływu lat.

Teraz Buster był chyba z czegoś niezadowolony. Nie dawał tego po sobie poznać, ale Cason znał go zbyt dobrze, żeby dać się zwieść pozorom.

– Nie odezwałeś się ani słowem podczas całego posiłku – powiedział, kiedy kelnerka odeszła. – O co chodzi?

Buster poruszył siwiejącymi wąsami i obrzucił go przenikliwym spojrzeniem swych malutkich, bystrych oczu.

- To człowiek już nie może nic zjeść bez gadania? - spytał.

- Pewnie może, ale ty zazwyczaj gadasz.

- Może tym razem chciałem pomyśleć? - Ostentacyjnie wsadził palce za uciskający go sztywny kołnierzyk. Starannie wychowany syn bogatej rodziny chlubił się tym, że stał się zwykłym, prostym człowiekiem.

- O czym chciałeś pomyśleć? O tym, że zamykam kopalnię, czy może o moim wyjeździe do Denver?

- O tym też. Ale głównie o tym, jak to się dzieje, że niegłupi w końcu człowiek wyrusza po złoto, a wraca z bezwartościowym pirytem.

- Że to niby ja? - spytał Cason. - Pewnie, już nieraz tak się to kończyło i znów może się skończyć. Taki już nasz los poszukiwaczy, ale w każdym razie złoto od pirytu potrafię odróżnić. Wszędzie.

- No właśnie nie wiem - powiedział Buster. - Skąd masz pewność, że słowa tej starej burdelmamy to złoto?

- Bo to, co mówi, ma sens.

- A ty poza tym chcesz jej wierzyć.

- Nie chcę, tylko wierzę.

- No a jeżeli zmyśliła to wszystko? Baby to potrafią.

- Niby po co miałyby to robić? - zdziwił Cason. - Nie chciała ode mnie nic w zamian, a w ogóle to jest umierająca. Więc co by jej z tego przyszło?

- Diabli wiedzą, ale nie pierwszy raz ci mówię, że po kobiecie możesz się wszystkiego spodziewać. Już ja je znam.

Cason uśmiechnął się mimo woli. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że poglądy Bustera na cały rodzaj kobiecy oparte są raczej na uprzedzeniach niż doświadczeniach.

- Może chce przed śmiercią wyglądać bardziej bogobojnie, jako skruszona grzesznica? - kontynuował Buster.

- Ona mówi prawdę! - wybuchnął Cason. - Zawsze wiedziałem, że mój ojciec nie miał nic wspólnego z tym napadem na bank i zabójstwem

kasjera! A ten sukinsyn zastrzelił go z zimna krwią, przy aplauzie całego miasteczka! A potem nie znalazłem tu nawet doktora, który by mi dał lekarstwo dla umierającej matki!

Buster kiwnął głową.

- Wiem, przez co przeszedłeś w tym miasteczku.

Cason podniósł się z krzesła i pochylił ku niemu.

- Nie, nie wiesz! - powiedział jeszcze dobitniej i głośniejszym głosem, niemało krzyżując. - Ciebie tu nie było. To ja przez to wszystko przeszedłem! A ty wiesz tylko tyle, ile ci opowiedziałem!

Nagle zdał sobie sprawę, że cała sala zamilkła. Wszyscy zgromadzeni w jadalni goście hotelowi przestali jeść i patrzyli tylko na niego.

Powoli opadł z powrotem na krzesło, starając się opanować. Miał nadzieję, że kiedyś w przyszłości przestanie na to wszystko reagować tak emocjonalnie, na pewno jednak nie stanie się tak, dopóki nie oczyści wreszcie pamięci ojca. I nie zniszczy tego przekłętą miasteczka.

- Pierwszy raz mam szansę poznać prawdę i przywrócić ojcu dobre imię. Więc nie przepuszczę tej okazji! Ale ty, to przecież co innego! Jeśli nie odpowiada ci moja propozycja, żebyś dopilnował przygotowania kopalni do zamknięcia, możesz tego nie robić. Sam to zrobię, kiedy wrócę.

- Wiesz dobrze, że wcale nie o to mi chodzi - powiedział Buster. - I tak zresztą nic miałbym nic innego do roboty.

- No a co z tymi twoimi planami podróży do Kalifornii albo Meksyku? Zapowiadałeś, że tam pojedziesz, jak tylko staniesz się bogaty.

- Ee tam, sam wiesz, że to tylko gadanie. Co znów takiego mogę zobaczyć w San Francisco czy Acapulco, czego nie widziałem już wcześniej gdzie indziej?

- Mówiłeś też, że pojedziesz na Wschód i odwiedzisz krewnych. Buster popatrzył na niego i ruszył wąsami.

- Któregoś dnia pewnie trzeba będzie to zrobić. Ale nie teraz, kiedy naprawdę poważnie martwię się o siebie.

- O mnie nie ma powodu się martwić. Sam nauczyłeś mnie, jak sobie zawsze dawać radę.

- Wiem, ale teraz zobaczyłem w twoich oczach coś, czego nigdy przedtem w nich nie było.

Przed Busterem nie dało się niczego ukryć. Cason przekonywał się o tym nie po raz pierwszy.

- No więc co takiego niezwykłego zobaczyłeś w moich oczach?

- Nadzieję.

Cason poczuł nagły skurcz serca. Trafiony w dziesiątkę! Oczywiście nie zamierzał się do niczego przyznać, ale faktem było, że przenikliwa intuicja Bustera bywała czasami denerwująca.

Prawdą było również to, że nie pamiętał już nawet twarzy tych mieszkańców miasteczka, którzy wtedy ściskali ręce Henry'emu Lattimerowi, gratulując mu zastrzelenia jego ojca. Chciał się na nich mścić, bezwzględnie i okrutnie, ale pamiętał z tamtego dnia tylko dwie twarze - szeryfa i jego ślicznej córeczki.

Jej nigdy nie zapomniał. Także i dziś myślał o niej nie wiadomo dlaczego. O tej małej dziewczynce, która oto stała się dojrzałą, jasnowłosą i niebieskooką pięknoscią.

- Takiej nadziei nie widziałem w twoich oczach nawet wtedy, gdy w tym nieszczęsnym strumieniu zaczęliśmy znajdować coraz liczniejsze grudki złota - mówił dalej Buster. - Ani wtedy, gdy natrafiliśmy na główną żyłę.

- Bo nigdy nie interesowało mnie bogactwo samo w sobie. Raczej już te możliwości, jakie dają nam pieniądze, kiedy człowiek chce coś zrobić. Teraz dzięki nim mogę wyrównać moje rachunki z tym miasteczkiem - zamknąć kopalnię i doprowadzić Makowe Wzgórze do ruiny. A dzięki świadectwu *madame* Gayli będę mógł też przywrócić

dobre imię mojemu ojcu. Z żadnej z tych możliwości nie zamierzam zrezygnować.

- Wiem, to paliło cię od dziecka, jak nie zaleczony wrzód żołądka - powiedział Buster. I dodał po chwili. - To niebezpieczne.

Czy był w tym jakiś cień przestrogi? Cason nie wiedział.

- Chcę też odnaleźć tego człowieka z blizną na dłoni - powiedział. - Sprawdzę wszystkie saloony i ulice, jeśli będzie trzeba. Ktoś w końcu musi go pamiętać.

- Może już dawno jest na tamtym świecie. Albo na przykład w Meksyku.

- Nie dowiem się, jeżeli nie spróbuję. Zaraz po przyjeździe przetelegrafuję ci adres hotelu.

Odpowiedzią było westchnienie.

- No cóż, jedź, jeśli musisz. Będę tu pilnować twoich spraw.

- Gdyby zanosilo się na jakieś kłopoty w kopalni, wynajmij dodatkowych strażników.

Buster niecierpliwie pokręcił głową i znów wsadził palce za sztywny kołnierzyk.

- Skoro cię tak denerwują te kołnierzyki, to po co je w ogóle nosisz? - spytał Cason.

- Bo po tym się rozpoznaje prawdziwego dżentelmena. Że potrafi się tak ubrać nie tylko do kościoła czy na pogrzeb.

- A pamiętasz, w jakim stroju ja zaczynałem kopać wspólnie z tobą? - Cason uśmiechnął się. - Portki miałem tak dziurawe, że wstydzilem się iść do miasteczka po zakupy.

- Pamiętam - odpowiedział Buster i również się uśmiechnął. W jednej chwili jego oczy stały się niezwykle ciepłe.

- Mówiłeś, że strój w ogóle się nie liczy, ważny jest tylko człowiek. Czyżbyś teraz zmienił zdanie?

Buster podrapał się w brodę.

- Wiesz, że chyba tak? - Roześmiał się. - Czuje się dżentelmenem, kiedy się odstawię jak angielski lord!

- I dokładnie tak wyglądasz - powiedział Cason.

- Natomiast ty chyba za długo włóczyłeś się po różnych zapadłych dziurach, bo jesteś wyraźnie w tyle za modą. Nie zauważyłeś, że większość mężczyzn w miastach i miasteczkach nie ma już na biodrze rewolweru? Tego się po prostu nie nosi!

- Nie trudź się nadaremnie, bo i tak nie zamienię mojego sześciostrzałowca na żaden nowomodny pistolet, choćbyś mnie nie wiem jak namawiał.

- Nie rozumiem dlaczego. Ani wilki, ani wędrowni rabusie teraz nam nie grożą. Chyba niepotrzebnie w ogóle uczyłem cię strzelać.

- Oczywiście nie licząc tego, że parę razy uratowało nam to życie.

- Oczywiście.

Roześmieli się obaj. Kelnerka, która właśnie przyniosła ciasto i kawę, najwyraźniej miała ochotę znów zagadnąć Casona, ale ostatecznie zapytała tylko:

- Czy życzą sobie panowie czegoś jeszcze?

- Nie, dziękujemy - odpowiedział i kobieta odeszła.

Buster pociągnął łyk kawy z filiżanki, dmuchnął na nią kilka razy.

- Pociąg masz o piątej - powiedział. - Jedziesz dziś?

- Tak. Nie ma co tego odkładać. - Cason urwał nagle. Za plecami usłyszał znajomy stukot obcasików kowbojskich butów. Tylko jedna osoba mogła chodzić takim krokiem.

Rosellen! To musiała być ona.

Ku swemu zaskoczeniu znów poczuł znajome już ściskanie w dołku. Czy to z emocji? Ale jakie emocje może przynieść kolejne starcie z tą upartą dziewczyną o zadziwiająco błękitnych oczach?

Odstawił filiżankę i czekał, aż córka Lattimera pojawi się przed nim. Wiedział doskonale, czego może od niego chcieć. Rosellen podeszła do jego stolika naładowana jak bomba.



- Panie Murdock! - powiedziała zdecydowanie. - Muszę z panem porozmawiać.

Buster natychmiast się podniósł i dyskretnie cofnął od stolika. Natomiast Cason nie ruszył się z miejsca.

- To zabrzmiało niezwykle oficjalnie - powiedział kpiąco. - Czyżby po tym popisie odwagi, kiedy to przepędziła pani z miasta jednego ubłoconego włóczęgę, rada miejska już formalnie mianowała panią szeryfem Makowego Wzgórza? Popatrzmy uważniej..

Przesadnie długo i wyzywająco wpatrywał się w jej piersi, rysujące się pod obcisłą brązową koszulą, niby to szukając tam odznaki szeryfa. Zauważył od razu, że pod wpływem tego spojrzenia zaczęła oddychać wyraźnie szybciej. A więc nie jest taka niewzruszona, na jaką chciałaby wyglądać! I to on tak na nią działa! Miło było pomyśleć, że mimo wszystko widzi w nim mężczyznę, a nie tylko syna przestępcy.

Przyjrzał się uważniej jej roziskrzonym oczom i zaróżowionym od gniewu policzkom. Można się było założyć, że jest wściekła jak niedźwiedzica, której zabrano małe. Raczej mało prawdopodobne, żeby akurat teraz wzbudzał w niej pożądanie.

- Nie, gwiazdy na piersi nadal nie widzimy - ciągnął dalej tym samym tonem. - Czyżby więc jednak wciąż nie?

- Przełożyłam moje spotkanie z radą, jeśli o to chodzi. Choć nie wiem, co panu do tego - stwierdziła Rosellen. - Usiłuję pana znaleźć już od rana.

Cason uśmiechnął się jeszcze bardziej kpiąco. Miło było, mimo wszystko, trochę podręczyc córkę tego nikczemnego szeryfa. A można ją przecież ukłuć jeszcze bardziej! Zmienił ton głosu na ironicznie uwodzicielski.

- Pamiętam. Zapowiadała pani, że mnie odnajdzie i przycisnie. Byłbym doprawdy niemądry, gdybym chciał się opierać tak kuszącej ofercie. Przycisnie mnie pani, panno Rosellen?

Buster dyskretnym kasznięciem przypomniał o swej obecności. Najwyraźniej sądził, że już najwyższa pora, żeby go przedstawić.

- Mój wspólnik i przyjaciel, pan Buster O'Malley. A to panna Rosellen Lattimer.

- Miło mi - powiedziała Rosellen i podała Busterowi rękę.

- Mnie.. mnie również - zająknął się Buster. Widać było, że zrobiła na nim wrażenie.

I trudno się było dziwić. Podczas kiedy wymieniała uprzejmości z jego przyjacielem, Cason mógł się jej przyjrzeć jeszcze dokładniej.

No więc była cholernie ładna! Skrzzące się niebieskie oczy, jasne włosy o odcieniu miodu. I policzki, i lekko zadarty nosk posypane drobnymi kropkami złocistych piegów. Śliczne piersi - zwłaszcza bez przypiętej nad nimi odznaki! - wysokie, pełne, a przy tym niezwykle kształtne. Do tego smukła talia i kusząco zaokrąglone biodra, podkreślone przez mocno opięte spodnie.

- Jest mi niezmiernie miło, pani... to znaczy, panno... Busterowi z wrażenia najwyraźniej plątał się język. Dziwne, coś takiego raczej mu się dotąd nie zdarzało!

- Proszę mi mówić po prostu Rosellen, panie O'Malley!

Rosellen. Bardzo kobiece imię jak na osobę, która stale chodzi z sześciostrzałowym coltem u biodra, pomyślał Cason. Nic jednak dziwnego, że nikt się dotąd do niej nie zabrał. Facet, który chciałby ją rozebrać, musiałby zacząć od rewolweru. Większość mężczyzn raczej by się cofnęła. Ale nie on.

Jej wargi były lekko wydęte, kiedy się gniewała, na przykład na niego. Ale mogłyby się założyć, że ich uśmiech musiał być jeszcze bardziej zachwycający. A już pocałunek tych warg...

Nagle poczuł, że chciałby je natychmiast zgnieść swoimi ustami, wpić się w nie do bólu, do zapamiętania. Już sama myśl o tym podnieciła go zaskakująco mocno. Poczuł się niemal jak młodzik, który pierwszy raz w życiu zobaczył nagą kobietę.

A swoją drogą Gayla musiała mieć rację, kiedy mówiła, że ta młoda osoba mogłaby się okazać rewelacyjna w łóżku. Że jest z takich, za które mężczyźni płaciliby każde pieniądze.

No cóż, gdyby nie była córką Henry'ego Lattimera, to on sam, Cason Murdock, z pewnością by to sprawdził.

Scandalous

Rosellen czuła się poirytowana tym, że tak mocno reaguje na samą fizyczną obecność tego aroganckiego młodego mężczyzny. Gniewało ją, że nie potrafi zapanować nad nagłymi rumieńcami, że naraz zupełnie bez powodu ogarnia ją jakaś podejrzana fala ciepła. Z pewnością, gdyby nie musiała, w ogóle nie chciałaby mieć z nim do czynienia. Musiała jednak przyznać, że w jego obecności staje się inna – nie tak pory wcza i jakby bardziej miękka. Bardziej kobieca?

Tak czy inaczej, znacznie sympatyczniejszy i grzeczniejszy wydawał się ten drugi mężczyzna – jednoręki przyjaciel czy też współnik Murdocka. Z pewnością był też lepiej od niego ubrany. Cason miała na sobie kowbojską koszulę ze stójką i zwykle ciemnobrązowe spodnie. Natomiast ten drugi ubrany był w dobrze uszytą ciemną marynarkę – z dyskretnie zawiniętą i przypiętą nieco wyżej pustą częścią rękawa – białą koszulę ze sztywno nakrochmalonym kołnierzykiem, starannie zawiązanym krawatem i wytworną kamizelką z brokatu. Całości dopełniał nienagannie przystrzyżony i wypomadowany włos.

– Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli się teraz oddalę, by pozwolić państwu na nieskrępowaną rozmowę – zaproponował Buster.

– Wcale nie musisz wychodzić – powstrzymał go Cason. – To z pewnością nie potrwa długo.

– Boi się pan zostać ze mną sam na sam, panie Murdock? – spytała Rosellen. Miała nadzieję, że to jawne wyzwanie go zirytuje.

Cason jednak nawet się nie skrzywił.

– Ależ kiedykolwiek tylko poczuje pani ochotę, panno Lat-timer! – uśmiechnął się znacząco. – Pozwoliłem sobie przypuścić, że rozmowa nie potrwa długo, ponieważ wiemy o sobie niewiele, więc też chyba niewiele będzie do powiedzenia. Nie sądzi pani?

Ta jego dezynwoltura była jeszcze bardziej denerwująca, Rosellen postanowiła jednak, że nie da się sprowokować.

- Wolalabym nie wiedzieć nic o panu, gdybym nie musiała, a to, jak długo będziemy ze sobą rozmawiali, zależy tylko od tego, jak szybko otrzymam zadowalające odpowiedzi na moje pytania.

Przysłuchujący się temu wszystkiemu Buster znów odkaslnął i podniósł się z krzesła.

- Widzę, że zanosisz się na poważną rozmowę, przy której niekoniecznie będziecie mnie potrzebowali. Może więc jednak na chwilę sobie pójdę, na przykład, żeby poszukać tej kelnerki i poprosić ją o przyniesienie kawy dla panny Rosellen.

Odszedł, zanim ktokolwiek zdążył go zatrzymać. Cason popatrzył za nim w ślad, co dało Rosellen okazję do uważniejszego przyjrzenia się jego twarzy i oczom. Nie odwróciła wzroku, gdy i on zaczął się jej przyglądać równie uważnie.

Nietrudno było dostrzec, że coś musiało go dręczyć, choć usilnie starał się to ukryć, zapewne także przed samym sobą. Świadczyły o tym zacisnięte wargi i wyraz ciemnych oczu, które nagle odwrócił. Mogłoby to nawet budzić współczucie, ale Rosellen oczywiście nie zamierzała współczuć komuś takiemu.

- Proszę usiąść i przejść do rzeczy - powiedział sucho.

Rosellen usiadła i nagle zdała sobie sprawę, że jest straszliwie głodna. Nie miała nic w ustach od obiadu poprzedniego dnia, a tymczasem tuż przed nią na porcelanowej paterze leżały dwa ogromne kawałki świeżego, pachnącego ciasta. W Makowym Wzgórzu wszyscy wiedzieli, że nikt w miasteczku nie piecze lepszych ciast niż pani Leddy z hotelowej kuchni. Ten zapach cynamonu, goździków i wanilii był nieodparty. Rosellen mimowolnie oblizwała wargi i poczuła ślinkę, napływającą do ust.

- Ma pani ochotę na kawałek ciasta?

Och, tak! odpowiedziała w duchu. Ciekawe, czy to po niej widać, czy może on czyta w myślach?

- Stanie się pani jeszcze słodsza.

Akurat! pomyślała Rosellen. I powiedziała już głośno:

- Dziękuję, nie jestem głodna
- Wobec tego proszę powiedzieć, co mógłbym dla pani zrobić?

Rosellen oderwała wzrok od kuszącego deseru.

- Nie zamykać kopalni. To po pierwsze.
- A po drugie?
- Wyjechać z tego miasta.
- I kiedyż to?
- Jeszcze przed zmierzchem.
- Aha. Coś jeszcze?

Czyżby to miało jej pójść łatwiej, niż się spodziewała? Powiedziała wszystko tak, jak chciała. Twardo i bez owijania w bawełnę

- Skoro już pan pyta, to tak. Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał mi pan powiedzieć, który to bank pan obrabował, żeby mieć pieniądze na wykupienie naszej kopalni. Wtedy mógłabym po prostu wziąć pana za hale i posadzić za kratki. Co pan na to?

Cason leciutko przymrużył oczy.

- No cóż? Powiem tylko tyle: jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety, która by tak bardzo starała się być twardym mężczyzną jak pani, panno Rosellen.

Dlaczego to „panno Rosellen” brzmi tak miękko w jego ustach? Z pewnością robi to celowo, wymawiając to tak bardzo kobiece imię przy każdej nadarzającej się okazji.

Wyprostowała się mimowolnie.

- Nie staram się być mężczyzną, a jedynie twardą i stanowczą przedstawicielką społeczności Makowego Wzgórza - powiedziała. - Płec nie ma tu nic do rzeczy.

Cason odchylił się do tyłu na oparcie krzesła.

- A dlaczego nie spróbuje pani być kimś, kim pani już przecież jest, panno Rosellen? Po prostu piękną kobietą?

Aby uniknąć spojrzenia mu prosto w oczy, Rosellen udała, że rozgląda się po sali. Cason w żadnym wypadku nie powinien się domyślić, że w rzeczywistości nie jest wcale aż taka twarda.

Skinęła głową państwu Coleman, którzy z zaciekawieniem przyglądali się jej znad swego stolika przy wejściu. Szybki rzut oka na resztę sali wystarczył, by się zorientować, że przy innych stolikach jest jeszcze co najmniej kilka znajomych osób z miasta. Z pewnością wszyscy bacznie ich obserwowali.

Czy dostrzegli już to, co z takim trudem próbowała ukryć? Ten Cason Murdock był bardzo atrakcyjny. Cholernie atrakcyjny, przynajmniej dla niej. Nie wiedziała, dlaczego tak jest, ale tak po prostu było. Za każdym razem, kiedy go widziała, chcąc nie chcąc czuła, że ten mężczyzna ją przyciąga. Silniej, niż żyła złota przyciąga jakiegokolwiek poszukiwacza.

Nienawidziła go za to, co myślał o jej ojcu. Ale także za to, że był pierwszym mężczyzną, przy którym marzyła o uścisku męskich ramion. Jego ramion. Ciekawe, jak by to było, gdyby teraz nagle przycisnął usta do jej ust?

Należało natychmiast przerwać te bezsensowne rozmyślenia! O człowieku, który bezpodstawnie obwiniał jej ojca o zabójstwo, nie wolno było myśleć, że jest atrakcyjny! I nie wolno było marzyć o jakimkolwiek całowaniu czy uściskach!

Tuż obok ich stolika przeszedł pan Atkins, który w kopalni zajmował się chemicznym badaniem rud i metali. Gdy Rosellen skinęła mu głową, odklonił się, nie kryjąc zaciekawienia.

– Zostawmy na boku sprawę takiej czy innej mojej urody i wróćmy do rzeczy! – Starła się to powiedzieć z poprzednią stanowczością, ale znów nie za bardzo jej się udało. A Cason nadal był denerwująco spokojny. Jak, do cholery, może być tak spokojny człowiek, który zamierza wyrzucić na bruk sto kilkadziesiąt osób?!

– Przede wszystkim nie obrabowałem żadnego banku – powiedział, nawet nie podnosząc głosu. – Razem z Busterem natrafiliśmy na sporą żyłę złota w południowo-zachodniej części stanu. Tylko tyle i aż tyle.

– I myśli pan, że ja w to uwierzę?

– Dlaczego nie? To przecież co najmniej równie prawdopodobne, jak to, że zostanie pani szeryfem.

Rosellen z trudem powstrzymała się od syknięcia. Wiedział, gdzie ją ukłuć, gdzie jest jej czuły punkt! Nie wolno pozwolić mu zatriumfować, nie może poznać po niej, że jest wściekła i głodna. Tak, głodna – również przez niego. Przez niego nie spała pół nocy, przez niego nie zjadła też ani wczorajszej kolacji, ani żadnego posiłku od dzisiejszego ranka!

– Co do dalszych punktów – kontynuował Cason – kopalnię, rzecz jasna, zamierzam zamknąć. Natomiast jeżeli idzie o opuszczenie miasta jeszcze przed zachodem słońca, to chyba rzeczywiście skorzystam z pociągu o piątej po południu, ponieważ zaplanowałem wyjazd do Denver. Tak więc przynajmniej jeden postulat z trzech przedstawionych przez panią zostałby spełniony. Czy to panią zadowala, panno Rosellen?

– Nie.

Denerwowało ją, że wciąż tak uporczywie na nią patrzy tymi swoimi piwnymi oczami. Nigdy dotąd nie spotkała nikogo równie pewnego siebie. I równie irytującego!

– Niech pan posłucha, panie Murdock. Nie obchodzi mnie, gdzie pan był i co pan robił przez ostatnie piętnaście lat. Natomiast najwyraźniej nie wie pan, co zamknięcie kopalni może oznaczać dla całego miasteczka. Tam pracuje sto kilkadziesiąt osób! Jeśli ci ludzie stracą pracę, będą musieli wyjechać, nie mając za co utrzymać swych rodzin. A to oznacza, że za parę miesięcy Makowe Wzgórze stanie się wymarłym miastem!

Cason nie odpowiedział. Patrzył na nią bez słowa. Rosellen czuła, że ten człowiek robi to celowo, że jeśli nic nie mówi, to właśnie po to, żeby niczego nie ujawnić ze swych skrytych zamiarów.



- A poza tym po co rezygnować ze stałego i pewnego dochodu? - spytała. - Wiem, że złoże wcale nie jest wyczerpane. Mówi się, że starczy go jeszcze na wiele, wiele lat! To spore pieniądze!

- Nie potrzebuję już pieniędzy.

- Ale ludzie w tym miasteczku ich potrzebują. Potrzebują pracy. Nie może pan być tak bezwzględny!

Cason znów nie odpowiedział.

Rosellen czuła, że za chwilę zacznie się trząść z wściekłości i frustracji. O co naprawdę chodzi temu człowiekowi? Ma pieniądze, więc ma też i władzę, ale jemu najwyraźniej zależy na czymś jeszcze. Na czym?!

- Zamknięcie kopalni byłoby dowodem całkowitego braku serca - powiedziała.

Cason poderwał się z krzesła tak gwałtownie, że Rosellen mimo woli odsunęła się aż na oparcie. Zaskoczył ją grymas jego nagle odmienionej twarzy, grymas pełen już nie tylko gniewu, ale wręcz nienawiści.

- Niech nikt się nie waży mówić mi o braku serca, a już zwłaszcza nikt z tego przeklętego miasteczka! - wybuchnął. - Pani nawet nie może wiedzieć, co naprawdę znaczy to słowo. Byłem tu piętnaście lat temu jako mały chłopiec. I nikt z tych ludzi, nikt, do jasnej cholery, nie pomógł mi, kiedy...

Umilkł nagle i z powrotem opadł na krzesło. Już po chwili wydawał się równie spokojny jak przedtem. Nie drgnął mu nawet mięsień, opanował się całkowicie.

- Zrobię dokładnie to, co postanowiłem - powiedział.

Jednakże w tonie jego głosu było coś, co sprawiło, że Rosellen nagle poczuła coś w rodzaju współczucia. Niezrozumiałego dla niej samej, ale przecież współczucia!

Może biorącego się stąd, że ten człowiek na moment się odkrył, że spadła z niego maska. A wtedy można było zobaczyć jego prawdziwą twarz. Wściekłość i ból.

Już wcześniej dostrzegala w oczach Casona Murdocka jakiś dojmujący smutek, którego przyczyn nie znała. Dopiero teraz ten jego nagły wybuch ukazał jej na moment zupełnie innego człowieka. To nie był ten tak bardzo pewny siebie i tak bardzo nieczuły osobnik, jakiego oglądała dotąd. To był ktoś zupełnie inny!

Musiał ukrywać w sobie coś bardzo bolesnego. Tu nie chodziło tylko o to, co zrobił jej ojciec.

Jeśli Cason Murdock chciał teraz zniszczyć Makowe Wzgórze, musiało kryć się za tym coś więcej.

– Mści się pan na naszym miasteczku. A ludzie mają za to zapłacić życiem?

Wyraz jego twarzy nieco złagodniał.

– Nikt nie zamierza odbierać im życia. To byłoby bezsensowne okrucieństwo. Jeszcze przez miesiąc kopalnia będzie funkcjonować. A każdy, kto zechce szukać pracy gdzie indziej, może odebrać swoją miesięczną wypłatę i natychmiast wyjechać.

– Ale dlaczego? Co to miasteczko panu zrobiło? Jeśli pan uważa, że ktoś był winien śmierci pana ojca, to przecież i tak mógłby to być tylko mój ojciec.

Po raz pierwszy Cason odwrócił oczy.

– Mam swoje powody, by postępować tak, jak postępuję.

– Jakikolwiek są, nie mogą pana usprawiedliwiać.

– To zależy od punktu widzenia.

– Nie pozwolę panu zniszczyć tego miasteczka. Cason podniósł wzrok i ich spojrzenia się spotkały.

– W jaki sposób? Nie może pani mnie powstrzymać.

– Ostrzegam pana! Stanę panu na drodze w każdym miejscu i w każdej chwili.

- Będzie mi bardzo miło. Uwielbiam takie obietnice od pięknych kobiet.

Poirytowana Rosellen zmarszczyła brwi.

- Każdy w Makowym Wzgórzu powie panu, że jeżeli coś postanowię, to z pewnością to osiągnę.

- Ja też.

- Ale teraz nie jest pan u siebie. Jest pan w moim miasteczku!

- Czy to ma mnie przerazić?

- Powinno.

- Ale nie przeraża.

- Pan mnie również nie przerazi. Wszyscy w Makowym Wzgórzu staną obok mnie i wtedy nie będzie pan miał szans!

Cason uśmiechnął się drwiąco.

- Staną. Ale nie obok pani, a co najwyżej za panią, i to w bezpiecznej odległości. Tak jak stali podczas tego incydentu z poszukiwaczem.

Szytych znów był celny. Rzeczywiście tylko tam stali. Ten arogant nie powinien jednak triumfować!

- Nie musieli nic robić, ponieważ wiedzieli, że można mi zaufać i że sama dam sobie radę.

Cason tylko wzruszył ramionami, a potem spytał:

- Czy ktokolwiek w tym mieście ma dość pieniędzy, żeby odkupić ode mnie kopalnię?

- Nie.

Wymownym gestem rozłożył ręce.

- No właśnie. Co zatem zamierza pani zrobić? Spojrzała na niego.

- Nie myśli pan chyba, że panu to wyjawię. Nie byłoby to zbyt rozsądne

Prawdę mówiąc, sama nie miała pojęcia, co zrobić, żeby go powstrzymać. Wiedziała tylko, że musi.

- Może, na przykład, zastrzeli mnie pani z zimną krwią? Tak jak pani ojciec zastrzelił mojego ojca.

W oczach Rosellen błysnęły iskierki gniewu. Odchyliła się na oparcie krzesła.

- To ohydne kłamstwo! Pana ojciec zasługiwał na to, co go spotkało, i brednie starej prostytutki z pewnością tego nie zmienia.

- Jeszcze się okaże, kto tu mówił prawdę!

- Za wszelką cenę szuka pan dowodów, które pozwoliłyby na rehabilitację pańskiego ojca. Ale nie znajdzie ich pan ani tu, ani gdziekolwiek indziej, bo ich po prostu nie ma. Więc nietrudno się domyślić, co pan sobie zaplanował!

- Niech pani sobie zbytnio nie pochlebia, panno Rosellen, że aż tak świetnie mnie pani rozumie.

- A pan niech sobie nie pochlebia, że w ogóle może mi zależeć na rozumieniu pana! Jedyne, na czym mi zależy, to pozbyć się stąd pana jak najprędzej.

- No więc, jak już mówiłem, tu mogę pani pomóc. - Cason uśmiechnął się. - Podczas mojego pobytu w Denver sprawami kopalni będzie się zajmował Buster, i w razie czego proszę zwracać się właśnie do niego.

- To pan jednak jedzie do Denver? - Spojrzała na niego i roześmiała się cicho. - Więc pan naprawdę uwierzył we wszystkie brednie tej starej?

A wyglądał na inteligentniejszego, pomyślała, kiedy Cason w odpowiedzi skinął głową.

- Bardzo dobrze, niech pan jedzie, nawet do wszystkich diabłów. W Denver nikogo pan nie znajdzie, bo nie ma tam nikogo do znalezienia. Gayla zmyśliła to wszystko, żeby się panu przypocholebić!

- A pani tak bardzo stara się podważyć jej słowa, jakby się obawiała, że i panią to w końcu może przekonać. Sama pani czuje, że to może być prawda!

– Nie wierzę w ani jedno jej słowo. Podobnie zresztą jak nie wierzę, że chce pan naprawdę zniszczyć egzystencję tych wszystkich ludzi. Przecież oni nic panu nie zrobili! Jeśli już ktoś wyrządził panu krzywdę, to mój ojciec, ale oni są niewinni! Niechże pan mi powie, u diabła, co mogę zrobić, żeby pana powstrzymać od zamknięcia kopalni?

– Nic.

– Każdy ma jakąś swoją cenę.

– Mam więcej pieniędzy, niż potrafiłbym wydać. Ale jeśli pani w ten dyskretny sposób próbuje mi zaoferować na przykład swe ciało, to będę musiał to rozważyć.

Rosellen poczuła, że na moment zapało jej dech. Nie tyle ze względu na to, co Cason ośmielił się powiedzieć, ile ze względu na reakcję własnego ciała – nagły dreszcz fizycznego podniecenia, który pojawił się całkowicie poza jej wolą.

– To, co pan powiedział, jest po prostu podłe i nikczemne!

– Chciała pani znać moją cenę.

– A pan doskonale wiedział, że miałam na myśli pieniądze.

– Skąd niby miałem to wiedzieć? A poza tym powiedziałem tylko, że muszę się zastanowić. Kiedy już to zrobię, powiadomię, pania, czy jestem zainteresowany.

– Niech pan idzie do diabła! – Wyprostowała się dumnie. – Jeszcze pan tego pożałuje!

Cason popatrzył na nią niemal współczująco.

– Niech pani podejmuje walkę tylko tam, gdzie ma pani jakąś szansę, panno Rosellen. Ta akurat jest dla pani z góry przegrana.

– To się jeszcze okaże. Nie uda się panu zabić deskami ani kopalni, ani tego miasteczka! Nie pozwolą na to ludzie i ja, póki żyję, też na to nie pozwolę! Przekona się pan o tym, mam nadzieję, że bardzo boleśnie!

Podniosła się i wyszła z sali, nie oglądając się już na nic i na nikogo.

Niezły temperamencik! – powiedział Buster, siadając na krześle zwolnionym przez Rosellen. – Założę się, że to o kimś takim Szekspir napisał swoje *Poskromienie złoŃnicy*. Takiej nie poskromi 7aden męzczyzna!

– Im ładniejsza twarz, tym bardziej jadowity jezyk – mruknął Cason.

– Ale za to w łó7zku mo7e być świetna. Przy takiej z pewnością nie trzeba ju7 dokładać do ognia!

Cason nie odpowiedział. Z jakiegoś powodu słowa Bustera nawet go dra7niły. Po prostu nie miał ochoty rozmawiać z nim o Rosellen akurat w tym kontekście. Ale Buster nie zamierzał zamilknać.

– Można by się załó7yć, ile te7 czasu będziesz potrzebował, 7eby ja... Hej, czy ty w ogóle słuhasz?

Buster znów okazywał się nazbyt spostrzegawczy. Nie wiadomo jak zda7ył dostrzec, 7e coś jednak tli się miedzy nimi. Rosellen te7 to z pewnością musiała zauwa7yć, choć oczywiście za 7adną cenę nie przyznałaby się do tego. Ale nie mogła przecie7 ukryć ani błysku w oku, ani nagłych rumieńców, ani przyspieszonego oddechu. Działali na siebie wzajemnie, nie mogło być co co tego 7adnych wątpliwości. Podobnie jak nie mogło być wątpliwości, 7e i ona, i on ze wszystkich sił będa się starali z tym walczyć.

– Ale7 słuham cię, Buster. Aha, chciałbym te7, 7ebyś podczas mojej nieobecności zamówił kamienne nagrobki na mogiły moich rodziców.

– Oczywiście, chętnie to zrobię. Jakie chcesz, 7eby były –du7e czy mniejsze? Z ozdobnymi napisami?

– Właściwie nie wiem. Ale mo7e jednak du7e. W ka7dym razie niech będa większe od kamienia na grobie Henry'ego Lattimera. Tyle przynajmniej mogę dla nich zrobić.

I to jest, niestety, bardzo niewiele, uznał w duchu.

- Zalatwione - powiedział Buster. Spojrzał na Casona i spytał: -Czy sądzisz, że w tym mieście ktoś zna prawdę o tym, jak umarła twoja matka? I o całej reszcie?

- Jesteś jedyną osobą, której to opowiedziałem. I tak to powinno pozostać, pamiętaj.

- Wiesz przecież, że nigdy niczego nie rozpowiadałem, nawet wtedy, kiedy jeszcze piłem.

- Wiem.

Cason spojrział na zegarek.

- Chyba jeszcze zdążę wpaść do Silver Nugget Saloon. Może zajrzę tam na pięterko, bo potem do Denver czeka mnie strasznie długa droga.

Buster popatrzył na niego uważnie.

- A co, czyżby wpadła ci w oko któraś z młodych dam?

Z całą pewnością wpadła. Tylko że to nie była żadna z tamtych.

- Na razie jeszcze nie, ale właśnie pomyślałem, że warto by to sprawdzić - odpowiedział Cason.

- Taak? - spytał Buster. - Bo ja odniosłem wrażenie, że to raczej ta nieposkromiona Rosellen tak cię rozpałała, że teraz chcesz szukać czegoś w zamian.

- A ja myślę - powiedział Cason, postanawiając odwrócić kota ogonem - że to właśnie ty napaliłeś się na nią. Przez cały czas mówisz tylko o Rosellen.

- Ja? - Oczy Bustera zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Pokręcił głową, jak gdyby znowu pił go w szyję za ciasny kołnierzyk.

- Tak, ty. I dlatego myślę, że powinienes koniecznie pójść do tego przybytku razem ze mną.

- Innym razem, kiedy będziemy mieli więcej czasu. Nie mam pojęcia, jak w ogóle zamierzasz zdążyć. Do odjazdu pociągu masz tylko godzinę.

- Zdążę! - Cason odsunął krzesło i przed wyjściem rzucił: -Zapłać za mnie!

Buster oczywiście miał rację. Cason wiedział, że jeśli pragnął teraz kobiety, to była nią właśnie Rosellen. Mógł się wreszcie przyznać do tego i przestać się oszukiwać. Ale tak czy inaczej nie zamierzał się posunąć poza samo stwierdzenie tego oczywistego faktu, że jej pożądał. Nie zamierzał się posunąć dalej, nawet gdyby to narastające pożądanie doprowadzało go do szaleństwa.

Niewykluczone, że działo się tak, ponieważ po raz pierwszy spotykał się z podobnym wyzwaniem, z tak dramatycznym zasupłaniem sprzecznych uczuć. Ta kobieta była inna niż jakakolwiek z tych, które dotąd spotykał. Może dlatego tak jej pragnął, że była dla niego zakazana ze względu na to, co zrobił jej ojciec. A może dlatego, że to on, syn zabitego, chciał ją za to właśnie ukarać?

Nie potrafił sobie na to odpowiedzieć. Wiedział tylko, że już znów chciałby zobaczyć Rosellen. Chciałby z nią rozmawiać i chciałby sprawdzić, jaka naprawdę jest w łóżku.

Ale ponieważ to było po prostu niemożliwe, postanowił iść do saloonu. Może któraś z tamtejszych dziwek pomoże mu przypomnieć o złotowłosej Rosellen Lattimer, przynajmniej do czasu jego powrotu do Makowego Wzgórza.



Wracając do domu Rosellen zastanawiała się, co sprawiało, że Cason Murdock zachowywał się tak, a nie inaczej.

To musiała być chęć odwetu. Dlatego nie zamierzał ustąpić nawet o cal.

Ponieważ Henry Lattimer już nie żył, Cason postanowił zemścić się na miasteczku, które jej ojciec kochał i któremu służył przez całe życie. To też było dowodem, jak zapiekła musiała być ta nienawiść. A skoro głównym motywem była tu zemsta, jakiegokolwiek odwoływanie się do pojęć dobra i zła nie miało po prostu sensu. Było pewne, że ten człowiek będzie trwał w swym uporze, wbrew wszystkiemu i wszystkim.

W dodatku musiał mieć mnóstwo pieniędzy. Mieszkając od dzieciństwa w górniczym miasteczku, Rosellen wiedziała, że na kupienie czynnej i przynoszącej dochód kopalni mogli sobie pozwolić naprawdę tylko nieliczni. Dlaczego to musiał być właśnie on?

Znów miała przed oczami przystojną twarz Casona. Ale inną, bez tej mściwej nienawiści, raczej przepelnioną jakimś głębokim smutkiem. Skoro pod pełną gniewu maską usiłował ukryć ten smutek, to nie mogła to być tylko zwykła chęć zemsty. Czuło się – a w każdym razie ona tak to czuła – że tam w głębi musi być coś więcej.

Otrząsnęła się i kolejny raz skarciła samą siebie za takie myśli. Po jakiego diabła jeszcze się wgłębiać w psychikę człowieka, który przecież chce po prostu zniszczyć jej miasteczko i rodzinę! I ten dom, do którego ona właśnie wraca. Tylko tego jeszcze trzeba, żeby się teraz rozklejała!

Weszła po schodach ganku i, jak zawsze, powiesiła na metalowym wieszaku swój kapelusz i pas z rewolwerem. W salonie zastała matkę siedzącą w fotelu przed nie zapalonym kominkiem. Jej nieruchoma twarz miała jakiś dziwny wyraz.

– No więc na razie nie wygląda to zbyt dobrze, jeśli o to chciała mnie mama spytać – powiedziała Rosellen, siadając naprzeciw niej. –

Ale niech mama będzie pewna, że to tylko na razie. Ten cały Cason Murdock jest naprawdę okropny, ale czego w końcu można się spodziewać po synu przestępcy, rewolwerowcu i do tego jeszcze bogacz! Tacy ludzie są przekonani, że mogą przyjechać sobie, gdzie zechcą i od razu rządzić się jak u siebie. Ale ja na pewno na to nie pozwolę, nie w moim miasteczku! Jeśli on myśli, że się go przestraszę, to grubo się myli. Już przełożyłam na jutro moje spotkanie z panem Vestly i pozostałymi radnymi. I myślę, że dostanę tę odznakę..

Nagle zdała sobie sprawę, że matka wciąż milczy. W dodatku zazwyczaj nigdy nie odpoczywała o tej porze, w każdym razie bez poważnego powodu. Rosellen przyjrzała się jej uważniej. Evelyn była blada, zmarszczki w kącikach jej warg wydawały się głębsze, a same usta nabrały jakiegoś gorzkiego wyrazu. Można było odnieść wrażenie, że nie usłyszała ani słowa z tego, co powiedziała jej córka. Dopiero teraz Rosellen spostrzegła, że oczy matki są zaczerwienione i opuchnięte, jak gdyby przez dłuższy czas płakała. Aż tak źle nie wyglądała chyba od czasu śmierci ojca.

- Mamo, co się stało? - spytała Rosellen, klękając przed jej fotelem i obejmując ramieniem plecy matki.

- Nie czuję się za dobrze, córeczko - odpowiedziała Evelyn, ocierając zwilgotniałe powieki rąbkiem kuchennego fartucha.

Rosellen nagle poczuła bolesne ukłucie gdzieś w głębi klatki piersiowej. Dokładnie te same słowa wypowiedział ojciec przed ostatnim, śmiertelnym atakiem serca. Ogarnął ją nagły lęk.

- Nie ruszaj się. Pobiegnę po doktora.

- Nie, nie, kochanie. Nie trzeba. Nie jestem chora. - Położyła dłoń na ramieniu córki. - Ja tylko po prostu nie mogę teraz o tym wszystkim rozmawiać. To zbyt okropne.

- Co jest zbyt okropne, mamo? - przeraziła się Rosellen.

- Już, mam, przyniosłem ci wody - usłyszała nagle głos Simona, który pojawił się od strony kuchni, ze szklanką w ręku. - O, Rosellen, cieszę się, że już jesteś.

- Zaraz, ale co ty tu robisz o tej porze? A gdzie są Jarred i Walter? I co w ogóle się dzieje?

- Jarred i Walter są jeszcze w kopalni. Powiedziałem im, że idę do mamy, żeby ktoś teraz był przy niej.

- Ale dlaczego? Co się stało?

Simon popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- A więc jeszcze nie słyszałaś? Bałem się, że już ci ktoś powiedział.

- Ale co? - znów poczuła ten sam ból w piersi. Serce ścisnął zimny lęk. Domyślała się, o co może chodzić.

Simon przez chwilę milczał.

- Nie chciałem być tym, który przyniesie tę wiadomość, ale z drugiej strony może to lepiej, że nie powie wam tego ktoś obcy. Po mieście krąży podła plotka o naszym ojcu.

Rosellen na moment przestała oddychać.

- Nic! - krzyknęła Evelyn, chwytając syna za rękę. - Nie ma potrzeby, żebyś jej to mówił! Niech tego nie słyszy! Ona tak kochała swego ojca!

- I tak będzie musiała usłyszeć prędzej czy później - powiedział Simon. - Proszę, niech się mama napije. Takie plotki rozprzestrzeniają się szybciej niż pożar. Lepiej, żeby Rosellen usłyszała to ode mnie niż od kogoś z ulicy.

W oczach matki znów pojawiły się łzy. Rosellen patrzyła na nią z prawdziwym bólem. Doskonale wiedziała, co może usłyszeć.

- Nie chcę, żebyś tego słuchała, Rosellen. - Z zaczerwienionych, pełnych łęku oczu Evelyn łzy płynęły już niepowstrzymanym strumieniem.

Simon pochylił się nad nią.

– Mamo, chyba jednak powinnaś pójść do siebie i się położyć. Tak będzie lepiej, naprawdę. A wtedy ja sam wszystko opowiem Rosellen.

– Może masz rację, synku. Może rzeczywiście powinnam się położyć. – Wstrząsana spazmatycznym szlochem, Evelyn poszła w kierunku sypialni.

Rosellen patrzyła w ślad za nią, pełna bólu i współczucia. Z własną udręką jakoś jeszcze umiała sobie radzić, znacznie trudniej było znieść cierpienie kogoś tak bliskiego. A jeszcze trudniej wybaczyć to komuś, kto był winien wszystkiemu, kto to cierpienie zadał.

Gdy tylko matka znikła za drzwiami, Rosellen obróciła się do brata.

– No więc teraz powiedz wszystko, co słyszałeś – powiedziała. Simon przejechał palcami po swych krótko ostrzyżonych, jasnych włosach.

– Nie wiem na pewno, od kogo wyszła ta nikczemna plotka, ale zdaje się, że ktoś po prostu podsłuchiwał rozmowę właścicielki Silver Nugget Saloon.

– Gayli.

– No właśnie. Otóż Gayla podobno wyznała komuś, że nasz ojciec był zamieszany w ten napad na bank sprzed lat i że zabił wtedy dwóch niewinnych ludzi. Wyobrażasz sobie coś podobnego?!

– Ktoś podsłuchiwał, ktoś rozpoviedziało. Ktoś, cholera jasna! Pewnie, że ktoś! – Rosellen mówiła to jakby na wpół do siebie, niezbyt głośno, chociaż w środku wszystko w niej aż się gotowało.

Przypomniała sobie wyraz twarzy tej młodej prostytutki, Delty. Nietrudno było się domyślić, że musiała podsłuchiwać pod drzwiami *madame Gayli*. Już wtedy pewnie nie mogła się doczekać chwili, kiedy będzie mogła to wynieść na miasto, pomyślała Rosellen. Ach, z jaką przyjemnością wsadziłaby tę dziwkę za kratki już za samo wymówienie nazwiska ojca.

- Kto mógł chcieć rozpowszechnić takie nikczemne kłamstwo?- zastanawiał się głośno Simon. - No i przede wszystkim dlaczego? Przecież ojciec nie żyje już od przeszło roku!

- Ja wiem, kto to rozgłosił - mruknęła Rosellen. Wciąż, co prawda, nie miała odpowiedzi na pytanie „dlaczego?”, ale nie bez racji mogła przypuszczać, że musiały się za tym kryć pieniądze. Ktoś musiał płacić Delcie za przynoszenie tych wszystkich brudów.

- Wiesz, kto to rozgłosił? - spytał Simon. - A niby skąd?

- Po prostu wiem - usiłowała go zbyć. - Wiem, i tyle.

- Nie, siostrzyczko, co najwyżej wydaje ci się, że wiesz - powiedział Simon. - Zawsze byłaś skłonna do pochopnych wniosków, a potem z reguły były z tego tylko kłopoty. Powiedz mi, kogo podejrzewasz, a ja to sprawdzę.

- Nie. Ja sama się tym zajmę - powiedziała stanowczo Rosellen. Wtedy, podczas rozmowy z Gaylą i Casonem, ostrzegała ich przed jakimkolwiek rozpowszechnianiem nie popartych żadnymi dowodami pogłosek. Zapomniała jednak o Delcie, i to była tylko jej wina.

- Czy ty choć raz nie mogłabyś, choćby dla odmiany, pozwolić coś zrobić nam, zamiast brać wszystko na siebie? Jesteśmy już dorośli i ty nie musisz nam ciągle udowadniać, jaka jesteś twarda.

Twarda? Czula się przerażona, a nie twarda. Miała pustkę w głowie i nerwowe skurcze żołądka. Gdyby od razu pomyślała o Delcie, może dałoby się zapobiec temu wszystkiemu.

- Nie pozwolę nikomu ranić mojej matki - powiedziała

- My też chcemy chronić przed tym i ja, i ciebie - powiedział Simon.

- Ale nie możemy nikogo oskarżać, dopóki nie ustalimy faktów. Przede wszystkim powinniśmy wiedzieć, jaką korzyść mogłoby przynieść takiej osobie rozpowszechnianie tej plotki.

Rosellen już to wiedziała. Dla kogoś takiego jak Delta ta plotka już sama w sobie była zbyt smakowita, a jeżeli w dodatku można było za to otrzymać sporą sumę pieniędzy, z pewnością nie wahałaby się długo.

Tymczasem myślenie Simona poszło w zupełnie innym kierunku.

- Nie można na przykład wykluczyć - powiedział, marszcząc brwi - że komuś nie podoba się twój zamiar zostania szeryfem Makowego Wzgórza. Rozpowszechnienie takiej plotki mogłoby skutecznie przeszkodzić twojej nominacji.

- Simon, czy ty chcesz powiedzieć, że to wszystko przeze mnie?

- Ależ skąd! Oczywiście, że nie. - Podciągnął szerokie spodnie, które miały tendencje do zsuwania się z zaokrąglonego brzuszka. - Ale na dziś twoja kandydatura jest jedyna, prawda?

- Nie chce mi się wierzyć w coś takiego - powiedziała Rosellen, chodząc wielkimi krokami po salonie tam i z powrotem. - Gdyby tylko o to chodziło, to przecież łatwiej byłoby po prostu przekabacić pana Vestly, nakłonić go, by nie poparł mojej kandydatury.

- No więc znów wracamy do tego samego. Plotkę rozpowszechniono, bo ktoś miał w tym interes. Ojcu to już nie może zaszkodzić, więc musi to być wymierzone w kogoś innego.

- Najbardziej boję się o mamę. To naprawdę każdego może doprowadzić do szaleństwa.

- Nie możesz się temu poddawać, Rosellen. Dzień, dwa i ta podła plotka sama wygaśnie. Tata był dobrym człowiekiem. Wszyscy w mieście to wiedzą i nikt nie uwierzy w tę śmiechu wartą brednię.

Rosellen podeszła do okna i w zamyśleniu patrzyła na rozciągającą się za białym drewnianym ogrodzeniem senną uliczkę. Jak to możliwe, żeby tyle złych rzeczy wydarzyło się w tak krótkim czasie? Jeszcze wczoraj rano była przekonana, że zostanie szeryfem swego miasteczka, a dziś nie mogła już być tego pewna. Nie tylko tego, czy jej kandydatura się utrzyma, ale nawet tego, czy w ogóle utrzyma się miasteczko, jeśli ona nie potrafi powstrzymać Casona od zamiaru zamknięcia kopalni.

Cholerny Cason Murdock! To od niego się to wszystko zaczęło, od tego, że przyjechał. I od razu tak łatwo uwierzył w to wszystko, co

naopowiadała Gayla. Ale też bardzo chciał w to uwierzyć! Jakby mu właśnie na tym szczególnie zależało.

Nagle przyszło jej do głowy jeszcze coś. Skoro zamierzał zniszczyć miasto, to przede wszystkim jemu musiało zależeć na tym, by ludzie uwierzyli w brednie Gayli, bo wtedy jego działania wydawałyby się usprawiedliwione. A jeżeli jedzie do Denver tylko po to, żeby tam wynająć kogoś i wmówić wszystkim, że to właśnie jest ten rzekomy kuzyn Dodge? A co będzie, jeśli ta mistyfikacja się powiedzie, a ten ktoś przyjedzie do Makowego Wzgórza i potwierdzi wszystko, co powiedziała *madame*. I jeśli ludzie w to uwierzą?

Cholera jasna, niech to szlag!

Trzeba było koniecznie coś zrobić. Cason Murdock mógł się kryć za tym wszystkim – miał pieniądze, środki i przede wszystkim miał motyw. Rosellen nie trzeba było tłumaczyć, jak silna może być chęć zemsty.

Obróciła się i rozejrzała po salonie. Jeszcze raz przyjrzała się wszystkim przedmiotom, co do których można było mieć wątpliwości, czy dałoby się je kupić wyłącznie za pieniądze ze skromnego wynagrodzenia szeryfa. Czy to możliwe, żeby ktoś tak pomyślał, żeby w to uwierzył? Odetchnęła głęboko. Już wiedziała, co powinna zrobić.

Na początek należało wyprawić mamę z domu, do któregoś z braci. Wtedy nikt jej nie przeszkodzi i nikt nie będzie mówił, co ma i czego nie ma robić.

– Wiesz co, Simon? – powiedziała. – Chyba najlepiej będzie, jeśli teraz zabierzesz mamę do siebie. Tak, na pewno tak. Trzeba tylko trochę przypudrować jej twarz, zwłaszcza policzki i powieki, żeby nie było widać, że płakała. Poszlibyście razem główną ulicą, żeby wszyscy was widzieli, a ty masz rozmawiać z nią, żartować i w ogóle zachowywać się tak, jak gdyby wszystko było w jak najlepszym porządku.

– Daj spokój, Rosellen, czyś ty oszalała? Czy nie widziałaś, w jakim stanie jest mama? Akurat będzie chciała robić jakieś przedstawienie dla ludzi, a w dodatku jeszcze rozmawiać i żartować.

- Będzie musiała, dla dobra nas wszystkich.

- A cóż to da, twoim zdaniem?

- Chcę, żeby wszyscy w tym mieście wiedzieli, że my, Lattimerowie, nie wierzymy w ani jedno słowo z tej nikczemnej, rozpowszechnianej przez kogoś plotki! Nie ugniemy się! Henry Lattimer nigdy nie zrobił nic złego i my nie mamy najmniejszego zamiaru tłumaczyć się z czegoś, co nigdy się nie wydarzyło. Dlatego bez dalszego gadania zabieraj mamę i ruszajcie w drogę. Ja mam jeszcze parę rzeczy do przemyślenia.

Mocno wyladowany plecak wcale nie ułatwiał szybkiego marszu, i mięśnie ramion bolały ją już naprawdę dotkliwie, kiedy w końcu znalazła się w pobliżu Front Street, na tyłach budynku Silver Nugget Saloon.

Przez całą wcześniejszą drogę czuła narastającą w niej wściekłość na Casona Murdocka. To przez niego wszystko szło źle przez ostatnie dwa dni. Gdyby nie przyjechał do Makowego Wzgórza, Gayla nie miałyby powodu, żeby wymyślać te wszystkie brednie, Delta nie przekazywałaby ich dalej, a ona sama nie musiałaby odbywać takiego forsownego marszu, w dodatku w ocierających stopy butach i z ciężkim plecakiem na ramionach.

Po drodze minęła sporo osób, z których większość na jej widok uśmiechała się przyjaźnie. To jej dodało otuchy, więc szła dalej zdecydowanym krokiem, od czasu do czasu wymieniając pozdrowienia. Pomachała dłonią panu Carmichaelowi, który co prawda zajęty był rozładowywaniem dostawionego towaru, ale znalazł chwilę, żeby się uprzejmie przywitać. Przed wystawą innego sklepu odkloniła się pani Patterson, a chwilę potem starszy pan Wilkins dość wylewnie wyraził jej uznanie za jej postawę i sprawne działanie podczas incydentu z poszukiwaczem. Przy okazji powiedział jej też, że rana Shoestringa Palmera goi się i że postrzelonemu nic nie grozi.



Rosellen nie miała czasu na dłuższą rozmowę z żadną z tych osób, ponieważ pociąg odjeżdżał o piątej, a ona musiała po drodze wpaść jeszcze w co najmniej dwa miejsca. Do Silver Nugget Saloon zamierzała dostać się tylnym wejściem, co pozwoliłoby jej oszczędzić kilka minut. O tym sekretnym wejściu wiedziała już od dawna. Gdy *madame* Gayla kupiła budynek, kazała specjalnie wybudować bezpieczną galerijkę na tyłach pierwszego piętra, z której schody prowadziły do ukrytej między drzewami alejki.

Było to bardzo wygodne, zwłaszcza w przypadku tych klientów, którzy cenili sobie możliwość dyskretnego przybycia i równie dyskretnego opuszczenia tego przybytku. To także był jeden z powodów, dla których Silver Nugget Saloon uważany był za najlepszy lokal w mieście. Henry Lattimer z racji pełnionych obowiązków musiał przychodzić tu niejednokrotnie. Zdarzało mu się zabierać ze sobą Rosellen, nawet kiedy była jeszcze małą dziewczynką, choć oczywiście nigdy nie pozwolił jej na wejście do środka. Ale ukryta za krzakami albo beczką na wodę, widziała nieraz, jak różni panowie wchodzili tam czy też wychodzili, właśnie od strony tej ustronnej alejki.

Teraz po raz pierwszy sama wstąpiła na te schody, właściwie wbiegła po nich po dwa stopnie naraz. Nieco zdyszana i zmęczona, zatrzymała się aż na górze.

Nieraz widziała, jak ojciec tędy wchodził, ale oczywiście nigdy nawet nie pomyślała, że mógłby tu przyjść z innych powodów niż ściśle służbowe. Niezależnie od tego, którym wejściem wchodził.

Teraz też nie zamierzała zmieniać tego przekonania. Nikt nic miał prawa wątpić w uczciwość jej ojca. To był z gruntu dobry człowiek, który kochał swoją żonę, dzieci i swoje miasto. W każdą niedzielę chodził do kościoła i nigdy nie zaniedbał odmówienia modlitwy przy stole. Całe jego życie świadczyło o nim jednoznacznie. A Cason Murdock nie znał jej ojca, więc też w żaden sposób nie miał prawa go osądzać.

Na galerijkę pierwszego piętra wychodziły okna poszczególnych pokoi, a jedno z nich pozwalało przedostać się na główny korytarz, jednak Rosellen nie wiedziała, które. Uznała więc, że najlepiej będzie wejść przez którekolwiek, mając nadzieję, że pokój o tej porze nie będzie jeszcze zajęty. Wtedy przedostanie się na korytarz byłoby już fraszką.

Ta konieczność włożenia przez okno przypominała jej podobne chwile sprzed lat, kiedy to namówiona przez braci wspinała się po drabinkach, podtrzymujących pnące róże na domu sąsiadów, aż do okna na pierwszym piętrze, żeby podejrzeć, z kim też sypia młoda wdowa. Skończyło się to wielkim skandalem, i zresztą nie tylko tym. Wdowa Martin spostrzegła bowiem zaglądnącą przez okno Rosellen i wrzasnęła przeraźliwie, a wystraszony pan Finway podczas pośpiesznej ucieczki tak nieszczęśliwie przydeptał sobie własne nie związane sznurowadła, że potknął się i złamał nogę.

Rosellen mimo woli skuliła się w poczuciu winy, kiedy to sobie przypominała. Tak, to był jeden z tych głupich młodzieńczych wybrków, które wówczas wydawały jej się takie wspaniałe, a których teraz wolałaby nie pamiętać.

Wyrównała oddech i chwyciła za przesuwną ramę półotwartego okna. Po kilku szarpnięciach część okna podjechała do góry, nie czyniąc nawet zbyt wiele hałasu. Siła przeciągu wypchnęła na zewnątrz podwójną zasłonę, ale Rosellen rozsunęła ją na boki i już mogła wślizgnąć się do środka. Ale kiedy, zgiąwszy się wpół, zdołała już niemal cała wsunąć się do pokoju, nagle usłyszała metaliczny trzask odwodzonego kurka rewolweru. Bez chwili namysłu rzuciła się na podłogę i błyskawicznie sięgnęła po własnego colta.

Podniosła wzrok i zatrzepotała powiekami, nie wierząc własnym oczom. Po drugiej stronie łóżka stał kompletnie nagi Cason Murdock i celował do niej z rewolweru.

Serce podjechało Rosellen do gardła, a w uszach dzwoniło gwałtownie przyspieszone tętno. No ale w końcu taki widok zrobiłby wrażenie na każdym, z całą pewnością.

Cason nadal trzymał ją na muszce swego rewolweru, kiedy wolno podnosiła się z podłogi i obróciła ku niemu. Zmusiła się do tego, żeby patrzeć wyłącznie na jego twarz. Wcześniej kątem oka zdążyła sprawdzić wnętrze pokoju. Ku swemu zaskoczeniu nie zobaczyła w nim nikogo więcej. Tak więc albo Cason jeszcze był sam, albo – co wydawało się dużo prawdopodobniejsze – już był sam.

Nawet nie próbował się okryć czy choćby w jakikolwiek sposób zasłonić. Mógłby sięgnąć po prześcieradło, własną koszulę czy w ostateczności nawet kapelusz. Albo po tę jaskrawoczerwoną suknię, którą dostrzegła na podłodze. Ale on nie zrobił nawet najmniejszego ruchu w tym kierunku.

Chciał, żeby na niego patrzyła.

Ale dlaczego? Czy zamierzał ją onieśmielić, przestraszyć, czy też uwieść tą swoją nagością? Tak czy inaczej, nie wolno jej było pozwolić, by dostrzegł w niej jakiegokolwiek oznaki lęku lub słabości.

Rozmyślnie powoli i niemal wyzywająco zaczęła mu się przyglądać, lustrując go uważnie od góry w dół. Jej wzrok przesunął się po kształtnej, mocnej szyi, potem po muskularnych ramionach i klatce piersiowej, a potem skierował się jeszcze niżej. Płaski, twardy brzuch, szczupłe biodra – już nie tak opalone, jak górna połowa ciała. Wynikało z tego, że Cason nieraz musiał pracować na słońcu, rozebrany do pasa.

Nie potrafiła się zatrzymać na brzuchu i biodrach. Spojrzała niżej i zobaczyła ciemnozieloną aureolę włosów łonowych i męski członek. Bardzo duży. Tak, niezwykle duży.

Przez jej kręgosłup przebiegł nagły dreszcz, jednakże udało się jej nawet nie mrugnąć. Nie zamierzała stracić ani sekundy z tego, co widziała.

- Skończyła już pani mnie oglądać?

Spojrzenie Rosellen przesunęło się z powrotem na jego twarz. Czuła, jak jej ciało tężeje z emocji i podniecenia. Niech to diabli, żeby się tylko nie zaczerwieniła!

Cason opuścił dłoń z rewolwerem, ale nie zmienił wyrazu twarzy. Nadal była w nim drwina i jednocześnie prowokacja. Chociaż może nie tylko to. W jego wzroku nietrudno było dostrzec bardzo jednoznaczne podniecenie. A więc i on musiał czuć coś podobnego.

- Mogę tak postać jeszcze trochę, jeżeli się pani nie napatrzyła. Najwyraźniej kpił sobie z niej. Cholerny pyszałek. Odkasznęła cichutko, mając nadzieję, że tego nie usłyszy.

- Mam trzech starszych braci, więc to, jak wygląda męskie ciało, nie jest dla mnie aż takim odkryciem - powiedziała, starając się, żeby to zabrzmiało możliwie obojętnie.

- Ale moje, być może, jest.

- Czy to wyzwanie?

- Wiele na to wskazuje. Nie sądzi pani?

Rosellen zdała sobie sprawę, że jej oddech staje się coraz płytszy. Sama nie wiedziała, czy jeszcze w ogóle wciąga do płuc jakieś powietrze. Napięcie stawało się doprawdy trudne do zniesienia, postanowiła jednak, że nie da po sobie poznać, jak niezwykle mocno ta jego zuchwałość na nią podziałała. Tego nie powinien się dowiedzieć w żadnym razie!

Rozmyślnie powoli obejrzała go sobie raz jeszcze, od góry do dołu, a potem spojrzała mu w oczy.

- Nie wydaje mi się, żeby to było wyzwanie - powiedziała. -Wszyscy mężczyźni wyglądają bardzo podobnie pod tym względem.

- Naprawdę?

- Czuje się pan rozczarowany?

- Raczej nie nazbyt przekonany. - Teraz ton jego głosu stał się wyzywająco uwodzicielski. - W każdym razie nigdy dotąd żadna kobieta nie oglądała mnie aż tak uważnie.

Rosellen rozmyślnie spojrzała raz jeszcze, z udaną obojętnością. Mogłaby przysiąc, że to stało się jeszcze większe. Coś niesłychanego. Bezwiednie oblizała wargi.

- Nic szczególnego - powiedziała odważnie.

- Kłamczucha!

- Niech pan idzie do diabła! - wykrzyknęła, tym razem już rzeczywiście rozgniewana.

Reagowała na jego fizyczność, chociaż wcale tego nie chciała. Ale nie chciała tego tylko ta jej część, która podporządkowana była świadomości. Natomiast cała reszta... no cóż, taka była prawda: cała reszta Rosellen Lattimer gorąco pragnęła podejść do niego, położyć dłoń na jego szerokiej klatce piersiowej, a potem zsunąć je w dół.

Postanowiła przykrócić sobie cugle i zapanować nad takim niekontrolowanym myśleniem. Zbyt łatwo przychodziło mu to oddziaływanie na jej podświadomość. Niestety, wystarczała do tego sama jego obecność. Należało się jednak uspokoić, myśleć chłodno i postępować rozsądnie.

Rzeczywiście zdarzało jej się widzieć swoich braci nago, kiedy kapali się w zakolu pobliskiej rzeki, a potem wychodzili z niej, wzajemnie ochlapując się wodą. Ale to działo się wiele lat temu, kiedy właściwie wszyscy byli jeszcze dziećmi. W każdym razie to, co z tamtych paru chwil zapamiętała, w żadnym razie nie dawało się porównać z tym, co teraz widziała u tego już pod każdym względem dorosłego mężczyzny. Stał tak dumnie, jak gdyby wiedział, że działa na nią z neodpartą siłą.

Cason obrócił się i odłożył rewolwer na stojący obok łóżka stolik.

- A czy pani przynajmniej wie, jak niewiele brakowało, żebym panią zastrzelił? - spytał.

- Mimo że jestem kobietą? - spytała ironicznie.

- Nie wiedziałem tego wtedy. Teraz zresztą nadal tego nie wiem.

Chce pani udowodnić, że jest kobietą?

Rosellen ujęła się pod boki.

- Na pewno nie panu! - odpaliła natychmiast.

- Więc może przede wszystkim samej sobie? - Zmierzył ją taksującym spojrzeniem. - Jeżeli szuka pani posady w tym lokalu, to z pewnością jest pani nadmiernie ubrana.

- To raczej pan jest ubrany niedostatecznie. Zdawało mi się, że śpieszył się pan na pociąg? Czyżby nagła zmiana planów?

To mogło jej pokrzyżować szyki, a cały ten bieg z ciężkim plecakiem okazałby się wysiłkiem całkowicie zmarnowanym.

- Nie zmieniłem planów - powiedział Cason. - Ale ponieważ droga do Denver będzie długa, pomyślałem, że wpadnę tu na, wie pani, taki szybki numer.

- Proszę mi łaskawie oszczędzić szczegółów - przerwała mu w pół słowa. - Może pana to bawi, ale mnie niezbyt.

Drzwi otworzyły się nagle i pojawiła się w nich ciemnowłosa, bardzo niekompletnie ubrana młoda kobieta.

- Przyniosłam ci takiego drinka, jak chciałeś, przystojniaku! Mam nadzieję, że będzie ci smakował, i ja też! - Urwała nagle. - Hej, co tu się w ogóle dzieje?

- Nic - odpowiedziała szybko Rosellen.

- A co pani robi tu w moim pokoju i z moim klientem?! - W głosie młodej prostytutki przebijała wyraźna zazdrość.

- Szukałam niejakiej Dety i zdaje się, że pomyliłam pokoje.

- Ostatnie drzwi po prawej - powiedziała ciemnowłosa dziewczyna. Założyła ręce na piersiach i ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na otwarte okno.

- Już mnie tu nie ma, mogą państwo zająć się... swoimi sprawami - powiedziała Rosellen, spoglądając na Casona. Ten jednak nie wydawał się speszony, nawet w najmniejszym stopniu.

- Następnym razem proszę wchodzić od frontu i pytać przed wejściem - powiedziała ostrym tonem poirytowana prostytutka.

- Dziękuję za uprzejmą radę - odparła Rosellen i z udaną swobodą ruszyła w stronę drzwi. Przed wyjściem jeszcze raz spojrzała na Casona.

- Niechże pan sobie nie przeszkadza, bardzo proszę!

Jednakże kiedy już zamknęła za sobą drzwi, cała trzęsła się ze zdenerwowania. Nie spodziewała się, że zobaczy Casona, a już z całą pewnością nie tak kompletnie nagiego.

Ale teraz, kiedy go widziała, z pewnością nie zapomni. To pozostanie już na zawsze w jej pamięci, od najmniejszego szczegółu, aż do tego... największego. Bo przyjrzała mu się naprawdę dokładnie.

Wsparła się dłonią o ścianę korytarza, żeby nie stracić równowagi. Całkowicie miękkie kolana odmawiały jej posłuszeństwa. W tym momencie nie starczyłoby jej sił, żeby dojść do pokoju Delty.

Nawet jeśli Cason rzeczywiście był wspaniale zbudowany, nadal nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ta nagość aż tak na nią podziałała? A miała przecież patrzeć na niego wyłącznie jak na niebezpiecznego przeciwnika.

Nie było jednak czasu na takie rozmyślenia. Musiała porozmawiać z Delta, a potem jeszcze z panem Vestly - i to wszystko przed piątą, bo o piątej odchodził pociąg do Denver. Jeśli tylko Cason Murdock wsiądzie do tego pociągu, ona zrobi to samo.

Zmobilizowała się wewnętrznie i ruszyła ku drzwiom pokoju Delty. Zapukała, a potem od razu weszła, nie czekając na zaproszenie. Della siedziała przed niewielką toaletką i rozczesywała włosy. Obróciła się na krześle i gwałtownie wciągnęła powietrze na widok Rosellen.

- Proszę stąd natychmiast wyjść! - zawołała, zrywając się z krzesła.

- Najpierw porozmawiamy - powiedziała Rosellen.

Delta odwróciła się i spróbowała sięgnąć do szuflady, ale Rosellen podbiegła do niej i chwyciła ją za nadgarstek, zanim ta zdążyła wyjąć rewolwer. Wytracona broń spadła na podłogę.

Przez chwilę kobiety zmagaly się ze sobą, przesuając się chwiejnym krokiem od łóżka do stolika i z powrotem, aż w końcu obie zwały się na pościel. Tam stoczyły dalszą walkę, już w pozycji leżącej. Nie obyło się bez prób duszenia, kopania i chwytania za włosy.

Prostyutka była młoda i silna, ale Rosellen miała za sobą lata ćwiczeń zapaśniczych z braćmi, podczas których nauczyła się skutecznych chwytów i sposobów obezwładniania przeciwnika. Uchwyciła jej dłoń, obróciła Deltę twarzą na dół, a potem wykreśliła jej ramię na plecy, które dodatkowo przycisnęła kolanem.

- To boli, ty suko! - wrzasnęła Delta. - Puszczaj, niech cię szlag! Rosellen wcisnęła jej twarz w poduszkę, żeby stłumić krzyki.

- Czemu sięgnęłaś po broń na mój widok? - spytała. - Przecież to mogło się źle skończyć!

- Wszyscy wiedzą, że jesteś narwana! - odpowiedziała Delta. - Chciałaś mnie zastrzelić!

- Ja? Czy kiedykolwiek strzeliłam do kogoś?

- Dotąd nie. Ale tym razem byłaś zła, jak wściekły pies!

- To dlatego, że rozpowszechniałaś podłe kłamstwa o moim ojcu! Teraz to odszczekasz i powiesz wszystkim, że to nieprawda.

- Nie! Ja... ja wcale nie rozgadałam! - Delta mówiła z trudem, przez cały czas mając twarz wciśniętą w poduszkę.

- Właśnie, że to ty rozgadałaś! A ja nie lubię takich, co mówią kłamstwa o mojej rodzinie i przez których płacze moja matka!

- Nikomu nic nie powiedziałam. Zejdź ze mnie!

- Komuś musiałaś powiedzieć!

- Nie, do ciężkiej cholery! Przysięgam na świętą Biblię!

- To znaczy, że to Gayla rozgadała?

- Nie.



- A więc Murdock? - zapytała Rosellen, choć z jakiegoś niewyjaśnionego powodu była pewna, że on tego nic mógł zrobić.

- Nie. To zrobił taki jeden, który co miesiąc przywozi do nas whisky. Akurat stał przy tych swoich skrzynkach na zapleczu i słyszał całą rozmowę. A potem powtórzył ją naszemu barmanowi, George'owi. Za piętnaście dolarów.

Rosellen poczuła narastającą wściekłość. Zrobić coś takiego za piętnaście dolarów!

- A to sukinsyn! - wykrzyknęła. - I komu jeszcze powiedział?

- Nie wiem, komu jeszcze. - Delta jęknęła. - I nie wiem, komu George mógł to powtórzyć. Puść mnie, to boli!

Rosellen nieco złagodziła uchwyt, ale nadal trzymała ją mocno.

- Jak się nazywa ten dostawca whisky?

- Alford Clark. Jest tu dosyć znany.

Rosellen przypomniała sobie, że czasem widywała wóz dostawczy z tym nazwiskiem, nigdy jednak nie rozmawiała z właścicielem.

- Lepiej, żeby to była prawda - powiedziała. - Co do tego Clarka i co do ciebie samej. Bo jeśli się jednak okaże, że i ty roznosiłaś te plotki..

- Przysięgam, że nigdy tego nie robię. Mogę tu usłyszeć i zobaczyć niejedno, ale zawsze trzymam język za zębami. Bo dobrze wiem, co Gayla potrafi zrobić z tymi, które plotkują.

Również i Rosellen słyszała coś o tym. Jedną z dziewczyn *madame* Gayli oskarżono o to, że rozpowiadała ludziom o rzekomej ciąży żony Wilbura Cladona, co bardzo szybko okazało się całkowicie wyssanym z palca pomówieniem. Skądinąd to podobno sam Wilbur sprokurował te pogłoski, chyba także po to, żeby jakoś usprawiedliwić swoje częste wizyty w Silver Nugget Saloon, gdzie jakoby musiał szukać tego, czego nie mogła mu dać ciężarna żona. Gdy cała sprawa wyszła na jaw, Gayla wyciągnęła młodą prostytutkę wprost z łóżka i wyrzuciła ją na ulicę w jednej sukience, choć była wtedy połowa lutego.

Uwzględniając to wszystko, Rosellen doszła do wniosku, że Delta nie kłamie. Uwolniła jej ramię i zeskoczyła z łóżka. Podniosła wciąż leżący na podłodze rewolwer i zamknęła go w szufladzie. Tymczasem Delta zsunęła się z drugiej strony łóżka i pojękując oparła się o ścianę. Jej spojrzenie było półprzytomne z przerażenia.

- Ty musiałaś zupełnie zwariować. - Jej głos przypominał skowyt zbitego psa. - Mało mi nie złamałaś ręki. Powiem Gayli, co tu wyprawiałaś! I w ogóle wszystkim w mieście!

- Jeśli wziąć pod uwagę, że wylaś przy tym głośniej niż stado upiórów, to pewnie i tak wszyscy już wiedzą. Więc przestań mnie straszyć, a lepiej powiedz, kiedy ten dostawca whisky znów ma się pojawić?

- O ile wiem, przyjeżdża w tym samym dniu każdego miesiąca. A więc będzie za cztery tygodnie.

- Módl się, żeby tak było. I żeby potwierdził to, co powiedziałaś, bo inaczej ja tu wrócę.

Delta mimowolnie potarła obolałe miejsce na karku.

- Nie rozgłaszałam tej plotki. Ani żadnej innej - bo tu rządzi Gayla, a ona sobie nie życzy żadnych plotek. A poza tym... -spojrzała na Rosellen i wzruszyła ramionami. - Poza tym nigdy nie powiedziałabym nawet słowa przeciw Henry'emu. Bo tak naprawdę to ja lubiłam twojego ojca. To był dobry człowiek, zawsze traktował mnie bardzo przyzwoicie. Przy nim mogłam czasem nawet poczuć się damą.

Rosellen z trudem przełknęła ślinę. Delta nie zdawała sobie sprawy z tego, co właśnie powiedziała, ale dla niej, dla córki Henry'ego Lattimera, teraz to było oczywiste. A zatem ojciec przychodził tu wcale nie tylko po to, żeby pilnować porządku czy mitygować pijanych mężczyzn i odprowadzać ich do aresztu. Przychodził tu także po coś zupełnie innego.

Ale przecież z tego jeszcze nic nie musiało wynikać, powiedziała sobie niemal natychmiast. Owszem, mógł korzystać z usług

prostytutek, podobnie jak wielu innych szacownych mieszkańców Makowego Wzgórza. Ale to przecież nie oznaczało, że kogokolwiek zabił. Tego trzeba by dopiero dowieść.

Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. Z jakiegoś powodu była pewna, że Della nie sięgnie do szuflady i nie strzeli jej w plecy. Ale na korytarzu zdążyła zrobić ledwie parę kroków, gdy spotkało ją coś jeszcze bardziej niespodziewanego.

Z drugiej strony korytarza, od strony prowadzących na parter schodów, pojawił się Cason Murdock – tym razem już w pełni ubrany – w towarzystwie barmana i dwóch młodych kobiet ze stadka *madame Gayli*.

Tego tylko brakowało, pomyślała. Usiłowała go wyminąć, udając, że go w ogóle nie dostrzegła. Ale on nie zamierzał niczego udawać.

– O, nasza specjalistka od wchodzenia przez okno – zawołał, z jawną kpina kłaniając się jej kapeluszem. – Czy to dzięki temu zyskała pani przydomek „Póldiablę?” Bardzo cenna kwalifikacja dla kogoś, kto zamierza zostać szeryfem, z całą pewnością.

W pierwszym odruchu chciała się ostro odciąć, ale zdołała się w porę opanować. Nie była tu w najlepszej pozycji, żeby podejmować wyzwanie, w dodatku na oczach jeszcze paru osób. Ktoś, kto ubiega się o poważne stanowisko, rzeczywiście raczej nie powinien włączyć przez okna.

Ani wdawać się w walkę wręcz z podopiecznymi *madame Gayli*, ani tym bardziej kierować pod ich adresem słów, które łatwo mogłyby być uznane za groźby karalne. Lepiej, żeby to pozostało między Deltą a nią.

Poza tym nie miała żadnego powodu, żeby tłumaczyć się z czegokolwiek przed kimś takim jak Cason Murdock.

Wyminęła go więc bez słowa i zeszła na parter, skąd już bez przeszkód wydostała się na ulicę, opędzając się przez cały czas od natrętnej myśli – czy zdążył, czy też może jednak nie zdążył dokonać czegokolwiek z tą czarnowłosą prostytutką?

Choć prawdę mówiąc, dlaczego miałyby ją to obchodzić?

- Posłuchaj, Rosellen, nie możesz tak po prostu pakować się do mojego biura! - zawołał kompletnie zaskoczony pan Vestly. Podniósł się zza biurka tak szybko, że jedna ze sprzączek od opiętych na jego korpulentnej figurze szelek nagle puściła i dość boleśnie uderzyła go w podwójny podbródek.

Rosellen postawiła plecak obok biurka. Przed przyjściem tutaj zdażyła jeszcze pobrać z banku pieniądze na ewentualną podróż - absolutne minimum, ponieważ trzeba było teraz oszczędzać, przynajmniej przed otrzymaniem stałej posady.

- Bardzo przepraszam, panie Vestly, ale po prostu nie miałam już wyjścia. Usiłowałam złapać pana przed biurem i czekałam tak długo, jak tylko mogłam. Ale pociąg już za kwadrans odchodzi, a ja muszę nim pojechać..

- Zaraz, o czym ty w ogóle mówisz? - pan Vestly swymi grubymi paluchami niezbyt skutecznie usiłował zapiąć nieposłuszną sprzączkę.

- Nie zdążę już panu wszystkiego wyjaśnić, ale mój wyjazd jest związany z bardzo niebezpiecznymi dla naszego miasta działaniami niejakiego Casona Murdocka. Tego, który wykupił naszą kopalnię i teraz zamierza ją zamknąć.

Twarz pana Vestly nagle poczerwieniała. Rosellen zdała sobie sprawę, że do jej rozmówcy musiała już dotrzeć także plotka o jej ojcu.

- Tak, tak, słyszałem. To znaczy, o tym też słyszałem. Wraz z paroma osobami z mojego komitetu planujemy spotkanie z tym panem Murdockiem. Zamierzamy go przekonać, żeby nie zamykał kopalni.

- Ja już próbowałam - powiedziała Rosellen. Krzaczaste brwi pana Vestly uniosły się do góry.

- Rozmawiałaś z nim?

- Tak. Ale on w ogóle nie chce o tym słyszeć. Zamierza tak czy inaczej zamknąć kopalnię, a dziś jedzie do Denver. Chcę tam jechać w ślad za nim.

- Jak to? Dlaczego? - Pan Vestly potrząsnął głową, a wraz z nią zatrzęsły się jego dwa podbródki. - Jeżeli wyjeżdża, no to krzyżyk na drogę! Niech jedzie.

- To nie takie proste. Zostawia tu swojego wspólnika i wynajętych uzbrojonych ludzi, tak że całą brudną robotę mogą wykonać także bez niego.

- No to my z nimi porozmawiamy. Ale ty, Rosellen, nie możesz przecież tak po prostu wyjechać w ślad za kimś takim. A co na to twoja matka i bracia?

- Matka i bracia jeszcze nic o tym nie wiedzą, bo nie miałam nawet czasu, żeby ich powiadomić - pod wpływem zdenerwowania Rosellen mówiła coraz szybciej i coraz mniej składnie. - Podczas nieobecności Murdocka wszystkim w kopalni ma się zajmować niejaki Buster O'Malley. Może pan spróbować z nim porozmawiać, ale nie sądzę, by przyniosło to jakiś skutek, bo to nie tylko wspólnik, ale i oddany przyjaciel tego swojego szefa. A ja właśnie za nim jadę do Denver. Nie mogę na razie przewidzieć, na jak długo, więc mam nadzieję, że na ten czas zatrzyma pan dla mnie stanowisko..

- Zaraz, Rosellen. Jakie stanowisko, na jaki czas? Nic z tego nie rozumiem, bo mówisz za dużo i za szybko..

- Wiem. - Odetchnęła głęboko, próbując się opanować. -I wiem, że być może Walter też już o tym rozmawiał, aleja nadal jestem zdecydowana zostać szeryfem i gotowa jestem konkurować z każdym kandydatem, tylko chciałam prosić, żeby się pan wstrzymał z ostateczną decyzją do mojego powrotu.

- No nie wiem. - Pan Vestly pokręcił głową. - Nie obiecywałem ci nigdy, że dostaniesz tę posadę.

– Udowodnię, że się do tego nadaję. Proszę mi tylko dać szansę i nie podejmować żadnej decyzji, dopóki nie wrócę. Na razie muszę zająć się Murdockiem. O, lokomotywa już gwizdże, zaraz będzie piąta, powinnam biec. Niech mi pan tylko obieca, że rada poczeka na mnie z tą decyzją!

Pan Vestly potarł swe wysokie czoło.

– No cóż, będę się starał przekonać członków rady. Rosellen nie była zbytnio zachwycona tą powściągliwością.

– Jadę za Murdockiem, żeby go powstrzymać – powiedziała, chwytając za plecak. – Żeby nic pozwolić mu zniszczyć naszego miasta. Proszę o tym pamiętać, bo jeśli mi się uda, to będzie znaczyło, że jednak zasłużyłam na to stanowisko.

Spojrzała na zegarek i wybiegła. Stacja usytuowana była dość daleko od centrum miasteczka, do przebiegnięcia było dobrych kilkaset metrów, a tymczasem znów zaczęły dawać o sobie znać boleśnie otarte stopy. Biegła jednak, nie zwalniając tempa, a w jej głowie kołatały bezładne myśli.

Matka i bracia z pewnością będą wściekli, kiedy przeczytają karteczkę z wiadomością o jej nagłym wyjeździe. Nie miała dość czasu, by choćby najkrócej wytłumaczyć im powody swojej decyzji, będą więc musieli poczekać na jej powrót.

Musiała pojechać za Murdockiem przede wszystkim po to, by nie pozwolić mu na jakąkolwiek próbę podkopania dobrego imienia jej ojca i pozyskania fałszywego świadka w tej sprawie. Nie chciała, by obywatele Makowego Wzgórza zostali wprowadzeni w błąd.

Musiała zdążyć na ten pociąg. W przeciwnym razie nigdy nie zdołałaby odnaleźć Casona Murdocka w tak ogromnym mieście jak Denver. A wtedy przepadłaby też szansa uratowania przyszłości jej rodzinnego miasteczka.

Kiedy zgrzana i krańcowo wyczerpana Rosellen dobiegała już do drewnianego budynku stacji, lokomotywa gwizdnęła trzeci raz i wolno ruszyła. Nad kominem ukazały się białoszare obłoczki dymu i pary,

szybko rozplywające się w czystym górskim powietrzu. Parowóz i węglarka już minęły kraniec peronu, a wagony stopniowo nabierały szybkości. Rosellen zebrała resztki sił i pobiegła jeszcze prędzej

Łapała powietrze z najwyższym trudem, ale ostatecznie udało jej się zrównać z końcem pociągu. Podciągnęła ciężący jej coraz bardziej plecak i szykowała się do skoku na tylną platformę ostatniego wagonu. Huk metalu, łomot toczących się kół stawał się coraz bardziej ogłuszający, coraz groźniejszy. Ale było już za późno, żeby się cofnąć.

Wysiłkiem woli powstrzymując się przed zamknięciem oczu, rzuciła się ku platformie, usiłując obiema rękami złapać jedną z metalowych poręczy. Wytrzymała szarpnięcie, ale udało się jej złapać poręcz tylko jedną ręką. Zsuwający się z ramienia ciężki plecak uniemożliwił posłużenie się drugą. Pociąg nabierał szybkości, a ona wisiała na lewej dłoni, rozpaczliwie próbując podciągnąć się do góry.

W końcu udało się jej postawić nogę na stopniu. Gdyby nie plecak, mogłaby już sądzić, że wygrała. Teraz jeszcze raz trzeba było się podciągnąć, już tylko trochę.

Ale zmęczone mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Śliska od potu poręcz wymykała się ze słabnących palców.

Rosellen chciała rozpaczliwie krzyknąć, wołać o pomoc, ale nie usłyszała nawet samej siebie. Potworny, paraliżujący lęk odebrał jej głos.

W chwili, gdy pociąg ruszał ze stacji, Cason Murdock z pewnością nie mógłby o sobie powiedzieć, że był wypoczęty i spokojny. Raczej wprost przeciwnie. Do wagonu zdążył wsiaść w ostatniej chwili, w nagrzanym słońcem pustym przedziale było nieprzyjemnie gorąco, a on sam czuł się dość niewyraźnie, kiedy na nowo odtwarzał w pamięci całe to dziwaczne spotkanie z Rosellen Lattimer. Dlaczego ta narwana dziewczyna aż tak na niego działała? Wystarczyło, że przez chwilę o niej pomyślał, a dopasowane spodnie natychmiast stawały się za ciasne. To było doprawdy irytujące.

Powody do irytacji miewał i wcześniej. Kiedy przed półgodziną w Silver Nugget Saloon usłyszał za sobą odgłos otwieranego ukradkiem okna, zerwał się gwałtownie i chwycił za rewolwer, gotów do położenia trupem napastnika czy napastników. Ale już chwilę potem zobaczył wsuwającą się do pokoju zgrabną damską nogę w ozdobnym kowbojskim bucie, którego fason zdążył już zapamiętać. To musiała być ona. Znowu ona!

Za każdym razem, kiedy ją widział, wszystko się w nim gotowało. A lam, w Silver Nugget, jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przedtem, ponieważ zachowała się wręcz wyzywająco!

Oglądała go sobie – całkowicie nagiego! – od góry do dołu, i to nie raz, ale kilka razy! I nawet okiem nie mrugnęła!

Z drugiej jednak strony on też powinien poczuć się speszony, a tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Mało tego, sam ją właściwie zachęcał, żeby go uważnie obejrzała, i nie czuł z tego powodu najmniejszego zażenowania. Prawdopodobnie najlepiej by zrobił, gdyby raz i drugi wystrzelił jej koło ucha, żeby napędzić trochę strachu i oduczyć włazenia przez okna tam, gdzie jej nikt nie zapraszał.

Powinien był to zrobić. A on zamiast tego wdał się z nią w tę niemądrą grę, w wymianę pchnięć i sztychów. Tymczasem to póldiable



okazywało się w tej grze diabelnie dobre, na wyzwanie odpowiadało wyzwaniem. Wszystko to wróżyło kłopoty. Tak, z kimś takim kłopoty miało się pewne jak w banku!

Chcąc nie chcąc musiał jednak przyznać, że znał niewielu mężczyzn, którzy mieliby odwagę i determinację tej dziewczyny. A także jej lojalność. Z pewnością musiała te cechy odziedziczyć po matce, bo przecież nie po tchórzliwym i nikczemnym ojcu.

Czy to, że tak śmiało mu się przyglądała, też było dowodem odwagi? W jakimś sensie zapewne tak. W każdym razie było to z pewnością rozkosznie niepokojące. Nawet jeśli z racji tego niepokoję czuł się nieco niewygodnie – zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Tak, w takich momentach obcisłe spodnie stawały się wyraźnie za ciasne, a przed nim była długa i nużąca podróż.

Gwizdek lokomotywy odezwał się po raz trzeci, pociąg drgnął i z wolna zaczął nabierać szybkości. Cason rozejrzał po wagonie. Nikt się nie dosiadł, w całym kilkuwagonowym pociągu było pewnie nie więcej niż dziesięcioro pasażerów, których ta lokalna linia miała dowieźć do znacznie już większej stacji kolei stanowej Pueblo–Denver. Z tego przynajmniej mógł być zadowolony. Nie trzeba będzie z nikim rozmawiać, może nawet uda mu się zdrzemnąć i przespać choćby część drogi. Wcisnął się głębiej w kąć przedziału i już miał nasunąć kapelusz na oczy, kiedy nagle kątem oka dostrzegł biegnącą obok wagonu znajomą postać z ciężkim plecakiem i zsuniętym na plecy kowbojskim kapeluszem. To Rosellen Lattimer usiłowała resztką sił zrównać się z tylną platformą wagonu i wskoczyć do pędzącego już ze sporą szybkością pociągu. Jej szanse nie wyglądały najlepiej.

– Jasna cholera! – wykrzyknął Cason i rzucił się ku drzwiom platformy.

Rosellen była już pewna, że nie potrafi się utrzymać, gdy nagle nie wiadomo skąd pojawiła się nad nią jakaś ciemna sylwetka. Twarda dłoń

chwyciła ją za rękę tak mocno, że poczuła w niej dotkliwy ból, a gwałtowne szarpnięcie omal nie wyrwało jej stawu barkowego. Potem czuła, że coś ją wlecze bezwładnie, a szorstki metal platformy niczym tarka ścierał piękną skórę jej nowych kowbojskich butów. Po chwili była już bezpieczna w żelaznym uścisku ramion Casona Murdocka.

Próbowała stać o własnych siłach, ale wagonem rzucało zbyt mocno, a na zakręcie wręcz wciskało ją w tę jego szeroką klatkę piersiową, pełną imponujących mięśni. Mimo wszystko Rosellen pewnie wyrwałaby się z tych objęć, gdyby tylko pozostała jej choćby odrobina siły. Na razie jednak musiała stać bez ruchu, wciąż wsparta głową o jego ramię i zbyt słaba, by coś zrobić czy choćby głębiej odetchnąć. To była reakcja po uratowaniu ze śmiertelnego zagrożenia.

Żeliwne obręcze kół z piskiem tarły o szyny, a cały wagon z metalicznym stukotem trząsł się na złączach. Po minięciu zakrętu wszystko to trochę ucichało, aż do momentu wejścia w następny zakręt. Rosellen spróbowała to wykorzystać, by oprzeć się o poręcz platformy i odsunąć się trochę od swego wybawcy.

- Póldiablę! Kompletnie durne, szalone póldiablę! - wrzasnął Cason, przekrzykując zgrzyty i łomoty żelaza. - Nic głupszego nie potrafiła już pani wymyślić?

Rosellen starała się coś powiedzieć, ale wciąż brakło jej tchu.

- Żeby skakać przy tej szybkości! Przecież gdybym pani nie zauważył, i to tylko przez przypadek, już by pani nie żyła! - To mówiąc, rzucił pod prowadzące do wnętrza wagonu drzwi jej nieszczęsny plecak, przez który rzeczywiście omal nie straciła życia.

Zdawała sobie z tego sprawę, ale to nie oznaczało przecież, że wolno mu było na nią krzyczeć. W dodatku bolała ją ręka nad nadgarstkiem, który z taką siłą uchwycił, a jeszcze bardziej staw barkowy, mocno naciągnięty, a kto wie, czy w ogóle nie zwichnięty.

- Jeżeli już o tym mowa, to pan omal mnie nie zabił! - wykrzyknęła, odzyskując w końcu głos. - Kto to widział, żeby tak szarpać człowieka?

Najpewniej wyrwał mi pan ramię ze stawu, że nie wspomnę już o zniszczeniu moich nowych butów, które ciągnął pan tak beztrzesko po tej ostrej jak piła żelaznej platformie..

Cason patrzył na nią marszcząc brwi, jak gdyby nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

- Uratowałem pani zgrabny tyłeczek i całą resztę, i doskonale pani o tym wie!

- Nic podobnego! - skłamała najbezczelniej, demonstracyjnie pocierając obolały nadgarstek i ramię. - Wcale nie potrzebowałam pańskiej pomocy! Już zdążyłam chwycić poręcz i wciągałam drugą nogę na stopień, kiedy pan złapał mnie za rękę. W rezultacie omal nie straciłam równowagi, nie mówiąc już o plecaku.

- Wierutne łgarstwo! - powiedział z irytującym spokojem. Rosellen spróbowała stać o własnych siłach. Była tak słaba, że znów musiała chwycić się poręczy. Na razie nie mogła zrobić nawet kilku kroków.

Po obu stronach uciekała wraz z torami rozmyta od pędu zieleń drzew i błękit ciemniejącego już powoli nieba. Zawirowania powietrza nad platformą rozwiewały jasne pasma jej włosów, płacząc je coraz bardziej.

- Jeśli mogłam spaść, to wyłącznie dlatego, że pan mnie wystraszył! - powiedziała z naciskiem. Na dobrą sprawę sama nie wiedziała, dlaczego tak bardzo upiera się przy czymś, co było oczywistą nieprawdą.

Cason patrzył na nią swymi ciemnymi, spokojnymi oczami. Zawirowania powietrza wicherzyły również i jego włosy, na co zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi.

- Sama pani w to nie wierzy.

Pociąg gwizdnął kolejny raz, opuszczając granice miasteczka. Parowóz w równym, gęstym rytmie wypuszczał białe obłoczki pary, utrzymując stałą prędkość. Cason spojrział na Rosellen.

- Dobrze, nie warto już się o to spierać - powiedział. - Ale co pani zrobi teraz? Wsiadła pani do niewłaściwego pociągu.

- Jak to, dlaczego? - mimo woli zwilżyła wargi końcem języka. Jej serce nagle znów zaczęło bić szybciej, nie wiadomo, czy z niepokoju, czy ze względu na to, że on był tak blisko. - Przecież to pociąg do Denver?!

- No właśnie. A sama pani powiedziała, że jazda do Denver to strata czasu.

- I nadal tak uważam - odpowiedziała Rosellen. Powoli zaczynała odzyskiwać równowagę.

- A zatem jedzie pani po to, żeby tracić czas. - Spojrzał jej w oczy, jakby badając, czy opuści wzrok. - Ciekawy pomysł.

- Czasu do tracenia nikt pewnie nie ma, już ja na pewno nie, i to dzięki panu - odpowiedziała spokojnie. - To przez pana moja rodzina potrzebuje mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek, tak samo zresztą jak i całe nasze miasteczko.

- Wobec tego nie rozumiem, co pani tu jeszcze robi - powiedział Cason. - Tego Dodge'a na pewno potrafię znaleźć bez pomocy, o którą zresztą nikogo nie prosiłem. Niechże więc pani wysiada na najbliższej stacji i wraca czym prędzej do swej rodziny i szacownego miasta.

Miała zamiar roześmiać się szyderczo, ale poprzestała na kpiącym spojrzeniu i pobłażliwym półuśmiechu.

- Więc nie domyśla się pan, dlaczego jadę? - spytała z wyraźną satysfakcją.

W jego spojrzeniu pojawił się ślad nagłej niepewności. Doskonale, na to właśnie czekała... po tym wszystkim, co przez niego musiała przejść!

- Nie, nie domyślałam się - odpowiedział po chwili.

- Na pewno nie jadę tam po to, żeby szukać jakiegoś Dodge'a, który najpewniej jest tylko wytworem chorej imagacji *madame* Gayli. Jadę, żeby mieć na oku kogoś znacznie bardziej niebezpiecznego. To znaczy - pana!

- Mnie?

- Tak, panie Murdock! Od dziś będę pańskim cieniem. Gdziekolwiek się pan ruszy, będę przy panu! Aż do momentu, gdy pan wróci do Makowego Wzgórza, oczywiście z pustymi rękami.

Cason popatrzył na nią uważnie. Po Rosellen widać było, że nie żartuje, natomiast w jego spojrzeniu pojawiły się kpiące iskierki.

- Jeśli dobrze zrozumiałem - powiedział - oferuje mi pani swe nieustające towarzystwo. Muszę więc pani powiedzieć, że nawet w tym męskim stroju, z mocno rozwichrzonymi włosami i zabawną plamą na twarzy, jest pani, jako ta oferta, niezmiernie kusząca. Mimo to moja odpowiedź brzmi: nie. Podróżuję sam, proszę pani.

- Już nie - przerwała mu Rosellen, wysiłkiem woli powstrzymując się od dodania przekleństwa, które miała już na końcu języka. Ten pyszałek znów pozwalał sobie na niedwuznaczne awanse, a co gorsza, to na nią działało. Po co, na przykład, spróbowała natychmiast wytrzeć sobie rzekomo ubrudzony policzek? A może on chciał ją tylko sprowokować?

- Już nie, mówi pani? No cóż, gdy się tak zastanowić, to rzeczywiście. Udowodniła pani, że potrafi pójść za mną wszędzie, na przykład do Silver Nugget Saloon.

Rosellen na chwilę zaniemówiła z oburzenia, dzięki czemu jej rozmówcę ominęło jeszcze cięższe przekleństwo. Choć należało mu się coś takiego, bo wyraźnie się o to starał. Potrafił jej dopiec bardziej niż ktokolwiek inny.

- Pan doskonale wie, że w saloonie nie szukałam pana, tylko Delty. I wie pan też, dlaczego.

- To pani tak mówi.

- A pan?

- A ja? Ja mówię, na przykład, że wytarła się pani w niewłaściwym miejscu. Ta plama - wyciągnął ku niej rękę - jest tutaj.

Delikatnie dotknął jej twarzy gdzieś między uchem a kącikiem ust. Być może rzeczywiście była tam jakaś plamka, ale ona odebrała to jako pieszczotę. Tym zdradliwszą, że niespodziewaną.

Co gorsza, jej ciało zareagowało na to natychmiast – dreszczem pożądania.

Gwałtownym ruchem odtrąciła jego rękę.

– Nie będzie pan taki pewny siebie po paru najbliższych dniach. Nie ucieknie mi pan!

– I co niby miałyby mnie zmartwić? – spytał Cason, znacząco unosząc brew. – Że biega za mną dziewczyna?

– Co? Cholerny, zarozumiały... – urwała w ostatniej chwili. Tym razem naprawdę niewiele brakowało, by skłęła go od ostatnich. Powstrzymała się jednak, zdając sobie sprawę, że jego to bawi i że celowo ją prowokuje.

Cason uśmiechnął się kącikami ust.

– Nie starcza pani odwagi, żeby dokończyć? No, dalej! Jeszcze kilka lat temu każda taka sugestia, każde oskarżenie o brak odwagi nieuchronnie kończyło się nie tylko słowną awanturą, ale i bójką. Mała Rosellen gotowa była stawić czoło każdemu, niezależnie od płci i wieku. Ten odruch w niej pozostał, ale jako osoba dorosła potrafiła już nad nim panować. W każdym razie ostatnio usilnie nad tym pracowała, starając się zmienić na lepsze swój obraz w oczach mieszkańców Makowego Wzgórza. Nie mogła teraz dać się sprowokować, musiała zachować spokój.

– Niech pan posłucha, panie Murdock – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Wyruszyłam w ślad za panem wyłącznie dlatego, że panu nie ufam. Obawiam się o moje miasto i moich bliskich i dlatego będę pana miała na oku. Nie umknie mi pan.

Cason przestał się uśmiechać.

– Umknę zawsze, jeżeli tylko zechcę – powiedział.

- Naprawdę? I kiedyż to nauczył się pan tego aż tak doskonale? Czy uciekając po obrabowaniu banku?

Jego wargi zacisnęły się nieznacznie.

- Próbuje pani zrzucić na kogoś innego to, co zrobił pani ojciec. No cóż, jeśli nie potrafił pani inaczej...

- Mój ojciec jedynie uwolnił świat od bandyty i mordercy.

- Z przyjemnością udowodnię, jak bardzo pani się myli. - Głos Casona brzmiał spokojnie, ale Rosellen nie dała się zwieść. Wiedziała, że jej cios doszedł.

- Niczego pan nie udowodni. Przekona się pan, że odebrać dobre imię uczciwemu człowiekowi nie jest tak łatwo, jak się wydaje.

- Niestety, jest łatwo. Mojemu ojcu odebrano je bez najmniejszych trudności.

W jego głosie przebijała nieklamana gorycz. Rosellen nagle zdała sobie sprawę, że ten człowiek już właściwie nie spiera się z nią, że po prostu naprawdę głęboko wierzy w to, co mówi. Ale to w żadnym wypadku nie oznaczało, że miała ochotę przyznać mu rację.

- Tak czy inaczej próbuje pan zniszczyć nie tylko byt, ale i dobre imię naszej rodziny. Nie ujdzie to panu bezkarnie.

- Kto poniesie karę, i to sprawiedliwą karę, to się jeszcze okaże. - Ja nie mam tu najmniejszej wątpliwości

Cason milczał przez dłuższą chwilę.

- Powiedzmy sobie przynajmniej jedno, panno Rosellen - powiedział w końcu. - Nie mogę oczywiście zabronić pani podróżowania do Denver i nawet nie myślę próbować. Ale ja zamierzam jechać tam sam. Bez towarzystwa.

- Niech pan tylko nie pochlebia sobie za bardzo, panie Murdock - przerwała mu natychmiast. - Wcale nie marzę o tym, żeby jechać z panem. Wystarczy mi, że będę pana miała na oku.

Cason uśmiechnął się.

- I sądzi pani, że nie potrafię się wymknąć, jeśli tylko zechcę?  
Spojrzała mu w oczy.

- Niech pan spróbuje.

- To wyzwanie? - spytał, nie odwracając wzroku. Ich spojrzenia skrzyżowały się ponownie. - Czy to wyzwanie? - powtórzył po chwili, a jego twarz zmieniła się nagle. - Czy może zaproszenie?

- Zaproszenie do czego? - spytała, udając, że nie rozumie.

- Do tego! - odpowiedział i niemal w tej samej chwili był tuż przy niej. Trzymał ją w ramionach, przyciśniętą plecami do ściany wagonu, i wolno przyciągał ku sobie. Ich ciała zetknęły się, a zaraz potem jego wargi dosięgły jej warg.

Zaskoczona zdążyła ledwie westchnąć, gdy pierwszy pośpieszny pocałunek zamknął jej usta. Była w nim siła, która potrafiłaby przełamać każdy opór, było przemożne, nieodparte pragnienie. Przyciśnięta do jego szerokiej, twardej jak skała klatki piersiowej, daremnie próbowała się poruszyć i uwolnić z tych objęć.

Te dość bezradne usiłowania dały zresztą skutek odwrotny od zamierzonego, ponieważ w odpowiedzi Cason przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej, przywarł do niej również brzuchem i udami, a po chwili zaczął nimi wolno i rytmicznie poruszać, wciskając się w nią jeszcze dalej, w samą jej kobiecość. Ku swemu zaskoczeniu, odpowiedziała na to, zanim w ogóle zdołała cokolwiek pomyśleć, i to było dla niej jeszcze większym wstrząsem. Nikt nigdy dotąd nie przytulał się do niej w ten sposób, ale też nigdy dotąd jej ciało nie zareagowało aż takim głodem drugiego ciała. To było przerażające, podniecające, pasjonujące...

Otworzyła usta i przyjęła w siebie jego język, który natychmiast wniknął głęboko, na moment odbierając jej oddech. Ten pocałunek wydawał się dziki i nieprzyzwoity, ale był też niewyobrażalnie słodki. Kiedy Cason na moment oderwał od niej usta, Rosellen poczuła nagły zawrót głowy. Nigdy przedtem nie zaznała tak rozkosznego uczucia.



Słyszała jego nierówny, przyspieszony oddech i nagle zdała sobie sprawę, że i ona oddycha zupełnie tak samo. I znów dreszcz przebiegł przez nią od stóp do głów, kiedy Cason pieszczotliwie dotknął jej piersi. A potem ujął w obie dłonie jej głowę, by całować jeszcze mocniej i mocniej.

Ona zaś odkrywała samą siebie. Taką, jakiej dotąd w ogóle nie знаła.

Gdzieś tam w głębi niej kołatała wciąż jakaś niejasna myśl, że powinna go odepchnąć, walczyć z nim aż do upadłego, ale ciało w ogóle już nie zamierzało jej słuchać. Niedawna obcość, wrogość, nienawiść – wszystko to znikło, zastąpione przez nieskrywane już i pełne namiętności pożądanie. W żaden sposób nie potrafiłaby nad tym zapanować.

Teraz jego dłonie błądziły już po jej całym ciele, pieściły jej piersi, brzuch i biodra, nie dbając o wciąż wiszący u jej pasa rewolwer, a potem przesunęły się jeszcze niżej. Chwyciwszy za jej oba pośladki, Cason uniósł ją lekko, a potem przycisnął do siebie tak, by poczuła między udami jego w pełni już naprężoną, oddzieloną tylko cienką warstewką płótna twardą męskość. Po chwili znów przesunął dłonie do góry i przez rozchyloną koszulę pieścił jej krągłe piersi.

Ich ciała znów kołysały się rytmicznie, a pędzący pociąg zdawał się kołysać wraz z nimi. Każdy wstrząs jeszcze bardziej pobudzał jej zmysły. Czasem jęknęła lub westchnęła cichutko, ale bynajmniej nie z bólu. Lgnęła do niego półprzytomnie, niejasno zdając sobie sprawę, że już i ona sama odpowiada mu tymi samymi ruchami, trąc się o jego długie uda i cudownie naprężony członek, niemal rozrywający napiętą tkaninę jego spodni. Wystarczyło, by przymknęła oczy, i już widziała go takim, jakim był w Silver Nugget – i taki w jej wyobraźni był teraz przy niej. Nagi, mocny i wspaniały.

– Wiedziałem, że w tobie jest ogień, Rosellen – szepnął i natychmiast zaniknął jej usta kolejnym pocałunkiem. Jego ciało miało

cudowny zapach, nie dający się dokładnie określić. Było w nim coś z łąki, z jakichś egzotycznych ziół, a może drzewa sandałowego i cynamonu. Znow przytuliła się do niego, a on nie przestawał jej pieścić.

- Prawdziwy ogień - powtórzył po chwili. - Jesteś jak płonące, roztopione złoto!

Jego słowa wzruszały ją, kołysły i pobudzały jednocześnie, podniecały ją bardziej, niż kiedykolwiek potrafiła sobie wyobrazić. Sama nie chciała nic mówić, chciała tylko czuć. Czuć to, co było w niej właśnie w tej chwili, czuć tę niepojętą potrzebę odpowiadania pocałunkiem na pocałunek, dotknięciem na dotknięcie, pieścizotą na pieścizotę. Poddać się bez reszty pożądaniu, które unosiło ich jak ten mknący w stronę Denver pociąg, szybciej niż ten pociąg..

Cason znow ją całował, z wprawą pieścizac na zmianę jej wargi, język i podniebienie, wnikał w nią głęboko, rozkosznie, chwilami miała wrażenie, że to już nie jego język, że to on sam brał ją nim w posiadanie, a ona oddawała mu się, bezwolna i uszczęśliwiona, marząc tylko o tym, żeby się to nigdy nie skończyło.

Nagle zdała sobie sprawę, że choć ich ciała nadal trwały w uścisku, ich usta już się nie dotykały. Otworzyła oczy i zobaczyła jego twarz tuż przy swojej. Uśmiechał się do niej. A może., może z niej się śmiał?

- A nie mówiłem, że pod tymi męskimi spodniami musi być kobieta? - Teraz już śmiał się bardzo wyraźnie. - I to tak gorąca, że nikt by się tego nie spodziewał!

- Ty podły sukinsynu!

Tylko tyle zdołała powiedzieć. Pośpiesznie odsunęła się od niego i wcisnęła w kąt platformy, między poręczą a ścianą wagonu. Oburzenie, gorzkie rozczarowanie, gniew na samą siebie - wszystko to skłębiło się w niej, nagłym ciężarem przytłaczało piersi i gardło, odbierało oddech. Opuściła ręce i odruchowo położyła dłoń na kolbie swego colta. Tuż za poręczą przemykał wciąż uciekający w dal krajobraz, ale ona widziała jedynie błądą, niewyraźną smugę. Gdyby przynajmniej coś zjadła przez

ostatnie dwadzieścia cztery godziny, może nie byłaby taka słaba, taka nieodporną, taka podatną na jego pieśczoćy i pocałunki.

W jego oczach nagle odbił się niepokój. Wyciągnął ku niej ręce, jak gdyby chciał ją znów przywołać do siebie.

- Uważaj, jesteś za blisko stopni. Wracaj tu, zanim wypadniesz! Pomyślała natychmiast, że wcale nie wiadomo, czy zmartwiłby się, gdyby rzeczywiście wypadła. Nie chciała do niego wracać. Chciała uciec, wcisnąć się w najdalszy kąt, gdzie nikt już by jej nie widział. Palił ją nieznośny wstyd. Nie była w stanie uwierzyć, że to właśnie jej mogło się coś takiego przydarzyć. Nienawidziła tego człowieka, nienawidziła tego, co chciał zrobić z jej miasteczkiem i z bytem jej rodziny. A mimo to jego pocałunki tak na nią działały, tak podniecały, że odbierały rozum. Nie była w stanie tego pojąć.

- Dobrze się czujesz?

W jego głosie brzmiała troska, ale to już nic nie znaczyło. Zupełnie nic. Nienawidziła go, nienawidziła także siebie - za te pocałunki.

- Czuję się gorzej niż źle - syknęła, ledwie panując nad sobą. - Jak zresztą mogłabym się czuć inaczej, skoro się z tobą całowałam?

- Zaraz. Całowałaś się, i co z tego?

- Teraz się zastanawiam, czy powinnam wyciągnąć rewolwer i zastrzelić ciebie czy też siebie.

Spojrzał na nią i momentalnie spowaźniał.

- Nie chcę, żebyś strzelała do kogokolwiek - powiedział.

- Ja też nie chcę. Ale czuję się tak, jakbym jedno z nas musiała zabić. Chodzi tylko o to, które?

- Odsuń dłoń od rewolweru! - powiedział Cason spokojnie, ale wystarczająco głośno, by usłyszała go poprzez łoskot kół pociągu. - To całowanie wcale nie było takie złe.

- W tym właśnie nieszczęście, że wcale nie było takie złe - poskarżyła się bezradnie. - O mamó droga, przecież myśmy się nie tylko całowali, ale i dotykali! Nie mogę uwierzyć, że ci na to pozwoliłam.

- Chyba rzeczywiście trochę nas poniosło! Zwłaszcza jeśli uwzględnić, że staliśmy tu, na otwartej platformie.

- Trochę?! - wykrzyknęła Rosellen. - Doprowadziłeś mnie do tego, że gotowa byłam rozebrać się tu dla ciebie - przyznała szczerze.

Cason spojrzał jej w oczy.

- Jesteś wściekła nie dlatego, że cię całowałem - powiedział. - Jesteś wściekła, ponieważ ci się to podobało!

- Tak, niech to wszyscy diabli! - potwierdziła, zawiedziona i rozczarowana przede wszystkim samą sobą.

Pęd powietrza tylko w niewielkim stopniu chłodził jej rozpaloną głowę i gorączkowe myśli. Jeszcze nigdy dotąd nie zaznała takiego podniecenia, takiej namiętnej gotowości całego ciała. Całowała się już wcześniej kilka razy. Kiedy miała siedemnaście lat, całował ją jeden z kolegów jej brata Waltera. Ale to, co z tamtych chwil zapamiętała, w najmniejszym stopniu nie przypominało tego, czego doświadczyła teraz.

- Jednego wciąż nie rozumiem - powiedział Cason. - Dlaczego chciałaś zastrzelić jedno z nas?

Rosellen machinalnie odsunęła palce jak najdalej od rewolweru, podniosła dłoń do góry i poprawiła włosy.

- Dlatego, że ja ciebie nie lubię, a ty nie lubisz mnie, ale oboje lubimy nasze pocałunki.

- Czy ja w ogóle powiedziałem, że coś lubię? Zaskoczona Rosellen zająknęła się nagle.

- Ale t-ty prze... przecież je lubisz, prawda? T-to znaczy... zachowywałeś się tak, jakbyś je lubił?

- Bo lubię! - powiedział w końcu, kiedy huk pędzących kół trochę przycichł. - Nawet bardzo!

Rosellen była zła na niego za to, że tak się z nią droczył i zła na samą siebie za to, że tak ucieszyła ją jego odpowiedź. Bo to znaczyło, że bardzo łatwo mógłby ją zranić, gdyby tylko zechciał.

- No cóż - powiedziała po chwili. - Nie zamierzam myśleć o tobie inaczej niż dotychczas, nie przypuszczam też, żebyś ty zmienił swe zdanie o mnie.

Nie znajdowała w sobie dość siły, żeby go po prostu odepchnąć. Między nimi zdarzyło się coś cudownego i wspaniałego. Teraz więc mogła tylko starać się zapomnieć o tym wszystkim, to było dla niej jedyne wyjście. Wiedziała bowiem, że gdyby nadal pozwoliła sobie o tym myśleć, chybaby oszalała. Wiedziała też, że za wszelką cenę musi opanować emocje, które czyniły ją wobec niego tak bezbronną.

- Jesteś naprawdę niezwykle pociągającą kobietą, Rosellen. Może więc powinnaś jeszcze raz się zastanowić, zanim zaczniesz mnie śledzić i chodzić za mną krok w krok.

Popatrzyła na niego. Ton jego głosu wskazywał, że tym razem to nie były żarty, tylko poważne ostrzeżenie. Kłopot był tylko z tym, że ona nigdy nie zważała na ostrzeżenia.

- Nie - powiedziała. - Co powiedziałam, to zrobię, i nie zamierzam się cofnąć.

Grzbietem dłoni kilkakrotnie otarła wargi, wiedziała jednak, że nigdy nie zdoła z nich zetrzeć smaku jego pocałunków. Nie umiałyby być taka, jakim potrafił być on.

- Chciałabym wiedzieć tylko jedno - powiedziała. - Czy nie nacałowałeś się wystarczająco z tą kobietą z Silver Nugget? Musiałeś całować jeszcze i mnie?

- To ty zaczęłaś - odpowiedział niezbyt pewnie.

- Co takiego? Ja zaczęłam?! Ach ty podły kłamco, ty...

- No dobrze, dobrze - przerwał jej pośpiesznie. - To się wydarzyło, a nie powinno było się wydarzyć. I tak to pozostawmy.

Miał przynajmniej tyle przyzwoitości, że przestał się uśmiechać, kiedy to mówił. Musiała mu to przyznać, nawet jeśli czyniła to niezbyt chętnie.

- Nawet nic dotknąłem tej dziewczyny z saloonu. Czekałem na nią, kiedy tam weszłaś, ale potem... potem stwierdziłem, że już naprawdę nie mam dla niej czasu. Dlatego ubrałem się i wyszedłem na korytarz, żeby sprawdzić, kto tak wrzeszczy. Domyślałem się, że to musiała być Delta, prawda?

Zignorowała to pytanie. Dla niej w jego słowach ważne było tylko to, co dotyczyło tamtej czarnowłosej dziewczyny. A więc nic go z nią nie łączyło, pomyślała i poczuła dreszcz niespodziewanej satysfakcji. Choć właściwie, co ją to mogło obchodzić, co on robił czy też nie robił z jakąś tam prostytutką?

Nagle poczuła się zmęczona i niezmiernie słaba. Podniosła dłoń i przetarła powieki, a potem dotknęła pulsujących skroni. Męczyło ją kołysanie otwartej platformy, chciała usiąść i odpocząć, napić się i wreszcie coś zjeść.

Spojrzała na Casona.

- Następnym razem, kiedy najdzie cię chęć na całowanie, załatwiał to tam w saloonie, a mnie zostaw w spokoju!

Sama czuła, że powiedziała to niezbyt przekonująco. On z pewnością też to zauważył. Rosellen przypominała sobie moment, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy i uznała, że jest niebezpieczny. Nie wiedziała wtedy, że do tego stopnia.

Był synem przestępcy. Chciał zniszczyć jej miasto, zniszczyć egzystencję jej najbliższych, a teraz chciał zniszczyć również ją. Jego pocałunki z pewnością też mogły być niszczące. Niszczyły w niej chęć walki, chęć przeciwstawienia mu się aż do końca. Nie mogła już

pozwolić, by coś podobnego kiedykolwiek się powtórzyło. Musiała stale pamiętać, że w takim człowieku nie ma nawet cienia dobrej woli.

Znów podniosła rękę i dotknęła nią czoła. Cason to zauważył.

- Nie wyglądasz najlepiej. Może wejdziemy do środka, żebyś mogła usiąść?- zaproponował.

W jego głosie było coś w rodzaju współczucia, co znów ją zirykowało. Tylko tego brakowało, żeby się nad nią litował! Rzeczywiście chciała wejść do środka i usiąść, nie była jednak pewna, czy potrafi przejść nawet parę kroków. Czuła się krańcowo wyczerpana i potwornie głodna, bolały ją otarte stopy i naderwany bark.

- To fakt, że czuję się strasznie zmęczona - powiedziała.

- Za bardzo się spalasz we wszystkim - stwierdził Cason. -To przez ten twój cudownie gorący temperament.

O Boże, on znów zaczyna, jęknęła w duchu Rosellen. Jeżeli teraz spojrzę w jego oczy, to koniec!

- Zostaw mój temperament w spokoju, jeśli łaska - powiedziała, starając się zapanować nad sobą. - Potrafię być zimniejsza niż lodowiec na szczycie Gór Skalistych. I zechciej o tym pamiętać, jeśli kiedykolwiek najdzie cię chętka, żeby mnie całować.

- Lodowiec tak. Ale bardzo, bardzo gorący! - uśmiechnął się Cason.

Niełatwo było go zniechęcić. Jedyным sposobem mogła być stanowczość i konsekwencja. Rosellen otrząsnęła się z resztek tak wciąż ją kuszącej słabości i sięgnęła po rzucony na podłogę plecak. W tej samej chwili sięgnął po niego i Cason. Ich ręce zetknęły się ponownie i Rosellen natychmiast poczuła ten sam dreszcz wzdłuż kręgosłupa i gęsią skórę na udach i ramionach. Gwałtownie cofnęła rękę.

- Zaniosę ci to do środka - powiedział, otwierając przed nią drzwi. - I tak ci chyba trudno iść o własnych siłach.

No proszę, znów jest uprzejmy i współczuje jej. Niech to szlag! To będzie bardzo długa droga do Denver!

Weszła za Casonem do środka wagonu. Już od samego wejścia uderzał w nozdrza mocny zapach taniego tytoniu. Większość obitych brązowym aksamitem siedzeń nie była zajęta, z głębi przedziałów tylko od czasu do czasu dochodziły głosy nielicznych podróżnych.

Pociągi na tym bocznym odgałęzieniu głównej linii Pueblo – Denver składały się z co najwyżej pięciu wagonów, przy czym z reguły tylko ostatni z nich przeznaczony był dla pasażerów. W pozostałych przewożono różnorakie ładunki, bydło, a czasami także więźniów.

Rosellen wolno szła kołyszącym się lekko korytarzem, przyglądając się pasażerom. Większość z nich również obrzucała ją spojrzeniem. Jakaś sympatyczna starsza kobieta uśmiechnęła się do niej, a siedzący obok siwy mężczyzna skinął jej głową. Łysawy pasażer z następnego przedziału z wyraźnym zaskoczeniem popatrzył na wiszący u jej biodra rewolwer. W jednym z kolejnych przedziałów para trzymających się za ręce młodych ludzi nawet nie podniosła na nią wzroku.

– Tu powinno być dobrze – powiedział Cason, kiedy doszli do pustego przedziału z przodu wagonu. Rzucił plecak na półkę i usiadł naprzeciwko Rosellen, która zdecydowała się na miejsce przy oknie. Oparła łokcie na kolanach, podparła dłońią podbródek i przymknęła oczy.

– Dobrze się czujesz? – spytał Cason, kiedy przez dłuższy czas nawet się nie poruszyła.

– Nie, nie czuję się dobrze, a ty już pytałeś mnie o to parę razy – odpowiedziała ochryple. – Zaszło mi w gardle i wciąż nie mogę złapać tchu.

– Po pocałunkach?

O Boże, pomyślała, on znów zaczyna! Przecież to były nie tylko pocałunki, ale i dużo więcej, o czym on, niestety, doskonale wiedział. Do diabła z tym wszystkim!



Zdjęła odrzucony dotąd na plecy kapelusz i położyła go obok siebie. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Cason wciąż przypatruje się jej z tym samym uśmiechem.

- Odczep się już raz od tego całowania – powiedziała cierpko.

- Skoro aż tak cię to uwiera, dlaczego nie powiesz sobie, że to ja cię pocałowałem?

- Tak właśnie było. Ale to nie zmienia faktu, że nasze wargi się zetknęły.

- I nie tylko – uśmiechnął się lekko. - Na przykład języki też. Rosellen pochyliła się i ściągnęła buty z obolałych stóp. Poruszyła zdrętwiałymi palcami.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że nie zastrzeliłam ani ciebie, ani nawet siebie.

- Daj spokój, Rosellen, i po prostu przestań o tym myśleć – powiedział Cason. - To już minęło, a wspominałem o tym tylko tak, żeby ci poprawić samopoczucie.

- Nie wiem, czy ci się udało. Raczej nie. A dlaczego w ogóle mnie pocałowałeś?

Cason spojrzał jej prosto w oczy.

- Mógłbym skłamać i powiedzieć, że na chwilę postradałem zmysły, ale prawda jest taka, że pocałowałem cię, ponieważ bardzo tego chciałem.

Rosellen pokręciła głową.

- Ja nie mogę tak o sobie powiedzieć. Musiałam chyba po prostu stracić rozum – mruknęła na wpół do siebie.

Patrzyła przez okno na przemykający za szybą krajobraz i w zamysleniu rozwiązywała czarną wstążkę, która miała utrzymywać w jakimś porządku jej nieposłuszne włosy. Przeczesała je kilkakrotnie lekko drżącymi palcami i ponownie zawiązała.

Cason przyglądał się jej, marszcząc brwi.

- Wciąż nie wyglądasz za dobrze - powiedział i sięgnął po manierkę.  
- Weź, wypij to. Bo nie wydaje mi się, żebyś miała dość rozsądku, by na taka drogę wziąć ze sobą coś do picia.

- Rozsądku miałam dość - odparła Rosellen. - Tylko nie miałam na nic czasu. I to oczywiście przez ciebie.

Z wahaniem spojrzała na manierkę. Prawdę mówiąc, wręcz umierała z pragnienia, więc nie warto było się opierać. Otworzyła ją i zaczęła pić, początkowo powoli i ostrożnie, ale już po chwili odrzuciła głowę do tyłu, wchłaniając chłodną wodę całymi łykami. Parę kropli spłynęło po jej wargach, podbródki i szyi, aż do zagłębienia między piersiami, przypominając jej chwile, kiedy w dzieciństwie zdarzało się jej równie łapczywie pić wodę z górskiego strumienia.

Odsunęła manierkę od ust i spojrzała na Casona, który nie przestawał się jej przyglądać. W jego oczach zobaczyła teraz to, co już wcześniej usłyszała w jego głosie. On po prostu też nie chciał, by go pociągała, dokładnie tak samo, jak ona nie chciała się poddać temu, co przyciągało ją do niego.

Nie czuła już pragnienia, natomiast naprawdę niewiele brakowało, by dostała skurczów żołądka z najzwyczajniejszego głodu. A nie jadła nic od dwóch dni właśnie przez niego!

Przełknęła ślinę i oddała mu manierkę, nie mówiąc nawet „dziękuję”.

Słońce było już dość nisko, a pociąg nadal toczył się rażno, z monotonnym stukotem kół. Cason siedział odchylony do tyłu, pogrążony w raczej deprymujących rozmyślaniach. Co to póldiablę w sobie ma, co skusiło go aż tak bardzo, że nagle zapragnął ją całować? To fakt, że te rozchyłone usta były piekielnie kuszące. Były? Nadal są! Niech to wszystko szlag!

Chyba jednak nie spróbowałby jej nawet tknąć, gdyby wcześniej nie wlaźła do niego przez to okno. Gdyby mu nie przeszkodziła w ostatniej

chwili, po prostu przeleciałby tamtą czarnulę i na jakiś czas miałby z głowy wszystkie takie pokusy. I nie siedziałby tu zły i sfrustrowany, myśląc tylko o tym, jak by tu na nowo wziąć Rosellen w ramiona.

A przecież powinien był pamiętać, że właśnie o niej myśleć w ten sposób absolutnie mu nie wolno. Nie będzie mógł dokonać tego, co sobie przyrzekł, jeżeli pozwoli sobie na jakieś cieplejsze uczucia w stosunku do kogokolwiek z tego miasteczka. A już zwłaszcza w stosunku do tej tak ciętej w języku córki Henry'ego Lattimera.

Sięgnął do podróżnej torby i wyjął z niej zawiniętą w serwetkę wielką kanapkę. Może jedzenie pozwoli mu przestać myśleć tylko o tej dziewczynie i o tym, co mógłby z nią robić.

Kanapka z wołowiną wyglądała naprawdę apetycznie, a on dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest rzeczywiście głodny. Podniósł ją do ust i już miał ugryźć pierwszy kęs, gdy nagle zobaczył wpatrzony w niego oczy Rosellen.

Spojrzał w nie i opuścił rękę z kanapką.

– A więc nie tylko nie wzięłaś nic do picia, ale również i nic do jedzenia? – spytał, choć doskonale znał odpowiedź.

Spojrzała na niego nieufnie.

– Co ci do tego?

– Po prostu wyglądasz na głodną – stwierdził Cason.

– To znaczy jak? Jak w ogóle ktoś może wyglądać na głodnego?

– Masz oczy wielkie jak spodki, a tę kanapkę wprost pożerasz wzrokiem.

– Akurat! W naciąganiu faktów nikt ci nie dorówna, to wiemy oboje, panie Murdock.

– A ty próbujesz być twarda, choć kiszki grają ci jak pułkowa orkiestra.

– Nieprawda!

– Nie mogę jeść z apetytem, kiedy patrzysz na mnie tak, jakbym zjadał twój ostatni kawałek chleba.

Rosellen skrzyżowała ramiona na piersiach i spojrzała na niego wyniosłe.

- Nie krępuj się i jedz - powiedziała. - Odwróć się i nie będę patrzeć.

Wpatrywała się w okno, choć akurat nie było za nim nic ciekawego. W dodatku ta przekłeta kanapka pachniała rzeczywiście smakowicie. Rosellen spróbowała zagłuszyć to wrażenie, przypominając sobie zapach ciasta pani Leddy, ale to tylko pogorszyło sprawę. Poczuała się jeszcze bardziej głodna, jeżeli to w ogóle było możliwe.

- Czy w tym twoim plecaku jest w ogóle cokolwiek do jedzenia?

- Nie miałam czasu nic zabrać. Gdybym poszła kupić kanapki, spóźniłabym się na pociąg.

Cason spojrzał na nią, odjął kanapkę od ust i nie ugryzł kolejnego kęsa.

- No nie, do diabła! Nie mogę tak. Zjedz tę kanapkę!

- Wolalabym umrzeć z głodu - warknęła Rosellen.

- Proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu. - Znów podniósł kanapkę do ust i ugryzł spory kęs. - Mmmm, ale pycha!

Żołądek Rosellen gwałtownie protestował przeciwko heroicznemu odrzuceniu kanapkowej oferty. To było coś strasznego. W dodatku Cason patrzył na nią tak, jak gdyby potrafił przejrzeć ją na wskroś.

A Cason rzeczywiście widział nawet więcej, niż sobie życzył. Widział, jak jest blada i wymęczona. Jej dłonie, którymi znów podparła podbródek, wyraźnie drżały. Próbował sobie powiedzieć, że nie musi go obchodzić, czy ona jest głodna, czy nie, ale natychmiast okazało się, że jednak go to obchodzi. I to, do ciężkiej cholery, nawet bardzo.

- Kiedy ostatni raz coś jadłaś? - spytał.

- Nic ci do tego!

Nie zamierzał zmieniać tonu. Skoro nie potrafi się o nią nie troszczyć, no to będzie się troszczył. Ale ze świadomością, że robi to wbrew sobie.

- A dzisiaj, czy w ogóle coś jadłaś?

- Nie! - odburknęła. - I też przez ciebie, jeśli już chcesz wiedzieć. Przez ciebie nie zdażyłam zjeść śniadania ani obiadu, nie zdażyłam odbyć spotkania z panem Vestly i przez ciebie też najpewniej nie zostanę nowym szeryfem Makowego Wzgórza!

- Więc to ja jestem przyczyną wszystkich twoich kłopotów?

- Od pierwszego do ostatniego!

- Bardzo dobrze! I tak właśnie powinno być, co do tego jesteście chyba zgodni. A teraz, kiedyśmy to już ustalili, ustalmy też, że jesteś cholernie głodna. Więc weź to i zjedz, chyba że wolisz zemdleć i upaść, żebym mógł cię znów podnosić i trzymać w objęciach.

Tego już było dla niej za wiele.

- No dobrze - powiedziała. - Rzeczywiście jestem zbyt głodna, żeby się dalej spierać.

Wzięła z jego rąk połowę kanapki i odgryzła wielki kęs, który zaczęła przeżuwać bardzo starannie i z nieukrywana przyjemnością.

- To rzeczywiście pyszne! - powiedziała i ugryzła następny kęs. - Świeżutki chleb i doskonale upieczona, delikatna wołowina. Mmmmm!  
- Westchnęła z prawdziwie zmysłową satysfakcją.

Cason jeszcze nigdy dotąd nie widział nikogo, kto aż tak bez reszty oddałby się rozkoszy jedzenia - z tak prawdziwym apetytem i bez dbania o jakiegokolwiek pozory. Gorzej, że te powtarzające się raz po raz odgłosy jej niepohamowanego zadowolenia w jakiś dziwny sposób również go podniecały. Jeszcze trochę, a naprawdę zacznie żałować, że nie odprężył się wcześniej z tą czarnowłosą prostytutką!

Rosellen tymczasem zaspokoili pierwszy głód i powiedziała do Casona.

- Muszę przyznać, że było to smaczne i pożywne. Żałuję tylko, że w ten sposób stałam się twoją dłużniczką. Postaram się ten mój dług uregulować jak najszybciej.

- Chcesz mi zapłacić? – spytał Cason. – Ale czym? Bo zastrzegam od razu, że jedzenia nie potrzebuję, pieniądze również.

Rosellen na chwilę przestała jeść.

- Wobec tego będę uważała, że jest to dług, który nie musi zostać spłacony – powiedziała.

Nie przestając na nią patrzeć z pełnym rozbawienia podziwem, Cason umościł się wygodniej na siedzeniu, które okazało się nieco za krótkie, by mógł do końca wyciągnąć swe długie nogi. Rosellen nadal jadła z tym cudownym, niepohamowanym apetytem. Mówiła coś o spłacaniu długu, nie zdając sobie sprawy, że zdążyła go już spłacić wielokrotnie, pozwalając mu oglądać ten doprawdy cudowny spektakl jedzenia przez nią kanapki. Oddawała się temu bez reszty – i tak było ze wszystkim, co robiła. W ten sam sposób jadła, całowała – i nienawidziła.

- Czemu mi się tak przyglądasz? – spytała nagle.

- Zastanawiam się, po co ktoś taki jak ty ni stąd, ni zowąd włączył przez okno domu publicznego.

- Już ci mówiłam, że szukałam Deltę. Tą drogą zyskiwałam kilka minut, a byłam już strasznie spóźniona.

- A czemu Delta tak krzyczała, jakby ją ktoś mordował?

- Nie tylko krzyczała. Próbowwała nawet sięgnąć po rewolwer.

- Dlaczego?

- Bo wiedziała, po co do niej przyszedłam. Byłam pewna, że to ona rozgłosiła te plotki Gayli o moim ojcu.

Cason otworzył manierkę i podał ją Rosellen.

- Myślę, że teraz chciałabyś się napić.

Przyjęła ją chętnie i opróżniła przynajmniej do połowy. W ten sposób jej dług się powiększał, ale w duchu przyrzekła sobie, że znajdzie sposób, by mu się wypłacić – i to z pewnością nie pocałunkami.

- No i co zrobiłaś z Deltą? – spytał Cason, który również się napił.

- Właściwie nic, ponieważ przysięgła mi na wszystkie świętości, że to nie ona. Że to wszystko rozgłosił niejaki Clark, dostawca whisky,

który słyszał to, co mówiła Gayla, kiedy ustawiał skrzynki na zapleczu jej pokoju.

- I sądzisz, że to prawda? Kiedy po twoim wyjściu rozmawiałem z Delta, wyglądało na to, że ona zbyt się ciebie boi, żeby kłamać.

- Wydaje mi się, że mówiła prawdę. Nie miałam już czasu, by odnaleźć tego Clarka, ale znajdę go na pewno zaraz po powrocie. I zmuszę do odszczekania wszystkiego, co powiedział. Ponieważ mój ojciec nie popełnił tych zbrodni!

Zamilkła na chwilę. Niewiele brakowało, by w jej oczach zakręciły się łzy. Opanowała się jednak i mówiła dalej wciąż z tym samym przekonaniem.

- Po prostu nie mógł tego zrobić. To było jego miasto. On naprawdę kochał Makowe Wzgórze, kochał tych wszystkich ludzi, więc w żaden sposób nie mógłby zabić żadnego z nich..

Cason ledwie zauważalnie kiwnął głową. Nie, żeby się z nią zgadzał, ale to, co mówiła, na nowo uświadomiło mu konieczność trzymania się od niej na dystans.

- Wiem, co czujesz, Rosellen - powiedział. - Nie musisz mnie o tym przekonywać. To samo, co ty teraz, ja czułem piętnaście lat temu, kiedy twój ojciec powiedział mi, że mój ojciec był mordercą. Makowe Wzgórze to było także jego miasto. On tam pracował, ja tam chodziłem do szkoły. Jak można przypuścić, że Frank Murdock okradł i zabił kogoś z tego miasta? Rosellen była zdumiona i oburzona.

- Ale mój ojciec był szeryfem! - wykrzyknęła. - Złożył przysięgę, że będzie przestrzegał prawa, nie po to, by je łamać.

Teraz oburzył się również Cason.

- Więc ty uważasz, że odznaka szeryfa od razu czyni człowieka lepszym od innych? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak! - odpowiedziała stanowczo. - Mój ojciec był lepszy, bo musiał być lepszy! Musiał być wzorem i przykładem dla całego miasta!

Cason zdał sobie sprawę, że ta dziewczyna nie ustąpi ani o cal. Ale może to nawet lepiej.

Dzięki temu łatwiej mu będzie pamiętać, że powinien trzymać się od niej z daleka.

Scandalous



Głośniejszy stukot kół, zgrzyt klocków hamulcowych i łoskot uderzających o siebie wagonowych zderzaków wyrwały Rosellen z głębokiego zamyślenia. Pociąg powoli zwalniał bieg, zbliżając się do pierwszej stacji. Słońce już dawno zaszło, ale jasne światło księżyca sprawiało, że na zewnątrz było prawie widno.

Większość pasażerów w ich wagonie najpewniej od dawna już spała, podobnie jak Cason. Tylko Rosellen wciąż nie potrafiła zasnąć, rozmyślając głównie o nim, o jego uściskach i pocałunkach, a także o własnych, mocno niepewnych szansach nominacji na szeryfa Makowego Wzgórza. Martwiła się też tym, co mogła sobie pomyśleć jej matka i bracia po przeczytaniu pośpiesznie skreślonej, ledwie kilkudzaniowej wiadomości. Trudno było przypuszczać, by okazali zrozumienie dla powodów, które skłoniły ją do wyruszenia w ślad za Casonem Murdockiem aż do Denver.

Wyprostowała się i przeciągnęła parę razy, żeby trochę rozruszać zeszytywniałe mięśnie. W dali za oknem widziała migające przyjaźnie światelka odległego jeszcze miasta, ale była za bardzo zmęczona, by ucieszyć się na ich widok.

Rozmasowała sobie kolejno wszystkie stawy, mięśnie i kostki obolałych stóp i ponownie wciągnęła na nie buty. Czuła się najedzona, odzyskała siły, przestała ją też boleć głowa. Wszystko to dzięki Casonowi, który odjął sobie od ust połowę własnego posiłku, a teraz z twarzą przykrytą kapeluszem spał na przeciwległym siedzeniu.

Nie przeszkadzało jej to, ponieważ i tak nie chciałaby z nim teraz rozmawiać – tak przynajmniej sobie mówiła. Natomiast denerwowało ją, że nie może widzieć jego twarzy.

Gdyby nie zasłonił jej tym swoim kapeluszem, miałyby niepowtarzalną okazję, by przyjrzeć mu się z bliska i naprawdę dokładnie.

Być może wtedy udałoby się jej odkryć, co takiego w nim było, że tak namiętnie i bez oporu poddawała się jego uściskom i pocałunkom.

Bo właśnie to najbardziej zaskoczyło ją samą. Przed spotkaniem Casona całowała się już przecież kilka razy przy różnych okazjach i pozostawała w przekonaniu, że za każdym razem jest mniej więcej podobnie. Teraz jednak wrażenia z tamtych pocałunków wydawały się jej absolutnie niczym w porównaniu z tym, co czuła w ramionach Casona. To tak, jakby porównywać zefirek z huraganem, trzaśnięcie drzwi z trzęsieniem ziemi. Nigdy nie sądziła, że może być zdolna do przeżywania czegoś takiego.

Odgłosy ponownego hamowania, zgrzyt żelaznych klocków i uderzenia zderzaków, początkowo głośne, a potem coraz cichsze, świadczyły o tym, że są tuż przy stacji. Pociąg coraz bardziej zwalniał bieg, gwizd lokomotywy zbudził tych pasażerów, którzy jeszcze spali. Również i Cason przeciągnął się i zsunął kapelusz z twarzy.

Światło księżyca padało prosto na niego, kiedy obudził się i swymi ciemnymi, jeszcze pełnymi snu oczami popatrzył na nią. Jego twarz teraz wydała się jej łagodna i uspokojona, nie było w niej nawet śladu niedawnego gniewu. Znikło gdzieś to wszystko, co mogło ją od niego odpychać.

W tej chwili widziała człowieka, który ją rzeczywiście obchodził, o którym chciałaby wiedzieć coś więcej – podobnie jak o jego rodzicach. To, co dotąd wiedziała, było fragmentaryczne i dość przypadkowe, nie łączyło się w żadną całość. A ona chciałaby wiedzieć wszystko, znać odpowiedzi na wszystkie pytania. Dlaczego, na przykład, śmierć jego ojca spowodowała również śmierć matki? I jak się wtedy czuł on, ich dzieciak?

Zaraz, pomyślała, co się ze mną dzieje? Dlaczego ja się nad tym zastanawiam? Wszystko przez te pocałunki! Jeszcze trochę, a zacznę mu współczuć. A powinnam patrzeć całkowicie obojętnie. Właśnie obojętnie.

- Czemu mi się tak przyglądasz? - spytał Cason. - Wpatrujesz się jak sroka w gnat.

- A jak mam na ciebie nie patrzeć, skoro leżysz dokładnie na wprost mnie, do tego jeszcze wyciągnięty jak długi?

- No i jak ci się podoba to, co widzisz?

- Podobało mi się bardzo, zwłaszcza kiedy miałeś twarz zasłoniętą kapeluszem - powiedziała drwiąco.

- Założę się, że bardziej ci się podobałem nagi!

- Prawdę mówiąc, nie dostrzegłam zbyt wielkiej różnicy między szczupłymi policzkami twojej twarzy i równie chudymi pośladkami..

Po raz pierwszy Cason się roześmiał. Szczerze i sympatycznie, co znów ją zaskoczyło.

- Nigdy nie widziałeś moich pośladków - zaprotestował, wciąż się śmiejąc. - Nie odwracałem się do ciebie tyłem.

- I całe szczęście - odpowiedziała Rosellen. A teraz, skoro mamy tu postój, chciałabym wyjść. I przede wszystkim odkupić ci te twoje pół kanapki. Nie lubię myśleć, że się dla mnie poświęciłeś.

- Wcale się nie poświęciłem - powiedział Cason. - Dałem ci ją, ponieważ już nie byłem głodny. Gdybym był, nie dostałabyś ani kawałka. Czy tak jest lepiej?

- Oczywiście! - odpowiedziała cierpko. - Zawsze jest lepiej, kiedy wiem, że nie zamierzałeś być miły.

- Wobec tego możemy wyjść, ale tylko po to, żeby rozprostować nogi.

- I odwiedzić toaletę - uzupełniła szybko Rosellen. Musieli jednak chwilę poczekać, ponieważ byli już ostatni w kolejce do wyjścia. Niemal wszyscy pasażerowie korzystali z okazji i wychodzili na peron. Nieco dalej na możliwość wejścia czekała grupka nowych pasażerów. Ludzie witali się bądź żegnali z witającymi i odprowadzającymi, na peronie panował spory ruch. Podobnie miało być na wszystkich stacjach do Pueblo i jeszcze dalej.

W kolejce do toalety panie miały pierwszeństwo. Rosellen wyszła z niej dość szybko i stanęła nieopodal, żeby mieć oko na Casona. Nie przypuszczała co prawda, by próbował jej się wymknąć przed przyjazdem do Denver, ale dla pewności lepiej było uważać.

Stała na peronie i w zamyśleniu spoglądała ponad torami na ciemny budynek lokomotywowni, nieliczne latarnie i migocące w oddali światła domów. Do samego miasta musiało być dość daleko.

Męska kolejka do toalety przesuwała się w miarę szybko. Obserwująca to z pewnej odległości Rosellen zauważyła, że niektórzy z oczekujących ze zdumieniem patrzyli na Casona, który jako jedyny miał na sobie pas z rewolwerem. Na nią patrzyliby pewnie z jeszcze większym zdziwieniem.

Rosellen zdawała sobie sprawę, że czasy, kiedy broń nosiło się na co dzień, już właściwie minęły, podobnie jak minęły nie tak dawne przecież lata gorączki złota, powstających z dnia na dzień miast z samych tylko namiotów, drewnianych saloonów i dylizansów, będących jedyną komunikacją. Rewolwer u pasa stawał się staroświecki niczym lampa naftowa. Rosellen jednak zamierzała być szeryfem i choćby dlatego nie chciała rezygnować z noszenia swojego starego colta.

Już po chwili Cason był przy niej. Rosellen udawała, że patrzy w inną stronę, ale na nic się to nie zdało.

- Dlaczego wciąż gapisz się na mnie? - spytał.

- Wcale się nie gapię, tylko cię obserwuję. Żeby mieć pewność, że nie spróbujesz zwiąć.

- To czemu nie weszłaś za mną do środka? Jak już pilnować, to pilnować, nawet w toalecie.

- Na szczęście się obeszło - odpowiedziała, powściągając mimowolny uśmiech. - Zresztą nie przypuszczam, żebyś próbował zniknąć, przynajmniej przed przyjazdem do Denver.

W jego oczach błysnęły gniewne iskierki.

- Już ci powiedziałem, że potrafię ci się wymknąć, kiedy tylko zechcę. I to ja zdecyduję, kiedy to będzie.

- Proszę bardzo, próbuj, kiedy tylko zechcesz. A swoją drogą nie przechwalałbyś się tak swoimi umiejętnościami znikania, gdybyś nie planował czegoś, o co cię od dawna podejrzewałam.

- To znaczy czego?

- Myślę, że chcesz wynająć jakiegoś starego włóczęgę, żeby odegrał rolę tego wymyślonego Dodge'a, co to niby miał być współnikiem mojego ojca. Na pewno znajdzie się taki, co za pieniądze potwierdzi wszystko, nawet najgorsze kłamstwa. Byle tylko ludzie z Makowego Wzgórza w to uwierzyli!

Cason tylko wzruszył ramionami.

- Daj spokój, czy ty naprawdę myślisz, że ktokolwiek tak łatwo przyznałby się do współudziału w rabunku i morderstwie? Nawet za największe pieniądze nikt by się nie zgodził. Co takiemu po pieniądzach, jeżeli natychmiast poszedłby do więzienia?

- Jest mnóstwo powodów, dla których niejeden mógłby się zgodzić.

- Jakich, na przykład?

- Taki ktoś mógłby dać dużo pieniędzy swoim bliskim, na przykład żyjącej w nędzy rodzinie. Albo ukryć gdzieś to, co dostanie, a potem, po wyjściu z więzienia, mieć na whisky już do końca życia.

- Dość mało prawdopodobne - powiedział Cason.

- Tak? - spytała Rosellen. - A co jest bardziej prawdopodobne?

- Wiele rzeczy. Na przykład to, że to całe śledzenie mnie to tylko pretekst.

Rosellen zjeżyła się momentalnie.

- Pretekst? Niby do czego?

- Może po prostu bardzo lubisz być blisko mnie. Tak jak lubisz moje pocałunki.

- Chyba ci się coś przyśniło, Casonie Murdock. Obserwuję cię, ponieważ ci nie ufam i to wszystko.

Cason spojrział jej w oczy.

- Sama powiedziałaś, że to podobało ci się dokładnie tak samo jak mnie. I zdaje się, że po prostu marzysz o tym, żebym cię znów pocałował.

- Chyba musiałeś oszaleć! - zaprotestowała trochę zbyt mocno. - Choć z drugiej strony jestem pewna, że masz duże doświadczenie w uwodzeniu młodych kobiet.

- Jeszcze niedostateczne - odpowiedział Cason, po czym nagle wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie. 1 znów okazało się, że jego pocałunek wprost odbiera jej dech i że ją oszalałami zupełnie tak samo, jak za poprzednim razem. Nie minęła nawet chwila, a już nie tylko przestała się opierać, ale nawet sama zarzuciła mu ręce na szyję.

Ku jej niemałemu żalowi okazało się jednak, że tym razem pocałunek trwał krócej. O wiele za krótko. Cason wypuścił ją z objęć i odsunął się pół kroku.

- Nie potrafiłem się powstrzymać - powiedział cicho. - Tak więc lepiej uważaj, bo nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić w przyszłości, jeśli byś nadal chciała za mną chodzić. Zastanów się nad tym, bo ja nie żartuję.

Zanim zdołała oprzytomnieć, odwrócił się i spiesznym krokiem odszedł, zostawiając ją rozwścieżoną zarówno tą bezczelną bezceremonialnością, jak i tym, że całował ją na oczach tylu obcych ludzi.

Ale smak jego ust wciąż pozostawał na jej wargach, podobnie jak pamięć uścisku jego ramion. Nadal trwało poczucie rozkosznej błogości w całym ciele. Z tym musiała zacząć walczyć, bo to było dla niej ogromnie niebezpieczne.

Postanowiła natychmiast wracać do wagonu i obracając się gwałtownie, zderzyła się z jakimś roslym, młodym człowiekiem o mocno czerwonej twarzy i szklących się od alkoholu bladoniebieskich oczach.

Próbując się cofnąć, potknęła się i niewiele brakowało, by upadła. Z najwyższym trudem utrzymała się na nogach.

Natomiast ten, z którym się zderzyła, trzymał się wciąż dosyć pewnie, choć widać było, że jest mocno pijany, a z kieszeni wystawała mu butelka whisky, najpewniej już opróżniona przynajmniej w trzech czwartych. Rosellen nie przypominała sobie, by widziała go wcześniej w wagonie. Musiał więc to być jeden z nowych pasażerów, albo też ktoś z miejscowych, odprowadzających. I to ona musiała akurat mieć pecha, żeby trafić na miejscowego pijaka.

- Bardzo przepraszam, nie zauważyłam pana - powiedziała i odwróciła się, chcąc odejść.

Ale pijany osobnik zdążył złapać ją za rękę i obrócił przodem do siebie.

- Zaraz, zaraz! - powiedział. - Dokąd to? Wprawdzie strój jest męski, ale buziuchna już zupełnie nie. A dlaczego to kobietka nosi spodnie i jeszcze do tego rewolwer u pasa? - Zachichotał ochryple. - Chcesz kogoś nastraszyć tym sześciostrzałowcem, panienko?

Rosellen gwałtownie wyrwała mu rękę.

- Dotknij mnie jeszcze raz, to rozbiję ci ten czerwony nos, ty pijaku! Zrozumiałeś?!

Natręt roześmiał się, zionąc na nią odorem przetrawionej whisky. Gdyby to się działo w Makowym Wzgórzu, wykręciłaby mu po prostu rękę za plecy, a potem skuła i odprowadziła do aresztu, żeby się przespał. Nie była jednak u siebie.

- Takie ostre słowa u tak słodkiej dziewczuszki? - wybełkotał, przysuwając się bliżej. - I po co takie coś ubiera się jak mężczyzna... i jeszcze chce gadać jak mężczyzna?

- Żeby nie mieć do czynienia z takimi jak ty! - odpowiedziała jeszcze ostrzej i odwróciła się ponownie,

Ale on znów chwycił ją za rękę i nie pozwolił jej odejść. Niewiele brakowało, a Rosellen odwróciłaby się i po prostu palnęła go w szczękę.

Opanowała się jednak, mówiąc sobie, że jeśli ma zamiar zostać szeryfem, musi umieć lepiej sobie radzić w takich sytuacjach.

- Precz z łapami i zostaw mnie w spokoju, w tej chwili! - Głos miała spokojny, ale stanowczy. - Jesteś pijany i powinieneś się przespać!

- A co mi zrobisz, jeżeli cię nie puszczę? - Otarł sobie nos rękawem koszuli. - No, co zrobisz? - powtórzył.

Rosellen nieraz widziała, jak ojciec dawał sobie radę z takimi osobnikami. Pamiętała też jego zalecenia. Mówić spokojnie, ale stanowczo. Nie drażnić go, bo mało kto potrafi się bić tak zażarcie i jednocześnie tak chytrze jak pijak. Jeśli słowna perswazja nic pomoże, wykręcić mu rękę, i to od razu bardzo mocno, tak, żeby musiał upaść na kolana. W ten sposób łatwiej będzie go skuć.

Kajdanek co prawda przy sobie nie miała, ale była gotowa, bez dalszej zwłoki powalić tego młodego osiłka na kolana.

- Co tu się dzieje? - usłyszała za sobą znajomy głos. - Czy może mógłbym w czymś pomóc?

Cason stanął obok niej, nie spuszczać oka z pijanego osobnika, który nadal nie puszczał ręki Rosellen.

- To jest sprawa między mną a tą dziewczyną i nikomu nic do tego. Radzę iść swoją drogą!

- Nie sadzę, że bym mógł to zrobić - powiedział bardzo spokojnie Cason.

Niewiele brakowało, by Rosellen znów się na niego wściekła. Kolejny raz próbował jej pomagać, choć wcale go o to nie prosiła. Tamten poszukiwacz złota w Makowym Wzgórzu był przynajmniej uzbrojony, natomiast ten prostak nie miał broni, więc niczym jej nie zagrażał.

Już miała ostro krzyknąć, że sama da sobie radę, gdy nagle przyszedł jej do głowy zupełnie nowy pomysł. Skoro tak bardzo chce jej pomagać, proszę bardzo! Niech jej pomaga, ale... na jej warunkach!



- Och, Cason, kochanie, tak się cieszę, że już jesteś! - powiedziała, uśmiechając się promiennie. - Właśnie usiłowałam wyjaśnić temu młodemu dżentelmenowi, że czekam tu na męża. Wróciłeś w samą porę.

Pijany osobnik puścił rękę Rosellen tak nagle, jakby go sparzyła.

- Pani wcale nie mówiła, że jest zamężna.

- Bo pan mnie nie pytał.

- A ja tak sobie właśnie pomyślałam, że jesteście małżeństwem, kiedy zobaczyłam, jak się całujecie - powiedziała siwowłosa kobieta z koszyczkiem do robótek, która podeszła do nich z pobliskiej ławeczki. - Takie okazywanie uczuć, na oczach wszystkich, to naprawdę romantyczne!

- Och tak, bo jesteśmy bardzo szczęśliwym małżeństwem! - powiedziała Rosellen, nie mrugnawszy nawet okiem. Spojrzała na Casona, trzepocąc rzęsami i niemal prowokując go, żeby zaprzeczy) i zarzucił jej kłamstwo. On jednak milczał.

- Nie byłam zupełnie pewna, czy jesteście małżeństwem -ciągnęła kobieta, przyglądając się na zmianę Rosellen i Casonowi. -A to dlatego, że na samym początku, kiedy wsiadaliście do pociągu, mieliście, jak mi się wydaje, małą sprzeczkę.

- Och, nie! Za bardzo się kochamy, żeby sobie pozwolić na jakiegokolwiek nieuprzejme słowo - uśmiechnęła się Rosellen i przytuliła się do ramienia Casona. Nie wiedziała, co czuje Cason, ale ona sama odczuła to bardzo mocno. Dreszcz pożądania przeniknął ją na wskroś, musiała jednak nadal udawać nieśmiałą, żeby nie wpaść z roli.

- Miło jest słyszeć coś takiego - powiedziała z uśmiechem starsza pani. - Podeszłam, żeby pomóc, bo widziałam, że ten miody mężczyzna próbuje narzucić pani swoje towarzystwo. Na szczęście pojawił się pani mąż, który teraz może się tym zająć.

Podpity natręt przez ten czas najwyraźniej trochę wytrzymał, podniósł obie dłonie do góry i zaczął się pośpiesznie wycofywać.

- Nikomu nie chcę się narzucać! Ja tylko... to znaczy, pani mnie lekko potrąciła, ale nic nie szkodzi. To ja już sobie pójdę.

Odszedł najszybciej, jak potrafił, mrużąc coś pod nosem na temat mężów, którzy nie wiadomo czemu pozwalają swoim kobietom ubierać się po męsku.

Rosellen odwróciła się i spojrzała na Casona, który od jakiegoś czasu nie powiedział ani słowa i najwyraźniej był na nią wściekły. Przyjęła to z satysfakcją. Może to go nauczy niewtrącania się do jej spraw, zwłaszcza wtedy, gdy nikt go o to nie prosił.

- Jedziecie państwo do Denver? - spytała siwowłosa kobieta.

- Tak, proszę pani - odpowiedziała Rosellen.

- Jestem Nadine Oliver. Pójdę teraz poszukać Waltera, mojego męża, żeby też mógł państwa poznać. My też jedziemy do Denver. To miło, że będzie można porozmawiać, w podróży czas tak się dłuży.

Gdy tylko starsza pani się oddaliła, Cason odwrócił się do Rosellen.

- Co to za idiotyczny pomysł? - warknął. - Po co wmawiałaś obcym ludziom, że jesteście małżeństwem?!

- Bo mężczyźni nie zaczepiają mężatek, a ten pijany facet mnie zaczepiał.

- To jeszcze nie powód!

- Owszem, bo to od razu pomogło. Widziałeś, jak zmiatał, kiedy mu powiedziałam, że jesteś moim mężem?

- Bardzo to wygodne, że akurat ci się nawinałem.

- I co ci to może przeszkadzać?

- Może. Nie zamierzam być mężem ani twoim, ani żadnej innej kobiety. Zapamiętaj to sobie. I nie mam ochoty być przez całą drogę zanudzany przez jakąś staruszkę i jej męża!

- Tylko do Denver, to nie tak strasznie długo. I nie martw się aż tak bardzo, nie będziesz mnie musiał poślubić tylko dlatego, że mnie całowałeś.

Cason zmarszczył brwi i spojrzał na Rosellen.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

- No przecież mnie całowałeś, może nie? A ludzie, którzy się całują, zazwyczaj się pobierają.

Na dobrą sprawę sama nie wiedziała, dlaczego tak mówi. Po co się z nim droczy, i to na taki temat? Przecież miała się trzymać od niego na dystans!

- Też coś, pobierają się! Chyba musiałaś opić się szaleju! - powiedział kpiąco Cason. - Całowałem mnóstwo kobiet i ani mi się śniło z nimi żenić.

- Ale ze mną musiałbyś, gdyby któryś z braci albo moja matka dowiedzieli się, że mnie całowałeś. Oni już chyba od trzech lat usiłują wydać mnie za męża.

Cason spojrział na nią i pokręcił głową.

- Jeżeli myślisz, że mnie w ten sposób przestraszysz i zniechęcisz do całowania, to się bardzo mylisz - powiedział. - Będę cię całował, kiedy tylko mi się nawiniesz pod rękę, jeżeli nie przestaniesz za mną łązić pod pozorem śledzenia mnie lub jakimkolwiek innym. I wcale nie jest powiedziane, że na tym poprzestanę.

Następnym razem mogę ściągnąć z ciebie te spodnie, rozumiesz? I nie mów potem, że cię nie ostrzegąłem!

Rosellen cofnęła się mimo woli, ale tylko o krok. To droczenie się z Casonem sprawiało jej wyraźną przyjemność. Choć chmury akurat przysłoniły księżyc, a w świetle nielicznych latarni trudno było widzieć dokładniej wyraz twarzy Casona, była przekonana, że udało się jej wyprowadzić go z równowagi. Sama leż czuła w całym ciele zmysłowe dreszczyki, które pojawiały się natychmiast, gdy tylko podejmowali temat całowania.

- To raczej pan musiał się opić szaleju, panie Murdock - powiedziała prowokująco chłodno. - Jeżeli pan sądzi, że nadal marzę o całowaniu pana...

- Taak?- spytał Cason. - No to zobaczymy! Wyciągnął rękę, ale Rosellen uchyliła się bez trudu.

- Nie - powiedziała, i znów zrobiła krok do tyłu. Nic przyszło jej to łatwo.

Ich spojrzenia spotkały się.

- Tak się nie da, Rosellen - powiedział Cason. - Wiesz o tym.

Przygryzła wargi.

- Jak? - spytała.

- Nie można za kimś chodzić i jednocześnie przed nim uciekać. Musisz się na coś zdecydować.

To akurat było najtrudniejsze. W każdym razie teraz.

- A dlaczego ty czasami jesteś dla mnie taki miły, a czasami taki okropny?

Cason spojrział jej prosto w oczy, a ona drgnęła mimo woli, jak gdyby obawiała się, że może tam zobaczyć prawdę.

- Kiedy cię całuję - powiedział - zapominam, kim jesteś, i widzę tylko piękną i godną pożądaną kobietę. Nie mogę więc cię źle traktować. Ale później znów przypominam sobie, kim jesteś naprawdę - córką człowieka, który bez powodu zabił mojego ojca!

Z trudem powstrzymała się, by nie krzyknąć z bólu i oburzenia. Jak on może z taką wiarą powtarzać wciąż to samo nikczemne kłamstwo?!

- Czego ty szukasz, Casonie Murdock? - zapytała gorzko. - Złota prawdy? Ty, wieczny poszukiwacz? Nie znajdziesz go tam, gdzie szukasz. To zdradliwa, jałowa skała. Cason pokręcił głową.

- Wcale nie myślę, że to takie proste - powiedział. - Ale kilkanaście lat pracy poszukiwacza czegoś mnie nauczyły. Na przykład tego, jak sobie dawać radę z rozczarowaniem i samotnością. I nauczyły mnie też, że żadnej skały nie można ocenić tylko na podstawie tego, co widać na zewnątrz. Trzeba się wkopać do środka, odrzucić mnóstwo kamienia i dopiero wtedy wie się, jaka jest naprawdę.

- I co niby ma oznaczać ta przypowieść? - spytała Rosellen. Ku jej zaskoczeniu Cason mówił to, co ona sama czuła w głębi duszy, choć jeszcze nie potrafiła tego sformułować.

- Weźmy na przykład Gayłę. Ty ją uważasz za taką jałową skałę i nawet nie chcesz spróbować poszukać w niej czegoś innego. Tego, co - być może - tylko ona wie. Także o twoim ojcu.

Rosellen natychmiast zeszywniała.

- Ta kobieta nie może nic wiedzieć o moim ojcu! To są same kłamstwa. To właśnie ta jałowa skała!

Lokomotywa gwizdnęła przeciągle, a konduktor zawołał:

- Proszę wsiadać, ruszamy!

- Czasami to, w co wierzymy, rzeczywiście okazuje się jałową skałą - zgodził się Cason. Ruszyli w kierunku wagonu. - Sam musiałem przełknąć gorzkie rozczarowanie niejedną raz. Ale nie mogę przecież nic pamiętać tej chwili, kiedy przecucie mnie nie zawiodło. Kiedy w tej tak podobnej do innych, i na pierwszy rzut oka nic niewartej skałe znalazłem jednak złotą żyłę. I zarazem zapłatę za tyle lat ciężkiej pracy łopata, kilofem i patelnią do płukania. Mam przecucie, że teraz napotkałem podobną szansę. I zmiierzam z niej skorzystać, wbrew wszystkiemu!

- Wobec tego nie zapomnij obejrzeć się za siebie, Casonie Murdock!  
- powiedziała Rosellen. - Bo na pewno będziesz mnie miał za plecami!

Jasne światło wczesnego poranka w końcu zbudziło Casona. Od długiego leżenia w niewygodnej pozycji bolały go wszystkie mięśnie, najbardziej jednak kark i podkurczone, z racji wzrostu, kolana i stopy.

Obrócił się na bok, rozprostował nieco nogi i ręce, przetarł powieki. Mimo wczesnej pory niebo było tak jasne, że prawie białe. Takie, jakie czasami zdarzało mu się oglądać z Busterem przez kłapy ich starego namiotu. Przez chwilę poczuł się tak, jak w czasach wspólnych poszukiwań, ale kołysanie wagonu i monotony stukot kół bardzo szybko przywołały go do rzeczywistości. Był w pociągu i jechał do Denver, razem z..

Obrócił się pośpiesznie i przyjrzał się śpiącej na przeciwległym siedzeniu młodej kobiecie.

Rosellen Lattimer. Więc jednak to mu się nie przyśniło. Wszystko było rzeczywistością.

Czy ona naprawdę powiedziała wczoraj komuś, że są małżeństwem? Coś niesłychanego! Nigdy dotąd nie spotkał równie zuchwałej dziewczyny.

I równie pociągającej.

Przeczesał palcami włosy i potrząsnął głową. Dlaczego stale myśli o niej w ten sposób? Dlaczego ona budzi w nim pragnienia, których nie rozbudziła żadna inna kobieta?

Spała teraz z głową tuż obok okna, wspartą na zwiniętej w wałek i zastępującej poduszkę skórzanego bluzie. Promienie ledwo wschodzącego słońca padały prosto na nią. Cason po raz kolejny miał okazję stwierdzić, że skóra jej twarzy wygląda tak, jak gdyby ktoś ją obsypał – zwłaszcza w okolicach nosa – drobniutkimi płatkami najczystszej złota z Gór Skalistych.

Ten sam złoty odcień miały też jej włosy. Brwi były nieco ciemniejsze, łukowate, czysto zarysowane. Pod nimi lekko wygięte, długie rzęsy. I smukłe palce dłoni, które śpiąc przytuliła do twarzy.

Niemal równie smukłe wydawały się jej długie nogi, których wręcz modelowy kształt jeszcze podkreślały obcisłe spodnie. I choć spała w tym momencie z podkurczonymi kolanami, jak czasami śpią dzieci, nie można było mieć wątpliwości, że jest niezwykle zgrabna.

Niektórych mężczyzn onieśmiały wysokie kobiety, ale Cason do nich nie należał. Uważał, że wzrost Rosellen idealnie pasuje do jej figury i urody. W gruncie rzeczy w ogóle nie umiałby jej nic zarzucić.

W dodatku zaczynał cenić jej poczucie humoru i ostry języczek, nie mówiąc już o jej odwadze i niewzruszonej lojalności w stosunku do bliskich. Właściwie można by ją uznać za wcielenie doskonałości, gdyby nie jedna, jedyna wada.

Była córką Henry'ego Lattimera.

Jego ojca uważała za mordercę, swego nikczemnego miasteczka zamierzała bronić jak lwica. A mimo to budziła w nim pożądanie.

Zwłaszcza kiedy mógł na nią patrzeć z tak bliska.

Jej piersi unosiły się i opadały w łagodnym rytmie spokojnego snu. Teraz z całą pewnością nie wyglądała na twardą obrończynię prawa, za jaką chciała uchodzić. Była samą miękkością, była po prostu kobietą, którą chciałby natychmiast wziąć do łóżka.

Do diabła z tym jej ojcem, do diabła z całym Makowym Wzgórzem! I do diabła z chłodną realizacją raz podjętego planu! Przy takiej kobiecie nie powinno się myśleć głową, tylko zupełnie czym innym!

Przymknął oczy i przypomniał sobie jej usta – miękkie, słodkie, zaborcze i wciąż tak głodne jego ust. Najwspanialsze było w niej to, że nikt jej tego nie uczył. Nic nie wiedziała o całowaniu, ale też dzięki temu mogła być samą spontanicznością i entuzjazmem.

Była cudowna, kiedy przytulała się do niego całą sobą. Za każdym razem reagował na to niemal natychmiastową erekcją, choć jeszcze do

niedawna skłonny był uważać, że to jest coś, co już minęło wraz z latami wczesnej młodości.

Miał teraz ogromną ochotę przytulić się do niej, pieścić jej kark i szyję, całować ją w to słodkie miejsce tuż za uchem. Obudzić ją ze snu uwodzicielskim szeptem...

Gwałtowne hamowanie pociągu rzuciło go nagle do przodu, jeszcze zanim do jego świadomości dotarł przeraźliwy zgrzyt trących o siebie szyn, kół i hamulców. Zgiętymi kolanami uderzył w podłogę, a lecąc do przodu wyciągniętymi przed siebie rękami trafił w wyściełane oparcie tuż nad leżącą na przeciwległym siedzeniu Rosellen. Na szczęście spała prawie przy samej ścianie, toteż nieporównanie łagodniej odczuła skutki nagłego hamowania, ale i ją obudziło silne uderzenie i ogłuszający wręcz skowyt hamulców.

Ten przeraźliwy dźwięk ciągle trwał, pociąg zwalnia! z wyraźną niechęcią, a Cason nie mógł się oprzeć wrażeniu, że za chwilę wylecą z szyn. Objął półprzytomną i jeszcze nie do końca rozbudzoną Rosellen i mocno trzymał w ramionach.

Odpuszczone nagle hamulce szarpnęły nimi w drugą stronę, tylko po to, by natychmiastowe ponowne włączenie znowu rzuciło ich w przód. Cason ponownie rozbił sobie kolano, tym razem o metalowy wspornik pod siedzeniem, a jego górna warga krwawiła po zderzeniu z głową Rosellen. Ona sama, najwyraźniej wciąż jeszcze nie wiedząc, co się dzieje, odruchowo wtuliła głowę w jego klatkę piersiową, a jej zaciśnięte palce wbijały się w skórę jego ramion przez cienką tkaninę koszuli.

- Trzymaj się mnie!

Tyle tylko zdołał jej powiedzieć. Siła bezwładności wciąż trwającego hamowania nie pozwalała mu się natychmiast wyprostować. Z innych przedziałów dobiegały ich krzyki i jęki tych pasażerów, którzy również pospadali i odnieśli obrażenia, a teraz próbowali się podnieść, żeby przynajmniej móc się czegoś chwycić.



- Co się stało, na miłość boską? - spytała Rosellen, usiłując wysunąć się z ramion trzymającego ją wciąż Casona.

Ten syknął lekko, usiłując stanąć na nogi. Rozbite kolana bolały go dotkliwie, ale nie na tyle, by nie mógł się poruszać. Wyjrzał przez okno po jednej, a polem po drugiej stronie.

- Zdaje się, że coś leży na torach - powiedział. - Jakieś złamane drzewo albo coś takiego. Dlatego maszynista musiał gwałtownie hamować, żeby uniknąć kolizji.

Z jeszcze bardziej przeraźliwym piskiem hamulców pociąg w końcu stanął, co miało i laki skutek, że oboje znów zachwiali się na nogach i mimo woli padli sobie w ramiona. Cason odruchowo objął ją mocniej, a polem już nie zwolnił uścisku.

Rosellen podniosła wzrok i spojrzała na swego towarzysza.

- Nie sądzisz, że mogliby hamować odrobinę delikatniej, bez zrzucania pasażerów na podłogę?

Ich spojrzenia spotkały się i oboje natychmiast przestali myśleć o czymkolwiek innym poza sobą. On zamierzał ją pocałować. Ona zamierzała mu na to pozwolić. Gdzieś z daleka, od strony lokomotywy, dobiegały ich jakieś krzyki, ale żadne z nich nie miało zamiaru się tym przejmować. Rosellen zwróciła jednak uwagę na porozbijane kolana Casona.

- Jesteś pewien, że nic ci się nie stało? - spytała, odsuwając się o krok. - Nie jesteś skaleczony? Mam wrażenie, że cię mocno boli. Cason powiedział sobie w duchu, że boli go rzeczywiście mocno, ale bardziej dusza niż ciało.

- Zdaje się, że trochę potłukłem sobie kolana, kiedy mnie rzuciło na podłogę, ale poza tym wszystko w porządku -- powiedział. - A co z tobą?

- Przy pierwszym szarpnięciu nic mi się nie stało, a od skutków następnych ty mnie ochroniłeś. - Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

Zaskoczony Cason poczuł, że serce nagle podjechało mu do gardła. To było coś, czego najmniej się spodziewał – Rosellen uśmiechnęła się do niego! Niech to diabli, naprawdę to zrobiła! Nawet jeśli nie był to najbardziej promienny z jej uśmiechów, liczyło się to, że był skierowany do niego! Długo na to czekał, ale warto było, z całą pewnością.

– Nam się raczej upiekło, ale nie wiadomo co z pociągiem – powiedział po chwili. – Chyba pójdę zobaczyć, co tam się stało.

– Zaczekaj – zatrzymała go Rosellen. – Zanim pójdziesz, chcę ci coś zaproponować. Przemyslałam sobie niektóre rzeczy i doszłam do wniosku, że może jednak powinniśmy zawrzeć rozejm.

Spojrzał na nią uważnie.

– Zmęczyły cię nasze kłótnie? – spytał. Zawahała się tylko na moment.

– Chyba tak – powiedziała. – A poza tym zdałam sobie sprawę, że to do niczego nie prowadzi.

Cason skinął głową. Jest nie tylko piękna, odważna i inteligentna, pomyślał, ale w dodatku wie, kiedy zrezygnować. Ciekawe, ile jeszcze zalet w niej odkryję, zanim dojedziemy do Denver. I jak tu się takiej oprzeć?

Myślałem zupełnie tak samo – powiedział. – Nie miałaś racji, kiedy mówiłaś, że oboje się nie lubimy. W rzeczywistości lubimy się, przeszkadza nam tylko to, co stało się przed laty, z twoim i moim ojcem. To nas tak naprawdę dzieli, ty reagujesz wrogością na to, co myślę o twoim ojcu, a ja bardzo podobnie..

Urwał w połowie zdania, gdyż kopnięte od zewnątrz drzwi wagonu nagle otworzyły się z trzaskiem i na progu pojawili się dwaj uzbrojeni i zamaskowani osobnicy.

– To napad, nie ruszać się! – krzyknął wyższy z bandytów. Cason zdążył zrobić krok do przodu, by osłonić sobą Rosellen.

Niemal w tej samej chwili w podobny sposób otworzyły się drzwi z drugiego końca wagonu. Stanęli w nich jeszcze dwaj bandyci. Ci też

mieli twarze przewiązane chustkami, żeby nie można było rozpoznać ich rysów, a w dłoniach trzymali gotowe do strzału rewolwery.

- Trzymamy was wszystkich na muszce! - krzyknął jeden z nich. - Wystarczy ruch, a strzelamy bez ostrzeżenia!

Jeden z mężczyzn spróbował mimo to sięgnąć po broń, ale nie zdążył. Bandyta strzelił mu w pierś. Mężczyzna zachwiał się i osunął na kolana. Stojąca obok niego młoda kobieta rozpaczliwie krzyknęła .

- Ktoś jeszcze ma ochotę zostać bohaterem? - spytał bandyta. Cason wciąż stał bez ruchu, nieco bokiem do napastników. Czasy, kiedy uzbrojeni przestępcy napadali na pociągi, miały już jakoby należeć do przeszłości, pomyślał z sarkazmem. W tej samej chwili kątem oka dostrzegł, że ręka stojącej tuż obok niego Rosellen wolno przesuwając się ku kolbie rewolweru. Udało mu się chwycić ją za dłoń w ostatniej chwili. Szczęśliwie żaden z bandytów tego nie dostrzegł.

- Stój spokojnie i ani drgnij! - szepnął jej do ucha cicho, ale stanowczo. - I nie rób głupstw, bo zabijają nie tylko ciebie, ale i jeszcze kilka osób!

Wyraz twarzy Rosellen wskazywał, że nie chce się godzić na rolę biernej ofiary.

- Mogę być szybsza - odpowiedziała takim samym szeptem. - Nie spodziewają się, że kobieta może mieć broń!

Cason ścisnął jej rękę jeszcze mocniej, aż do bólu.

- Nie będziesz szybsza! - powiedział jeszcze ciszej. - Nie od wszystkich czterech!

Bandyta powiódł wzrokiem po milczących pasażerach i zachichotał.

- Coś nie widać więcej odważnych. Trochę szkoda życia, prawda? No to teraz wszyscy rączki do góry, wysoko nad siebie. Jeśli zobacze kogoś, kto nie posłucha, strzelam.

Cason puścił dłoń Rosellen z prawdziwym lękiem. Co się stanie, jeśli go nie posłucha i zrobi coś szalonego? Odetchnął z ulgą, kiedy podnosząc ręce zobaczył, że Rosellen robi to samo.

- Bardzo dobrze, i tak trzymać - powiedział bandyta. - I niech nikomu nie przychodzi do głowy głupie pomysły!

Nagle od strony lokomotywy dały się słyszeć odgłosy strzałów. Cason natychmiast odgadł, co się stało. Konduktor i maszynista musieli podjąć nierówną walkę, ze skutkiem łatwym do przewidzenia.

Tymczasem bandyci, zupełnie nie zaniepokojeni tą strzelaniną, rozmawiali ze sobą, jak gdyby nigdy nic.

- Zdaje się, że szef tym razem wybrał nie ten pociąg, co trzeba - powiedział jeden z nich do swego kumpla, który stał tuż przy Casonie. - Ludzi mało, tego, co weźmiemy, starczy nam ledwie na wódkę i najtańsze dziwki!

- Stul pysk! - odpowiedział drugi. - To nawet lepiej, że jest mało ludzi, bo nie będzie z nimi kłopotu. A szef wie, co robi. Nie pamiętasz, jak powiedział, że najważniejsza jest ta jakaś bogata suka, która miała jechać tym pociągiem? Za nią dostaniemy prawdziwe pieniądze.

Cason i Rosellen dyskretnie spojrzeli po sobie. Oboje przypomnieli sobie parę, która wsiadła poprzedniej nocy. To właśnie ta dobrze ubrana młoda kobieta stała teraz zapłakana przy ciele zastrzelonego przed chwilą mężczyzny. Jeśli była rzeczywiście tak bogata, jak mówili bandyci, to ów zabity mężczyzna zapewne był wynajęty do jej ochrony podczas podróży.

Tymczasem znów odezwał się najstarszy z bandytów, kierujący całym napadem.

- Niech nikomu się nie zdaje, że przyjdą wam z pomocą ludzie z obsługi pociągu - powiedział. - Słyszeliście przed chwilą strzały? To właśnie jeden z moich ludzi już zajął się nimi wszystkimi. Dlatego radzę nie liczyć na pomoc i nie próbować żadnych sztuczek!

- Ale czego chcecie od nas? - zapytał skromnie ubrany pasażer w podniszczonym meloniku.

- Ten pociąg wozi tylko bydło i trochę pasażerów - odezwał się drugi. - Nie ma tu ładunku złota ani srebra.

Przywódca napadu roześmiał się głośno.

- Jeśli idzie o złoto i srebro, zadowolimy się tym, co macie w swoich kieszeniach i torebkach. A na dodatek zabierzemy dla okupu młodą bogatą damę, która, jak mi doniesiono, wsiadła do tego pociągu wczorajszej nocy.

Zapiakana młoda kobieta jęknęła głośno i wszyscy mimowolnie spojrzeli w jej stronę. Bandyta roześmiał się.

- To ładnie z pani strony, że sama pani nam wskazała, o kogo może chodzić - powiedział szydyczko.

- Nie bój się, Mellie - powiedział młody mężczyzna stojący obok niej. - Nikomu nie pozwolę cię uprowadzić.

Bandyta ledwie spojrział na niego.

- Spróbuj ruszyć choćby palcem, a zastrzelę cię jak psa. Pozostali szykowali się do zbierania łupu. Najmłodszy rozwinął duży brezentowy worek, inni trzymali rewolwery wycelowane w pasażerów.

- A teraz uważać wszyscy! - zawołał starszy bandyta. - Nasz chłopak z workiem będzie szedł od przedziału do przedziału. Macie robić, co wam każe, ale po kolei. Wszyscy pozostali nadal trzymają ręce w górze! Kto opuści bez pozwolenia, będzie zastrzelony!

- Ale tym pociągiem jeżdżą głównie górnicy, biedni ludzie - odezwał się jeden z pasażerów. - Nie mamy pieniędzy ani kosztowności. Weźcie sobie tę bogatą kobietę, a nas zostawcie!

- Nie! - krzyknął młody mężczyzna. Bandyta nie raczył na niego spojrzeć.

- Nawet nie ruszając się z tego miejsca, gdzie stoje, widzę sporo cennych rzeczy - powiedział. - Trzy albo cztery zegarki kieszonkowe ze złotymi dewizkami, dwie kosztowne broszki, do tego spinki z kamieniami, broń, portfele - wygląda na to, że mimo wszystko się obłowimy.

- Mnie też się tak zdaje - powiedział drugi. - A wy tu wszyscy starajcie się nam nie przeszkadzać, bo im szybciej sobie pójdziemy, tym większe szanse, że nikt was nie zastrzeli.

- Nie możemy pozwolić, żeby ją uprowadzili! - szepnęła oburzona Rosellen.

- Możemy i pozwolimy - odpowiedział jej równie cicho Cason. - To nic nasza sprawa.

Słuchając sztychającego z bezbronnych pasażerów bandyty, Cason nawet nie drgnął. Wcale nie martwiło go to, że miał utracić pieniądze i broń. Znacznie bardziej martwiła go Rosellen. Przy kimś takim jak ona nigdy nie można było mieć pewności, co zrobi w następnej chwili. No bo w końcu takiego przydomku - „póldiable” - na ogół nie zyskuje się bez powodu. Najgorsze zaś było to, że gdyby Rosellen nagle zdecydowała się stawić czoło bandytom, musiałby stanąć do tej nierównej walki razem z nią. Niech to diabli, przecież wcale nie miał ochoty umierać!

Pomyślał o tym i sam się zdziwił. Jeszcze parę dni temu myślałby o tym zupełnie inaczej. Przez długie lata raczej szukał śmierci, niż przed nią uciekał. Zakładał i podpalał ładunki dynamitu tyle razy, a za każdym razem mógł przecież wylecieć w powietrze. Bywał zasypywany w chodnikach kopalni, przywalony odłamkami skały. Dwa razy został postrzelony przez poszukiwaczy, którzy chcieli przejąć zajętą przez niego działkę. I przy tym wszystkim nigdy nie martwiła go myśl, że może umrzeć. Miał trzynaście lat, kiedy pochował kolejno oboje rodziców i od tego czasu było mu naprawdę wszystko jedno, czy będzie żył, czy zginie. Było mu wszystko jedno - jeszcze do wczoraj.

Jakże nagle to wszystko się zmieniło, pomyślał. Po raz pierwszy od lat miał po co żyć. Miał cel, a tym celem było wyrównanie rachunków za śmierć ojca i matki. Miał też dość pieniędzy, by to zrealizować, by zniszczyć Makowe Wzgórze w odwecie za zniszczenie jego rodziny. A dzięki Gayli znał też nazwisko człowieka, którego odnalezienie

pozwoliloby na ostateczne oczyszczenie pamięci ojca. Byłoby tylko Rosellen nie zrobiła w ostatniej chwili czegoś szalonego!

- Słuchajcie mnie teraz uważnie - przywódca bandytów potoczył wzrokiem po sterroryzowanych pasażerach - bo kto nie zapamięta tego, co powiem, niech lepiej od razu zmówi za siebie modlitwę. Przez cały czas będziecie na muszkach naszych rewolwerów, więc wszystko ma iść bardzo grzecznie, szybko i sprawnie, w waszym własnym interesie! Chłopak będzie szedł z workiem między ławkami przedziałów, a ja tuż za nim, z tym oto coltem. Jeżeli tylko przejdzie mi przez myśl, że któreś z was próbuje coś ukryć, strzelam bez ostrzeżenia, a to, czego szukamy, i tak wyjmemy z kieszeni trupa! Tak więc niech nikt nawet nie próbuje ukryć czegokolwiek. Chcę mieć w tym worku każdego waszego dolara i każdego centa, każdy zegarek, pierścionek, obrączkę - wszystko! - Roześmiał się, patrząc na przerażone twarze.

- Nie możemy im na to pozwolić - szepnęła Rosellen, kiedy bandyta nie patrzył w ich stronę.

- Musimy - odpowiedział cicho Cason.

- U nas w rodzinie nie oddaje się broni bez walki.

Przeklęte, uparte półdiabły! Kiedy chce być twardsza od mężczyzn, traci wszelki rozum. Jeszcze chwila, a zrobi coś śmiertelnie głupiego.

Nie spuszczać wzroku z przywódcy bandytów, Cason szepnął jej do ucha:

- Nawet najszybszy strzelec nie da rady czterem! Jeśli tego nie rozumiesz, to jesteś głupia, a jeżeli spróbujesz sięgnąć po broń, ja sam strzelę do ciebie!

- Nie odważysz się strzelić do mnie.

- Owszem, odważę się. Przestrzele ci rękę, żeby cię uratować -bo oni na pewno będą strzelać po to, żeby zabić!

- Myślisz, że mnie przestraszysz? - syknęła Rosellen

- Nie. Ale ten napad to nie twoja sprawa. Więc po prostu się nie wtrącaj, jeżeli chcesz, żebyśmy jeszcze żyli.

- Kto tam gada? - wykrzyknął ostrym głosem przywódca bandy. - Komuś się zachciało rozmów? I kulki między oczy?

Potoczył wzrokiem po pasażerach.

- Nie ma bohaterów. - Roześmiał się. - No i bardzo dobrze.

Cason nie zamierzał być bohaterem i miał nadzieję, że zdążył to wyperswadować również Rosellen. Tymczasem bandyci rozpoczęli zbieranie łupu od drugiego końca wagonu. Chłopak trzymał szeroko otwarty worek, do którego obrabowywani po kolei pasażerowie wrzucali pieniądze i kosztowności, a starszy z napastników szybko przeszukiwał jedną osobę po drugiej, nic czyniąc żadnej różnicy między mężczyznami i kobietami.

Mimo że każdy z rabusiów miał twarz zasłoniętą chustką, można było dostrzec, że nie wszyscy są jednakowo sprawni i doświadczeni w bandyckim rzemiośle. Oczekujący na swoją kolejkę Cason zdążył się przyjrzeć uważnie wszystkim czterem. Tylko jeden z nich wyglądał na naprawdę niebezpiecznego rewolwerowca- ten, który rewidował obrabowywanych. Pozostali, którzy przez cały czas trzymali pasażerów w szachu wycelowanymi w nich rewolwerami, wydawali się raczej mniej groźni.

Kiedy zbierający łupy chłopak podszedł do niego, Cason bez słowa wrzucił do worka pieniądze i rewolwer, a następnie zrobił krok do tyłu, odsłaniając Rosellen. Na jej widok jeden z bandytów zawołał rozbawiony:

- Hej, Smally, popatrz no tylko! Ładna sztuka, a ubrana jak mężczyzna i jeszcze ma pukawkę przy boku!

- Cicho, durniu! - zgromił go drugi. - Ile razy ci mówiłem, żebyś nie wołał po nazwisku? I co cię obchodzi, jak ona jest ubrana? Zabieraj rewolwer i forszę, pora stąd zjeżdżać!

Twarcz Casona nie zdradzała napięcia, z jakim czekał na to, co zrobi Rosellen. Na szczęście nie zrobiła nic szalonego i nie spróbowała użyć



broni. Bez słowa wykonała polecenia bandytów, wrzuciła pieniądze i broń do worka, po czym ponownie podniosła ręce do góry.

Cason zdrętwiał jednak, gdy młodszy bandyta zaczął podejrzenie długo grzebać w kieszeniach koszuli na piersiach Rosellen. Rewidowanie było tylko pretekstem, młodemu opryszkowi najwyraźniej sprawiało przyjemność dotykanie tak młodego i atrakcyjnego biustu. Cason obawiał się, że Rosellen nie wytrzyma i po prostu kopnie tamtego kolanem w krocze. Odetchnął z ulgą, kiedy rewidowanie się skończyło, a Rosellen zachowała spokój.

- W porządku - powiedział opryszek. - W kieszeniach nic nie ma.

- No to teraz zabieramy tamtą - rozkazał szef.

Podeszli do elegancko ubranej młodej kobiety, która już wcześniej tak niebacznie zdradziła im swoją tożsamość. Teraz na widok zbliżających się bandytów jęknęła z przerażenia, kuląc się rozpaczliwie i odruchowo usiłując skryć się za siedzącym obok mężem.

- Ty idziesz z nami - powiedział starszy bandyta. Chwyił ją za rękę i szarpnął ku sobie.

- Nie! - krzyknęła kobieta. - Guthrie, ratuj mnie! Nie pozwól im mnie zabrać!

- Puśćcie ją! - miody małżonek poderwał się i chwycił żonę za rękę, ale bandyta niemal w tej samej chwili uderzył go w głowę kolbą rewolweru. Ogluszony mężczyzna bezwładnie osunął się na siedzenie.

- Zastrzeliliby cię, durniu, ale potrzebuję kogoś, kto przekaże rodzinie warunki okupu - powiedział bandyta i odwrócił się do jego skamieniałej z przerażenia żony.

- Nie! Nie zabierajcie mnie! Ja nie chcę iść z wami! - w głosie uprowadzanej brzmiało krańcowe przerażenie, gdy jeden z bandytów wyciągnął konopny sznur i zaczął nim kępować jej ręce. Wargi młodej kobiety drżały, a lzy nieprzerwanym strumieniem spływały jej po policzkach.

Cason przyglądał się jej ze współczuciem. Nie potrafił spokojnie patrzeć na płaczącą kobietę. Taki widok natychmiast przypominał mu matkę, a tego wystarczyło, by czuł się po prostu rozpaczliwie. Jednak na razie nie miał żadnej szansy na skuteczne działanie, musiał więc czekać.

- Potrzebujemy pieniędzy, które za ciebie dostaniemy, skarbie - powiedział starszy bandyta, uśmiechając się z satysfakcją. - Moi ludzie pomogą ci iść.

Na jego znak dwaj bandyci ujęli związaną kobietę pod ręce i poprowadzili ku drzwiom wagonu. Próbowwała się jeszcze wyrwać, ale bez skutku.

Nagle Rosellen odepchnęła na bok stojącego przed nią Casona i stanęła przed bandytami.

- Ona nie jest tą kobietą, o którą wam chodzi - powiedziała ze spokojem, który przeraził Casona. - Jeżeli szukacie bogatej kobiety, za która zostanie zapłacony okup, to jestem nią ja!

- To ja jestem kobietą, o którą wam chodzi! - powtórzyła, gdy umilkł szmer zadziwienia wśród zaskoczonych pasażerów.

- Nie wyglądasz na bogatą damę - powiedział jeden z bandytów.

- Bo tak właśnie miało być - oświadczyła Rosellen. - Ta przebrana za mnie młoda osoba, to Mellie, moja dama do towarzystwa, wynajęta przez mojego ojca i przebrana za damę właśnie po to, by mnie ochronić przed porwaniem. Chcecie wprowadzić niewłaściwą osobę!

Cason mimo woli zacisnął pięści. Nie darmo się obawiał, że to póldiablę jednak wykreśli jakiś niespodziewany numer.

Szalony zamiar, tak, ale też i godny podziwu, pomyślał. Jego szacunek dla niej wzrósł jeszcze bardziej, jakby przecząc pierwszej niechętej reakcji. Rosellen okazała się dzielniejsza, niż jakkolwiek z wszystkich dotąd spotkanych przezeń kobiet. Próbowwała uratować porwaną dziewczynę, ryzykując właściwie wszystko.

Ciekawe, czy mieszkańcy Makowego Wzgórza w ogóle zdają sobie sprawę, jak niezwykłą osobę mają w swoim mieście. Najpewniej nie. bo skąd niby mieliby to wiedzieć? I jak to możliwe, żeby właśnie ta dzielna dziewczyna była córką tchórzliwego mordercy. Henry'ego Lattimera?

Zapłakana Mellie nadal usiłowała wyrwać się trzymającym ją bandytom i od czasu do czasu głośno pochlipywała, ale nie odezwała się ani słowem. Nie potwierdziła słów Rosellen, ale też im nie zaprzeczyła. Guthrie, mąż Mellie, również się nie odzywał, także i dlatego, że próbował tamować dość obfite krwawienie ze sporego guza tuż nad czołem, powstałego po uderzeniu kolbą rewolweru.

Cason przyglądał się szefowi bandytów. Po jego chytrych oczach można było poznać, że zastanawia się nad tym, co powiedziała Rosellen. Rzecz jasna, w dziewięciu przypadkach na dziesięć w ogóle nie byłoby nad czym się zastanawiać. Jednakże bandyta był też mężczyzną, a dla

każdego mężczyzny musiało być oczywiste, że Rosellen jest nieporównanie ładniejsza od Mellie.

Tymczasem drugi bandyta odciągnął kurek rewolweru i przystawił go do piersi Rosellen. Cason zrobił krok do przodu i to wystarczyło, by bandzior obrócił się i wycelował w niego. Potem znów zwrócił się do Rosellen.

- Nie lubimy, jak się nam wciska głupoty - powiedział. - Nie wyglądasz na bogatą, więc bądź cicho i nie pchaj się tam, gdzie cię nie wołają, zrozumiałaś?!

- Po co miałabym kłamać? - spytała Rosellen. - Co by mi z tego przyszło? Nie jesteście aż tak przystojni, żeby zaraz za wami lecieć!

Któryś z pasażerów nie wytrzymał i prychnął krótkim śmiechem, a Cason znowu zadrzał z niepokoju o Rosellen. Jej cięty język mógł ją łatwo kosztować życie. I zresztą nie tylko ją. Niech szlag trafi jej przekłętą odwagę! I niech się w końcu da zabić, jeżeli tak bardzo tego chce!

- Ona mówi prawdę - powiedział nagle, i chyba sam był tym najbardziej zdziwiony. Wcale nie zamierzał tego robić, ale nie potrafił jej po prostu zostawić w tej tak niebezpiecznej sytuacji.

Wciąż trzymając ręce nad głową, zrobił jeszcze krok do przodu.

- To my jesteśmy tym małżeństwem, o które wam chodziło - kontynuował, starając się, żeby to wypadło przekonująco. - Powiedźcie mi, ile chcecie pieniędzy, a także gdzie i kiedy mam je wam dostarczyć. Dopilnuję, żebyście je dostali, tylko nie róbcie nikomu krzywdy!

- Szefie, on rzeczywiście miał ze sobą dużą forszę! - powiedział najmłodszy z bandytów, który trzymał worek. - Widziałem na pewno! Miał znacznie więcej niż ten, którego szef walnął w głowę, więc może mówi prawdę?!

- Pewnie, że mówi prawdę! - odezwał się mąż Mellie spoza zakrwawionej chusteczki, którą od czasu do czasu dotykał przeciętej skóry. - Po co miałby kłamać na własną niekorzyść?

Cason popatrzył na niego z pewną odrazą. Jego żona z pewnością była śmiertelnie przerażona, ale przynajmniej miała tyle przyzwoitości, by się nie odzywać i nie ładować innych w kłopoty.

- No i co zrobimy? - spytał szef, spoglądając na swoich ludzi. Ci jednak milczeli.

- Nie wiecie? Co byście robili, gdybym ja nie myślał za was? No więc powiem wam, co zrobimy: zabierzemy obie. W ten sposób będziemy mieć pewność, że zabraliśmy tę właściwą.

Cason popatrzył na Rosellen. Z jej twarzy przebijała wciąż ta sama determinacja. Nie zamierzała się cofać, a on mógł się tylko zastanawiać, jak można pomóc komuś, kto tej pomocy jawnie nie chce.

- Idź do tamtej kobiety! - powiedział bandyta, obracając się do Rosellen. - I postaraj się, żeby przestała w końcu płakać. Bo jak ty jej nie uciszysz, to ja ją uciszę. No a my, chłopcy, zbieramy się.

- Za... zaraz! - zająknął się Guthrie. - Nie... nie powiedziałście nam, gdzie dostarczyć pieniądze i ile? - Krew z rozciętego czoła wciąż spływała mu po twarzy, plamiąc wykrochmalony biały kołnierzyk.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Pojutrze - odpowiedział szef. - Posłańcem ma być stary człowiek, ma z pieniędzmi przyjechać na mule pod Mamucią Skalę koło strumienia. Jeśli nie chcecie, żeby wasze kobiety wracały do was na piechotę, niech posłaniec przyprowadzi ze sobą dwa konie. Ale ostrzegam - jeżeli tylko zorientuję się, że ktoś próbuje nas śledzić po odjeździe, zastrzelę obie kobiety i zostawię ich ciała tak, żebyście mogli je znaleźć. A teraz wszyscy na podłogę! Leżeć i ani mi się ruszyć! Jeśli zobaczę w oknie czyjaś głowę, strącę jak makówkę! - Roześmiał się. - Bo muszę wam powiedzieć, że diabelnie dobrze strzelam!

Rosellen ledwie zdążyła zbliżyć się do zapłakanej Mellie, gdy bandyci chwycili je obie i wyprowadzili z wagonu. Ostatni z bandytów przed zatrzaśnięciem drzwi strzelił parę razy ponad oparciami siedzeń, zmuszając pasażerów do krycia się przed kulami.

Gdy tylko strzały umilkły, Cason zerwał się i nie dbając o całość własnej głowy, wyjrzał przez najbliższe okno. Zaklął pod nosem, nie widząc uciekających.

- Niech ktoś sprawdzi, czy ten postrzelony mężczyzna żyje! Może trzeba mu pomóc! - krzyknął na gapiących się na niego ludzi i rzucił się do drugiego okna. Stamtąd można było dostrzec odjeżdżających bandytów i ich ofiary, posadzone przez porywaczy na jednym koniu. Cała grupa oddalała się bardzo szybko.

- Obrabowali nas! - zawołał ktoś z głębi przedziału. - Co my teraz zrobimy?!

- Że obrabowali, to mało ważne! - zawołał Guthrie. - Porwali moją żonę!

- Gdzie jest konduktor i maszynista? - spytała jakaś starsza kobieta. - Oni będą wiedzieli, co należy zrobić!

Cason przypomniał sobie jej nazwisko. To była Nadine Oliver, żona Walta. Przedstawiła się im po incydencie z pijanym natrętem na jednej ze stacji.

- Niestety, raczej nie ma co na to liczyć - powiedział. - Gdyby mogli, dawno by już tu byli. Jesteśmy zdani tylko na siebie.

Walt tymczasem zakończył oględziny postrzelonego mężczyzny.

- Nie można mu już pomóc. Nie żyje - powiedział i obrócił się w stronę drzwi. - Pójdę jednak zobaczyć, co z konduktorem i maszynistą. Może któryś z nich żyje.

- Ale bądź ostrożny, Walterze - poprosiła Nadine. - Bandyci wciąż jeszcze mogą być w pobliżu.

- Ci mordercy zastrzelili naszego ochroniarza i porwali moją żonę! - jęknął Guthrie. - Co my teraz zrobimy?

Nikt nie odpowiedział.

- A pan nie spróbuje ich ścigać? - spytała Nadine Oliver, obracając się do Casona. - Porwali przecież i pańską żonę!

- No właśnie, nie pojedzie pan za nimi? - spytał mężczyzna w wytartym meloniku.

- Może mu nie zależy? - odezwała się jakaś kobieta w średnim wieku. - Ostatniej nocy się kłócili, sama słyszałam. Więc może on wcale nie chce za nią jechać?

- Niech pani nie opowiada takich nonsensów - powiedziała oburzona Nadine, przecierając zaczerwienione i podkrążone oczy. - Oczywiście, że ten pan pojedzie za swoją żoną. Ja ich już poznałam. Bardzo się kochają, a zeszłej nocy wcale się nie kłócili, tylko całowali!

- To prawda - przyznała druga kobieta. - To, że się całowali, też widziałam.

Cason musiał bez słowa wysłuchać całej tej bezsensownej rozmowy, choć akurat teraz najbardziej potrzebował chwili spokoju i zastanowienia przed podjęciem decyzji.

- Hej, a właściwie to czyja żona jest tak bogata? - krzyknął ktoś z głębi wagonu.

Guthrie zaczął przepychać się ku Casonowi. Był rozemocjonowany i najwyraźniej nie uświadamiał sobie, że tego rodzaju wyjątkowe sytuacje wymagają przede wszystkim spokoju i chłodnego rozsądku.

- To na moją żonę polowali bandyci - mówił podniesionym głosem. - I bardzo szybko zrozumieją, co jest grane!

- Lepiej byłoby, żeby to pan choć cokolwiek rozumiał - odpowiedział cierpko Cason. - Nie ma najmniejszego znaczenia, która z nich jest bardziej majątna. Porwano je obie i obie trzeba uwolnić, czy też może sądzi pan inaczej?

Zdezorientowany Guthrie zmarszczył czoło i odpowiedział pośpiesznie.

- Ależ nie, ma pan rację. Ja tylko... to znaczy, ja bardzo kocham swoją żonę i chciałbym, żeby jej się nic nie stało.

Cason jeszcze raz wyrzął przez okno i zobaczył te same sylwetki, ale już w znacznie większej odległości. Już nie potrafiłby rozpoznać Rosellen. Poczuł, jak nagle ściska mu się serce.

Długo usiłował sobie wmawiać, że jest inaczej, że mu na niej zupełnie nie zależy. Teraz to się zmieniło, choć on sam nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. Nagle zda! sobie sprawę, że boi się o nią wręcz rozpaczliwie. Jej ciągle zapewnienia, że nie potrzebuje jego pomocy i że świetnie da sobie radę sama, to było przecież zawracanie głowy. Należało natychmiast myśleć o tym, jak ją uwolnić. Poniewczasie żałował, że nie dał jej do zrozumienia, choćby spojrzeniem, że wyruszy w ślad za nią. Gdybyż tylko ona chciała mu wierzyć i nie podejmowała sama żadnych pochopnych decyzji...

Nie miał czasu na zastanawianie się nad wszystkimi przyczynami zmiany swego stosunku do Rosellen. Wiedział jednak na pewno, że to, co czuł podczas ostatnich pocałunków, zmieniło go bardziej, niż potrafił to sobie wyobrazić.

Otrząsnął się ze wspomnień i znów zaczął się zastanawiać nad planem postępowania. Od pociągu odjechało tylko czterech bandytów; zdążył to zauważyć, kiedy wyrzął za nimi po raz pierwszy. To oznaczało, że piąty z nich, któremu szef polecił zabić konduktora i maszynistę, najprawdopodobniej także został zabity. Rosellen i Mellie uwozili więc ci sami czterej bandyci, którzy obrabowywali ludzi w wagonie.

Rosellen próbowała uratować tę młodą kobietę przed porwaniem, ponieważ uważała to za swój obowiązek. Była odważna, ale i lekkomyślna. Gdyby tylko jeden albo nawet dwóch ludzi miało jej pilnować, Cason stawałby na Rosellen. Bandytów jednak było czterech, a to oznaczało, że praktycznie nie będzie miała szans, by uciec.

Trzeba było coś wymyślić. Pozostali pasażerowie również zastanawiali się, co należy robić dalej.

- Powinniśmy spróbować uruchomić pociąg - powiedziała Nadine.



- Ciekawe jak? - odezwał się starszy mężczyzna. - Nie umiem prowadzić lokomotywy.

- A kto umie? - spytał inny. - Lokomotywa to nie koń!

- Przestańcie gadać o lokomotywie - zawołał Guthrie. - Nie rozumiecie, że te łotry uprowadziły moją żonę? Jadę za nią!

- Tylko na czym? - spytał starszy mężczyzna tym samym tonem. - W tym pociągu nie ma koni. Słyszałem, że w towarowych wagonach jest tylko bydło.

- To nieprawda - oświadczył pasażer w meloniku. - Sam widziałem, jak do jednego z wagonów ładowano konie. Natomiast nic nie wiem o tym, żeby były tam również siodła i uprzęż.

- Pojadę na oklep, jeśli będzie trzeba - oświadczył Guthrie i spojrział na Casona. - A pan?

- Jeśli nie będzie innego wyjścia - zgodził się Cason. - Myślę jednak, że jeśli załadowano konie, to jeden lub dwa komplety uprząży też powinny się tam znaleźć.

- A co z pieniędzmi na okup? - spytała Nadine.

- Nie przewidujemy, żebyśmy ich potrzebowali - rzekł Cason.

- W porządku! Kto jeszcze jedzie z nami? - zapytał Guthrie, spoglądając po pasażerach. Jak słusznie przypuszczał Cason, nie znalazł się nikt chętny.

- Wobec tego pojedziemy sami. - Guthrie obrócił się do Casona. - Ruszajmy, nie ma ani chwili do stracenia.

- Nie tak szybko! - powstrzymał go Cason. Przypomniawszy sobie nic tak dawne czasy, kiedy to wspólnie z Busterem w bardzo podobnej sytuacji ścigali łotrzyków, którzy okradli poszukiwaczy. - Na razie w ogóle nie możemy zbliżyć się do nich za bardzo, gdyż mogliby nas zobaczyć. Nie warto wyruszać przed zmierzchem, jeżeli chcemy ich zaskoczyć. Oni na szczęście nazbyt się będą śpieszyć, żeby zacierać za sobą ślady, a grupa kilku koni zostawi tych śladów pod dostatkiem. Pojedziemy za nimi nocą.

- Wtedy może być za późno! - zaproponował Guthrie. - Te łotry mogą skrzywdzić Millie!

- Na pewno jej nie zabiją, ponieważ chcą dostać okup. Natomiast z całą pewnością zabiją każdego, kto dogoni ich za dnia. Pana również, niech pan nie ma co do tego wątpliwości. Dlatego musimy ruszyć później. Po zmroku będziemy mogli jechać znacznie szybciej, nie obawiając się, że nas spostrzegą. A przy odrobinie szczęścia może się okazać, że bandyci zechcą rozpalic ognisko podczas nocnego postoju. Wtedy będziemy mogli podkraść się do nich bez trudu.

- Wygląda na to, że pan wie, co mówi. - Roztrzęsiony Guthrie machinalnie otarł sobie twarz pokrzwawioną chusteczką. - Ściągał pan już kiedyś porywaczy?

- Porywaczy akurat nie, ale bardzo podobnych bandytów ścigaliśmy kilkakrotnie. Myślę, że te doświadczenia bardzo się teraz przydadzą. Zanim znajdziemy i osiodłamy konie, upłynie trochę czasu, a bandyci odjadą na taką odległość, że będziemy mogli ruszyć.

- Dobrze, a co z bronią? Nie mamy rewolwerów.

- Trzeba sprawdzić kieszenie tego zastrzelonego mężczyzny. O ile pamiętam, bandyci go nie przeszukiwali.

Guthrie ruszył do sąsiedniego przedziału, gdzie ułożono zastrzelonego, a Cason tymczasem sięgnął do swego plecaka i wyjął z niego ozdobnego jednostrzałowego Derringera o krótkiej lufie.

- To raczej zabawka, ale lepsza taka broń niż żadna - powiedział.

- Ja też mam broń - odezwała się całkiem niespodziewanie jakaś starsza kobieta. - Jest w torbie, tam na półce.

Wszyscy pasażerowie spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Starsza pani musiała mieć co najmniej siedemdziesiąt lat, była bardzo drobna i sprawiała wrażenie kruchej jak porcelana.

Jeden z mężczyzn zdjął z półki wskazaną mu torbę podróżną, otworzył ją i postawił na pluszowym siedzeniu obok starszej pani. Ta sięgnęła do środka i wyciągnęła coś zupełnie niezwykłego. Okazało się,

że to wspaniały, nowiuteński sześciostrzałowiec z ozdobną kolbą z delikatnie rzeźbionymi okładzinami z kości słoniowej. Był to najpiękniejszy rewolwer, jaki Casonowi zdarzyło się widzieć na przestrzeni całego życia. Taka broń z pewnością musiała kosztować fortunę.

- Gdzie pani to znalazła? - spytał.

- Kupiłam to - odpowiedziała starsza pani z błyskiem w oku. - Kiedy okazało się, że muszę jechać do mojej wnuczki do Denver, poszłam do sklepu i kazałam sobie dać coś, czym mogłabym się bronić w razie czego.

- I sprzedawca dał pani ten rewolwer? - spytał z niedowierzaniem Cason. Broń była rzeczywiście doskonała, ale zdecydowanie za ciężka, by tak stara kobieta mogła ją choćby podnieść i wycelować, nie mówiąc już o strzelaniu.

- Sprzedawca chciał mi wmówić, że powinnam raczej wziąć taką jednostrzałową damską zabawkę, ale mu powiedziałam, że mowy nie ma i że chcę prawdziwy rewolwer. Na przekór jego radom kupiłam największy, jaki mieli w sklepie. Wiedziałam, że taka broń może uratować życie, jeżeli nie mnie, to komuś innemu.

Cason spoglądał na broń i na starszą panią. Właśnie czegoś takiego potrzebował, żeby uwolnić Rosellen.

- Proszę mi podać swój adres - powiedział. - Odeślę to pani.

Starsza pani w odpowiedzi podała mu kilka paczek naboju, które również wyciągnęła z torby.

- Jeżeli ten rewolwer pomoże panu w uwolnieniu tych kobiet, niech pan go sobie zatrzyma. Tamten sprzedawca miał rację. Taka broń jest dla mnie za ciężka.

- Chyba rzeczywiście. Ale wobec tego może zechce pani wziąć to? - Cason ujął dłoń staruszki i położył na niej swego Derringera. - Przyjmie pani w zamian taką broń, w sam raz dla damy? Choć nie będę ukrywał, że robi pani raczej marny interes.

Starsza pani filuternie zmrużyła oko.

- W tych okolicznościach myślę, że jakoś to przeżyję - odpowiedziała i uśmiechnęła się.

- Miał pan rację, znalazłem drugi rewolwer w kieszeni zabitego - zawołał Guhrle, podnosząc się z podłogi. - No to obaj mamy broń, teraz możemy iść po konie.

- Zaraz, zaraz! - wykrzyknął mężczyzna w podniszczonym meloniku. - A jak my wszyscy, którzy tu zostajemy, dostaniemy się do miasta?

- Najpierw trzeba odblokować tor - powiedział inny. - Potem będziemy się martwić o resztę.

- A jeżeli lokomotywa nie ruszy, to po co odblokowywać?

Słuchając tych sporów o kolejność niezbędnych działań, Cason ruszył ku drzwiom. W gruncie rzeczy był zadowolony, że nie musi brać w tym udziału. Podejrzał nie bez podstaw, że to potrwa, i to długo. Tymczasem on wcale już nie miał tak wiele czasu do stracenia. Podobnie jak niewiele czasu pozostało Rosellen i Mellie.

Rosellen siedziała na ziemi na sposób indiański, ze skrzyżowanymi nogami. Ręce miała związane na plecach, konopny sznur wrzynał jej się w skórę. Obok niej siedziała podobnie skrepowana Mellie.

Obie przyglądały się otoczeniu i okolicy, powoli znikającej w zapadającym już zmierzchu. Najmłodszy z bandytów, zwany Boddie, zbierał suchą trawę i gałęzie, szykując ognisko na nocny postój. Dwaj inni poili konie w pobliskim strumieniu, a czwarty, nazwiskiem Hall, pilnował porwanych kobiet i rozglądał się dookoła, aby się upewnić, że nikt z pasażerów obrabowanego pociągu nie ruszył w ślad za nimi.

Rosellen niemal przez całą drogę usiłowała sobie odpowiedzieć na pytanie, co mogło oznaczać wymowne spojrzenie i szczególny wyraz twarzy Casona, kiedy bandyci wyprowadzali ją z wagonu. Odniosła wrażenie, że Cason pragnął jej coś przekazać, coś jej powiedzieć – ale w żaden sposób nie potrafiła odgadnąć, co by to miało być. Wcześniej spodziewała się czego innego – że zobaczy w jego twarzy tylko szyderstwo albo nawet jawną satysfakcję z tego, że oto wreszcie pozbył się jej na zawsze.

Dotychczas była dla niego głównie zawadą i przeszkodą. Jak więc mogła mieć nadzieję, że on mimo to zechce ją odszukać i spróbuje jej pomóc? Po tym wszystkim, co mu powiedziała ostatniej nocy, liczenie na interwencję z jego strony byłoby po prostu nierozumne, a mimo to Rosellen miała taką nadzieję. Wbrew wszystkiemu, także wbrew sobie.

Przez całą drogę odwracała głowę aż do bólu w mięśniach i wpatrywała się w linię horyzontu, usiłując wypatrzeć choćby najdrobniejszy znak, wskazujący na to, że po porwaniu nie zostały opuszczone, że ktoś jedzie w ślad za nimi. Ale wszystkie jej wysiłki okazały się daremne. Nie dostrzegła nic, żadnego ruchu, żadnej zbliżającej się sylwetki, żadnego obłoku kurzu spod końskich kopyt.

Teraz, gdy dzień już się kończył, straciła resztkę nadziei. Cason najpewniej był zadowolony, że wreszcie się jej pozbył, a za niemądre oczekiwania mogła winić tylko samą siebie.

Przez cały dzień, przy każdej nadarzającej się okazji, próbowała uwolnić dłonie z krępujących je więzów, lecz jedynym skutkiem było bolesne otarcie obu nadgarstków. Sznur był zawiązany zbyt mocno, by mogła sięgnąć palcami do węzła i próbować go rozwiązać. Po wielu godzinach bezskutecznych prób musiała w końcu przyznać sama przed sobą, że jej bracia podczas ich dawnych zabaw chyba celowo wiazali ją niezbyt starannie. Tak więc teraz należało raczej myśleć o jakichś innych sposobach uwolnienia się z rąk porywaczy.

Jeden z nich, nazwiskiem Reynolds, niemal przez całą drogę jechał obok i najwyraźniej miał pilnować obu kobiet. Robił to zresztą dość niedbale, co paradoksalnie jeszcze bardziej denerwowało Rosellen. To, że przez cały czas ani razu nawet nie sięgnął po zawieszony na biodrze rewolwer, wydawało się jej lekceważeniem porwanych, toteż tym bardziej uporczywie usiłowała wyswobodzić ręce. Gdyby jej się to udało, wyrwałaby mu tego colta i pokazała, jaki z niego patentowany osio!

Rosellen założyłaby się o sto dolarów, że potrafi strzelać lepiej niż którykolwiek z nich, łącznie ze skłonny do przechwałek Smalłym. Ponieważ jednak wciąż nie mogła uwolnić rąk, należało pomyśleć raczej o przechytrzeniu przeciwnika. Najbardziej niepokojące wydawało się to, że porywacze bez najmniejszych oporów wołali do siebie po nazwisku, zupełnie nie dbając o to, że słyszą ich przecież obie porwane. Mogło to oznaczać, że bandyci wcale nie mają zamiaru ich wypuścić, nawet po otrzymaniu okupu.

Ucieczka byłaby zapewne znacznie łatwiejsza, gdyby nie Mellie. Wystarczyło spojrzeć na jej przerażoną minę, by zdać sobie sprawę, że ta delikatna młoda kobieta wymagałaby troski i opieki nawet w normalnych warunkach, nie mówiąc już o tak wyjątkowej sytuacji.

Rosellen działała pod wpływem impulsu, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Wiedziała tylko tyle, że Mellie znalazła się w niebezpieczeństwie i że trzeba jej pomóc. Dopiero teraz, mając sporo czasu na zastanowienie, Rosellen gotowa była przyznać, że istniały i inne, być może lepsze rozwiązania. Można było na przykład pozostać w pociągu i potem przyłączyć się do pościgu.

Jechały konno przez cały dzień, z jednym jedynym postojem dla napojenia koni i załatwienia potrzeb fizjologicznych. Tylko przy tej okazji rozwiązano im ręce i wtedy też Rosellen mogła zamienić kilka zdań z Mellie. Powiedziała jej, jak się nazywa, i usiłowała ją uspokoić, tłumacząc, że zamierza jej pomóc. Koniecznym warunkiem było jedynie to, by Mellie jej zaufała i robiła posłusznie to, co Rosellen jej każe. Dla samej Rosellen byłoby to łatwe, nauczyła się tego podczas zabaw z braćmi. Nie można jednak było mieć pewności, jak zachowa się rozpieszczona dziedziczka, która kuliła się ze strachu pod każdym spojrzeniem bandyty.

Podczas drogi Rosellen starała się w miarę możliwości obserwować zachowanie i charaktery czwórki porywaczy, rozpoznać ich silne i słabe strony. Szef całej grupy, zwany Smally, wydawał się z nich wszystkich najbystrzejszy, ale też i najbardziej nikczemny. Jego złośliwe szyderstwa, z których sam śmiał się najgłośniej, były szczególnie denerwujące. Stosunkowo najmniej odpychający wydawał się najmłodszy z bandy, właśnie ów Boddie, którego pozostali najwyraźniej lekceważyli, czym on się zresztą wcale nie przejmował, pogwizdując sobie bądź podśpiewując pod nosem. Rosellen uznała, że w razie potrzeby Boddiego stosunkowo łatwo da się wyprowadzić w pole.

Krepy i przysadzisty osobnik, nazwiskiem Hall, był raczej milczący. Do porwanych nie odzywał się w ogóle, z pozostałymi komunikował się rzadkimi mruknięciami.

Reynolds był mniej więcej w tym samym wieku co szef bandy. Wydawał się dość inteligentny, w każdym razie Rosellen miała wrażenie,

że przejrzał jej grę od razu, jeszcze w pociągu. To, że nie zdemaskował jej tam na miejscu i pozwolił jechać wraz z Mellie, mogło być tym bardziej niepokojące.

Rosellen była wystarczająco dorosła, by zdawać sobie sprawę, że gdy tylko bandyci zaspokoją pierwszy głód, bardzo szybko pomyślą o zaspokojeniu apetytów zupełnie innego rodzaju. Tak więc obie z Mellie musiały się szykować do walki lub uciezki.

Suche gałęzie błyskawicznie zajęły się jasnym płomieniem i już po chwili kociołek z wodą wisiał nad ogniem. Hall podszedł bliżej i usiadł obok torby z prowiantem.

- I co, wypatrzyłeś kogoś? - spytał Boddie.

- Nic i nikogo. Nie ma najmniejszego śladu pościgu. Mówiłem zresztą Smally'emu, że nie warto nawet się oglądać.

Boddie kiwnął głową i z uśmiechem spojrział na Rosellen i Mellie.

- Wobec tego mamy te dwie kobietki dla siebie - powiedział.

Hall otworzył torbę i zajrzał do środka.

- No nie wiem - powiedział, kręcąc głową. - Smally mówi, że zabraliśmy te kobiety dla pieniędzy i dla niczego poza tym. Z całą resztą mamy poczekać, póki nie znajdziemy się w Meksyku, gdzie będzie pełno ciemnokochających seniorit.

- Nie wiem, czy dam radę czekać - odpowiedział Boddie. - Tak mi się tego chce, że to aż boli, rozumiesz mnie? Poza tym za jedną z nich nie dadzą nam żadnych pieniędzy. To nie nasza wina, że nie wiemy, którą można szturchnąć, nie?

Hall popatrzył na uwięzione kobiety i w zamyśleniu podparł brode rękami. Rosellen miała ochotę splunąć w jego stronę, postanowiła jednak, że rozsądniej będzie chwilowo udawać uległość i nawet pewną chęć współdziałania, tylko wtedy bowiem istniała szansa, że bandyci je rozwiążą.

- Jest jakaś racja w tym, co mówisz - powiedział Hall po chwili namysłu. - Ale tak czy inaczej, najpierw musimy coś zjeść.



- Ja wcale nie chcę jeść. Chcę się położyć między nogami jednej z tych kobiet.

Mellie jęknęła z przerażenia i nieznacznie odwróciła się w stronę Rosellen.

- Całe szczęście, że tu jesteś - szepnęła. - Nie wytrzymałabym tego, gdybym była tu sama. Tak strasznie się boję.

Rosellen kiwnęła głową. Nie chciała, by Mellie zauważyła, że nie tylko ona jedna się boi.

- Jeszcze nie jest tak naprawdę ciemno - powiedział Hall.

- No to co? - spytał Boddie.

- Trzeba poczekać. Nie lubię, żeby niebo widziało, jak wystawiam goły tyłek.

- Daj spokój, niebu to nie przeszkadza. Zresztą już jest prawie noc. A poza tym ja wcale nie chcę tego robić akurat tutaj. Wezmę którąś z nich tam wyżej, na wzgórzu.

- I pozwolisz jej uciec - powiedział drwiąco Hall..

- Żadna kobieta nigdy mi nie uciekła - oświadczył Boddie. -I nie ucieknie.

- No to idź i pogadaj ze Smalym. To on o wszystkim decyduje. Ja tam w każdym razie najpierw się najem, a dopiero potem pomyślę o kobiecie.

Boddie podniósł się i poszedł zebrać więcej gałęzi na ognisko. Po tym, co powiedział, Rosellen uznała, że musi zacząć coś robić, bo czasu pozostawało naprawdę niewiele, a na pomoc od kogoś z zewnątrz też już przestała liczyć.

- Macie w tej torbie coś, z czego można by zrobić kolację? -zwróciła się do Halla.

- Fasolę i solony boczek.

- A który z was gotuje?

- Zwykle ja muszę to robić, bo reszta nie ma o tym pojęcia. Jak który z nich coś przyrządzi, to nadaje się tylko do wyrzucenia.

Rosellen spojrzała znacząco na Mellie.

- Pewnie dlatego, że przygotowywanie posiłków to jednak zajęcie dla kobiety - powiedziała głośno, a potem szepnęła do Mellie: - Powiedz mu, że ja świetnie gotuję!

Mellie skinęła głową i odkaslnęła.

- Może panowie pozwoliliby, żeby jedna z nas przygotowała kolację? Panna Rosellen jest w tym naprawdę świetna. Kiedy coś zrobi, wszyscy się wręcz zajądają!

Hall popatrzył na nią nieufnie.

- Co bogata kobieta może wiedzieć o gotowaniu? - spytał.

- Wszystko! - odpowiedziała Mellie. - Może pan tego nie wie, ale w szkołach dla pańienek z dobrych rodzin przede wszystkim uczą dobrze gotować. To zupełnie podstawowa umiejętność dla pań domu.

Hall popatrzył na nią, a potem na Rosellen.

- To prawda? - spytał.

- Tak, oczywiście. Ale pan z pewnością potrafi przygotować fasolę z boczkiem tak, jak to robią kobiety. Prawda?

Zapytany kiwnął głową potakująco, ale po jego oczach widać było, że wcale nie jest tego pewny.

- Cały sekret robienia dobrej fasoli z boczkiem polega na tym, by odpowiednio przysmażyć ten boczek.

- Przysmażyć?

- Tak - potwierdziła Rosellen. - Jeśli rozwiąże mi pan ręce, mogę to panu pokazać.

- Nie mogę tego zrobić.

- Ależ może pan. Chyba mnie się pan nie boi?

- Oczywiście, że nie.

- No więc właśnie. - Obróciła się ku Boddiemu, który właśnie wrócił z drewnem do ogniska. - Rozwiążecie mi ręce i ugotuję pyszną kolację, a wy obaj możecie siedzieć z wycelowanymi we mnie rewolwerami, jeżeli obawiacie się, że ucieknę.

Boddie popatrzył na Halla.

- Czy ona próbuje cię namówić, żebyś jej rozwiązał ręce? Hall skinął głową.

- Nie musicie tego robić, jeżeli się boicie - powiedziała Rosellen prowokacyjnie współczującym tonem. - Jak nie, to nie.

- Żaden z nas nie obawia się kobiety - oświadczył Boddie. - Ale nie wiem, co na to powie Smally.

- Jak tylko spróbuje mojej fasoli z boczkiem, będzie wręcz zachwycony, że mnie rozwiązaliście No, dalej, pośpieszcie się. Wszyscy z pewnością są bardzo głodni.

Hall spojrział w stronę strumienia, gdzie Smally i Reynolds wciąż poili i kapali konie. Potem obrócił się do Rosellen i kiwnął głową.

- Dobrze, ale jeśli tylko zobaczę, że któraś z was próbuje uciec, od razu strzelam!

Tak więc pierwsza część planu się powiodła. Hall rozwiązał ręce Rosellen, cofnął się o parę kroków i z dłonią opartą na biodrze tuż obok rewolweru obserwował jej poczynania.

Rosellen natychmiast zabrała się do przygotowywania kolacji. Mały kociołek ustawiła na rozżarzonych węglach, wsypała kawę i zalała ją wrzątkiem. Do reszty wrzątku w dużym kociołku wsypała fasolę i zawiesiła nad ogniem. Z drugiej strony ogniska również wygarnęła kilka rozżarzonych węgli i ustawiła na nich patelnię z boczkiem, który już po krótkiej chwili zaczął skwierczeć, rozsiewając wokół smakowity zapach.

Niespodziewanie zdała sobie sprawę, że prawie już nie słyszy prostackich rozmów Boddiego i Halla o czekającej ich nocy cielesnych uciech ani ich ordynarnych żartów na ten temat. Krzątanie się przy przygotowywaniu posiłku najwyraźniej podziałało na nią uspokajająco. Z wolna w jej umyśle zaczynał się kształtować pewien plan.

- Przysuń się do ognia, tak żebyś mnie dobrze słyszała - szepnęła, gdy Mellie podeszła bliżej. - Spróbuję nas z tego wyciągnąć jeszcze dzisiaj.

- Ale jak? - spytała równie cicho Mellie.

- Jeszcze nie wiem na pewno. Ale nawet gdybym jako jedyną broń miała wrzącą kawę i gorący tłuszcz z patelni, użyję ich. Na razie nie martw się tym za bardzo. W ten czy inny sposób spróbuję rozwiązać ci ręce i wtedy na mój znak masz natychmiast biec co sił w nogach w kierunku tych wielkich okrągłych głazów u podnóża wzniesienia z lewej strony. Widzisz je?

Mellie skinęła głową.

- Tam jest już zupełnie ciemno - powiedziała.

- I o to właśnie chodzi. Biegnij szybko i natychmiast schowaj się tak, żeby cię nie mogli znaleźć.

- Przynajmniej do jutra rana.

- O tym pomyślimy później. W każdym razie jeśli uda nam się uciec im dzisiaj, zyskamy sporo na czasie, a to jest najważniejsze.

- A gdzie ty będziesz?

Rosellen kątem oka spojrzała na wciąż gadających ze sobą Halla i Boddiego.

- Będę biegła tuż za tobą. Albo nawet przed tobą, jeżeli nie będziesz biegła dość szybko. Na pewno nie zamierzam tu nocować.

Na twarzy Mellie malował się lęk.

- Mój mąż przyjedzie tu za mną. Jestem tego pewna.

- Jeżeli będzie mógł - odpowiedziała Rosellen. - Nie zapominaj, że dostał bardzo mocny cios kolbą rewolweru.

- Ale nie myślisz chyba, że to mogło go zabić? - spytała Mellie i jej oczy natychmiast zaszkliły się łzami.

- Ależ oczywiście, że nie! - zapewniła ja Rosellen. Kolejny raz powiedziała sobie, że musi bardzo uważać na to, co mówi swej towarzyszce niedoli. Jedno nieopatrzne słowo wystarczy, by znów zaczęła szlochać.

- Nie płacz, bo to zwróci ich uwagę - powiedziała łagodnie. - Potrzebuję twojej pomocy, więc weź się w garść. Musisz być dzielna, jeżeli chcesz szybko zobaczyć męża.

Mellie skinęła głową.

- Postaram się. Obiecuję, że będę dzielna. I obiecuję, że jeśli wyjdziemy z tego żywe, na pewno otrzymasz zapłatę.

- Zaraz, o czym ty mówisz? - spytała Rosellen, przewracając widelcem skwierczący boczek.

Mellie spojrzała na nią.

- No bo przecież zrobiłaś to dla pieniędzy, prawda? Rosellen syknęła mimo woli, obracając się ku Mellie.

- Po pierwsze, nie „jeśli z tego wyjdziemy”, tylko „na pewno z tego wyjdziemy”, zrozumiano? A po drugie, wcale nie chcę twoich pieniędzy. Zrobiłam to, co zrobiłam, bo widziałam, że jesteś przerażona i potrzebujesz pomocy.

Twarz Mellie nagle pojaśniała.

- Naprawdę? Zrobiłaś to dla mnie? Nie dla nagrody?

- Oczywiście!

- Ktokolwiek dla mnie coś robił, zawsze oczekiwał za to pieniędzy. Tak było przez całe moje życie. Nawet mój mąż ożenił się ze mną dla pieniędzy. - Mellie spuściła oczy. - On się nie domyśla, że o tym wiem, ale tak właśnie jest.

Rosellen nagle zdała sobie sprawę, że ogarniają ją fale współczucia. Na jej oczach Mellie zmieniała się z wyleknionej dziewczyny w dojrzałą, smutną kobietę.

- Co ty opowiadasz?! - zaprotestowała z najgłębszym przekonaniem, na jakie potrafiła się zdobyć. - Jestem pewna, że to nieprawda.

- Chyba jednak prawda - powiedziała Mellie. - Nie jestem zbyt ładna, a Guthrie jest bardzo przystojny. Mógłby się ożenić z każdą kobietą, której by zapragnął.

- A jednak wybrał ciebie - dokończyła Rosellen. Po raz pierwszy sama rozmawiała z kimś tak, jak zwykle kobieta rozmawia z kobietą. Z pewnym zdziwieniem stwierdziła, że sprawa jej to przyjemność- Myślę, że źle oceniasz motywy postępowania swojego męża. Przecież kiedy bandyci zastrzelili twojego ochroniarza, Guthrie sam stawiał im czoło i próbował cię ratować, prawda? Ryzykował życie, a czegoś takiego nie robi się dla osoby, której się nie kocha!

Oczy Mellie pojaśniały.

- Naprawdę tak myślisz?

- Oczywiście. I jestem pewna, że już wyruszył w ślad za nami, żeby cię ratować.

Mellie uśmiechnęła się i popatrzyła na Rosellen z wdzięcznością.

- Może więc Guthrie rzeczywiście kocha mnie tak, jak twój mąż kocha ciebie.

Rosellen w odpowiedzi mogła się tylko uśmiechnąć. Skądinąd rzeczywiście była przekonana, że Guthrie ruszy w ślad za swą żoną i że będzie próbował ją uwolnić, dużo trudniej było żywić nadzieję, że i Cason postąpi podobnie. Nie warto było na to liczyć.

Te niewesołe rozmyślenia przerwały jej podniesione głosy, dobiegające od strony strumienia. Wyglądało na to, że Smally i Reynolds kłóca się o coś. Zaciekawiony Boddie podniósł się i poszedł w ich stronę, Hall jednak pozostał, by nadal pilnować Rosellen i Mellie.

- O co tak się spierają Smally i Reynolds? - odwróciła się i spojrzała pytająco na Halla.

Hall przysunął się bliżej ognia, przeciągnął się i ziewnął.

- Chyba dzielą działkę Jeda - powiedział.

- Jakiego Jeda?

- Był z nami, ale musiał chyba sam dostać kulkę, kiedy poszedł załatwić konduktora i maszynistę. W każdym razie później już się nie pokazał, więc to, co miało przypaść na niego, teraz trzeba będzie

podzielić – Hall przeciągnął się i ziewnął ponownie, jeszcze bardziej donośnie,

Rosellen przyjrzała mu się uważniej, a to, co zobaczyła, zaczęło w niej budzić nadzieję. Niemłody już bandyta najwyraźniej odczuł trudy długiej jazdy i teraz morzył go sen. Należało pozwolić mu usnąć. Cicho nucąc pod nosem, wróciła do kociołka z fasolą, zamieszała ją, a zagotowaną już kawę odsunęła na bok. Raz po raz rzucała okiem na Halla, któremu powieki coraz, bardziej się kleiły. Rosellen znaczącym spojrzeniem zwróciła na to uwagę Mellie, kładąc jednocześnie palec na ustach.

Hall próbował jeszcze walczyć z sennością, przecierał oczy i na chwilę unosił głowę, ale po upewnieniu się, że Mellie wciąż siedzi bez ruchu, a Rosellen krząta się pilnie przy fasoli i boczkku, ponownie pogrążał się w coraz głębszej drzemce. Kiedy po raz kolejny przymknął oczy, Rosellen postanowiła zaryzykować. Gestem nakazała Mellie przybliżyć się tak, by przy ciągłym mieszaniu fasoli lewą ręką palcami niewidocznej dla Halla prawej dłoni rozsypywać węzeł krępujący dłonie jej towarzyszki niedoli.

Była tak przejęta i zdenerwowana, że początkowo palce w ogóle nie chciały jej słuchać. Odetchnęła głęboko raz i drugi, starając się uspokoić. Węzeł wciąż nie dawał się rozwiązać, zupełnie tak samo, jak podczas dawnych zabaw z braćmi. W takich wypadkach Walter śmiał się z niej i nazywał ją smarkatą, a ona wszelkimi siłami starała się udowodnić, że jednak potrafi się uwolnić. Przypomniała sobie, jak za ostatnim razem w końcu jej się to udało i w tym momencie jej palce machinalnie powtórzyły ten sam ruch. Sznur na dłoniach Mellie nagle stał się luźny i po chwili opadł na ziemię.

Rosellen pochyliła się do ucha Mellie i szepnęła:

– Trzymaj nadal ręce tak, jak gdybyś była związana, ale bądź gotowa. A kiedy dam ci znak, biegnij jak wszyscy diabli!

Mysł, że mogłyby rzeczywiście uciec, ekscytowała ją, ale też napawała lękiem, bardzo bliskim paniki. Z trudem opanowała przyspieszony nagle oddech. Spojrzała na Halla, a potem na pozostałych trzech bandytów, oddalonych ledwie o kilkanaście metrów. Nic nie wskazywało na to, by którykolwiek z nich zauważył, że porwane kobiety mają rozwiązane dłonie.

Rosellen rozejrzała się dookoła. Chwila wydawała się idealna, by podjąć próbę ucieczki. Światła było akurat tyle, by w miarę pewnie dobiec do upatrzonych ogromnych gładów i skryć się, nim ktokolwiek dostrzeże ich ucieczkę. Odetchnęła głęboko raz i drugi, po czym podniosła się znad kociołka z fasolą, obracając się ku Mellie. Już miała jej dać znak, gdy nagle jakiś smolny sęk strzelił w ogień głośno jak pistolet. Rosellen zamarła, bo Hall otworzył oczy.

- Czy żarcie już gotowe? - spytał. Popatrzyła na niego i wolno skinęła głową.

- Tak. Może pan pójdzie i powie pozostałym, że już mogą przyjść.

Hall podniósł się i rzeczywiście ruszył w stronę strumienia. Rosellen modliła się w duchu, by poszedł aż na sam brzeg, ale on zrobił tylko parę kroków, po czym krzyknął przez zwinięte dłonie:

- Wracajcie wszyscy, żarcie gotowe!

Serce Rosellen zamarło, ale tylko przez chwilę nie była pewna, co powinna robić. Należało uciekać natychmiast, dopóki tamci byli jeszcze stosunkowo daleko. Z jednym jeszcze można było jakoś sobie poradzić, z czterema na pewno nie.

Hall tymczasem już wrócił do ogniska i pochylił się nad kociołkiem. Rosellen w jednej chwili zerwała się na równe nogi, wrzasnęła „Uciekaj!” w stronę Mellie i jednocześnie z całych sił pchnęła Halla prosto na kociołek.

Krepy i przysadzisty bandyta zachwiał się niebezpiecznie, ale ostatecznie jakimś cudem utrzymał się na nogach. Oniemiała Rosellen rzuciła się do ucieczki, ale Hall z zadziwiającą jak na niego szybkością



obrócił się i kiedy już miała mu się wymknąć, chwycił ją za włosy, zatrzymując ją niemal w miejscu.

- Ty przekłeta suko! - wrzasnął, usiłując przygiąć do ziemi wrywającą się Rosellen. - Należałoby cię na miejscu zastrzelić i ja to chyba zrobię!

Rosellen kątem oka zdążyła dostrzec Mellie, umykającą w stronę wielkich głazów. Szarpiąc się bezsilnie z zyskującym coraz większą przewagę Hallem, przypadkowo dotknęła rączki pozostawionej na rozżarzonych węglach patelni. Ostatkiem sił chwyciła za tę rękojeść i chlusnęła gorącym tłuszczem prosto w twarz Halla.

Bandyta puścił ją i wrzasnął przeraźliwie. Jak straszny musiał być ten ból, Rosellen przekonała się niemal w tej samej chwili, ponieważ kilka kropli rozpalonego tłuszczu prysnęło i jej na rękę.

Tymczasem trzech pozostali bandyci już biegli w jej stronę. Rosellen odwróciła się i zaczęła uciekać co sił w nogach. Mięśnie miała tak sztywne, że biegła jakby na drewnianych szrudłach, mając wrażenie, że porusza się niesłychanie wolno. Gdzieś przed sobą widziała uciekającą Mellie.

- Szybciej! Szybciej! - wrzeszczała do Mellie, ale też i do siebie, gdy wtem pierwsza kula bzyknęła jej koło ucha. Zaraz po niej przeleciały następne.

- Jasna cholera! - zakląła Rosellen, widząc, że przerażona strzałami Mellie przystanąła, a po chwili zniknęła jej z oczu. Tylko tego brakowało, prawdopodobnie ją trafili!

Usiłowała biec jeszcze szybciej, by skryć się za skałami, nim jakaś kula dogoni także i ją, lecz nagle potknęła się i upadła, co prawdopodobnie ocaliło jej życie. Dwie kule trafiły w pień drzewa tuż nad jej głową. Niemal automatycznie zrobiła to, co należało - obróciła się na bok i turlając się po ziemi oddaliła się od miejsca, gdzie skierowane były wszystkie kule. Ale bandyci musieli być już bardzo blisko.

Spojrzała do tyłu i zobaczyła Reynoldsa – był już ledwie kilka metrów od niej, gdy nagle zatrzymał się w pełnym biegu, chwycił się za pierś i upadł do przodu, twarzą w piach. Dopiero wtedy Rosellen zdała sobie sprawę, że ktoś strzela do bandytów.

Dwa kolejne wystrzały powaliły Smally'ego i Boddiego. Stojący wciąż przy ognisku straszliwie poparzony Hall usiłował strzelać na oślep, ale następne kule zabiły również i jego.

Rosellen patrzyła na to wstrząśnięta. Dopiero po chwili odetchnęła z ulgą, widząc w świetle ogniska Casona i Guthriego z dymiącymi rewolwerami w dłoniach. W tej samej chwili nogi jej zmiękły i bezwładnie osunęła się na ziemię. Choć nie czuła zimna, całe jej ciało dygotało jak w febrze. Odruchowo wtuliła twarz w dłoń i przez dłuższą chwilę trwała tak nieruchomo, nie mogąc dojść do siebie. Pierwszy raz zobaczyła na własne oczy ludzi zabijanych przez kule i nie był to miły widok, nawet jeśli ginącymi byli ci, którzy chcieli zabić ją.

Nagle usłyszała przeraźliwie wysoki krzyk radości „Guthrie!” i zobaczyła rozpromienioną Mellie, która przebiegła tuż obok niej. Nie miała jednak siły, by choćby się ruszyć.

Należałoby się pozbierać i jakoś ogarnąć myślami to wszystko, co się stało, ale w jej przypadku było to wykluczone. Ona mogła teraz myśleć tylko o jednym. Cason przyjechał tu – dla niej! Przyjechał, żeby ratować nie kogo innego, tylko właśnie ją! Na myśl o tym miała ochotę śpiewać ze szczęścia. Czuła teraz nie tylko ogromną ulgę i satysfakcję, ale i coś więcej. To nie dające się określić słodkie uczucie było pełne ciepła, czułości i niezwykle kojącej radości. Uśmiechnęła się na samą myśl o tym.

I niemal w tej samej chwili została nagle uniesiona i podtrzymana przez parę mocnych męskich ramion. Szczupła dłoń przesunęła się ostrożnie po jej klatce piersiowej, ramionach i brzuchu.

– Rosellen, jesteś ranna?

Otworzyła oczy i zobaczyła Casona, wpatrującego się w nią z wyrazem z troskania i wręcz panicznej trwogi. Trwogi o nią! Trudno było w to uwierzyć, ale ten silny mężczyzna drżał teraz niczym liść osiki. Rosellen czuła to, przytulona do niego całym ciałem. Czuła też, jak gwałtownie bije jego serce.

- Nie jestem ranna - powiedziała. - Wszystko w porządku.

- Jesteś pewna? Bo widziałem, jak upadłaś.

Rosellen zadrżała, uświadamiając sobie nagle, jak bliska śmierci była jeszcze przed chwilą.

- Potknęłam się i to chyba mnie ocaliło - powiedziała. - Kule trafiły w pień drzewa tuż nad moją głową.

Cason objął ją mocniej i przytulił do siebie.

- Nie myśl o tym. Już jest po wszystkim, jesteś teraz bezpieczna.

- A co z Mellie?

Cason odwrócił głowę i spojrzał za siebie.

- Wygląda na to, że wszystko z nią w porządku - powiedział. Jest z Guthriem.

- Bandyci nie żyją?

- Chyba tak, Guthrie miał to jeszcze sprawdzić. Nie miałem czasu nawet o tym myśleć, byłem zbyt przerażony, kiedy zobaczyłem, że padasz.

- Bales się o mnie?

- Potwornie!

Rosellen poczuła słodki skurcz w sercu. Cason bał się o nią, przejmował się nią i mówił to głośno i otwarcie, a ona tym razem wierzyła mu bez zastrzeżeń. I bardzo nie chciała opuszczać bezpiecznej przystani jego ramion. Nawet nie próbowała do końca rozumieć tego, co czuła do niego w tej chwili. Z pewnością była mu wdzięczna za uratowanie życia, ale to była ledwie część jej odczuć. Drobną część tego, czego nie umiała jeszcze powiedzieć nawet samej sobie.

- Chciałaś, żebym przyjechał, prawda? - zapytał, gładząc ją po rozrzuconych w nieładzie włosach.

- Pewnie, że tak - odpowiedziała, tłumiąc śmiech. - Tylko czemu, do cholery, trwało to aż tak długo?

Cason też się roześmiał, a potem delikatnie przejechał palcami po jej wargach, brwiach i nosie. Każde takie dotknięcie zdawało się odpędzać od niej resztki lęku.

- Może po prostu chciałem zobaczyć, czy sama dasz sobie radę z tymi bandytami - powiedział i znów się uśmiechnął. - I muszę przyznać, że bardzo niewiele zabrakło, żeby ci się to udało. Ale najważniejsze było to, że dzięki tobie byłyście wystarczająco oddalone od bandytów i mogliśmy do nich strzelać bez obawy trafienia którejś z was. To było decydujące!

Rosellen kiwnęła głową i przymknęła oczy. Czowała się tak bezpieczna w jego ramionach! Po raz pierwszy od bardzo dawna miała poczucie, że cała odpowiedzialność nie spoczywa już na niej, że teraz troszczy się o wszystko ktoś, komu można zaufać. Było to dla niej całkiem nowe i zaskakująco przyjemne doznanie.

- Mam niejasne poczucie, że chyba powinnam ci podziękować za uratowanie nas, nie sądzisz?

- No cóż, pewne oznaki wdzięczności byłyby z pewnością mile widziane - w jego głosie drgała nutka rozbawienia. - Zwłaszcza jeśli chciałabyś tę wdzięczność wyrazić tak, jak to właśnie w tej chwili robi Mellie z Guthriem.

Cason zamilkł nagle i zamarł, słysząc tuż za plecami niski męski głos:

- Stać i nie ruszać się!

Rosellen drgnęła przestraszona, ale Cason trzymał ją mocno.

– Bądź cicho i nie ruszaj się – powiedział półgłosem prosto do jej ucha. Potem wyprostował się i spytał: – A z kim mam przyjemność?

Usłyszał kilka ciężkich kroków i po chwili w polu widzenia pojawił się ogromny brodaty mężczyzna z dubeltówką wycelowaną prosto w pierś rozmówcy. Broń, jakiej używał nieznajomy, wskazywała, że raczej nie był to jeden z bandytów. Nie oznaczało to jednak, że nie był niebezpieczny.

Zapadła już noc, ale ciemne niebo rozjaśniał teraz wiszący nad wzgórzem ogromny księżyc w pełni i miriady migocących gwiazd. W tym świetle można było nawet rozróżnić rysy twarzy. W każdym razie Cason mógł z ulgą stwierdzić, że dubeltówka wycelowana jest w niego, a nie w Rosellen.

– To ja będę zadawał pytania – powiedział brodac. – Na razie oboje pójdziecie grzecznie i spokojnie w stronę waszych towarzyszy. Przez cały czas trzymam palec na spuście. Jeden gwałtowny ruch i strzelam!

– Niech pan lepiej nie przesadza z tą dubeltówką – powiedział spokojnie Cason. – Mielśmy i tak dość kłopotów, jak na jeden dzień.

– A ja mam już dosyć mężczyzn z bronią, którzy chcą mi rozkazywać – powiedziała Rosellen, wysuwając się z objęć Casona. – Tylu ich dziś obejrzałam, że starczy mi na całe życie.

Cason zauważył, że w jej spojrzeniu nie było już lęku i przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie świadczyło to również o zaufaniu, jakiego nabrała do niego po tym, co się wydarzyło.

– Pozwól, że ja to załatwię, Rosellen – powiedział i obrócił się do brodatego olbrzyma. – Czego pan chce? Co mamy zrobić?

– Chcę, żebyście podnieśli ręce do góry i wolno podeszli do dwójki pozostałych tak, żebym mógł mieć was wszystkich na oku – lułą dubeltówki wskazał na Mellie i Guthriego.

Rosellen sapnęła głośno, ale ku zaskoczeniu Casona nic nie protestowała, podniosła ręce i w milczeniu ruszyła wraz z nim w wskazaną stronę. Tymczasem nic nie podejrzewający młodzi małżonkowie wciąż pozostawali spleceni w uścisku. Dopiero w ostatniej chwili Guthrie zorientował się, że coś jest nie w porządku i wysunął się lekko do przodu, zasłaniając sobą zaskoczoną Mellie.

- Co się tu dzieje? - spytał.

- Ten człowiek twierdzi, że tylko on zadaje pytania - powiedział Cason. - A przekonuje opornych za pomocą dubeltówki.

- Guthrie, proszę cię, zrób wszystko, czego tylko zażąda! - w głosie Mellie znów zabrzmiał strach. - Nie chcę już więcej strzelania i trupów, nie zniosłabym tego.

- Nie martw się, skarbie, teraz jesteś pod moją opieką. Nikt ci nie zrobi nic złego!

Brodaty olbrzym przyglądał się im uważnie.

- Najpierw chcę wiedzieć, kim jesteście - powiedział. - A potem chciałbym, żeby mi ktoś wyjaśnił, skąd się tu wzięły ciała czterech zastrzelonych mężczyzn?

Słyszając to, Cason odetchnął z pewną ulgą. Jeżeli ten człowiek pytał o ciała zabitych bandytów, to raczej nie miał jakichś szczególnie groźnych zamiarów wobec ich czworga.

- Ja nazywam się Cason Murdock - powiedział. - Zastrzeleni mężczyźni są bandytami, którzy napadli na pociąg, zabili konduktora i maszynistę, obrabowali pasażerów i porwali te dwie kobiety dla otrzymania okupu.

- Nie mówiąc już o tym, że chcieli nas zgwałcić, a potem zabić - dodała Rosellen.

Olbrzym przeniósł wzrok na Mellie i Guthriego.

- Czy państwo to potwierdzają? - spytał, wciąż jeszcze nie opuszczając lufy dubeltówki.

Mellie wysunęła się spoza osłaniającego ją własnym ciałem Guthriego, nadal jednak kurczowo trzymając się jego ramienia. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Oczywiście, że to potwierdzamy - powiedziała. - To mój mąż, Guthrie Wilkerson. Przybył tu w ślad za mną, ponieważ mnie kocha - spojrzała na Rosellen, a potem znów na mężczyznę z dubeltówką. - Proszę nie robić nam krzywdy. I tak przeszliśmy dziś zbyt dużo.

Cason spojrzał na Rosellen, która w odróżnieniu od Mellie bynajmniej nie wyglądała na przestraszoną. Oczy jej gniewnie błyszczały, widać było, że gotowa jest stawić czoło wszystkim i wszystkiemu. Jej dzielność budziła mimowolny podziw, a on sam zaczynał się poważnie zastanawiać, czy w ogóle istnieje coś, co mogłoby ją przestraszyć. Nigdy dotąd nie spotkał tak odważnej dziewczyny.

Na przestrzeni ostatnich lat zadawał się z wieloma kobietami, ale z reguły były to prostytutki z domów publicznych, nastawione na takich jak on i Buster poszukiwaczy złota. Nie potrafiliby ich pewnie ani zliczyć, ani spamiętać. Żadnej z nich nie można było nawet porównywać z zupełnie innym gatunkiem kobiety, jakim była Rosellen.

Tymczasem brodaty olbrzym zastanawiał się jeszcze przez chwilę, w końcu jednak opuścił lufę i zarzucił sobie dubeltówkę na ramię.

- Nazywam się Beck - powiedział. - Czy mogę wam jakoś pomóc?

- Na początek niech pan nam pomoże znaleźć worek, do którego bandyci schowali wszystko, co zrabowali pasażerom - powiedziała Rosellen i sama ruszyła w stronę koni, które na szczęście się nie rozbiegły. - W tym worku powinien być także i mój rewolwer.

Cason wciąż jeszcze nie był pewny, czy nieznanemu można zaufać.

- A czy my z kolei moglibyśmy się dowiedzieć, skąd pan się wziął w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu?

- Nie takim znów zapomnianym - zaprotestował Beck. - Za widocznym tam dalej wzniesieniem jest niewielkie miasteczko, a dalej

na wschód leży duże miasto Pueblo. Bliżej rzeczywiście nie ma nic, tylko moja chata myśliwska, zaraz za topolami. Kiedy usłyszałem strzały, chwyciłem strzelbę i przybiegłem, ale wtedy już chyba było po wszystkim.

Mellie obróciła się w stronę męża.

- Och, Guthrie, słyszałeś? Niezbyt daleko stąd jest miasteczko, a ja czuję się taka zmęczona i brudna. Jedźmy tam, żebym mogła się umyć i odpocząć. Jedźmy tam zaraz, proszę!

- W miasteczku to się nie uda - powiedział Beck. - Kilka lat temu był tam pożar i większa część budynków się spaliła, a ludzie poprzenosili się bliżej Pueblo. Teraz moglibyście tam dostać nocleg najwyżej w jedynym ocalałym saloonie, ale i tak pewnie musielibyście spać na podłodze.

Mellie machinalnie spojrzała na leżącego w pobliżu trupa zastrzelonego bandyty.

- Niech to będzie saloon, niech będzie nawet nocleg na podłodze, bylebym była jak najdalej od tego potwornego widoku!

- Chwileczkę - powiedział Guthrie. - A czy nie moglibyśmy przenocować w pańskiej chacie? Zapłacę panu, jeśli zapewni pan łóżko i pościel mojej żonie.

Brodaty olbrzym spojrzał w stronę Rosellen.

- Prawdę mówiąc, to dałoby się zrobić, ale mam tylko jedno łóżko. Panie musiałyby spać razem. A my trzej przenocowalibyśmy w szopie, na sianie, jeżeli to panom odpowiada.

Cason skinął głową. Pomysł, by kobiety i mężczyźni spali w dwóch różnych miejscach, odpowiadał mu jak najbardziej także i dlatego, że dawał mu szansę wymknięcia się Rosellen. Chciał zrobić to jak najszybciej, ponieważ to, co teraz czuł w stosunku do tej dziewczyny, zaczynało go poważnie niepokoić.

Rosellen zapowiedziała, że będzie go śledzić i z pewnością zamierzała dotrzymać słowa. Była nieustępliwa i strasznie uparta, a on



na domiar wszystkiego zaczął ją naprawdę podziwiać i coraz mocniej pragnął jej jako kobiety. Dlatego należało uciec jej tak szybko, jak to tylko było możliwe.

- A co będzie z nimi? - spytał Beck, wskazując na ciała bandytów.

- A niech się nimi zajmą wilki - powiedział Guthrie. - Przecież to nie byli ludzie, tylko dzikie zwierzęta!

Cason spojrział na brodatego myśliwego.

- Niewykluczone, że te zwierzęta mogą być warte nawet spore pieniądze - powiedział. - Wystarczy ich zebrać, zawieźć do szeryfa i dowiedzieć się, czy nie wyznaczono za nich nagrody. Bo jeśli napadli na nasz pociąg, to wcześniej mogli napadać gdzie indziej, i to niejedynym razem.

- To racja! - Beck popatrzył na Guthrie'a i ponownie na Casona. - A panowie nie jesteście tym zainteresowani?

Cason przecząco pokręcił głową.

- My już ich mamy z głowy, na szczęście. Może pan ich sobie zabrać, jeśli pan chce.

- Jestem bardzo zobowiązany - powiedział myśliwy.

- Jedyne, co stąd zabierzemy, to te rzeczy, które bandyci zrabowali nam i innym pasażerom - powiedział Guthrie. - Ten worek pewnie jest gdzieś tam przy koniach. Oddamy to wszystkim odpowiednim władzom.

- Ale skąd mam mieć pewność, że można wam zaufać w tym względzie? - spytał Beck.

- Nie może pan mieć takiej pewności - odpowiedział spokojnie Cason.

- Właśnie, że może pan mieć! - oświadczyła Rosellen, która pojawiła się od strony dawnego obozowiska, ciągnąc za sobą worek z łupem bandytów. - Mój ojciec był szeryfem Makowego

Wzgórza przez dwadzieścia lat, a teraz ja zamierzam przejąć po nim to stanowisko! Zajmę się tym, by skradzione pieniądze i kosztowności wróciły do swych prawowitych właścicieli. Tak jak mój colt wrócił do mnie - klepnęła się po znów wiszącym u jej boku rewolwerze.

- Ty? Ty chcesz zostać szeryfem?! - wykrzyknęła Millie.

- Taki mam zamiar.

Mellie spojrzała na Casona szeroko rozwartymi oczami.

- I pan na to pozwoli?

- Ja nie mam nic przeciwko temu - powiedział Cason, nie mrugnawszy nawet okiem. - Rosellen ma swój własny rozum i nie boi się z niego korzystać. Już zresztą zdążyła pokazać, że nie boi się właściwie niczego. Pani przecież była dla niej obcą osobą, a ona mimo to nie zawahała się zaryzykować życia, żeby pani pomóc.

Mówiąc to, Cason nie mógł nie zauważyć, jak rozbłysły oczy Rosellen i jak ciepło uśmiechnęła się, słysząc ten komplement. Musiała jej to sprawić przyjemność tym większą, że z pewnością niczego podobnego się nie spodziewała, zwłaszcza z jego strony. Gorzej, że sprawiło to przyjemność również i jemu. Odpowiedział jej uśmiechem, choć tak naprawdę najchętniej porwałby ją w ramiona i zaczął znowu całować.

I właśnie dlatego należało uciekać. I to jak najszybciej.

- Dziękuję za życzliwe słowa - powiedziała Rosellen. - Mam nadzieję, że są również wyrazem zaufania, którego postaram się nie zawieść.

- Jesteś naprawdę odważną kobietą, Rosellen - powtórzył Cason. - Mam nadzieję, że zrealizujesz to, co postanowiłaś.

- Jeśli rzeczywiście chcesz być szeryfem, to życzę ci tego z całego serca - dodała Mellie.

Rosellen zarumieniała się, czego na szczęście nikt nie zauważył, i pochyliła się nad workiem, pośpiesznie zmieniając temat.

- Guthrie i Mellie, powiedzcie, ile razem wrzuciliście tu pieniędzy, żebym mogła je wam odliczyć.

- Nie będziemy w stanie tego zrobić, wiemy tylko z grubsza, ile mogliśmy mieć - powiedział Guthrie. - Ale to nie ma znaczenia. I tak wezmę tylko tyle, żeby zapłacić panu Beckowi za nocleg i mieć na

powrót do domu. I tego nam wystarczy – spojrzał z uśmiechem na Mellie – żebyśmy byli szczęśliwi.

Mellie odpowiedziała mu takim samym uśmiechem, po czym zwróciła się do Rosellen.

– Ja jeszcze chciałabym dostać z powrotem moją ślubną obrączkę. I złotą broszkę, którą dostałam od Guthriego na urodziny.

– Wobec tego chodźmy do ogniska – powiedziała Rosellen. – Pomogę ci je znaleźć.

Cason popatrzył w ślad za kobietami, a potem zwrócił się do Guthriego.

– Całkiem nieźle dawałeś sobie radę z tym rewolwerem – powiedział. W jego ustach była to wielka pochwała.

– Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, żeby uratować nasze żony – odpowiedział Guthrie.

Cason skinął głową. Ciągłe zapominał, że brano ich za małżeństwo. Teraz jednak z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie drażniło go to już tak bardzo jak przedtem.

I to był jeszcze jeden powód, żeby zniknąć jak najszybciej. Za bardzo się już angażował, za wiele rzeczy mu się w tej dziewczynie podobało. Niewiele brakowało, by do reszty zapomniał, po co właściwie wybrał się w tę podróż. Miał przecież odnaleźć człowieka nazwiskiem Dodge, nawet jeśli ten zamiar był zupełnie nie po myśli Rosellen. A z całą pewnością był.

Dlatego też najlepszym wyjściem było całkowite zerwanie wszelkich więzi, które mogłyby krępować dalsze skuteczne działanie. I należało to zrobić natychmiast, zanim znowu mu przyjdzie do głowy szalona myśl, by wziąć tę dziewczynę w ramiona i całować do utraty tchu.

– Chyba moglibyśmy już ruszać – odezwał się Beck. – Jedźmy do mnie, rozlokuję was na noc, a potem przyjadę konną platformą po tych nieboszczyków.

- Guthrie, jedź z kobietami - powiedział Cason. - Pan Beck ci powie, gdzie będziecie mogli złapać pociąg jutro rano.

- Czy to znaczy, że ty z nami nie jedziesz? - spytał Guthrie.

Cason spojrział w stronę Rosellen, która wraz z Mellie przepatrywała przy ognisku zawartość worka. Nie podniosła wzroku, natomiast on nagle poczuł dojmującą tęsknotę i nawet coś w rodzaju żalu.

Wysiłkiem woli zdusił to w sobie.

- Nie, Guthrie - powiedział zdecydowanie. - Muszę jechać, i to natychmiast, jeszcze tej nocy. Ale będę ci wdzięczny, jeśli tymczasem zatroszczysz się o Rosellen.

Guthrie przyjrzał mu się z nieukrywanym zaskoczeniem, ale Cason zupełnie się tym nie przejął. Rosellen z pewnością potrafi jakoś wytłumaczyć, dlaczego jej rzekomy małżonek odjechał tak nagle i bez pożegnania. Zawsze była w tym dobra.

- Oczywiście, że się nią zaopiekujemy - zapewnił go Guthrie. - Mamy wobec niej dług wdzięczności za to, co zrobiła dla Mellie.

- Ja też będę bardzo zobowiązany.

- Wciąż nie bardzo rozumiem, dlaczego nie chcesz jechać z nami. I nawet nie porozmawiałeś z żoną.

- Ona zrozumie - powiedział Cason i zwrócił się do Becka. - Czy Pueblo to najbliższa stacja kolei?

- Tak.

- I jedzie się do niej na wschód?

Beck skinął głową potwierdzająco. Cason nacisnął mocniej kapelusz na głowę i ruszył do swego konia, przywiązanego nieopodal.

Nie zamierzał żegnać się z Rosellen. Najlepiej robi, jeśli odjedzie bez słowa.

W tej samej chwili usłyszał jej głos:

- Dokąd jedziesz?

Wskoczył na siodło i obejrzał się na Rosellen. Nie mógł widzieć jej rysów, ale usłyszał niepokój w jej głosie i to wystarczyło, by na chwilę znów powróciło to samo nieokreślone i odbierające wolę uczucie żalu i tęsknoty. Otrząsnął się jednak dość szybko.

- Może się zobaczymy, kiedy wrócę do Makowego Wzgórza! - zawołał i obróciwszy konia ruszył szybkim kłusem. Nie obejrzał się nawet wtedy, gdy Rosellen zawołała go po imieniu. Musiał się trzymać w garści i na przyszłość nie pozwalać już sobie na jakiegokolwiek działanie pod wpływem uczuć. Najrozsądniej zrobi, jeśli w ogóle przestanie myśleć o Rosellen Lattimer. A im dalej znajdzie się od niej, tym lepiej.

Dlaczego twój mąż tak po prostu cię zostawił i odjechał? - spytała Mellie.

- On nie jest moim mężem - odpowiedziała Rosellen, z trudem powstrzymując się, by nie zgrzytać przy tym zębami. Zawiązała worek i zarzuciła go sobie na plecy. - Nie mam czasu, żeby ci to dokładniej wyjaśnić, bo jadę za nim.

- Zaczekaj! Nie możesz jechać sama tak po ciemku!

- Ależ oczywiście, że mogę! Nie potrzebuję żadnego opiekuna, sama dam sobie radę! - odpowiedziała dużo ostrzej, niż zamierzała. Z pewnym zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że to ucieczka Casona tak ją zdenerwowała. Niech to diabli, ależ ją to zabolalo!

Poza tym była wściekła na siebie, że spuściła go z oka. Szybkim krokiem podeszła do Guthriego i Becka.

- Czy powiedział, dokąd zamierza się udać? Beck z zakłopotaniem podrapał się w głowę.

- Spytał tylko, czy Pueblo jest najbliższą stacją i czy jedzie się tam na wschód.

- Czyli w tamtą stronę, w którą pojechał?

- Tak.

Rosellen ruszyła w kierunku jednego z koni pozostałych po zabitych bandytach, aby go osiodłać. Nadal była rozdygotana i wściekła. Przekląty Cason Murdock! Zapowiedział, że jej ucieknie, dlaczego więc mu nie uwierzyła? Najpewniej dlatego, że zmylił ją, najpierw przychodząc jej z pomocą, a potem troszcząc się o jej bezpieczeństwo i tuląc ją w ramionach. Dała się na to nabrać.

– Można wiedzieć, co pani zamierza zrobić? – spytał Guthrie.

– Dokładnie to, co zrobiłby mój ojciec. Zamierzam dogonić tego nicponia, Casona Murdocka, a potem odwieźć ten worek z pieniędzmi i biżuterią do biura szeryfa w Pueblo. Tego konia, którym pojedę, też u niego zostawię – spojrzała na Becka. – A pan może wziąć pozostałe konie i zawieźć tam ciała bandytów. Zapowiem szeryfowi, że pan przyjedzie.

– To wszystko może pani zrobić i jutro, zamiast jechać po nocy. Cason i tak już zdążył odjechać dość daleko – powiedział Guthrie. Nigdy go pani nie dogoni.

– Jestem pewna, że on myśli zupełnie tak samo – mruknęła Rosellen, wsunęła stopę w strzemień i wskoczyła na siodło. – Wpadnij do mnie, jeżeli kiedyś będziesz w Makowym Wzgórzu! – krzyknęła jeszcze do Mellie, po czym zawróciła koniem niemal w miejscu i odjechała galopem, w ślad za Casonem.

Księżyc w pełni wciąż jeszcze dość jasno oświetlał jej drogę, ale już po paru minutach zdała sobie sprawę, że jest zupełnie sama. Kiedy się obejrzała, za sobą zobaczyła tylko ciemność. Niejasny zarys drzew i dalekich gór przepadł już ostatecznie, pochłonięty przez noc. Nie było też widać obozowego ogniska, jakiegokolwiek śladu ognia czy dymu.

Najwyraźniej musiała jechać szybciej, niż jej się zdawało. Nie wątpiła, że jedzie we właściwym kierunku, powinna była jednak dokładniej spytać Becka o odległość do Pueblo. Po latach spędzonych w siodle mogła się uważać za doświadczonego jeźdźca, jednak tym razem jechała na koniu, którego zupełnie nie знаła. Utrzymywanie

wysokiego tempa było niebezpieczne, z drugiej jednak strony tylko w ten sposób mogła nadrobić utracony dystans w stosunku do Casona.

Musiała więc tego dokonać. W końcu czegoś podobnego z pewnością wymagałaby od niej funkcja szeryfa Makowego Wzgórza, mogła więc przyjąć, że jest to rodzaj praktyki. Oczywiście, że się bała, ale podobnie bała się tamtego uzbrojonego poszukiwacza sprzed paru dni, a mimo to potrafiła się opanować i dać sobie radę. Tym razem też da sobie radę i nie pozwoli Casonowi Murdockowi uciec zbyt daleko.

Tymczasem zbliżała się już północ, temperatura mocno spadła i Rosellen pomyślała mimo woli, że nieporównanie cieplej i przytulniej byłoby jej teraz w mocnych ramionach Casona. Potrząsnęła głową, poirytowana. W rzeczywistości do tego, żeby się poczuć cieplej, potrzebowałaby tylko swojej skórzanej bluzy i kapelusza, ale jedno i drugie zostało w pociągu. Dlaczego więc myśli zaraz o Casonie?

Prawdę mówiąc, doskonale знаła odpowiedź na to pytanie. Myślała o nim właśnie dlatego, że w jego ramionach było jej ciepło, przytulnie i bezpiecznie. A także dlatego, że to on wyruszył nocą w ślad za bandytami, żeby ją uratować – i że potrafił to zrobić.

Teraz jednak to była już przeszłość. Musiała na nowo przypomnieć sobie i odtąd już zawsze pamiętać, że Cason Murdock jest wrogiem jej samej i jej bliskich. A także jej miasteczka, które zamierza zniszczyć. I tylko ona jedna może go teraz odnaleźć i przeszkodzić mu w tych zamiarach.

Dlaczego więc wciąż pragnęła go zobaczyć? Przecież ten człowiek usiłował obciążyć jej ojca winą za dwa morderstwa. Pewnie zresztą dlatego tak starał się jej wymknąć. Zapominała o tym wszystkim, kiedy trzymał ją w swych ramionach i wtedy sama gotowa była zrobić wszystko – nawet zdradzić pamięć i dobre imię ojca. Nie liczyło się nic poza nim, poza Casonem.

Rosellen potrząsnęła głową, jakby próbując wyrzucić z niej uparcie nawracające myśli. Należało się teraz skupić na czym innym, przede

wszystkim na sprawie nominacji na szeryfa Makowego Wzgórza. Teraz jej szanse wyglądały znacznie lepiej niż jeszcze przed dwoma dniami. W końcu kiedy ludzie w miasteczku dowiedzą się, że to ona pomogła porwanej Mellie i odwiozła do Pueblo wszystkie zrabowane przez bandytów pieniądze i kosztowności, z całą pewnością będą głosowali właśnie na nią. Oczywiście będzie musiała trochę umniejszyć rolę Guthriego i Casona w tym całym incydencie. A wtedy z pewnością ma szanse prześcignąć nawet Waltera – jeśli jej brat rzeczywiście serio myślał o kandydowaniu.

Jednakże chyba właśnie ta realna szansa prześcignięcia brata sprawiła, że zupełnie niespodziewanie dla siebie Rosellen po raz pierwszy się zawahała. Czy na pewno powinna z nim konkurować? Dotychczas nie miała w tym względzie żadnych wątpliwości, konkurowali przecież ze sobą o wszystko, niemal od dzieciństwa. Teraz jednak utraciła tę dotychczasową pewność i myśląc o rywalizacji z Walterem czuła się dość niewyraźnie.

Ściągnęła lejce i nieco przyhamowała konia. Jeśli miała doścignąć Casona, to lada moment powinna go gdzieś dostrzec. Jednak nawet gdyby nie udało się jej dogonić go teraz, z całą pewnością odnajdzie go na stacji w Pueblo. Cason będzie musiał się tam pojawić, bo Denver było jednak zbyt daleko, by jechać tam konno, a dyliżanse nie wytrzymywały konkurencji z koleją i utrzymały się już tylko na niektórych lokalnych liniach.

Robiło się coraz zimniej, Rosellen miała jednak nadzieję, że ogrzeje się po dotarciu do Pueblo. Bardziej niepokoiło ją to, że była teraz zupełnie sama. Wprawdzie w dzieciństwie i wczesnej młodości nieraz zdarzało się jej pozostawać poza domem po zapadnięciu ciemności, jednakże wtedy zawsze miała pewność, że gdy nie dotrze do domu na kolację, ktoś z pewnością wyjedzie naprzeciw i zacznie jej szukać. Tym razem nie mogła na to liczyć. A co będzie, jeśli zbłądzi i zginie w tych



ciemnościach? Nie wolno sobie pozwalać na takie dziecinne myślenie, skarciła samą siebie niemal w tej samej chwili.

Nie było żadnego powodu, żeby się bać ciemności. Nauczyła się tego od swoich braci i nigdy dotąd nie potrzebowała niczyjej opieki, nawet w środku nocy. A poza tym, jeśli zamierzała zostać szeryfem, musiała się liczyć z tym, że w razie potrzeby będzie musiała ścigać przestępców także i w takich właśnie warunkach.

- Nie bądź niemądra i przestań się bać nie wiadomo czego! - nakazała sobie głośno i stanowczo.

Dla nabrania otuchy postanowiła myśleć o czymś przyjemnym i ekscytującym. Na przykład o tym rozkoszonym dreszczyku, który przebiegał przez całe jej ciało, kiedy Cason trzymał ją w ramionach i całował tak gorąco i namiętnie. Albo o piorunującym wrażeniu, jakie wywarło na niej jego nagie ciało, kiedy zaskoczyła go, wślizgując się przez okno do saloonu Silver Nugget! Dość łatwo zapominając o tym, że przyrzekała sobie nie myśleć już o Casonie Murdocku, Rosellen poprawiła się w siodle i oddała się słodkim rozmyśleniom.

Przerwał je nagle odległy, głuchy odgłos grzmotu, być może zwiastujący przybliżanie się burzy. Tego tylko brakowało, żeby ulewa zaskoczyła ją akurat wtedy, gdy nie miała swej przeciwdeszczowej peleryny ani skórzanej bluzy. Ściągnęła cugle, zatrzymała konia i zaczęła nasłuchiwać..

Odgłos burzy zdawał się dochodzić gdzieś z tyłu, ale wydawał się jeszcze bardzo odległy. Natomiast znacznie bliższy był zupełnie inny dźwięk - tętent końskich kopyt na twardym gruncie. Rosellen nagle poczuła, że jej serce zaczyna gwałtownie bić niemal w tym samym rytmie. Udało się jej z grubsza ustalić kierunek, ale dopiero po dłuższej chwili dostrzegła w ciemnościach sylwetkę mężczyzny na koniu, który całym pędem kierował się prosto na nią.

W pierwszej chwili Rosellen pomyślała, że tym jeźdźcem musi być Cason, który w jakiś sposób musiał ją dostrzec, jednakże bardzo szybko

zdała sobie sprawę, że to niemożliwe. Jeździec najwyraźniej w ogóle jej nie widział, pędząc galopem prosto na jej konia i na nią. Poczula gwałtowny lęk, ponieważ zderzenie wydawało się nieuchronne.

Spięła konia ostrogami, by uciec przed zderzeniem, ale wierzchowiec w odpowiedzi tylko wierzgnął, nie ruszając się z miejsca. Rosellen krzyknęła tak rozpaczliwie, że jej głos przynajmniej na moment musiał się przebić poprzez tętent kopyt.

Męskie ramię wysunęło się w ostatniej chwili i dosłownie zerwało ją z siodła.

Scandalous

Ciężkie męskie ciało przygniatało ją do ziemi, postanowiła jednak, że się nie podda. Uderzając na oślep pięściami, trafiła w twardą szczękę, boleśnie obijając sobie palce.

- Rosellen, przestań mnie już bić! - zawołał znajomy głos. - Chcę ci pomóc!

- Cason? To ty?

Opuściła ręce, wciąż jeszcze zwinięte w pięści, i odetchnęła głęboko.

- Co ty, u diabła, sobie myślisz? Chciałeś mnie stratować?!

- Nic ci się nie stało? - Cason również dyszał ciężko, ale w jego głosie można było usłyszeć pełen troski niepokój.

- Ty sukinsynu! - Rosellen pchnęła go z całej siły, ale on nawet nie drgnął. Ciekawe, swoją drogą, że przy nikim innym nie zdarzało się jej przeklinać tak często i tak dosadnie. - Jechałeś tak, jakbyś miał zamiar mnie zabić!

Cason wciąż oddychał ciężko, tuż przy jej twarzy.

- Musiałem cię zatrzymać - powiedział. - Za szybko pędziłaś.

- Co ty pleciesz? Wcale nie pędziłam, tylko się zatrzymałam. Stałam zupełnie nieruchomo i nasłuchiwałam burzy. A ty wtedy nadjechałeś galopem prosto na mnie i omal mi głowy nie urwałeś, ściągając mnie z siodła! Co ci strzeliło do głowy?

- Po prostu pędziłem tak szybko, że w ciemności w ogóle nic nie widziałem. Zobaczyłem cię dopiero w ostatniej chwili i chwyciłem wpół, bo bałem się, że strącę cię z siodła.

Rosellen nie próbowała już bić go pięściami, starała się jedynie wyslizgnąć spod niego, spychając go na bok, jednak bez rezultatu. Cason nie tylko nie uwolnił jej z uścisku, ale objął ją jeszcze mocniej, wsuwając obie ręce pod jej plecy i układając dłonie w taki sposób, by mogła na nich oprzeć głowę.

– Kiedy zobaczyłem, że pędzisz w tej ciemności, jakbyś chciała się zabić, coś się ze mną stało. Miałem takie wrażenie, jakbym był szalony, jakbym nagle postradał zmysły. Ja... ja nigdy dotąd nie byłem aż tak przerażony... to znaczy, od tego czasu, kiedy...

Rosellen przesiała się wrywać, gdy nagle zdała sobie sprawę, że Cason drży jak przestraszony chłopiec. W jego oczach i głosie wciąż jeszcze były resztki tego lęku. On naprawdę bał się o nią, dostrzegała to w jego twarzy, wyczuwała w napięciu jego twardych mięśni. A jednocześnie czuła, że jej współczujące ciało gotowe było natychmiast odpowiedzieć na wszystko, co działo się w tym drugim ciele.

Spojrzała mu w oczy.

– Ja wcale nie gnałam tak po to, żeby się zabić. Chciałam cię tylko dopędzić i wcale nie byłam zgubiona ani zrozpaczona.

Cason bezradnie pokręcił głową.

– Widziałem, jak w szaleńczym pędzie przemknęłaś obok mnie. Wołałem cię, ale ty mnie nie słyszałaś, bo... To było zupełnie tak samo, jak... jak tamtej nocy, kiedy to ja jechałem przed siebie jak oszalały, zupełnie nie wiedząc dokąd. I dlatego myślałem... – Zamilkł nagle, jakby zabrakło mu słów.

Rosellen nie do końca rozumiała te urywane zdania, czuła jednak, że w jego duszy rozpętała się burza, że Cason przeżył to wszystko niesłychanie mocno. Przejmował się nią, lękał się o nią!

– Napędziłaś mi potwornego stracha – powiedział, jakby czytając w jej myślach.

– Ale dlaczego? – spytała. Domyślała się, że to jego niezrozumiałe zachowanie musiało się wiązać z jakimś dramatycznym wydarzeniem z przeszłości, które teraz mu się przypomniało.

– Chciałbym tylko, żebyś mi przyrzekła, że już nigdy nie będziesz tak pędzić galopem w ciemności.

W świetle księżyca Rosellen widziała jego przystojną męską twarz tuż nad sobą. Był nie ogolony, ale wcale nie mniej pociągający. Takiego

także chciała całować, a nawet więcej. Rosellen zdawała sobie sprawę, jakie myśli przychodzą jej do głowy.

I nagle uświadomiła sobie, że Cason leży już między jej rozchyłonymi nogami, a jego znów naprężona męskość wciska się coraz silniej między jej uda, u samego ich szczytu. W wyobraźni natychmiast ujrzała go nagiego, zupełnie jak wtedy w saloonie. Nagle rumieńce paliły jej twarz, jednakże nie próbowała go odpychać. Leżał na niej już całym ciężarem, przyciskając jej obie piersi, i to też było cudowne.

– Dlaczego... dlaczego chciałeś, żebym ci przyrzekła, że nie będę jeździć w nocy? – spytała po chwili. – Powiedz mi, co cię tak bardzo przestraszyło?

Cason ciężko westchnął.

– Kiedyś zgubiłem się w ciemności i w prawdziwej panice nie mogłem znaleźć drogi. Nie chcę, żeby tobie coś takiego się przydarzyło.

– Byłeś wtedy małym dzieckiem?

– Miałem trzynaście lat

Ta odpowiedź ją zaskoczyła. Trzynastolatek to już nie dziecko, dlaczego więc zgubienie się w ciemności tak go przeraziło? W tej historii musiało być coś, czego już nie chciał jej opowiedzieć. Tyle tylko, że jego oczy mówiły więcej niż słowa.

Delikatnie ujęła w dłonie jego twarz i obróciła ku sobie. Pod palcami czuła lekko kłującą, nie ogoloną skórę. Rozproszone światło księżycy było na tyle jasne, że mogła wyraźnie widzieć jego rysy. Przypatrywała mu się uważnie, usiłując dojrzeć udreconą ludzką duszę pod powłoką tej pozornie nieczulej, twardej i tak bardzo męskiej twarzy.

Wpatrywali się w siebie oboje i napięcie między nimi wyczuwalnie rosło. Oboje coś ukrywali i oboje wiedzieli o tym – ale jednocześnie z każdą chwilą tego ich przedłużającego się milczenia coraz mniej chcieli o tym myśleć. Rosellen gotowa byłaby założyć się o wszystko, że Cason w tym momencie czuł i myślał dokładnie to samo co ona.

W ciągu tych kilku chwil cała jej wrogość i niechęć do niego gdzieś się rozplynęła. Zastąpiła ją przemożna chęć pocieszenia go, utulenia, wzięcia go w siebie. Nawet nie próbując się powstrzymywać, nagle uniosła lekko głowę i przycisnęła wargi do jego warg.

Ku jej zaskoczeniu, tym razem było to tylko mechaniczne, zupełnie neutralne zetknięcie ust, w którym oboje znieruchomieli na dłuższą chwilę. Nie stało się prawdziwym pocałunkiem, czego się spodziewała, i zupełnie nie przypominało tego, co zdarzyło się choćby ostatnio w pociągu. Rosellen sądziła, że Cason odpowie gorętszym i bardziej namiętnym pocałunkiem, ale on pozostawał dziwnie bierny.

Bijące gorączkowo serce Rosellen zamarło w skurczu nierozumnej twrogi. Odsunęła wargi od twarzy Casona i odwróciła się, a w każdym razie chciała to zrobić.

Ale wtedy Cason pochylił się nad nią i ich usta znów się ze sobą zetknęły. Ten pocałunek był krótki, niepewny, jakby pytający. O to samo pytały jego oczy – czy dobrze zrozumiał jej nieme zaproszenie? I czy ona sama na pewno wiedziała, co robi?

Wiedziała, do jasnej cholery! Wiedziała, i bardzo tego chciała!

Zapominając o wszystkim, z wyjątkiem bliskości jego ciała, Rosellen poddała się instynktowi. Zarzuciła Casonowi ręce na szyję i przyciągnęła go do siebie z całej siły. Nie chciała już myśleć, chciała tylko czuć.

I natychmiast jego głodne wargi znów znalazły się na jej wargach, a jego ponownie naprężona męskość wcisnęła się między jej uda, które jakby same gościnnie się rozchyliły. Gorąca fala pożądania przebiegła przez jej ciało, jej wargi przyjęły w siebie jego język, który wniknął niezwykle głęboko.

Jednocześnie Cason wysunął dłoń spod jej głowy i koniuszkami palców zaczął delikatnie pieścić jej wargi, policzek i brodę, a potem powoli przesunął swe błędzące palce w dół, po szyi, ku stromo

wznoszącym się piersiom. Rosellen jęknęła cichutko i odruchowo przysunęła się bliżej do jego pieszczącej dłoni.

Ich pocałunki stawały się coraz bardziej gorące i szalone, w miarę jak jego ciało wciskało się coraz mocniej między jej szeroko rozwarte, spragnione tej bliskości uda. Gwałtownymi ruchami palców Cason rozpiął guziki bluzki, a polem niemal zdarł ją z jej ramion. To samo zrobił ze swoją koszulą, a potem z jej koronkowym biustonoszem. Uwolnione od niego piersi Rosellen ukazały się w całej krasie, a zachwycony Cason natychmiast zaczął całować i pieścić końcem języka ich gwałtownie twardniejące sulki.

Rosellen znów jęknęła z rozkoszy i jeszcze mocniej wtuliła się udami i brzuchem w jego wciąż szukające jej bliskości ciało. W niej samej wszystko już płonęło od pożądania, jej pulsujące gorącą młoda krew podbrzusze było jednym wielkim pragnieniem, które gwałtownie domagało się spełnienia i zaspokojenia.

Cason tymczasem rozpiął klamrę jej pasa i guziki jej spodni. Potem równie sprawnie uwolnił się od reszty własnej garderoby. Rosellen jak zaczarowana dotykała jego cudownie gładkiej skóry, jego tak wspaniałe męskiego ciała, którego pożądała już od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzała jego nagość w Silver Nugget Saloon. Wysunęła nieco wargi i zaczęła całować jego klatkę piersiową, a potem czubkiem języka pieściła jego męskie sulki, które, choć mniejsze, okazały się równie wrażliwe.

- To niemożliwe, ja po prostu nie potrafię uwierzyć - szepnął Cason, nie przestając jej pieścić ani na moment. - Nigdy bym nie przypuścił, że ktoś potrafi mnie aż tak rozpalic! Jeżeli ty teraz czujesz to samo co ja...

- Czuję! - powiedziała Rosellen, po czym przyznała z rozbijającą szczerością. - A nigdy dotąd niczego takiego nie poczułam.

Cason przesunął się ku jej nogom, pomógł ściągnąć jej kowbojskie buty i spodnie, a potem także majteczki. Z całej garderoby, zarówno

własnej, jak i Rosellen, zrobił coś w rodzaju posłania pod jej biodra i plecy.

- Tak bardzo cię pragnę, że żał mi było każdej chwili, którą straciliśmy na rozbieranie - powiedział cicho, ponownie pochylając się nad nią.

- Odbijemy to sobie z nawiązką - odpowiedziała, pociągając go ku sobie obiema rękami.

Już po chwili całowali się jak szaleni. Potem prawa dłoń Casona zaczęła z wolna przesuwać się w dół po jej ciele, od piersi na biodro, potem brzuch, a potem jeszcze niżej, aż na uniesiony leciutko ku górze wzgórek łonowy. Gdy jego palce dotknęły go i delikatnie wślizgnęły się do środka, Rosellen westchnęła z rozkoszy i całym ciałem podała się ku niemu, wciskając jego błędzące palce jeszcze nieco głębiej, ku temu tajemnemu punktowi, w którym koncentruje się cała kobieca słodycz i kobiece oddanie. Cason zaczął pieścić to miejsce powolnym, kołowym ruchem.

Wsluchana w ten rozkoszny dotyk Rosellen bez jakiegokolwiek oporu pozwoliła, by Cason rozchylił jej kolana i włożył w jej dłoń wielki, cudownie naprężony członek, który sama poprowadziła między swe rozchylone uda, w głąb już pulsującego oczekiwaniem łona. Tak bardzo tego pragnęła, że nawet gdy poczuła wzmagający się aż do palącego bólu nacisk na jej sekretną przegrodę, nie cofnęła się ani na moment - instynktownie czując, że i ten ból jest naturalną częścią czegoś wspaniałego i cudownego, co właśnie przeżywała wspólnie z nim. Ze swoim Casonem.

Cason też poczuł opór tej niespodziewanej przeszkody, ale się nie cofnął, podobnie jak Rosellen. Nieco ochrypłym głosem powiedział tylko:

- Niech to wszyscy diabli, nie sądziłem, że jesteś dziewicą! Mimo wszystko powstrzymał nacisk bioder i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Powinnaś była mnie powstrzymać, zanim zaszliśmy aż tak daleko - powiedział.



- Wcale nie chciałam cię powstrzymywać - odpowiedziała natychmiast. - A ty chcesz?

- Nie, niech mnie diabli. Oczywiście, że nie chcę. Chybabym już nie mógł przestać, nawet gdybym chciał.

- To zupełnie tak samo jak ja. Wcale nie chcę, żebyś przestawał, Casonie. Dzięki tobie czuję się cudownie.

- Ale nie jesteś jeszcze gotowa, żeby..

- Jestem. I błagam cię, nie przestawaj teraz. Jestem wystarczająco dorosła, żeby decydować o tym, czego chcę.

Przez krótką chwilę Rosellen obawiała się, że Cason mimo wszystko może się cofnąć. Chwyliła go za pośladki i przyciągnęła ku sobie, ponagłając go do wnikięcia głębiej. Nawet jeśli miałaby krzyknąć z bólu, chciała tego. Sama też uniosła biodra i szerzej rozwarła nogi, aby jego imponująco wielki członek łatwiej zmieścił się w ciasnym otworze jej łona. Chciała, by znalazł się w niej cały, i tylko to się liczyło.

Na moment gwałtownie zacisnęła wargi, ale udało się jej powstrzymać od krzyku, do ostatniej chwili, kiedy jeszcze czuła ból. Potem odetchnęła głęboko, spojrzała mu w oczy i powiedziała:

- Teraz już nie jestem dziewicą, więc przynajmniej tym nie musisz się więcej martwić.

Cason pocałował ją w usta, a potem wzmógł pieszczotę, delikatnie przygryzając zębami jej wargi, a następnie różowe koniuszki jej uszu.

- Wiedziałem od pierwszego dnia, że musisz być właśnie taka, tak cudownie namiętna - szepnął jej do ucha. - Wiedziałem, że potrafisz czerpać radość z dotknięcia mężczyzny.

- Casonie, czuję się tak, jak gdybym za chwilę miała wybuchnąć. Czy to tak powinno być?

- Och tak, ja czuję to samo, ale jeszcze tego nie zrobię - powiedział uspokajająco Cason. - I ty też postaraj się dotrwać ze mną aż do końca.

- Ja nie chcę, żeby to się skończyło.

- Kiedy do tego dojdzie, będziesz szczęśliwa, że mogło się skończyć.

Zamknął jej usta pocałunkiem i ponownie, raz za razem, zaczął wydobywać się z niej niemal do połowy i zanurzać w niej na nowo. Jego ruchy były teraz wolniejsze i łagodniejsze, nie sprawiały już najmniejszego nawet bólu, dawały jej tylko rozkosz. Rosellen odpowiadała mu ruchami w tym samym rytmie, lekko unosząc biodra i wchłaniając go w siebie jak najgłębiej. Wszystkie te nowe doznania narastały w niej w jakąś gigantyczną kulę, która za chwilę miała wybuchnąć.

Kiedy to się stało, krzyknęła nagle, nie mogąc się powstrzymać. Aż do bólu wpiła paznokcie w jego plecy, z pełnym najwyższego szczęścia jękiem rozkoszy przyjmując kolejne fale kłębiących się w niej doznani, nieznanych dotąd cudownych spazmów szczytowania, które w końcu odebrały jej resztki sił. Oddychała głęboko, bezwładna i bezwolna, i czuła się słabsza niż nowo narodzony kotek. Cason nie przestawał rytmicznie zanurzać się w niej, ale po chwili także i jego ciałem wstrząsnął nagły dreszcz. Zdyszany, nie wyszedł z niej od razu, na chwilę opierając się na niej niemal całym bezwładnym ciałem, z twarzą wtuloną między jej ramie i szyję.

To skończyło się zdecydowanie zbyt szybko. Tymczasem Rosellen już znów czuła w ciele słodkie mrowienie, pragnęła dalszych pocałunków, pieszczot i rozkosznych dotknięć. Chciała, by Cason znów ją pocałował i zaczął to wszystko od początku.

Spojrzała mu w oczy.

- Czy to zawsze dzieje się tak szybko? - spytała.

- Nie - odpowiedział Cason. - Są sposoby, żeby to trwało znacznie dłużej. Nawet całą noc.

- Hmm... Wobec tego zrobmy to jeszcze raz, dobrze? I nie kończmy tak długo, jak tylko się da. Chcę znów czuć to, co czułam. I niech to trwa aż do samego rana!

Cason zaśmiał się cicho.

- Jesteś cudownie chętna! Aż trudno uwierzyć, że nikt dotąd nie odkrył w tobie tej prawdziwej złotej rudy, tego złoża kobiecej namiętności.

- Całowałam się już wcześniej. Wiele razy.

- Ale nigdy nie robiłaś tego, co właśnie zrobiliśmy.

Rosellen z radością dostrzegła iskierki, które rozbłysły w jego oczach.

- Nie, bo nigdy tego nie chciałam, dopóki nie spotkałam ciebie. Lubię to, co się we mnie dzieje, kiedy mnie całujesz i dotykasz.

- Och, Rosellen, nie mów tak!

- Dlaczego? Przecież to prawda!

- Bo to spowoduje, że znów zechcę cię wziąć, a boję się, że sprawię ci ból.

Rosellen ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go w oba nieogolone policzki. - Wcale nie sprawiłeś mi bólu. To trwało tylko chwilę, a potem były już tylko same cudowne doznania, o których dotąd nic nie wiedziałam. I teraz chcę to czuć znowu, jak najdłużej. Dotknij mnie znów, Casonie - ujęła jego dłoń i położyła na swej piersi. - Całuj mnie tak jak przedtem. Weź mnie znowu - i nie kończ, dopóki ci sama nie powiem.

Tym razem kochali się bardzo długo, aż do krańcowego, cudownego wyczerpania. A jednak już parę minut po tym wszystkim Cason pożądał jej znowu.

Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek tak szybko ponownie zapragnął jakiejś kobiety, i to po tak całkowitym zaspokojeniu. Wystarczyło jednak, że na chwilę spojrział w rozkosznie niewinne oczy Rosellen, zobaczył jej dłoń, bezwiednie dotykającą różowego czubka nagiej piersi - i natychmiast poczuł, że jego członek znów się pręży w pełnej gotowości.

Sam nie mógł po prostu w to uwierzyć. Coś podobnego nigdy chyba mu się dotąd nie zdarzyło, nawet wtedy, gdy miał osiemnaście lat i właściwie niemal bez przerwy myślał o tym, by położyć się między rozwartymi nogami jakiegokolwiek kobiety. Nie zdarzyło mu się, żeby był ponownie gotowy tak szybko. Przecież nie minęło nawet pięć minut od wytrysku, a jego członek znów był twardy jak granit i na nowo żądny dokładnie tego samego.

Cason uśmiechnął się i już po chwili ponownie znalazł się między nogami Rosellen, wbity w nią głęboko, niczym miecz po samą gardę. Naprężony członek, cudownie gładko poruszający się w ciasnej pochwie jej dziewczęcego łona, sprawiał mu niewyobrażalną rozkosz. Tak można było czuć się tylko w raj. Rosellen była zachwycającą kobietą, a w dodatku jej młodzieńcza niewinność poruszała jego serce, i to tak, jak mu się to nigdy dotąd nie zdarzyło. I właśnie dlatego pragnął jej jeszcze bardziej.

Nagle uświadomił sobie, że właściwie nie znał dotąd innych kobiet, poza tymi, którym tak czy inaczej trzeba było płacić. Znał ich dużo, najróżniejszych –jasnowłosych i ciemnowłosych, białych i kolorowych, wysokich, niskich, szczupłych, pulchnych, ładnych i brzydkich. Zadawał się z mówiącymi po angielsku i z takimi, które nie rozumiały nawet jednego słowa. Były bardzo różne, a jednak w gruncie rzeczy żadnej z nich nie zapamiętał. Różnice między nimi nie miały dla niego znaczenia, ponieważ, nie był z nimi emocjonalnie związany. Po prostu posługiwał się nimi, dokładnie tak, jak one posługiwały się nim.

Zdarzało mu się niejednokrotnie kłaść z nimi także na gołej ziemi. Przygodnie poznane kobiety z obozów poszukiwaczy złota, wędrowne ladacznice różnego rodzaju i zwyczajne prostytutki –wszystkie przynajmniej w jednym były do siebie podobne. Jeżeli się chciało powtórzyć, trzeba było ponownie zapłacić.

Tymczasem teraz tuż obok niego leżała Rosellen, która nie tylko chętnie przyzwalała na wszelką kontynuację, ale w swej rozkosznej

niewinności sama nalegała, by kochać się z nią raz jeszcze. A w dodatku on sam też tego pragnął, w sposób wręcz nienasycony. Żadna z jego dotychczasowych kobiet nie dała mu tego poczucia, nawet w drobnej części. I nie była to tylko satysfakcja z zaspokojonego pożądanego, ale coś więcej, nieporównanie więcej. Do tego stopnia, że aż bał się o tym myśleć.

Rosellen go pragnęła. Pragnęła jego, Casona Murdocka. Tylko to się liczyło i sprawiało, że czuł się szczęśliwy. Przynajmniej w tej chwili.

Później przyjdzie czas na to, by się zastanawiać, jaką to drogą doszli oboje od wzajemnej niechęci i nawet wrogości aż do tego, co działo się z nimi teraz – kiedy to oboje łączyli się w jedno z tą samą nie dającą się wyrazić rozkoszą. Z pewnością należało nad tym pomyśleć, ale to nie była pora na przemyślenia.

Teraz zamierzał jej dać wszystko to, czego chciała – i czego chciał również i on. Był pewien, że jej nie rozczaruje. Cierpliwości powściągliwości nauczyły go lata pracy poszukiwacza, więc i teraz zamierzał być pilny i cierpliwy, kochając się z nią tak długo i wytrwale, by zatraciła wszelką świadomość tego, gdzie jest, i by zgubiła wszelką rachubę czasu – aż do momentu, gdy wreszcie oboje skończą to w jednym wspólnym i obezwładniającym wybuchu.

– Wiesz – powiedziała Rosellen z naiwną otwartością – bardzo lubię, kiedy jesteś we mnie. Ale jeszcze bardziej lubię to, co czuję, kiedy poruszasz się wewnątrz mnie tak jak teraz. Wtedy czuję cię tam w głębi, a jednocześnie włosy na twojej klatce piersiowej tak cudownie łaskoczą moje sutki.

Gdyby Cason nie znalazł jej już tak dobrze, mógłby pomyśleć, że ktoś ją nauczył, co należy mówić, by nawet samymi słowami doprowadzić mężczyznę do orgazmu. A przecież nikt jej niczego nie uczył, to rodziło się w niej jakby samo z siebie – i było tym bardziej zachwycające.

– Ja też to bardzo lubię – powiedział. Całym wysiłkiem woli musiał się powstrzymać, by nie skończyć już teraz.

- Wcale nie żałuję, że to robimy, Casonie.

- To dobrze, zwłaszcza że żadne z nas tego nie planowało.

- To chyba była niespodzianka dla nas obojga, prawda?

Cason uniósł nieco głowę i spojrzał jej w oczy.

- Nie, ze mną to chyba tak nie było. Pragnąłem ciebie, jeśli nie od początku, to na pewno od tej chwili, kiedy mi się tak zaczęłaś przyglądać, tam w saloonie.

- Przyznam ci się, że i ja wtedy patrzyłam na ciebie nie bez zainteresowania - odpowiedziała Rosellen. - Prawdę mówiąc, wpadłeś mi w oko.

- A poza tym już wtedy miałem nieodparte wrażenie, że musisz to lubić. To, jak patrzyłaś, jak się poruszałaś, mówiło naprawdę wiele o tym, co jest w tobie w środku.

- Widać to po mnie? Że jestem z natury zepsutą kobietą?

- Nie! - uśmiechnął się Cason. - Że jesteś kobietą, o której marzy każdy mężczyzna.

- Naprawdę?

Cason skinął głową i pocałował ją w usta.

- Bo o mnie wszyscy w miasteczku myślą, że dużo lepiej wiem, jak być mężczyzną, niż jak być kobietą.

- Mogę ci zagwarantować, że się mylą. Każda kobieta chciałaby się uczyć od ciebie tego, co ty masz za darmo, sama z siebie. - Spojrzał w dół na wznoszące się i opadające w rytm oddechu zachwycające piersi Rosellen. - I zapewniam cię, że w tej chwili nie ma w tobie nic, ale to nic męskiego.

Rosellen uśmiechnęła się z satysfakcją, uniosła nieco głowę i pocałowała go w szyję, mocno wsysając się w napiętą skórę, a potem przesunęła się niżej i zaczęła końcem języka pieścić jego lewy, a potem prawy sutek.

Cason gwałtownie wciągnął powietrze.

- Ty chyba nawet nie wiesz, co teraz robisz ze mną - powiedział, znów powstrzymując się resztkami woli.

- Robię to, co mi się wydaje naturalne - odpowiedziała spokojnie Rosellen.

Och, cóż za kobieta! Cóż za wspaniała kobieta, pomyślał Cason i ponownie wszedł w nią najgłębiej, jak tylko było można. Do diabła z bólem, zresztą ból najwyraźniej już dawno minął. Rosellen odpowiadała całą sobą na każdy jego ruch.

- Och tak, tak! - szepnął jej do ucha.

- Jednego tylko nie rozumiem - powiedziała po chwili. - Jak to możliwe, bym czuła się tak cudownie, kiedy jesteś we mnie, choć przecież nie zapomniałam, co myślisz o moim ojcu?

- To dlatego, że w tej chwili tamte sprawy się nie liczą! - odpowiedział Cason ze szczerym przekonaniem. - Teraz liczysz się tylko ty i ja. I to, co czujemy, co sobie dajemy wzajemnie.

- Ale czy to zawsze jest takie cudowne, tak rozkosznie podniecające? To znaczy, jeżeli będziemy się kochać setny raz, czy to nadal będzie równie dobre?

- Tak. Jeśli tylko zrobimy to dobrze.

- A czy... czy czuje się zawsze to samo, niezależnie od tego... z kim się to robi?

Ich spojrzenia znów się spotkały i Rosellen znieruchomiała na chwilę.

- Nie - powiedział Cason. - Tylko wyjątkowi ludzie sprawiają, że to jest niezwykle i wyjątkowe.

Pochylił się i chwycił wargami ciemnoróżowy koreczek jej sutka. Potem drugi. A potem znów wszedł w nią, głęboko i mocno. Bardzo mocno. Rosellen jęknęła słodko:

- Jeszcze...

- Mam przestać? - spytał, drocząc się z nią.

- Ty sukinsynu! - wykrzyknęła Rosellen. - Dobrze wiesz, że nie wolno ci teraz przestać!

Cason nagle wsunął obie dłonie pod jej łopatki i niespodziewanie przekręcił się wraz z nią tak, że Rosellen znalazła się teraz nad nim.

- Zaraz, co ty robisz? - spytała zaskoczona.

- Wystarczająco długo byłem na górze, teraz twoja kolej.

Uniósł biodra do góry, wyginając się w łuk i jednocześnie pociągając do przodu oba kolana Rosellen, która nagle znalazła się nad nim w pozycji jeźdźca.

- Hmmm! - powiedziała. - A więc można to robić i tak? To wydaje się nawet niezłe.

Cason roześmiał się cicho.

- Nawet bardzo dobre, tylko ty masz teraz więcej pracy. O tak! - I nie przestawaj! Mam ci jeszcze wiele rzeczy do pokazania.

Rosellen popatrzyła nań z góry i odpowiedziała uśmiechem.

- Ani mi się śni przestawać. Nie licz na to.

Nad jej ramionami srebrzył się ogromny letni księżyc i niezliczone gwiazdy na aksamitnym nocnym niebie. Lekko pochylona Rosellen wolno i rytmicznie poruszała się do góry i w dół. Była piękna, niech to wszyscy diabli! Ciemnozłote włosy łagodnie opadały jej na ramiona, kusząco połyskując w księżycowej poświacie. Uwolniona od maskującego ją męskiego stroju Rosellen Lattimer okazywała się wspaniałą i ze wszech miar godną pożądania kobietą.

Uwolnionymi w tej pozycji rękami Cason mógł teraz pieścić i piersi, i pośladki Rosellen. Jedne i drugie były krągłe i cudownie jędrne. W pośpiechu gwałtownego pożądania nie miał dotąd dość czasu, by dokładniej się jej przyjrzeć, by zachwycić się wszystkimi cudownymi szczegółami jej urody. Ale to wszystko było do nadrobienia.

Mieli przed sobą całą noc.

Ona tego chciała.

On też tego chciał.



A dookoła nie było żywej duszy. Nikt nie mógł im przeszkodzić. Cason uśmiechnął się i na moment przymknął oczy, żeby sprawdzić, czy także i pod zamkniętymi powiekami będzie miał ten obraz zachwycająco pięknej kobiety, ujeżdżającej go niczym rasowego rumaka.

- Dobrze to robie? - spytała, pochylając się nad nim.

- Robisz to cudownie, Rosellen.

- A czy mogę trochę mocniej?

- Możesz wszystko, co chcesz, byle cię tylko nie bolało.

Rosellen przyśpieszyła, wyżej i mocniej unosząc i opuszczając biodra, i jednocześnie obracając nimi w lewo i w prawo.

- Tak, jak teraz?

- Tak, właśnie tak! Och, za chwilę umrę!

Roześmiała się cicho, z nieukrywaną satysfakcją.

- Będę to robić lepiej, kiedy nabiorę praktyki - powiedziała.

- Ale zanim skończymy tę dzisiejszą praktykę, chyba będę musiał pójść po śpiwór. Musi ci być zimno.

- Nie ma mowy o chodzeniu teraz po cokolwiek! - zaprotestowała. - Zresztą wcale mi nie jest zimno, raczej wprost przeciwnie. Dzięki temu! - dodała i znów przyśpieszyła ruchy. Usta miała wpółotwarte, z jej gardła wydobywały się jakieś nieartykułowane, zmysłowe dźwięki, które podnieciły Casona jeszcze bardziej.

Zaczął odpowiadać ruchem bioder na każdy jej ruch, wbijając się w nią jeszcze mocniej i jeszcze głębiej.

- Na pewno cię nie boli? - spytał.

- Nie - odpowiedziała Rosellen i odrzuciła głowę do tyłu, wpatrując się w wiszące nad nią rozgwieżdżone niebo. - Czuję się wprost cudownie. Myślę, że mogłabym teraz wzlecieć prosto do nieba.

- No to dalej, Rosellen! - powiedział Cason. - Rozpostrzyj skrzydła i leć! Leć!

Położył dłonie na jej piersiach i zaczął je pieścić, nie przestając odpowiadać rytmicznymi ruchami bioder na coraz mocniejsze, coraz bardziej gwałtowne ruchy Rosellen. Znow był bliski orgazmu i mógłby skończyć bez trudu, ale powstrzymał się i nie zrobił tego nawet wtedy, gdy ona osiągnęła szczyt i wstrząsana spazmami zatrzymała się i znieruchomiła na dłuższą chwilę.

Pozwolił jej odpocząć i dopiero gdzieś po minucie lub dwóch szepnął cicho.

- Ruszaj dalej, Rosellen.

- Nie, nie mogę - uśmiechnęła się słabo. - Nie mam już siły i brak mi tchu..

Pochyliła się do przodu i opadła twarzą wprost w miękkie zagłębienie między jego ramieniem i szyją.

Cason uśmiechnął się. Pierwszy raz w życiu naprawdę nie chciał, żeby noc się skończyła. On, Cason Murdock, po prostu nie chciał odejść od tej kobiety. Na myśl o tym niepokojący cień przemknął gdzieś na samej granicy jego świadomości i przepadł, wysiłkiem woli zepchnięty w niepamięć. Cason wrócił myślami do Rosellen.

- No to teraz albo mówisz, że masz dość - szepnął jej prosto do ucha, które znalazło się tuż przy jego ustach - albo ruszasz dalej, i to co najmniej klusem!

Wolno uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

Cason uśmiechnął się do niej. Rosellen odpowiedziała uśmiechem. Wyprostowała się, jak jeździec zbierający siły, i ruszyła na kolejne okrążenie.

Przedświt rozjaśniał nocny horyzont z wolna narastającą złotoczerwoną iluminacją po wschodniej stronie nieba, stopniowo wydobywając z ciemności imponujący zarys łańcucha odległych górskich szczytów. Bliżej można było już rozróżnić najwyższe drzewa na granicy doliny – olbrzymie świerki, jodły i topole, stojące nieruchomo, niczym żołnierze na warcie.

Wczesny ranek był porą, którą Cason najbardziej lubił. W lesie zaczynały się odzywać ptaki śpiewające, od czasu do czasu dał się słyszeć krzyk jastrzębia. Poza tym wszędzie panowała cudowna, uspokajająca cisza.

Lekki wietrzyk unosił dym z niewielkiego ogniska, które Cason rozpalil natychmiast po obudzeniu się. Chwilę potem obudziła się i Rosellen.

Rosellen.

Siedziała teraz w kucki, obejmując ramionami kolana, i przypatrywała się płomieniom. Spokojna i zamyślona, od czasu do czasu podnosiła wzrok i przyglądała mu się, gdy podrzucał suche gałęzie do ogniska.

A on nie potrafił się powstrzymać, by co chwila na nią nie spoglądać. Nigdy dotąd nie spotkał takiej kobiety. Na wargach wciąż czuł smak jej pocałunków, nawet jego skóra miała teraz także i jej zapach. Ale jednocześnie pod powiekami, niczym ostry piasek, pozostawało zmęczenie po szalonej nocy, a cały organizm zdawał się w stanie rozpaczliwej niewydolności. Zazwyczaj rześkie powietrze takiego jak ten poranka szybko przywracało mu siły i wigor, ale tym razem chyba i to nie mogło pomóc. Tej nocy Rosellen doprowadziła go po prostu do krańcowego wyczerpania, i to nie raz, ale kilka razy.

Bezstronnie musiał przyznać, że do podobnego stanu musiała zapewne doprowadzić także i siebie. Kiedy patrzył na nią, zdawał sobie

sprawę, że musi być nie tylko nieludzko zmęczona, ale i straszliwie głodna. A mimo to nie usłyszał od niej nawet słowa skargi.

Sprawdził torby podrózne przy siodłach obu koni, mając nadzieję, że znajdzie coś do jedzenia, ale znalazł tylko opróżnioną do połowy butelkę Five Jack Whiskey i srebrną podróżną piersiówkę, najpewniej ukradzioną któremuś z pasażerów i również zawierającą jakiś alkohol.

Picie czegoś takiego na pusty żołądek było ryzykowne, nie mieli jednak nic innego, by choć trochę zaspokoić pragnienie. Cason wypił parę łyków, Rosellen również. Potem znów wróciła do swej dawnej pozycji tuż przy ognisku. Skądinąd chłód poranka wydawał się zupełnie jej nie przeszkadzać. Patrzyła w ogień i, być może podobnie jak on, zastanawiała się, co u diabła mają ze sobą zrobić teraz, gdy ostre światło budzącego się dnia i chłód wiejący od gór ostudziły nieco ich rozpalone ciała i na nowo postawiły przed nimi dramatyczne i wciąż nie rozstrzygnięte pytania. Co teraz – gdy ich cele pozostawały tak odmienne?

– Opowiesz mi, co się stało, kiedy się zgubiłeś? – spytała nagle Rosellen.

Cason drgnął i popatrzył na nią, marszcząc brwi. To była ostatnia rzecz, której się po niej spodziewał. Musiała się już przecież domyślić, że on nie chce o tym rozmawiać, a mimo to jeszcze raz próbowała podjąć ten temat.

– Nie – odpowiedział krótko i odwrócił spojrzenie w stronę ogniska. Z ponurą twarzą wpatrywał się w płomień.

– Powiedz przynajmniej, gdzie się zgubiłeś. Czy to było w lesie, w mieście, czy może w górach?

Najwyraźniej próbowała przełamać jego opór. To powinno było go zirytować, ale z jakiegoś powodu wcale nie czuł gniewu, choć nadal uważał, że to jest sprawa, która dotyczyła tylko jego oraz jego matki. Dotyczyła też powodów, dla których do dziś czuł się winny, ale tym bardziej nie zamierzał z nikim o tym dyskutować.

- To nie jest twoja sprawa, Rosellen - powiedział, obracając się ku niej. Nie potrafił się na nią gniewać, była na to zbyt piękna. A poza tym na jej miejscu on sam z pewnością też chciałby wiedzieć.

Sięgnął po whisky i pociągnął długi łyk, czując, jak tani alkohol pali mu gardło. Jeszcze raz podniósł butelkę do ust. Po nocy z Rosellen czuł się dziwnie, był jakiś inny. Ale przecież nie mógł sobie pozwolić na to, by naprawdę przywiązać się do córki szeryfa Lattimera. Może ta whisky pomoże mu znów stać się sobą?

- Czy to było przed czy po śmierci twoich rodziców?

Cason wypił jeszcze łyk. Podobało mu się ciepło rozlewające się od żołądka po całym ciele. I podobała mu się intuicyjna przenikliwość Rosellen, która mimo jego słownych protestów odgadła, że tak naprawdę wzbiera w nim przemożna chęć, by opowiedzieć jej wszystko.

Mimo to jeszcze raz spróbował się temu oprzeć.

- To nie jest historia, której chce się słuchać. Ani tym bardziej opowiadać.

- Dlaczego?

- Bo to nie jest ładna historia. I dotyczy także ludzi z Makowego Wzgórza - powiedział Cason, mając nadzieję, że może to powstrzyma ją przed zadawaniem pytań.

Ale Rosellen trudno było powstrzymać.

- Zgubiłeś się w Makowym Wzgórzu?

- Zgubiłem się przez ludzi z Makowego Wzgórza. Wiem, że ty myślisz o nich dobrze, podobnie jak o swoim ojcu. Więc pewnie nie będziesz chciała słuchać tego, co ich ukazuje w złym świetle.

- Będę. Chcę wiedzieć.

Cason przyjrzał się jej uważnie. Była spokojna i patrzyła na niego z łagodną życzliwością. Lekki poranny wietrzyk rozwiewał jej włosy, ich długie złote pasmo opadło na policzek. Trudno było nie wierzyć temu spojrzeniu, trudno było nie opowiedzieć jej tego, co chciała usłyszeć.

Wiedział, że nie powinien się temu poddać, a jednak się poddawał. Co ta jedna wspólna noc potrafiła z nim zrobić!

Wyciągnął się na trawie obok ogniska, wsparł się na łokciu, a przed sobą postawił butelkę z resztką whisky. Nie patrzył na Rosellen. tylko na tańczące płomyki ognia. Wydarzenia przeszłości stanęły mu przed oczami jak żywe, pamiętał je w najdrobniejszych szczegółach.

- Wszystko byłoby dobrze, gdybym wtedy poczekał do rana. Do dziś obwiniam się o to, że tak nie zrobiłem. Wyruszyłem w środku nocy, nie za dobrze wiedząc, dokąd w ogóle mam jechać. Po prostu wzięłem konia i ruszyłem galopem, jak gdyby wszystkie diabły z piekła goniły mnie naraz. Pewnie dlatego minionej nocy, kiedy w podobnym pędzie minęłaś mnie, nic wokół siebie nie widząc, ta okropna noc z mojego dzieciństwa natychmiast we mnie odżyła. I właśnie przez to równie szaleńczo pognałem za tobą.

- Przeraziła cię myśl, że się zgubiłam, ponieważ kiedyś ty sam zgubiłeś się w podobny sposób?

- Właśnie.

- Mam rozumieć, że mając trzynaście lat wyjechałeś sam na koniu, w środku nocy?

Cason kiwnął głową. Rosellen nie pozwalała mu zapomnieć o przeszłości i on sam też już tego nie chciał. A jednak były tam rzeczy, o których wciąż nie mógłby jej opowiedzieć - na przykład o tym, jak czasami pośród nocnych ciemności budził go przerażający krzyk jego matki. Albo jak pod budynkiem, mieszczącym biuro szeryfa, zobaczył ciało swego ojca z dziurą od kuli w samym środku zakrwawionego czoła, po którym laziły muchy.

I tym bardziej nie mógł jej opowiedzieć o tym, jak jeszcze w wiele lat później zdarzało mu się upijać do nieprzytomności, byle tylko wyrzucić z pamięci te przerażające obrazy. Te wspomnienia ciążyły go niczym ostrze brzytwy, każdy ich nawrót ranił go tak dotkliwie, że nawet

najokrutniejsza zemsta na tym przeklętym miasteczku i na rodzinie Henry'ego Lattimera nie mogłaby ukończyć tego bólu.

A jednak chciał, by Rosellen poznała tę historię. Po pierwsze dlatego, że tak na to nalegała, ale być może także dlatego, że czasami naprawdę chciał, żeby i ona poznała to choćby z opowieści. Żeby sama poczuła ten ból, a przynajmniej go sobie wyobraziła. Może wtedy zrozumiałaby, przez co w swym życiu przeszedł.

- Moja matka była umierająca... - zaczął, i natychmiast urwał bezradnie.

- Pamiętam, jak mówiłeś u Gayli... że zabicie twojego ojca spowodowało również śmierć matki.

- Tak było, choć matka zaczęła umierać już znacznie wcześniej. Pochowała kolejno pięcioro dzieci, z czego troje nie dożyło nawet roku, a dwoje pozostałych nieco później zmarło na szkarlatynę. Byłem jej jedynym dzieckiem, które przeżyło.

- Mój Boże, to musiało być dla niej straszne! Podobnie jak i dla was wszystkich - powiedziała Rosellen i pełna współczucia położyła mu dłoń na ramieniu. Ten drobny gest niespodziewanie wzruszył go. O wiele bardziej, niż chciał.

- Matka nigdy nie pogodziła się z utratą dzieci. Aby choć na jakiś czas o tym zapomnieć, zaczęła brać preparaty opium, ale ich uspokajające działanie szybko ustało. Brała większe dawki i mimo to znów płakała całymi nocami. Dlatego ojciec postanowił przenieść się z całą naszą rodziną do Makowego Wzgórza, w nadziei, że gdy matka znajdzie się daleko od grobów dzieci, poczuje się lepiej.

- Ale to nie pomogło?

Cason potrząsnął głową. Przypomniawszy sobie te straszne chwile, kiedy wracając do domu ze szkoły, znajdował zemdloną matkę na podłodze.

- Nic jej nie pomagało, poza tym przeklętym lekarstwem. Opium ją uspokajało i pozwalało zasnąć, ale oczywiście nie mogło usunąć

przyczyny rozpacz. Kiedy zastrzelono ojca, matka zaczęła brać jeszcze większe dawki. Oszczędzaliśmy na jedzeniu, ale nasze skromne zapasy żywności wkrótce się wyczerpały, podobnie jak zapasy lekarstwa. Wtedy matka krzyczała po całych dniach jak opętana albo też płakała tak rozpaczliwie, że... – Cason znów urwał, nie mogąc mówić dalej.

– Z całą pewnością serce musiało ci się krajać z bólu – powiedziała współczująco Rosellen.

– Można to chyba tak określić – powiedział Cason, przypominając sobie tamte chwile. – Niejeden raz próbowałem wtedy szukać pracy w miasteczku, ale nikt nie chciał mnie zatrudnić.

– Ze względu na ojca?

– Tak. Dla syna kogoś, kogo oskarżono o napad i morderstwo, nie było żadnej pracy. Podjąłbym się nawet najgorzej płatnej roboty w kopalni, nawet mycia spluwaczek i pisuarów, ale i tego mi odmówiono.

Pociągnął jeszcze raz z butelki, ale zaraz ją zakorkował. Już dawno nauczył się tej smutnej prawdy, że alkohol, zupełnie tak samo jak narkotyczne lekarstwo matki, rozwiązuje problemy tylko na bardzo krótki czas. Po wytrzeźwieniu pamięć tamtych złych chwil mogła być tylko dotkliwsza i jeszcze trudniejsza do zniesienia.

– I co wtedy zrobiłeś? – spytała Rosellen.

– Zobaczyłem jakiegoś pijanego mężczyznę na pustej ulicy, więc go obrabowałem. Zabrałem mu wszystko, do ostatniej pięciocentówki.

Mówiąc to odwrócił wzrok. To przyznanie się nie przyszło mu łatwo. Było dla niego oczywiste, że Rosellen mogła się po nim spodziewać czegoś takiego. Podobnie jak tamci ludzie, którzy odmawiali mu pracy, zapewne szepcząc między sobą za jego plecami: „Jaki ojciec, taki syn”.

Ale Rosellen zapytała tylko:

– Zrobiłeś to, żeby kupić matce lekarstwo?

W jej głosie nie było nawet śladu oskarżenia. Mimo to żal i gorycz z dawną siłą ścisnęły go za gardło.

– Widzę, że wcale nie dziwiło cię, że ukradłem pieniądze, prawda?



- Próbowalesz pomóc swojej matce. Ja na twoim miejscu zrobiłabym to samo.

W głębi duszy Cason był jej wdzięczny za to, co powiedziała, choć przez cały czas starał się pamiętać, że nie wolno mu przyjmować od niej ani sympatii, ani pomocy.

- Zrobiłabyś to samo ty, powszechnie szanowana córka szeryfa?! - spytał gorzko. Ani ona, ani nikt inny nie mógł wiedzieć, jak rozpaczliwie potrzebował wtedy tych kilkudziesięciu dolarów. Dla zdobycia ich gotów był na wszystko. - Tak więc w końcu miałem trochę pieniędzy, ale doktor nie chciał mi sprzedać tego lekarstwa. Najpierw go błagałem, a w końcu rzuciłem się na niego z pięściami, ale on oczywiście był znacznie silniejszy. Rozbił mi nos i wyrzucił mnie za drzwi.

- Doktor Harmon?

- Wyrzucił mnie i zamknął drzwi na klucz. Postanowiłem pojechać do innego lekarza. Wiedziałem, że do najbliższego miasta jest ponad trzydzieści mil, ale matka była w takim stanie, że nie widziałem innego wyjścia. Osiodłałem konia i wyruszyłem w środku nocy, licząc na to, że uda mi się wrócić z lekarstwem następnego dnia wieczorem. Wiedziałem tylko jedno: że matka musi dostać to lekarstwo.

- Ale w ciemności straciłeś orientację i zabłądziłeś - powiedziała ochryplym ze wzruszenia głosem.

Cason skinął głową. Najchętniej zakończyłby swą opowieść w tym miejscu, ale coś kazało mu mówić dalej.

- Nie umiałem znaleźć wyjścia z gęstych zarośli, w które wjechałem. Myślałem, że tam umrę. I chciałem umrzeć, ale nie mogłem zapomnieć, że mama liczy na mnie, więc na oślepie jechałem dalej, szukając jakiejś drogi. Dojechanie do miasta zajęło mi dwa dni.

- Ale dostałeś to lekarstwo? - spytała Rosellen.

- Tak, tyle że to się na nic już nie zdało. Kiedy w końcu wróciłem, całe wnętrze domu okazało się zrujnowane. Meble były połamane, firanki i zasłony zerwane, wszystkie naczynia porozbijane i rzucone na

podłogę. Wyglądało to tak, jak gdyby mama dostała ataku szału. Leżała przy wygasłym kominku, a jej ciałem wstrząsały drgawki. Na początku w ogóle nie mogłem jej poznać, była biała jak kreda, nawet wargi miała prawie białe. Oczy miała nieprzytomne, zapadnięte i podkrążone. Nie przypuszczam, żeby miała świadomość, że tam jestem.

– O Boże, nie! – szepnęła mimowolnie Rosellen.

– Siłą zmusiłem ją do przełknięcia lekarstwa, ale było już za późno. Jeszcze tej nocy jej serce przestało bić. Pochowałem ją sam, obok ojca, i opuściłem to miasto. Minęło wiele lat, nim zdołałem się z tym uporać.

Powiedział to, ale w gruncie rzeczy wiedział, że to nieprawda. Nie uporał się z tym, i jeszcze teraz, po latach, zdarzało mu się budzić z krzykiem, w potwornym lęku i poczuciu winy. Czuł się winny, że nie zdążył jej pomóc, że ją zawiódł.

Rosellen położyła rękę na jego dłoni i uścisnęła ją ze współczuciem.

– Żal mi twojej matki – powiedziała. – I żal mi ciebie.

Cason gwałtownie wyrwał jej dłoń.

– Mam nadzieję, że teraz już wiesz, dlaczego nie chcę o tym mówić.

Z nikim!

– Naprawdę ci współczuję, Casonie.

– Zachowaj litość i współczucie dla swego miasta i jego ludzi, bo będą go bardzo potrzebowali. Mnie nikt nie współczuł piętnaście lat temu, kiedy tak potrzebowałem pomocy i współczucia. Więc tym bardziej, do wszystkich diabłów, nie potrzebuje, żeby mi ktoś współczuł teraz!

Cason podniósł się powoli, zabrał butelki z alkoholem i poszedł je wrzucić do skórzanej torby przy siodle. Rosellen siedziała jak ogłuszona, nie będąc w stanie wymówić słowa. Smutek tak ją przytłaczał, że miała ochotę się rozplakać. Chciała pomóc Casonowi, wziąć go w ramiona i pocieszyć go, ale zdawała sobie sprawę, że nie powinna tego robić. Rozumiała, dlaczego nie chciał jej współczucia.

Przypomniała sobie sytuację po śmierci własnego ojca, kiedy ona sama i wszyscy pozostali członkowie rodziny na długie miesiące pogrążyli się w smutku i żalu. Mogła więc sobie wyobrazić, co musiał czuć Cason, dodatkowo jeszcze udręczony poczuciem winy w stosunku do matki. A przy tym on nie miał z kim podzielić tego żalu, nie miał przy sobie nikogo.

Cała historia wydawała się wręcz nieprawdopodobna, jednakże Rosellen wiedziała na pewno, że każde słowo było w niej prawdziwe i że przeżycie tego wszystkiego musiało być dla młodego chłopca doświadczeniem jeszcze bardziej raniącym, niż wynikało to z jego opowieści.

- Tak więc po tym nigdy już nie wróciłeś do naszego miasta? - spytała.

- Nie. Przyjechałem ponownie dopiero trzy dni temu, kiedy to się spotkaliśmy.

- I przez wszystkie te lata przysięgałeś sobie zemstę na Makowym Wzgórzu i jego mieszkańcach?

- Przeciwnie. Przez długie lata przyrzekałem sobie, że noga moja w nim nie postanie.

- Zaraz, nie bardzo rozumiem - powiedziała Rosellen. - A skąd się wzięły plany zamknięcia kopalni i zniszczenia w ten sposób całego miasta?

Cason przez chwilę znów wyglądał tak, jak gdyby nagle zapomniał, gdzie jest. Niewidzącym wzrokiem patrzył gdzieś w przestrzeń.

- Wtedy w ogóle nie myślałem o jakiegokolwiek zemście – powiedział w końcu. – Po wyjeździe z Makowego Wzgórza chciałem tylko umrzeć. Po pochowaniu ojca i matki naprawdę nie wiedziałem, po co jeszcze miałbym żyć. Nie miałem jednak dość odwagi, by popełnić samobójstwo.

Nagły skurcz gardła na moment odebrał Rosellen zdolność mówienia. Przemogła się w końcu i spytała cicho:

- Próbowalesz?

Cason skinął głową.

- Niejeden raz przystawiałem sobie rewolwer do skroni. Ale nie udało mi się pociągnąć za spust.

W jego oczach było tyle bólu, że Rosellen naprawdę się przeraziła. Ale zdołała tylko wyszeptać jego imię, tak cicho, że mógł tego nie usłyszeć.

- To było jeszcze zanim spotkałem Bustera. Ale i później, kiedy już pracowaliśmy razem, myśli o skończeniu ze sobą powracały niejeden raz. – Cason uśmiechnął się gorzko i popatrzył na Rosellen. – Nie powinnaś być tak zszokowana, mimo wszystko. I nie waz się mi współczuć!

- Nie będę! – skłamała.

Ale współczucie dla niego i tak przebijało w jej głosie.

- Teraz już mam to za sobą. Nie myślę o tym więcej.

- Dzięki Busterowi?

- Na pewno. Głównie dzięki niemu zacząłem znów myśleć, że mam po co żyć. Pozbierałem się w końcu, zacząłem się zachowywać normalniej. I wtedy on nauczył mnie posługiwania się dynamitem. To był dowód zaufania, bo z pewnością nie zrobiłby tego, gdyby miał jakiegokolwiek wątpliwości, czy na pewno pozbyłem się złych myśli. Nie mogłem go zawieść, na pewno nie jego. Nikt lepiej od niego nie wiedział, jak niebezpieczny jest dynamit.

Rosellen kiwnęła głową.

- A więc to przez dynamit stracił ramię?

- Tak. To się stało jeszcze zanim go spotkałem. Ale nawet mając tylko jedną rękę, potrafił kopać i płukać piasek nie gorzej od wielu w pełni sprawnych poszukiwaczy.

- Wygląda na to, że darzysz go wielkim szacunkiem.

- To prawdziwy przyjaciel. To on przekonał mnie, że któregoś dnia natrafimy na złotą żyłę, która zrobi z nas bogaczy. I że wtedy stać mnie będzie na to, by wrócić do Makowego Wzgórza, wykupić je i doprowadzić do ruiny. Tak w każdym razie mówił, choć po cichu podejrzewam, że sam w to nie za bardzo wierzył.

- Ale dla ciebie myśl o zemście stała się powodem, dla którego warto było żyć?

- To powoli we mnie narastało. W końcu postanowiłem, że jeśli los zechce, żebym żył, powrócę i zniszczę to przeklęte miasto, które zabiło moich rodziców - popatrzył na nią z przerażającym spokojem. - To właśnie twoje miasto chcę zniszczyć, Rosellen. Gdyby twój ojciec dziś żył, zabiłbym go. Czy nadal cieszysz się, że Buster uratował mnie przed samobójstwem?

Popatrzyła na niego z głębokim smutkiem.

- Nie chciałabym twojej śmierci. Nawet gdyby mój ojciec żył.

- Nie jestem pewien, czy mówisz prawdę. Widziałem cię tam, właśnie tego dnia.

Rosellen poczuła nagły dreszcz.

- O czym ty mówisz? Gdzie mnie widziałeś? I kiedy?

- Piętnaście lat temu przed budynkiem, w którym mieściło się biuro szeryfa i pod którym leżał mój zastrzelony ojciec. Patrzyłaś z podziwem na swego tatę, podczas gdy roześmiani ludzie z miasteczka bili mu brawo i klepali go po ramieniu.

Niejasne wspomnienie wypłynęło gdzieś z głębi lat.

- Widziałeś mnie wtedy? Rzeczywiście tam byłam, ale ledwie kilka chwil, bo widziałam ludzi, którzy się zbiegli i chciałam zobaczyć, co się stało. Wyrwałam się mamie i podbiegłam, ale zaraz mnie odnalazła i zabrała ze sobą. Zdażyłam zobaczyć, że ludzie się śmieją, gratulują mojemu tacie i głośno o czymś rozprawiają. Ale nie widziałam twojego ojca.

Cason obrócił się ku niej.

- Chyba powinienem żałować, że go wtedy nie zobaczyłaś. Może zrozumiałabyś, dlaczego jeszcze dziś zabiłbym twojego ojca, gdyby tylko żył.

Rosellen potrząsnęła głową. Nie była w stanie rozsądnie myśleć. Te straszne rzeczy mówił do niej mężczyzna, który ostatniej nocy posiadał nie tylko jej ciało, ale i duszę, z którym wspólnie się śmiała i kochała się aż do ostatecznego zapamiętania. Oboje byli przekonani, że zdarzyło się im coś cudownego i wyjątkowego. A teraz ten mężczyzna mówił o chęci zniszczenia jej miasta, przyznawał, że chętnie zabiłby jej ojca. Tymczasem ona wciąż potrafiła myśleć tylko o tym, że tak naprawdę chciałaby w nim jakoś pocieszyć tamtego biednego chłopca, który zadreślał się poczuciem winy, ponieważ nie potrafił uratować umierającej matki.

- Casonie, nie jestem w stanie powiedzieć nic ponadto, że rozumiem twój ból i udrękę. Nie potrafię uwierzyć, że nikt ci nie chciał pomóc. Ani że doktor Harmon nie chciał ci sprzedać lekarstwa.

Cason popatrzył jej w oczy.

- To wszystko prawda. Nikt w kopalni nie chciał rozmawiać ze mną o jakiegokolwiek pracy. Pan Carmichael z największego sklepu w mieście nie chciał mi sprzedać nawet małego worka mąki.

- Doprawdy trudno w to uwierzyć.

- Dlaczego, Rosellen? - Jego głos stał się szorstki i odpychający, a spojrzenie było już, niemal wrogie. - Nie miałaś żadnych trudności z natychmiastowym uwierzeniem w to, że mój ojciec dopuścił się rabunku

i morderstwa, prawda? Natomiast nie potrafisz uwierzyć, że pan Carmichael odmówił sprzedania czegokolwiek głodującemu chłopcu i jego matce. Czemu nie chcesz dać temu wiary? Zaskoczona Rosellen z trudem wykrztusiła:

- Ja... ja po prostu nie znałam twojego ojca. Natomiast doktora Harmona i pana Carmichaela znałam przez całe swoje życie. Znam większość mieszkańców Makowego Wzgórza i wiem, że są to dobrzy ludzie. Ty jako chłopiec nie miałeś wpływu na to, co robił twój ojciec. Nie mogło być najmniejszego związku między tobą a tym, co wtedy stało się w banku. Więc po prostu nie mogę zrozumieć, z jakiego powodu ludzie z naszego miasta mieliby odmówić pomocy tobie i twojej matce.

- Nie rozumiesz, bo jesteś ślepa! Chcesz być ślepa! - powiedział gniewnie Cason. Podniósł torbę podróżną i poszedł przymocować ją do siodła jednego z koni.

Dotknięta do żywego Rosellen zerwała się i pobiegła w ślad za nim, bezwiednie zaciskając pięści.

- Do czego właściwie zmierzasz? - spytała. - Dlatego, że cię zraniono, chcesz być podły?

Cason spojrział na nią bez cienia życzliwości.

- A czy nie tego w gruncie rzeczy spodziewasz się po mnie? Już ci mówiłem, że obrabowałem pijanego człowieka. Uważasz mnie też za syna mordercy.

- Nie.

- Co „nie”? Więc mój ojciec jednak nie był mordercą?

- Nie przekręcaj tego, co powiedziałam.

- Ty po prostu nie chcesz widzieć żadnej skazy u swoich. U twego ojca ani u nikogo z tego twojego miasteczka, prawda?

- Bo nie miałam dotąd żadnego powodu, by podejrzewać ich o coś takiego - odparła Rosellen.

- Najwyższy czas, żebyś wreszcie przejrzała na oczy. Ten świat jest pełen ludzi obojętnych i nieczułych, którzy wszystkich innych po prostu mają gdzieś.

- Sądzę, że się mylisz.

- Przypomnij sobie tylko, co robili współobywatele twojego miasteczka, kiedy parę dni temu musiałaś stanąć twarzą w twarz z tym uzbrojonym poszukiwaczem. Gdzie wtedy był pan Carmichael i wszyscy inni?

Rosellen zeszytniała z oburzenia i urazy. Jak on w ogóle śmiał powiedzieć coś takiego o ludziach z jej miasta?!

- Mylisz się bardzo albo po prostu świadomie kłamiesz! - wykrzyknęła z gniewem. - Wtedy ludzie mi nie pomagali, ponieważ wiedzieli, że to nie jest potrzebne. Wiedzieli, że strzelam najlepiej w całym mieście i że doskonale dam sobie radę sama.

- Czy strzelasz lepiej czy gorzej, to akurat nie miało znaczenia. Żaden szanujący się mężczyzna nie miał prawa pozwolić, byś stawała sama oko w oko z uzbrojonym włóczęgą. Dlatego ci, co tam byli, pozostaną dla mnie nikczemnymi tchórzami i nic tu nie pomoże twoje uparte stawanie w ich obronie. Podobnie jak nie pomoże to twojemu ojcu. Bo to jednak on był tym, który przed laty dokonał i rabunku, i morderstwa! Zapamiętaj to sobie!

- Nie! To nieprawda! - Gniew tak dusił ją w gardle, że jej głos był ledwie słyszalny. Nie była w stanie pojąć, co spowodowało tak krańcową zmianę w jego nastawieniu.

- A to twoje ukochane miasteczko zabiło moją matkę! Nie próbuj mi wmawiać, że tak nie było!

Rosellen popatrzyła na niego ze smutkiem.

- Powiem ci tylko tyle, że wciąż jeszcze nie wyszedłeś z ciężkiego urazu po śmierci rodziców. Powiedziałeś, że zajęło ci to lata, ale teraz okazuje się, że właściwie nawet nie zacząłeś z tego wychodzić. Dlatego szukasz zemsty i dlatego chcesz zniszczyć Makowe Wzgórze!



Cason nie spuścił wzroku. Z jego płonących ciemnych oczu było niewzruszone przekonanie.

– A dlaczego nie miałbym tego zrobić?

Rosellen otworzyła usta, ale nie zdołała wypowiedzieć nawet słowa. Nagle straciła dotychczasową pewność. A jeśli Cason miał rację? Na jego miejscu też szukałaby odwetu. I też mogłaby chcieć kogoś zabić.

Dreszcz przebiegł jej po plecach. Gdzieś tam w głębi niej nastąpiła zaskakująca przemiana. Po raz pierwszy pomyślała, że Cason może mieć rację. Przycisnęła dłonie do piersi, usiłując uspokoić gwałtownie bijące serce.

Co miała teraz zrobić?!

Przede wszystkim zdusić w sobie wszelkie wątpliwości. Te bowiem oznaczałyby nielojalność w stosunku do wszystkiego, czego dotąd broniła, a na to nie mogła sobie pozwolić. Za wszelką cenę musi przekonać Casona, że to ona miała rację. Dlatego nie może być po babsku miękka i ustępliwa, nie może leż sobie pozwolić na żadne kobiece współczucie, które on tak łatwo potrafił w niej rozbudzać. Po prostu musi być twarda.

– No cóż – powiedziała, biorąc głęboki oddech. – Cieszę się, że nasze stanowiska pozostały niezienne, chociaż zostaliśmy kochankami.

Na przystojnej twarzy Casona pojawił się szyderczy uśmiech. Można było w nim dostrzec samozadowolenie i nawet brutalną męską satysfakcję.

– Czy ty naprawdę jesteś ślepa, Rosellen? – spytał drwiąco.

– Co masz na myśli?

– Nie staliśmy się kochankami. Swędziało nas, więc się po-drapaliśmy. I tylko tyle, nawet jeśli zajęło nam to całą noc.

Rosellen przyjęła te słowa jak uderzenie pięścią w żołądek. Łzy zakręciły się w jej oczach tak szybko, że nie zdążyła się odwrócić, i Cason mógł je zobaczyć.

- Ty sukinsynu! - powiedziała cicho i brzegiem drżącej dłoni otarła policzki. - Oczywiście, to, co wydarzyło się między nami, nie mogło się niczym różnić od tego, co robią ze sobą zwierzęta podczas rui. Dziękuję, że mnie poprawiłeś.

Cason drgnął jak ukąszony, ale dla Rosellen nie była to żadna pociecha. Jego słowa zabolą ją znacznie bardziej.

- Gdybym choć przypuszczał, że jesteś dziewicą, z pewnością bym cię nie dotknął.

Powiedział jej to już wcześniej, ale teraz powtórzył to z jeszcze głębszym przekonaniem. Najwyraźniej szczerze żałował, że do ich zbliżenia w ogóle doszło. Świadomość tego zraniła ją głęboko, postarała się jednak nie dać tego po sobie poznać.

- A dlaczego przypuszczałeś, że nie jestem już dziewicą? - spytała.

- Ponieważ w mieście miałaś reputację dzikiej i nieokiełznanej. Stąd zresztą ten twój przydomek - „póldiablę”. Większość dziewcząt, którym pozostawia się zbyt wiele swobody, ma pierwszego mężczyznę już w wieku piętnastu, szesnastu lat. Dlatego przypuszczałem, że jako miejskie póldiablę już od dawna masz to za sobą.

- To jeszcze jeden dowód, jak łatwo się mylisz. „A póldiablę”, to też już dawna przeszłość. Owszem, robiłam kiedyś rzeczy szalone, ale wtedy byłam jeszcze bardzo młoda. Od tego czasu dorosłam i bardzo się zmieniłam. Mam w mieście naprawdę dobrą opinię, o tamtych latach dawno już zapomniano.

- Kogo ty chcesz przekonać? - spytał Cason. - Mnie czy siebie?

Rosellen nie odpowiedziała. Łzy wciąż płynęły po jej policzkach, ale teraz już nawet nie starała się ich ukrywać. Za mocno ją to wszystko zraniło. Co stało się z tym tak bliskim mężczyzną, który sprawił, że po raz pierwszy w życiu poczuła się kobieta? Dlaczego mówi jej takie okropne rzeczy?

- Ja się zmieniłam, niech cię diabli, zmieniłam! Rozumiesz? - rozpaczliwie usiłowała mu wytłumaczyć to, co i tak nie mogło do niego

dotrzeć. – Nie popełniam już młodzieńczych szaleństw, bo po prostu wydorosłam. Stałam się inna. I będę dobrym szeryfem, podobnie jak mój ojciec! Niezależnie od tego, co próbujesz mi wmawiać!

Cason uśmiechnął się ponuro.

– To ty sobie próbujesz wmawiać różne rzeczy. Myślisz, że swoim obecnym postępowaniem przekreślasz swoją przeszłość. Ale złej przeszłości nie da się w ten sposób wymazać, ja ci to mówię! Jeśli kiedyś było z ciebie półdiabłą, będziesz nim już zawsze. Jedna nikczemna plotka zniszczy najlepszą reputację. Czyżbyś naprawdę o tym nie wiedziała?

– Przestań już! – wrzasnęła, nie umiejąc się opanować. – Ty podły, nikczemny sukinsynu! Dlaczego mówisz tak straszne, tak okropne rzeczy?!

Usiłowała powstrzymać łzy, ale płynęły już niepohamowanym strumieniem. Była wściekła na siebie, że płacze na oczach człowieka, który ją zranił.

– Jestem głupia! Głupia! – wykrzyknęła. – Nie miałam się kiedy rozpląkać! Nienawidzę cię za to, że teraz na mnie patrzysz! Że płacze przez ciebie!

Osunęła się na kolana, ukryła twarz w dłoniach i rozszlochała się na dobre. Nie tylko dlatego, że Cason uważał ją za półdiabłą.

Płakała także nad bezradnym chłopcem, który chciał uratować matkę i któremu nikt nie pomógł, gdy rozpaczliwie tego potrzebował. Płakała dlatego, że już nie wiedziała, co ma myśleć o swoim ojcu – i co ma myśleć o swoim ukochanym mieście, o jego ludziach. Nienawidziła Casona za to, że zmuszał ją do zagładania w ludzkie życie znacznie głębiej, niż chciała.

Jej ramiona trzęsły się od szlochu, serce bolało tak, jakby ktoś gołymi rękami wrywał je z piersi, a wciąż przytulone do twarzy dłonie były pełne łez. To było tak, jak gdyby teraz wyplakiwała się za te

wszystkie czasy, kiedy udawała twarde półdiabłą i ukrywała łzy, by nikt nie dostrzegł w niej słabości.

Cason uklęknął obok niej, ale Rosellen odepchnęła go, gdy chciał objąć ją ramieniem.

- Nie dotykaj mnie! - wykrzyknęła.

- Chcę cię tylko podtrzymać. Potrzebujesz tego.

Szloch tak bardzo ją wyczerpał, że w końcu nie była już w stanie się opierać. Nie miała już sił. Obróciła się i bez słowa wtuliła w jego ramiona, wciąż pochlipując niczym bezradne, przerażone dziecko.

Cason odruchowo poprawił jej rozwichrzone włosy, a potem delikatnie, uspokajająco głaskał ją po głowie i ramionach.

- Nie chciałem doprowadzić cię do łez - powiedział po chwili.

Jego głos był teraz ciepły i łagodny. Rosellen chętnie by w to uwierzyła, jednak burknęła tylko:

- Akurat!

- Nie wiedziałem, że jesteś aż tak wrażliwa na to twoje przezwisko czy przydomek.

W rzeczywistości Rosellen dotychczas wcale nie przejmowała się tym, że niektórzy tak ją nazywali. Przeczulona stała się dopiero wówczas, gdy zdała sobie sprawę, że Cason naprawdę uważa ją za coś takiego. Uważała to za krzywdzące, zwłaszcza w zestawieniu z jej ustawicznymi wysiłkami, by się zmienić i zasłużyć sobie na szacunek mieszkańców miasta.

Może jednak naprawdę nie mogła się już zmienić? I naprawdę bardziej nadawała się do roli mężczyzny niż do roli kobiety?

- Posłuchaj, Rosellen - powiedział Cason po dłuższej chwili milczenia. - Chyba nie ma już sensu, żebyśmy tak trwali przy sobie bez końca, nie uważasz? Myślę, że kiedy już dotrzemy do Pueblo, powinnaś wrócić do Makowego Wzgórza.

Spojrzała na niego i otarła rękawem twarz, wciąż wilgotną od przelanych łez.

- Chcesz się mnie pozbyć, żeby móc swobodnie pojechać do Denver i tam wynająć kogoś, kto będzie udawał Dodge'a? Mowy nie ma! Zostaje z tobą.

Popatrzył na nią i pokręcił głową.

- Po co chcesz zostać? - spytał. - Żeby zacząć wszystko jeszcze raz? Przecież już raz się kochaliśmy!

- Raz? Chyba oduczyłeś się liczyć!

Podrapał się niepewnie po nie ogolonym podbródku.

- No więc dobrze, niech będzie. Kochaliśmy się cholernie dużo razy, to prawda. I prawdą jest też, że bardzo chętnie zrobiłbym to ponownie, gdybyś mi pozwoliła, i pewnie na tym by się nie skończyło. Ale któregoś dnia tak czy inaczej musiałbym odejść od ciebie, Rosellen, a nie chciałbym odchodzić z obawą, że zostawiłem w tobie jakieś mające się narodzić dziecko.

Rosellen zatrzepotała powiekami, zaskoczona tym, że podobna myśl w ogóle przyszła mu do głowy.

- Trochę za późno się zreflektowałeś, nie uważasz? Ale nie obawiaj się o mnie ani o ewentualną latorośl. Nie pozwoliłabym ci się dotknąć, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na świecie! - Odwróciła się i podeszła do ogniska, wpatrując się w rozżarzone węgle.

Cason stanął przy niej i gwałtownie obrócił ją, a potem przyciągnął ku sobie. Ich ciała znów zetknęły się na całej długości, a jej twarz znalazła się tuż przy jego twarzy.

- Prowokujesz mnie! - powiedział. - Prowokujesz i kusisz bardziej, niż jakkolwiek kobieta, którą w życiu spotkałem. Ale wiedz, że w pół minuty mógłbym ci zadać kłam, gdybym tylko zechciał!

- No to spróbuj! - odparła Rosellen, usiłując bez powodzenia wyswobodzić się z jego objęć. - Spodnie mam wystarczająco mocno zapięte i zapewniam cię, że same się nie odepną!

- Tak mówisz teraz. Ale co powiesz, kiedy wezmę cię mocniej w objęcia, o tak? I kiedy poczujesz moją znów twardą i gotową męskość tuż przy twych udach, tak jak teraz? Czujesz, ją? No i co teraz zrobisz?

Najgorsze było to, że Cason miał rację. Kiedy przytulał się do niej w ten sposób, ona nagle traciła wolę, traciła zdolność stawiania oporu. To, co czuła i co działo się wtedy w jej ciele, było silniejsze od niej.

- Nic nie zrobię! - odpowiedziała znacznie ciszej, niż zamierzała. Udało się jej tylko znieruchomieć, aby sprawiać wrażenie, że jego dotyk zupełnie na nią nie działa. Nie była jednak w stanie przewidzieć, jak długo w ten sposób wytrzyma.

- Nie wydaje ci się to podniecające, Rosellen?

Jej ciało pragnęło go teraz tak bardzo, że to aż sprawiało ból.

- Nienawidzę cię! - szepnęła.

W odpowiedzi Cason roześmiał się cicho.

- A więc wiesz, że mnie nienawidzisz. Wiesz, co myślę o twoim ojcu. I wiesz, co zamierzam zrobić z twoim miastem. A mimo to pragniesz mnie teraz równie mocno, jak ja pragnę ciebie.

- Nie! - zdołała jeszcze skłamać przez zaciśnięte zęby.

- Tak - powiedział Cason i przechylił ją w ten sposób, że jego usta znalazły się tuż przy jej twarzy. - Chcesz mnie bardzo, właśnie teraz! - szepnął jej prosto do ucha.

- Nie!

Ale jej opór słabł z każdą sekundą.. Nogi coraz bardziej odmawiały posłuszeństwa, była coraz bliższa tego, żeby osunąć się bezwładnie w jego ramiona. Niewiele brakowało, a zaczęłaby go wręcz błagać, żeby przynajmniej przestał wciskać się tak przemożnie między jej uda, bo to odbierało jej wszelką zdolność panowania nad własnymi uczuciami.

A Cason wciąż całował jej skronie i policzki, głęboko wdychając zapach jej ciała.

- Chcesz, żebym cię tak dotykał, prawda? - zapytał tym samym uwodzicielskim szeptem. Koniuszkami palców pieścił jej ucho, szyję, a

potem opuścił dłoń jeszcze niżej, ku piersiom. – Przyznaj, że chcesz, żebym to zrobił!

„Przyznaj, że chcesz, żebym to zrobił”.

Ileż to razy w dzieciństwie zdarzało się, że bracia w trakcie zabawy wykręcali jej ręce do tyłu, aby zmusić ją do przyznania, że przegrała i że się poddaje. Ból czasami był naprawdę nieznośny, ale mimo to mała Rosellen w jakiś sposób zawsze potrafiła to przetrzymać. Teraz też powinna w sobie znaleźć taką siłę i oprzeć się pożądaniu, któremu ulec można było tak łatwo.

– Chcę znów to poczuć, przyznaję – powiedziała, nadszpiewanie łatwo strącając dłoń Casona ze swojej piersi. Obróciła się na pięcie i odsunęła na kilka kroków. – Ale kiedy już zechcę zaspokoić tę chęć, postaram się po prostu o innego mężczyznę!

Żrenice Casona zwały się nagle, a jego oddech stał się krótszy i bardziej gwałtowny.

– Zabiję każdego mężczyznę, któremu pozwolisz się dotknąć – powiedział, patrząc jej w oczy.

Pociąg powoli zbliżał się do przedmieść Denver. Cason w zamyśleniu spoglądał przez okno na widoczne w perspektywie nowe śródmiejskie budynki. Rosellen wołała się przyglądać Casonowi. Centrum z wysokimi budynkami z pewnością było zupełnie inne niż w Makowym Wzgórzu, gdzie były tylko dwie główne ulice, ale Rosellen miała zbyt wiele rzeczy do przemyślenia, by zajmować się miejskimi krajobrazami.

Podróż koleją z Pueblo do Denver trwała wyjątkowo długo, ponieważ pociąg zatrzymywał się na każdej, najmniejszej nawet stacji. Na szczęście oboje byli tak zmęczeni, że przespali niemal całą drogę, praktycznie nie odzywając się do siebie. Gwizdek obudził ich na kilka minut przed wjazdem do Denver.

Rosellen wreszcie poczuła się w miarę wypoczęta. Nadal zachowywała milczenie, choć obecność Casona odczuwała niezwykle ostro.

W Pueblo zamierzała osobiście zwrócić współpasażerom zagrabione przez bandytów rzeczy, jednakże oboje z Casonem dotarli tam zbyt późno. Poszkodowani w napadzie już się rozjechali, gdyż ratunkowa ekipa techniczna, wysłana na poszukiwanie zatrzymanego pociągu, szybko uruchomiła parowóz i bezpiecznie dowiozła pasażerów do ich stacji docelowych. Tak więc Rosellen mogła tylko przekazać miejscowym władzom worek z bandyckimi łupami i odebrać z depozytu swój plecak, a także podróżną torbę Casona.

Sporo czasu spędzili na rozmowie z szeryfem i jego zastępcami, opowiadając im szczegółowo o przebiegu napadu i o dalszych wydarzeniach, które doprowadziły do szczęśliwego uwolnienia uprowadzonych. Zapowiedzieli też, że w niedługim czasie myśliwy



nazwiskiem Beck przywiezie ciała zastrzelonych bandytów i upomni się o ewentualną nagrodę.

Wszystko to zajęło im tyle czasu, że praktycznie wprosi z biura szeryfa musieli jechać na stację, żeby zdążyć na pociąg do Denver. Po drodze Rosellen zdążyła jedynie nadać uspokajający telegram do matki z wiadomością, że wszystko jest w porządku i że wkrótce przyśle następną wiadomość. Było to konieczne, ponieważ Evelyn Lattimer zawsze martwiła się niepomierne, gdy tylko córka wyjeżdżała z miasta.

Rosellen czuła się jakoś odpowiedzialna za ten niepokój matki. Sadowiac się w przedziale pociągu Pueblo-Denver, przyrzekła sobie w duchu, że odtąd postara się być lepszą córką i spróbuje jakoś wynagrodzić matce te wszystkie troski, których przyczyną zdarzało się jej być przez ostatnie lata. Z tym postanowieniem zapadła w sen, ukołysana monotonnym stukotem kół.

Obudziła się dopiero przed Denver. Otworzyła oczy i przypatrywała się Casonowi, który w zamyśleniu patrzył na przesuwające się za oknem pierwsze miejskie zabudowania.

Cason obrócił się ku niej, jak gdyby nagle poczuł na sobie jej spojrzenie. Rosellen pośpiesznie odwróciła wzrok. W jej pamięci wciąż, na nowo pobrzmiwało echo słów, wypowiedzianych przez niego poprzedniego ranka. Z pewnością była w tych słowach jawna zazdrość, był odruch zawłaszczania, ale czy naprawdę gniewało ją to jego oświadczenie, że zabije każdego mężczyznę, który ośmieli się ją tknąć?! Nie potrafiłaby rozsądnie wytłumaczyć, dlaczego w ogóle powiedział coś takiego – ani dlaczego czasami ona sama gotowa była w to uwierzyć.

Ciągle ją zdumiewała jej własna słabość, która ujawniała się właśnie w obecności Casona. Dlaczego tak łatwo gotowa była mu ulegać i dlaczego sprawiało jej to aż taką przyjemność? Przecież powinna być raczej wstrząśnięta i przerażona jego zapowiedziami zniszczenia wszystkiego, co ukochała. Jak to możliwe, że wciąż ją pociągał, że nawet

teraz, kiedy siedziała w przedziale naprzeciwko niego, miała ochotę wyciągnąć rękę i pieśczośliwie dotknąć jego dłoni?

Chciałaby mu powiedzieć, że naprawdę współczuje temu bezradnemu chłopcu, którym był przed laty. Że także i ją boli to, co spotkało jego matkę. Że mieszkańcy Makowego Wzgórza postąpili źle, odmawiając mu pomocy po tym, jak jego ojciec został zastrzelony. Że jej zdaniem nie należało zabitego ostentacyjnie wystawiać na pokaz przed biurem szeryfa. I że znaczna część tych łez, które przy nim wylała, była łzami współczucia dla niego, za wszystko, co przeszedł.

Nie była to jednak właściwa pora, by mu to powiedzieć. I nie było żadnej pewności, że odpowiedni moment w ogóle kiedykolwiek nadejdzie. Podobnie jak nie było żadnej pewności, że Cason w ogóle będzie jakąś częścią jej przyszłego życia.

Jedynie, co mogła teraz zrobić, to pozbierać się po tych wszystkich wydarzeniach i jeszcze raz spróbować wyrwać się spod jego obezwładniającego wpływu. A także pogodzić się z faktem, że to, co stało się między nimi, było tylko niezbędnym w życiu doświadczeniem czegoś nowego – tak jak był nim pierwszy papieros, pierwszy kieliszek alkoholu czy pierwszy strzał z rewolweru.

Ale kiedy próbowała w ten sposób o tym myśleć, czuła w sobie przerażającą pustkę. Z jednej strony jakaś część jej wewnętrznego „ja” chciałaby po prostu odejść od Casona Murdocka i nigdy więcej już go nie zobaczyć, ale w tym samym czasie inna jej część skłonna była utrzymywać niezmiennie, że ten mężczyzna był kimś zupełnie wyjątkowym, całkowicie odmiennym od wszystkich, których знаła.

Tymczasem dojeżdżający do końcowej stacji pociąg zatrzymał się już ostatecznie i pasażerowie ruszyli w kierunku wyjścia.

Cason zdjął z półki torbę podróżną i damski plecak, który Rosellen przyjęła, unikając jego wzroku tak, jak to czyniła już poprzednio, poczynając od Pueblo.

Przy wyjściu z wagonu Cason chciał przepuścić ją przodem, ale Rosellen zatrzymała się i powiedziała: „Idź pierwszy”. Chciała go przez cały czas mieć na oku, bo nadal podejrzewała, że będzie usiłował się wymknąć. A okazji po temu nie musiałby szukać daleko, bo peron dworca kolejowego w Denver, zwłaszcza w porównaniu z Makowym Wzgórzem i innymi podobnymi stacjami, był naprawdę zatłoczony. Zgubić się w takim tłumie pasażerów byłoby niezwykle łatwo.

I rzeczywiście – wystarczyło, że Rosellen na moment odwróciła wzrok i schodząc po schodach patrzyła pod nogi, a Cason już zniknął jej z oczu. Zaczęła się rozglądać na prawo i lewo, ale widziała jedynie coraz to nowe grupki pasażerów, śpieszących do pociągu bądź do wyjścia. Przez jej ciało przebiegł nagle zimny dreszcz lęku.

Postanowiła cofnąć się na schody i z pewnej wysokości poszukać w tłumie charakterystycznej kolorowej opaski na jego kowbojskim kapeluszu. Dostrzegła ją dosłownie w ostatniej chwili, gdy Cason miał już zniknąć za zakretem. Szedł krokiem bardzo szybkim i zdecydowanym. Najwyraźniej chciał jej uciec.

– Cholera jasna! – zaklęła Rosellen i puściła się w pogoń, od czasu do czasu potrącając ludzi. Zwolniła dopiero wtedy, gdy znalazła się tuż za nim. Wtedy jak gdyby nigdy nic zrównała się z nim, spoglądając na niego z udaną obojętnością. Długie nogi pozwalały jej iść krok w krok.

Cason w końcu obrócił się do niej i popatrzył bez jakiegokolwiek zdziwienia.

– Gdzieś się zapodziała? – spytał obojętnym tonem. – Już myślałem, że się zgubiłaś.

– Trzymam zakład, że na to właśnie liczyłeś – odpowiedziała cierpko. – Jestem pewna, że chciałeś mnie zgubić.

– Nie zakładaj się bez sensu, bo to wyrzucanie pieniędzy – mruknął Cason. – A w ogóle to chyba pora, żebyś pomyślała o powrocie do domu. Dodge'a potrafię znaleźć i bez ciebie.

Wcale nie myślę ci pomagać w szukaniu Dodge'a. Mam tylko zamiar mieć cię na oku, jak ci to już zapowiadałam.

- Wobec tego trzymaj się mnie, proszę bardzo. Jeżeli nie będziesz mi utrudniać poszukiwań, rób sobie, co chcesz!

Przez kilka minut szli w milczeniu. Mijali kolejne ulice, pełne najróżniejszych pojazdów, poczynając od kosztownych spacerowych powozów, a kończąc na dostawczych furgonach i wysłużonych wozach osadniczych, niejednokrotnie tak zdezelowanych, że jedynie grube konopne liny zdawały się utrzymywać te wehikuły w całości. Rosellen nigdy dotąd nie widziała takiego ruchu, tylu ludzi, koni i pojazdów naraz.

Niektóre budynki były stare i zaniedbane, inne zupełnie nowe bądź świeżo odnowione. Obok domów parterowych strzelały w górę nowsze konstrukcje, nawet kilkupiętrowe. Wszędzie pełno było jaskrawych szyldów, wystawy i towary wyłożone na zewnątrz zachęcały do odwiedzenia sklepów, jednakże Cason szedł tak szybko, że Rosellen nie miała nawet czasu, by dokładniej przyjrzeć się witrynom.

Również ludzie wydawali się bardzo różni. Obok bardzo bogatych, doskonale ubranych kobiet i mężczyzn można było widzieć sporo osób odzianych znacznie skromniej, nie wspominając już o przemykających tu i ówdzie obdartych włóczęgach i miejscowej biedocie. Generalnie odnosiło się wrażenie, że niemal wszyscy ci ludzie z wielkiego miasta stale gdzieś się bardzo śpieszą. Tylko nieliczni szli wolniejszym krokiem, zażywając spaceru i od czasu do czasu wymieniając ukłony z napotkanymi po drodze znajomymi.

Rosellen już od dzieciństwa z zaciekawieniem słuchała opowieści o wielkomiejskim życiu w Denver i chętnie przyjrzałaby się uważniej temu wszystkiemu, jednakże tempo, jakie narzucił Cason, praktycznie uniemożliwiało dokładniejsze obejrzenie czegokolwiek. Szczęściem nowe kowbojskie buty najwyraźniej zdążyły się już rozchodzić i Rosellen dość swobodnie mogła mu dotrzymywać kroku.

- Dokąd idziemy? - zapytała po mniej więcej dziesięciu minutach forsownego marszu.

- Do hotelu.

- O ile dobrze zauważyłam, minęliśmy już co najmniej trzy hotele, nie wspominając o pensjonatach.

- Zamierzam się zatrzymać tam, gdzie już mieszkałem.

- To znaczy, że już byłeś w Denver? Nic o tym nie mówiłeś.

- Bo mnie nie pytałaś.

Rosellen usunęła się na bok, by przepuścić grupkę elegancko wystrojonych kobiet, po czym znów zrównała krok z Casonem.

- Nie wiem, czy wolno mi o to pytać - powiedziała po chwili. -Ale z tego, co mi mówiłeś, można było wnioskować, że od wyjazdu z Makowego Wzgórza właściwie całe życie spędziłeś na poszukiwaniu złota w górach.

- Bo też tak właśnie było. W każdym razie spędziłem tam znakomitą większość dotychczasowego życia. Ale kiedy już natrafiliśmy na tę bardzo bogatą żyłę, przyjechaliśmy do Denver, żeby podpisać umowę ze znaną firmą wydobywczą, która zajęła się przemysłową eksploatacją odkrytego przez nas złoża. A poza tym... - Cason spojrział na Rosellen i nagle zamilkł.

- A poza tym co?

- Poza tym prawnicy tej firmy przygotowali mi papiery, potrzebne do legalnego nabycia kopalni w Makowym Wzgórzu. Firma, do której należała wasza kopalnia, już od lat ma swą siedzibę właśnie w Denver.

Rosellen mimowolnie zeszytniała na wzmiankę o wykupieniu kopalni. Co powiedziałyby jej rodzina, gdyby dowiedziała się o obecnych planach Casona i w ogóle o tym wszystkim, co stało się na przestrzeni tych ostatnich kilku dni? Lepiej było o tym nie myśleć i mieć nadzieję, że nikt z rodziny niczego się nie dowie.

- Tak więc znasz miasto i ludzi? - spytała.

- Nie powiedziałbym. Miasto znam raczej słabo, a co do ludzi... owszem, znam dobrze kilku bardzo obecnie szanowanych obywateli miasta Denver. Ale wszystkich ich poznałem znacznie wcześniej, ponieważ byli kiedyś zwyczajnymi, biednymi poszukiwaczami, takimi samymi jak ja i Buster. Im również się poszczęściło.

Cason nie wiedział, że mówiąc o znajomych, którym się powiodło, dał Rosellen jeszcze jeden powód, dla którego powinna była śledzić wszystkie jego poczynania. Dobrze pamiętała słowa ojca, który nieraz powtarzał, że bogaci mają sposoby, by dostać wszystko, co zechcą.

Po chwili zatrzymali się przed imponującym kilkupiętrowym budynkiem z prowadzącymi do środka ogromnymi drzwiami ze szkła i metalu. Wielkie klamki z polerowanego mosiądzu lśniły tak, że Rosellen bałaby się ich dotknąć, z obawy, że mogłaby je pobrudzić. Również właściciele tego budynku najwyraźniej musieli się tego obawiać, ponieważ ustawili przed wejściem portiera w kosztownym uniformie i białych rękawiczkach, który z ukłonem otworzył przed nimi szklane drzwi.

Po wejściu do środka Rosellen omal nie padła z wrażenia. Czegoś podobnego nigdy dotąd nie widziała. W ogóle nie przypuszczała, że mogą istnieć pomieszczenia aż tak ogromne i do tego urządzone z takim przepychem. Całe wnętrze wręcz porażało bogactwem.

Środek wyfroterowanego do połysku wzorzystego parkietu z kosztownych gatunków drewna zajmował ogromny barwny dywan, z pewnością bardzo cenny, a przy tym wyglądający tak, jak gdyby żadna stopa ludzka nigdy go nie dotknęła. Ściany, oświetlone kryształowymi kinkietami, były pokryte przypominającą aksamit tapetą tłoczona w wymyślne wzory, a z wysokiego sufitu zwisał olbrzymi, również kryształowy żyrandol, na którym wpadające z zewnątrz światło słońca rozłamywało się na tysiące drobnych promieni, mieniących się wszystkimi barwami tęczy.

Na obwodzie całego pomieszczenia w strategicznych punktach rozmieszczone były obite brokatem i aksamitem stylowe kanapy i fotele, a obok nich tu i ówdzie stały pięknie intarsjowane stoliki z różanego i satynowego drewna.

W pomieszczeniu przebywało kilka elegancko ubranych kobiet, w wytwornych sukniach z atlasu i aksamitu i w imponujących swymi rozmiarami kapeluszach, zdobnych piórami, koronkami i barwnymi wstążkami. Wszystkie one zdawały się patrzeć na Rosellen.

Spezona i zakłopotana, odruchowo ściągnęła z głowy swój kowbojski kapelusz i przycisnęła go do piersi. Opadający na plecy długi warkocz też wydawał się zupełnie nie na miejscu. Rosellen spojrzała na siebie i przeraziła się jeszcze bardziej, widząc, jak bardzo wymięta i wygnieciona jest jej odzież po tym wszystkim, co przeszła, a już zwłaszcza po ostatniej całonocnej podróży. Zdała sobie sprawę, że zarówno jej bluzka, jak i ubrudzone jakimś smarem spodnie wyglądają po prostu okropnie. Podobnie jak nowe buty, które już prezentowały się gorzej niż stare.

U siebie, w Makowym Wzgórzu, nigdy nie czuła się źle ubrana, ale tutaj, w tym olśniewającym otoczeniu, nawet ulubiony pas z rewolwerem nagle zaczął jej ciążyć na biodrach.

I bardzo niewielką pociechą mogło być to, że Cason wcale nie wyglądał lepiej, zwłaszcza z tym blisko trzydniowym zarostem.

Rosellen ruszyła w ślad za nim do odgródzonej mahoniową ladą recepcji i położyła na niej swój plecak. Drzwi z drugiej strony lady otworzyły się i pojawił się w nich nieskazitelnie ubrany pracownik hotelu, który taksującym wzrokiem zmierzył przybyłą parę, po czym bez słowa odwrócił się i ponownie zniknął za drzwiami.

Jeszcze bardziej zakłopotana Rosellen szczególnie wyraźnie zdała sobie sprawę, że wszystkich jej pieniędzy nie starczy nawet na dobę pobytu w takim hotelu, w oczywisty sposób nastawionym na bardzo bogatą klientelę.

- Podejrzewam, że prędzej piekło wystygnie, niż my dostaniemy tu pokój - powiedziała półgłosem do czekającego spokojnie Casona.

- Dostaniemy! - odpowiedział z niezmaconym spokojem.

Rosellen odkaszlnęła kilkakrotnie, czując, jak nerwowy niepokój ściska jej gardło. Poza tym była mocno zmęczona, głodna i coraz bardziej wściekła na Casona, który postawił ją w głupiej sytuacji. Jak mogła się czuć dobrze w otoczeniu tych wszystkich luksusów, skoro miała w kieszeni ledwie kilkadziesiąt dolarów?

Tymczasem w drzwiach recepcji pojawił się inny, dużo starszy pracownik hotelu, jeszcze bardziej elegancki i wybrylantynowany. Na widok Casona momentalnie się rozpromienił i podbiegł do lady.

- Witamy ponownie, panie Murdock! - powiedział z ukłonem. - Jeżeli potrzebuje pan pokoju, trafił pan w samą porę.

- Potrzebuję dwóch - powiedział Cason. - Dla mnie i dla tej damy.

- Dla damy? - spytał zaskoczony recepcjonista i ponad głową Rosellen rozejrzał się po całej sali. Dopiero kiedy zorientował się, że to właśnie ona towarzyszy Casonowi Murdockowi, skłonił się jeszcze niżej. - Bardzo przepraszamy, panie Murdock, ale mamy tylko jeden wolny apartament, i to tylko dlatego, że państwo Weatherby musieli nagle wyjechać.. Wszystkie inne pokoje są zajęte. Ale może w hotelu zaraz przy sąsiedniej ulicy znajdzie się pokój dla młodej pani? Każę to sprawdzić.

- Weźmiemy ten apartament! - powiedziała Rosellen, stając obok Casona. Nie mogła się zgodzić na rozlokowanie ich w różnych hotelach, ponieważ wtedy nie mogłoby być mowy o tym, by stale mieć go na oku.

Cason spojrział na nią pytająco.

- Zapłacę za siebie - powiedziała. - A prześpię się na kanapie w saloniku.

- Nie jestem... hmm, nie jestem pewien, proszę szanownej pani, czy wolno nam... - Recepcjonista zająknął się bezradnie i spojrział na Casona, jakby szukając u niego pomocy.



Ale Cason zignorował tę niema prośbę, sięgnął po książkę gości i bez słowa wpisał się do niej hotelowym wiecznym piórem.

- Młoda dama zdecydowała, że weźmiemy apartament - powiedział.  
- Proszę dostarczyć pościel na kanapę i ciepłą wodę, żeby można było się umyć. Zechce pan się tym zająć?

Recepcjonista znów się uklonił.

- Oczywiście, panie Murdock.. Osobiście dopilnuję wszystkiego - sięgnął do drewnianej przegródki po klucz. - Apartament numer pięć, na parterze po lewej stronie korytarza zaraz za hallem. Pokoje są bardzo duże, więc mam nadzieję, że będzie państwu wygodnie.

Idąc obok Casona we wskazanym kierunku, Rosellen nie mogła się oprzeć poczuciu, że jakaś opiekuńcza siła musiała czuwać nad nią w tym momencie. Tylko dzięki niej mogła bez spowodowania osobistej finansowej katastrofy realizować plan pilnowania wszystkich ruchów Casona Murdocka nawet w tym tak potwornie drogim hotelu. Całe szczęście, że będzie mogła spać na kanapie!

Drzwi do apartamentu otwierały się na duży salon z dwiema niewielkimi sofami i obitą aksamitem kanapą ustawioną w głębi, między wysokimi oknami. Wyposażenia dopełniał wielki mahoniowy stół, dwa mniejsze stoliki, klubowe fotele i kilka stylowych krzeseł. Rosellen uznała, że na kanapie będzie jej bardzo wygodnie, a pokój jest po prostu świetny.

Cason rzucił jej plecak na jedno z krzeseł.

- Możesz zająć sypialnię, jeśli chcesz - powiedział, wskazując wzrokiem na następne pomieszczenie.

- Dziękuję bardzo, ale nie - odpowiedziała Rosellen. - Wolę pozostawać między tobą a drzwiami wyjściowymi.

Cason zdjął kapelusz i położył go na jednym ze stolików.

- Gdybym chciał ci się wymknąć, mógłbym bez trudu zgubić cię już na stacji. A w tak wielkim mieście nigdy byś mnie nie znalazła.

Rosellen zdawała sobie sprawę, że to prawda.

- Ale skąd mam mieć pewność, że mogę ci wierzyć i że nie zechcesz mi znowu uciec?

- Nie możesz mieć pewności. Ale czasami trzeba po prostu zaufać. W każdym razie chciałbym, żebyś już dała sobie spokój z tymi śmiesznymi podejrzeniami, że chcę tu wynająć jakiegoś starego włóczęgę, który miałby udawać Dodge'a. Nasłuchałem się dosyć kłamstw przez całe moje dotychczasowe życie i tego wystarczy mi aż nadto. Teraz zamierzam szukać prawdy.

Rosellen patrzyła na niego w milczeniu. Słuchała tego naładowanego emocją głosu i niespodziewanie poczuła, że ogarnia ją jakiś niezwykle, nieznaný dotąd spokój. Nagle wiedziała na pewno, że może mu wierzyć. Nie potrafiłaby powiedzieć, kiedy ani z jakiego powodu zrodziła się w niej ta pewność, ale to już nie było ważne. Ważne było tylko to, że mu ufała.

- A jeśli znajdziemy tego człowieka, ale on powie, na przykład, że rzeczywiście znał mojego ojca, natomiast nic nie wie o rabunku i morderstwie? - spytała. - Co wtedy zamierzasz zrobić?

- Nie myśl, że nie rozważałem takiej możliwości. Wcale nie spodziewam się, że ktoś tak po prostu przyzna się do udziału w zbrodni. Dlatego jeśli tylko natrafię na trop podejrzanego, postaram się zdobyć jak najwięcej informacji nie tylko o nim samym, ale i o jego trybie życia, sytuacji majątkowej na przestrzeni lat i tak dalej. Jeśli okaże się, że piętnaście lat temu przybył do Denver ze znaczną sumą pieniędzy w kieszeni, będzie się musiał porządnie natrudzić, by przekonać mnie, że nie był zamieszany w ten rabunek.

- Ale przecież to także może być poszukiwacz, któremu się powiedziało.

- W takim przypadku bez trudu potrafi to udowodnić.

- To prawda - przyznała Rosellen. - No dobrze, przekonałeś mnie także co do pokoju. Zajmuję sypialnię.

- Bardzo rozsądnie - powiedział Cason. - No to skoro już to ustaliliśmy, należałoby jeszcze pomyśleć o twoim stroju.

- Jakim znowu stroju? - spytała zaskoczona Rosellen.

- Jeżeli chcesz mi pomóc w odnalezieniu Dodge'a, będziesz musiała ubrać się bardziej kobieco - krytycznie przyjrzał się jej wygniecionym spodniom i bluzie, a także fryzurze, która wręcz prosiła się o szczotkę i grzebień.

Rosellen spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

- Co to znaczy „bardziej kobieco”?

- To znaczy, że będą ci potrzebne suknie, halki, kapelusze, rękawiczki i tak dalej. Słyszałaś o istnieniu takich strojów?

- Oczywiście, że słyszałam! - odparła oburzona. - I wyobraź sobie, że wiem, jak powinna się ubierać elegancka kobieta.

Cason nic nie odpowiedział, ale sądząc z jego miny, miał w tym względzie pewne wątpliwości. Zirytowana Rosellen tupnęła nogą.

- Moja mama bardzo pilnowała, żebym zawsze wkładała sukienkę idąc w niedzielę do kościoła. Umiem się ubierać i tak się składa, że mam aż trzy sukienki na różne okazje!

- Bardzo dobrze, wobec tego musimy tutaj też kupić ci przynajmniej kilka.

Rosellen spojrzała na Casona, odsunęła z twarzy nieposłuszne pasemko włosów i z niepewną miną osunęła się na sofę.

- Nic z tego nie będzie - powiedziała. - Nie mam przy sobie dość pieniędzy na kupno gotowych sukienek, a nigdy nie nauczyłam się szyc.

- Ja zapłacę za te sukienki.

Rosellen zerwała się z miejsca.

- Mowy nie ma! Nie mogę pozwolić, byś kupował mi te rzeczy tak, jak gdybym była twoją żoną lub kochanką!

- Wobec tego po prostu przyjmij, że teraz jesteśmy partnerami, którzy muszą ze sobą współpracować. Twoja pomoc w poszukiwaniu Dodge'a bardzo by mi się przydała, ale naprawdę musisz zmienić strój.

Nie możesz chodzić po tym mieście w męskich spodniach i z rewolwerem u pasa. Taki wygląd może być do przyjęcia w małym miasteczku, gdzie wszyscy cię znają i wiedzą, że tak właśnie się ubierasz... Ale teraz jesteś w wielkim mieście, więc musisz ubierać się i zachowywać jak dama.

Rosellen prychnęła wzgardliwie. Na pewno źle czułaby się z myślą, że nie dorasta do jego standardów. Z drugiej jednak strony niepokoiła ją jej własna skłonność do ulegania mu we wszystkim. Dlaczego właściwie myślała o tym z przyjemnością?

Tymczasem Cason patrzył na nią z leciutkim uśmiechem.

- Jeżeli postanowiłaś być moim cieniem - powiedział - to niechże ten cień będzie przyzwoicie ubrany!

Rosellen nigdy nie lubiła, kiedy w dzieciństwie jej bracia przypierali ją do muru, a tak właśnie czuła się w tej chwili. Dawniej zazwyczaj upierała się przy swoim, nawet gdy sytuacja wydawała się beznadziejna. Teraz jednak nie miała ochoty podejmować walki z Casonem. To, co proponował, zdawało się zupełnie rozsądne.

- W porządku - powiedziała. - Dokąd zatem będziemy chodzić i co będziemy robić?

- Będziemy chodzić wszędzie i wszędzie będziemy zadawać pytania. Zamierzam obejść i sprawdzić wszystkie dostępne miejsca, poczynając od miejscowej opery, a kończąc na najbardziej podejrzanych saloonach i innych spelunkach. Nie zaniedbam też cmentarzy, bo i tam możemy coś znaleźć.

- Ależ to zajmie nam całe tygodnie! - wykrzyknęła Rosellen.

- Chyba się nigdzie nie śpieszysz, prawda?

Dotąd Rosellen sądziła, że śpieszy się nawet bardzo, ale teraz nie była już tego taka pewna.

- Mogę pozostać tu tak długo jak ty.

- Znam paru dawnych kopaczy złota, którzy zamieszkali w Denver, zaczniemy więc od odwiedzenia ich i wypytania, czy czegoś nie wiedzą.

Jeżeli poszukiwany przez nas człowiek żył tu jako bogacz, powinni o nim słyszeć. Myślę, że należy pytać nie o kogoś nazwiskiem Dodge, tylko o człowieka z blizną na dłoni. Z pewnością był wystarczająco sprytny, by zmienić nazwisko.

- Ale mógł też już dawno roztrwonić pieniądze - powiedziała Rosellen.

- Nie można tego wykluczyć. Dlatego też chcę również pochodzić po ulicach i pogadać z miejscowymi włóczęgami i pijaczkami. Zwłaszcza ci ostatni mają niesamowitą pamięć, jeżeli idzie o facetów, którzy kiedyś postawili im kielicha za darmo. Zawsze szukają pieniędzy na alkohol, a za butelkę whisky sprzedaliby własną matkę.

- Chyba masz rację - powiedziała Rosellen. Popatrzyła na niego z pewnym zastanowieniem i pokręciła głową. - Trochę mnie niepokoi, że ostatnio bez przerwy przyznaje ci rację. Właściwie dlaczego potakuję ci jak niewolnica?

Cason podszedł do niej i delikatnie ujął ją pod brodę koniuszkami palców. Rosellen miała wrażenie, że te palce parzą ją jakimś dziwnym zimnym ogniem.

- Chyba dlatego, że postanowiłaś iść w ślad za mną! - powiedział na wpeł poważnie. - Tak robią niewolnice. Ale mówiąc serio, Rosellen: jeszcze jest czas, by zmienić decyzję. Możesz wrócić do domu, nawet teraz.

Choć starała się to ukryć, nadal dygotała wewnętrznie pod jego spojrzeniem. Słyszała wypowiedane przez niego słowa, ale znacznie więcej mówiły jej jego ciemne oczy, które teraz znów były tak blisko. Wiedziała dokładnie, co chcą jej powiedzieć - że jeśli zostanie tu z Casonem, to zapewne dzielić ze sobą będą nie tylko lokum, ale i łóżko. Cason dawał jej szansę cofnięcia się. Od niej zależało, czy zechce z tego skorzystać.

Spojrzała w jego oczy i tęskny dreszcz znów przebiegł przez jej ciało. Ale w tym, co czuła, była nie tylko tęsknota, było coś znacznie silniejszego. Było poczucie bliskości, ciepła i bezpieczeństwa.

Pakowała się w coś, co z pewnością było ryzykowne i niebezpieczne. Ale podjęła już decyzję.

- Zostaje.

Cason skinął głową, po czym sięgnął po kapelusz.

- Zejdę do recepcji i poproszę, żeby przysłano ci tu kilka najnowszych modeli wraz z krawcową, która zadba, żeby to wszystko pasowało.

Popatrzyła na niego z niepokojem.

- Zaraz, chwileczkę. A co ty zamierzasz teraz robić? Cason potarł dłonią mocno zarosnięty podbródek i policzki.

- Najpierw każe się ogolić, a potem pójde do publicznej łaźni. Ty będziesz się mogła wykapać tutaj, a potem będziesz miała czas na dobranie i dopasowanie sukienek i całej reszty. Odbiorę też ubrania, które zamówiłem sobie podczas ostatniego tutaj pobytu i mam nadzieję, że w moim przypadku poprawki krawieckie nie będą potrzebne. Może więc umówmy się, że - oboje już przebrani - spotkamy się w sali restauracyjnej, na wprost głównego wejścia, powiedzmy o szóstej. W ten sposób żadne z nas nie będzie musiało się śpieszyć. A od jutra rozpoczynamy poszukiwania. - Obrócił się i ruszył ku drzwiom.

- Zaczekaj - zatrzymała go Rosellen. - Mam wrażenie, że o czymś zapomniałam.

Cason spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- O czym?

Rosellen nigdy nie czuła się zbyt dobrze, kiedy przychodziło do podziękowań.

- Niby to już raz zrobiłam - powiedziała. - Ale wciąż mi się wydaje, że jeszcze raz powinnam ci podziękować za wyratowanie mnie z łap tych opryszków.

Cason uśmiechnął się i w jego ciemnych oczach zupełnie niespodziewanie pojawiło się prawdziwe ciepło.

- Nie przejmuj się tym - powiedział. - Bardzo lubię myśleć, że masz u mnie dług wdzięczności.

Scandalous

W nowym stroju Rosellen poczuła się zupełnie inaczej. Nawet jeśli wcale nie mijala się z prawdą mówiąc Casonowi, że co niedziela idzie do kościoła w którejś ze swoich trzech sukienek, to jednak z całą pewnością nie uważała ich za swój naturalny strój, w którym czułaby się naprawdę swobodnie. Od najwcześniejszych lat zazdrościła swoim braciom, którym zawsze wolno było w tym względzie znacznie więcej.

Przeglądając się w lustrze przed zbliżającym się spotkaniem z Casonem, doszła do wniosku, że naprawdę bardzo się zmieniła. W nowym pięknym stroju czuła się inaczej, wyglądała inaczej i rzeczywiście była inna. Z całą pewnością nie chciałaby teraz wrócić do swego poprzedniego wyglądu, nie tylko dlatego, że kowbojskie spodnie i bluza byłyby zupełnie nie na miejscu w sali restauracyjnej luksusowego hotelu.

Teraz miała na sobie świetnie skrojoną bluzkę z błękitnego jedwabiu, z obciągniętymi materiałem drobnymi guziczkami sięgającymi aż do wysokiego zapięcia pod szyją, ozdobionego białą atlasową kokardką. Rękawy z dopasowanymi mankietami również były zapinane na długi rząd krytych guziczków, sięgających połowy przedramienia. Bluzka, lekko zebrana w pasie, poniżej talii opadała luźno do połowy bioder ponad obszerną spódnicą z tego samego jedwabiu, udrapowanego w luźne fałdy, kończące się tuż nad zgrabnymi, niemal dzieciennymi pantofelkami.

Krawcowa od poprawek wraz z dwiema pomocnicami spędziła z Rosellen całe popołudnie na mierzeniu, dopasowywaniu, przycinaniu i obrębianiu poszczególnych części stroju. Na szczęście dostarczone rzeczy zostały zaprojektowane na osobę o dość podobnej do Rosellen budowie ciała – po kobiecemu kształtnej, a jednocześnie wysokiej i szczupłej. W trakcie przymierzania krawcowa powiedziała jej, że



zazwyczaj nie ma żadnych problemów ze skracaniem czy zwężaniem modeli, znacznie trudniejsze bywa poszerzanie i wydłużanie.

Rosellen początkowo wzdragała się przed przymierzaniem wszystkich rzeczy, które przyniesiono, kobieta jednak stanowczo na to nalegała, mówiąc, że polecono jej dobrać i dopasować wszystko, poczynając od bielizny i gorsetu, a kończąc na szlafroczku i nocnej koszuli. Rosellen w końcu przestała się opierać i pozwoliła się wystroić od stóp do głów, nawet jeśli początkowo skłonna była uważać to za czystą rozpustę.

Teraz jednak, idąc ku sali restauracyjnej przez ten sam ogromny hotelowy westybul pełen wytwornych gości, nie czuła się już kimś spoza ich sfery. Przeciwnie – zdała sobie sprawę, że doskonale się czuje w stroju damy.

W recepcji siedział ten sam starszy pan, który przyjmował ich do hotelu. Rosellen podeszła do niego.

– Mam się spotkać z panem Murdockiem w sali restauracyjnej – powiedziała. – Zechciałby mi pan wskazać, gdzie mam pójść?

Recepcjonista popatrzył na nią z wyraźnym uznaniem dla jej wyglądu i uśmiechnął się uprzejmie.

– Jeżeli pani pozwoli, zaprowadzę panią do stolika pana Murdocka – powiedział. Wyszedł z za swego biurka i podał jej ramię.

Rosellen nie pamiętała, czy kiedykolwiek w życiu była odprowadzana jak prawdziwa dama i nie była całkiem pewna, jak ma się zachować. Delikatnie położyła dłoń na zgięciu ramienia starszego pana i pozwoliła się prowadzić.

Nagle dostrzegła pełne nieukrywanego zainteresowania spojrzenie mężczyzny, którego właśnie mijali, a potem jego uśmiech i ukłon, skierowany wyraźnie do niej. Odkłoniła się z pewną rezerwą. Po chwili dostrzegła podobny ukłon innego mężczyzny, a potem jeszcze jednego, tuż przed wejściem do sali, gdzie Cason już wstawał od zasłanego białym obrusem stolika.

Popatrzył na nią i z uznaniem skinął głową. Już sam jego uśmiech sprawił, że Rosellen nagle poczuła na plecach gęsią skórę. Chyba rzeczywiście czekało ją coś naprawdę cudownego. Podeszła do stolika, a Cason ujął jej dłoń i podniósł ją do ust.

Z trudem powstrzymała się, by nie krzyknąć z wrażenia. Była tak zdumiona i zaskoczona, że nawet nie usłyszała, co Cason powiedział recepcjoniście. W całym jej życiu nikt dotąd nie całował jej w rękę. Niemal bez tchu osunęła się na przysunięte przez Casona krzesło.

- Jesteś dziś bardzo piękna, Rosellen - powiedział siadając naprzeciwko niej. - I bardzo kobieca.

- Dziękuję - odpowiedziała, panując nad swym głosem lepiej, niż mogłaby się tego spodziewać. Nagle zrozumiała, dlaczego wcześniej w ogóle nie dbała o to, by ubierać się po kobiecemu. Po prostu nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny, który mógłby sprawić, żeby poczuła się kobietą. Nie spotkała mężczyzny, dla którego chciałyby się ubrać tak, jak teraz dla Casona.

- Ty też jesteś dziś niezwykle przystojny.

- Obawiam się, że Buster miałby zastrzeżenia.

- Dlaczego? Wydaje mi się, że twój krawiec doskonale się wywiązał z otrzymanego zlecenia.

- Ja też tak sądzę, ale Buster byłby niepokieszony, że nie mam wykrochmalonego kołnierzyka i odpowiedniego krawata. On uważa, że prawdziwego dżentelmena poznaje się po tym, że potrafi wiązać to cholerstwo i paraduje w tym od rana do nocy.

Rosellen roześmiała się cicho, a Cason odpowiedział jej uśmiechem, od którego poczuła miłe łaskotanie w dołku. Gdyby byli teraz u siebie, pochyliliby się ku niemu i pocałowała go w policzek.

- Wyglądasz lepiej niż niejeden dżentelmen - powiedziała z przekonaniem.

- A ty lepiej niż wszystkie damy - odpowiedział Cason. - Wiesz, że kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy z tym rewolwerem u boku,

nie trudno mi było uwierzyć, że nikt się do ciebie nie zalecał. Większość mężczyzn obawia się kobiet, które umieją posługiwać się coltem. Ale jeżeli ty na niedzielnej mszy wyglądasz tak jak dzisiaj, nie byłbym zaskoczony, gdyby kaznodziei płała się język przy każdym spojrzeniu na ciebie.

Rosellen zarumieniła się pod wpływem tego komplementu.

– Nie powinieneś tak mówić, Casonie. To pachnie świętokradztwem.

– To szczerza prawda.

– Poza tym muszę uczciwie przyznać, że żadna z moich niedzielnych sukienek nie jest ani w połowie tak elegancka jak ta. To bardzo piękny i kosztowny materiał, popatrz tylko. A i skrojony jest znakomicie.

Cason jednak wciąż patrzył tylko na jej twarz.

– W ogóle nie mówię tu o takim czy innym stroju. To ty sprawiasz, że ubiór staje się piękny, niezależnie od tego, co włożysz. Moim zdaniem mężczy mieszkańcy Makowego Wzgórza w ogóle nie zasługują na to, co otrzymali od losu. Jeżeli wielbiciele nie ustawiają się do ciebie w kolejce, to są po prostu ślepi.

Rosellen rozpromieniła się, słysząc te słowa. Nic nie mogło sprawić jej większej przyjemności niż świadomość, że potrafi być wystarczająco twarda, by onieśmielać mężczyzn, ale jednocześnie na tyle kobieca, by ich oczarowywać. Jeżeli Casonowi bardziej podoba się w tym nowym stroju, to będzie się tak ubierać, żeby był zadowolony.

Taka nagła zmiana postawy najbardziej zaskoczyła ją samą. Kiedy właściwie zaczęła dbać o to, czy Cason będzie zadowolony? I co leżało u podstaw tak zasadniczej zmiany?

Patrzyła na niego i powoli zaczynała rozumieć, dlaczego czuje to, co czuje. Choć przecież to niemożliwe, żeby tak po prostu się w nim zakochała!

A jednak wszystko na to wskazywało. To, jak reagowała na jego bliskość, i to, co czuła, kiedy kochali się ze sobą. I to, że chciała ładnie

wyglądać – dla niego. A pewnie i to, że płakała nad losem jego biednej matki.

Nigdy nie sądziła, że zakocha się w Casonie Murdocku i nie wiedziała, co właściwie powinna zrobić z tymi niezbyt rozumnymi emocjami. Z tym, co czuła do niego.

W dodatku nie znajdowała odpowiedzi nie tylko na to pytanie. A każde następne było powodem do jeszcze większego zmartwienia. Jak będzie mogła spojrzeć w twarz członkom swojej rodziny, angażując się uczuciowo po stronie człowieka, który zamierzał zniszczyć ich rodzinne miasto? Czy oni w ogóle potrafią ją zrozumieć, kiedy spróbuje im tłumaczyć, że w gruncie rzeczy jest to dobry człowiek i tylko okrutne doświadczenia dzieciństwa skłoniły go do szukania tak bezwzględnej zemsty.

Ale gdyby nawet udało się jej przekonać własną rodzinę, nie było żadnej pewności, że zdoła przekonać do siebie samego Casona. Jak w ogóle można było sobie wyobrazić, że on może się zakochać w córce człowieka, którego przecież uważał za winnego najbardziej przerażającej zbrodni. Zresztą sam Cason bardzo wyraźnie przestrzegał ją, że któregoś dnia ich drogi będą musiały się rozejść.

Ale to miało nastąpić kiedyś, a na razie miała Casona dla siebie. Nigdy nie starała się uciekać przed swoim losem, nie zamierzała więc tego robić również i teraz. Będzie, co ma być, pomyślała i uśmiechnęła się.

– Czy państwo już coś wybrali? – spytała kelnerka w śnieżnobiałym fartuszku i koronkowym czepku. – Co mam podać najpierw?

Cason popatrzył na Rosellen i zauważył jej uśmiech. Obrócił się do kelnerki.

– Chcielibyśmy zacząć od butelki najlepszego wina.

Wino okazało się znakomite, a stek odpowiednio krwisty i doskonale przyrządzony. Mimo to Cason w ogóle nie potrafił się skupić

na jedzeniu i piciu. Właściwie przez cały czas myślał tylko o jednym – o tym, jak piękna jest Rosellen i jak bardzo chciałby już zanieść ją do sypialni, położyć na miękkim łóżku i kochać się z nią przez całą noc. A kiedy uważnie patrzył w jej oczy, miał powody przypuszczać, że i ona myśli o tym samym.

Zaprzagnął jej gwałtownie niemal od pierwszej chwili, gdy tylko zobaczył ją wchodzącą od strony westybulu – wyniosłą, elegancką i olśniewająco piękną. Tak właśnie powinna się ubierać i tak czesać, pomyślał natychmiast. Wprost umierał z pragnienia, by ucałować to szczególne miejsce na jej szyi, tuż za uchem. A gdyby Rosellen była jego żoną, nigdy już nie pozwoliłby jej nosić kowbojskich spodni ani ubierać się w bure kolory.

Uświadamiając sobie, co przed chwilą pomyślał, Cason wzdrygnął się mimo woli. Dobrze sobie – gdyby była jego żoną!

Sięgnął po wino i wypił do dna. Chyba jednak nie był daleki od prawdy, kiedy pod wpływem emocji powiedział, że zabije każdego, kto osmieliłby się choćby zbliżyć do niej.

Rosellen należała do niego! A on naprawdę przejmował się zarówno nią sama, jak i wszystkim, co było z nią związane. To dlatego bywał wściekły na siebie, kiedy zdarzyło mu się doprowadzić ją do łez. I z tego też wziął się ten nagły bolesny skurcz serca, kiedy usiłując ją zgubić na stacji pomyślał w pewnym momencie, że mu się to udało. To był najprawdziwszy ból serca, który ustąpił dopiero wtedy, gdy Rosellen nagle znów znalazła się obok niego.

Później ten sam skurcz pojawił się ponownie, kiedy wyglądało na to, że nie dostaną drugiego pokoju i będą zmuszeni mieszkać w różnych hotelach. Dopiero spontaniczna decyzja Rosellen sprawiła, że odetchnął z ulgą.

Dalsze udawanie przed samym sobą nie miało sensu. Oboje wiedzieli, że sytuacja między nimi uległa zasadniczej zmianie, a

wzajemny pociąg stawał się coraz silniejszy. I żadne z nich nie chciało już z tym walczyć.

W każdym razie on pragnął być z nią.

Nie tylko w tym hotelu i nie tylko w Denver, ale już zawsze. Zawsze.

Tylko co mieli zrobić z przeszłością? Ta przeszłość wciąż trwała między nimi, dzieliła ich jak jakaś przepaść nie do przebycia. Cason zdawał sobie sprawę, że szarpiące jego duszę demony zemsty nie dadzą mu spokoju, dopóki nie odnajdzie Dodge'a i nie zniszczy Makowego Wzgórza, które naprawdę nie zasłużyło na inny los.

Spojrzał ponad stołem na Rosellen, która z prawdziwym apetytem zjadała się plackiem z jabłkami. Odruch troszczenia się o kobietę był dla Casona czymś tak nowym, że chciał to głębiej przemyśleć i upewnić się, że z upływem czasu nic się w tym względzie nie zmieni.

Może te wszystkie myśli o jakimś trwałym związku wzięły się stąd, że Rosellen była tego wieczoru szczególnie piękna? Albo też on po prostu wypił za dużo wina, mając przy tym świadomość, że niemal tuż obok czeka na nich bardzo wygodne hotelowe łóżko? To prawda, że dzisiaj nie chciałby, żeby cokolwiek ich ze sobą rozdzieliło, ale może już jutro będzie myślał inaczej?

A już z całą pewnością żadne z nich nie zmieni stanowiska i nie przestanie bronić dobrej pamięci ojca. Każde z nich swojego, oczywiście.

– Czemu tak milczysz? – spytała Rosellen. Cason uśmiechnął się przepraszająco.

– Nie chciałem ci przeszkadzać w delektowaniu się plackiem z jabłkami.

– Jest rzeczywiście pyszny!

Rosellen westchnęła z głęboką satysfakcją i odruchowo oblizała wargi, co u Casona wywołało nagły przypływ pożądania. Gwałtownie zapragnął wziąć ją w ramiona, zgnieść wargami jej wargi i wnikać językiem daleko w głąb jej ust. Prawdę mówiąc, nie potrafił sobie wyobrazić, jak mógłby spędzić nadchodzącą noc bez niej.

- Cieszę się, że ci smakowało – powiedział i odłożył serwetkę obok pustego już talerza. Żałował, że wino już się skończyło.

- O czym tak rozmyślałeś? – spytała Rosellen.

- O tym, że nigdy dotąd nie byłem w podobnym lokalu z piękną kobietą.

- Naprawdę? A przecież mówiłeś, że razem z Busterem bywaliście tu w Denver już wcześniej. Trudno przypuścić, żeby brakowało wam tu kobiet. Ty, na przykład, jesteś przystojny, bogaty i wolny...

Cason uśmiechnął się nieco ironicznie.

- Nie mam zwyczaju zapraszania pańienek z saloonu do jakiegoś lepszego lokalu. Po prostu dotąd znałem tylko jeden rodzaj kobiet, zupełnie innych niż ty. Do takich jak one przynajmniej nie trzeba było się zalecać, a tak się składało, że my z Busterem zawsze musieliśmy się śpieszyć..

- Z tego można by wysnuć wniosek, że obojgu nam udało się zmarnować sporo czasu. Pewne rzeczy zaczęliśmy bardzo późno... – Rosellen zamilkła i zaczerwieniła się, a Cason tylko się uśmiechnął. Nie chciał jej mówić, że jest po prostu rozbijająca w swym niedoświadczeniu. A oczywiście jeszcze bardziej nie chciał się przyznać, że dawno już zdażył stracić rachubę, jeżeli idzie o kobiety.

- Kiedy siedzę tu z tobą – powiedział – zupełnie nie mam wrażenia, że wcześniej mogłem coś stracić. W każdym razie teraz na pewno zyskałem.

Wzruszona Rosellen zatrzepotała długimi rękami i spojrzała na niego z wdzięcznością.

- To bardzo miłe, co powiedziałeś.

- Powiedziałem szczerą prawdę.

- Wierzę, że tak myślisz. – Jej spojrzenie szybko spoważniało. – Ale co zrobisz później, kiedy już... – urwała nagle.

- Kiedy już zemszczę się na mieszkańcach Makowego Wzgórza?

Rosellen spochmurniała.

- Tak. Kiedy już zamkniesz kopalnię.

- Nie wiem - odpowiedział zupełnie szczerze Cason. Zbyt długo dręczył się nieustającymi rozmyślaniami o zemście, by wiedzieć, co zrobi ze sobą, kiedy już tego dokona.

Rozejrzał się po sali, która tymczasem już prawie opustoszała. Mogli teraz rozmawiać zupełnie swobodnie, może więc Rosellen dobrze zrobiła, podejmując ten trudny temat. Po takiej rozmowie łatwiej im będzie zrozumieć wiele spraw - z pewnością decydujących dla dalszych losów ich mocno skomplikowanych stosunków wzajemnych. Zdawał sobie z tego sprawę, ale mimo to nagle poczuł się tak, jak gdyby przygniótł go jakiś niespodziewany ciężar.

- Prawda jest taka - powiedział po chwili - że tak do końca nigdy nie wierzyłem w to, iż kiedykolwiek staniemy się bogaci. Dlatego też nigdy nawet nie usiłowałem planować tego, co miałyby być dalej. Ponieważ jednak dosyć lubię Denver, mógłbym na przykład osiedlić się tu po zamknięciu kopalni i zająć jakimś biznesem.

- A co będzie robił Buster? - spytała Rosellen. Ku zaskoczeniu Casona, była nadspodziewanie spokojna, choć temat rozmowy bynajmniej nie należał do łatwych.

- Buster pewnie będzie robił to samo co ja. Próbowałem parę razy namawiać go, żeby wrócił na Wschód, a już przynajmniej odwiedził rodzinę, ale nie wiem, czy on się kiedykolwiek na to zdecyduje. Z jakiegoś powodu sama myśl o tym budzi w nim silny opór.

Rosellen pokiwała głową, a w jej spojrzeniu przebijało szczerze współczucie.

- Myślisz, że to ze względu na kalectwo? Nie chce, żeby jego bliscy dowiedzieli się o tym, że stracił ramię?

- To bardzo możliwe.

- Chyba rzeczywiście jest tak, że wszyscy mamy w naszym życiu rzeczy, o których nie chcielibyśmy mówić naszym bliskim.

Cason poczuł nagle ukłucie w okolicach serca.



- Ty na przykład nie chciałybyś, żeby twoja rodzina wiedziała o tym, że byliśmy ze sobą, prawda?

Popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Nnie... to znaczy, tak. Ale jeśli nie chciałabym, żeby o tym wiedzieli, to przede wszystkim dlatego, że to po prostu nie ich sprawa. I tylko o to chodzi, a z całą pewnością nie o to, kim ty jesteś, jak pewnie pomyślałaś.

- Myślę, że kłamiesz, Rosellen.

- Nie oskarżaj mnie.

Cason czuł narastające napięcie ściskające mu gardło.

- Przecież z całą pewnością nie chciałybyś, żeby ktokolwiek z twojej rodziny, czy w ogóle z waszego bezcennego miasteczka, dowiedział się, że kochałaś się z człowiekiem, który twierdzi, że Henry Lattimer był mordercą i który zamierza doprowadzić Makowe Wzgórze do ruiny. Tak czy inaczej, sama przyznałaś, że jednak nie chcesz, żeby się dowiedzieli!

Rosellen wyprostowała się mimo woli.

- Nie wstydzę się tego, co zrobiliśmy.

- Owszem, wstydzisz się. I powinnaś się wstydzić.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Przestań pleść głupstwa - powiedziała spokojnie. - Sam nie wiesz, co mówisz. Kochanie się z tobą z pewnością nie było pierwszą złą rzeczą, jaką w życiu zrobiłam.

- A widzisz - wykrzyknął Cason. - Sama mówisz, że to było złe.

Poirytowana Rosellen przygryzła wargi.

- Nie, do diabła! Doskonale wiesz, że przekręcasz sens tego, co powiedziałam.

- Tak? No to jak należy zakwalifikować kandydowanie na stanowisko szeryfa osoby, która spała z synem przestępcy?

Rosellen już otwierała usta, żeby mu ostro odpowiedzieć, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Odetchnęła głęboko, starając się zachować spokój.

- Ty po prostu usiłujesz się ze mną pokłócić, prawda?
- Nie - odpowiedział Cason, wiedząc doskonale, że kłamie.
- Owszem, tak.

Tym razem to on pochylił się do przodu i mówił wolno, z naciskiem na każde słowo.

- Wobec tego teraz posłuchaj mnie, Rosellen. Chciałbym ci coś wytłumaczyć, dla twojego dobra.

Rosellen pozostawała spokojna i opanowana. Wiedziała, że w tym tkwi jej siła.

- Najpierw ja ci coś wytłumaczę - powiedziała stanowczo. - Nigdy nie słuchałam rodziców ani braci, kiedy zaczęli do mnie mówić w ten sposób. I ciebie też nie zamierzam słuchać.

- Daję ci szansę wyjścia z tego. Powinnaś to zrozumieć i skorzystać z niej.

- To nie jest żadna szansa wyjścia, tylko jeszcze jedno wyzwanie. A ja nigdy nie cofałam się przed wyzwaniem.

- Tym razem powinnaś, Rosellen - powiedział poważnie Cason. Wiedział, do czego zmierza, ale potrzebował choćby odrobiny pomocy z jej strony. W końcu nie był przecież z kamienia.

Wystarczyło, by przypomniawszy sobie to, co czuł, kiedy był z nią, i co ona z pewnością czuła równie mocno. Coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że bez pomocy z jej strony nie potrafi zapanować nad pożądaniem. A tymczasem ona wcale nie zamierzała mu tego ułatwić.

Czy zdawała sobie sprawę, do czego to prowadzi? Przecież, prawdę mówiąc, w ogóle nie zauważyła, że on w tym momencie usiłuje być rycerski. Że walczy z sobą - z przemożną chęcią, by wziąć ją w ramiona, zanieść do łóżka i kochać się z nią całą noc.

- A więc nie uda się nam? - powiedział po dłuższej chwili.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- Co takiego?

- Mimo wszelkich starań, nie uda się nam pozostać z dala od siebie, prawda?

Ich spojrzenia spotkały się. Rosellen skinęła głową.

- Mam to rozumieć jako zaproszenie? - spytał Cason.

Powtórne skinienie głowy było jedyną odpowiedzią.

- Ale wiesz, co się stanie, jeśli nadal będziesz na mnie patrzeć takim wzrokiem?

- Wiem - powiedziała spokojnie Rosellen, a Cason nagle poczuł, że jego serce na moment przestało bić. Ale trwało to ledwie króciutką chwilę, zaraz bowiem spojrzał na Rosellen. To, co zobaczył w jej oczach, przekonałoby każdego, a jego w tym momencie z pewnością już nie trzeba było przekonywać.

- Wobec tego niech diabli porwą wszystkie skrupuły! Chodźmy!

Kiedy parę minut później znaleźli się w apartamencie, zdyszana Rosellen oparła się plecami o futrynę, czekając, aż Cason zamknie za sobą drzwi. Nie zdążyła nawet odetchnąć, gdy on już był przy niej. Wziął ją w ramiona i na dłuższą chwilę zamknął jej usta gorącym pocałunkiem.

- Czekałem na to przez cały wieczór - szepnął jej do ucha.

- Ja też - odpowiedziała Rosellen. On tymczasem już zaczął rozpinać jej bluzkę, nie przestając przy tym całować jej szyi, policzków i tego szczególnego miejsca za uchem, gdzie skóra jest tak niezwykle delikatna i wręcz stworzona do całowania.

Rosellen przechyliła głowę tak, by jego wargi miały pełny dostęp do każdego miejsca, którego chciałyby dotknąć. Tymczasem jego palce gorączkowo zmagaly się z drobnymi guzickami bluzki, którą trzeba było rozpiąć od góry do dołu. Odsłonięte piersi Rosellen unosiły się w gwałtownie przyśpieszonym oddechu. Cason całym ciałem przycisnął ją do drzwi. Wiedział, że oboje są zbyt spragnieni siebie, by odwlekać moment spełnienia. Nie warto było tracić czasu na niepotrzebne słowa,

na nazbyt powściągliwe dotknięcia i pieszczoty. Gdy już do końca rozpiął bluzkę, natychmiast sięgnął do stanika, odsłaniając jej piersi dla coraz gorętszych pocałunków.

Rosellen cicho jęknęła z rozkoszy, co jeszcze bardziej wzmogło narastające w nim gwałtowne pożądanie. Chciał w nią wejść natychmiast, nie tracąc czasu na dalsze cierpliwe rozbieranie jej, guziczek po guziczku. Nie przestając całować jej piersi, jednym ruchem odpiął zapięcie swoich spodni i zsunął je poniżej kolan. Potem jedną ręką podniósł do góry jej jedwabną spódnicę i halkę, a drugą ściągnął w dół majteczki. Niezdolny do powstrzymania się choćby na chwilę, odszukał dłonią wilgotniejący już trójkąt kędzierzawych włosów i jednym zdecydowanym pchnięciem wbił się weń, mocno i głęboko. Rosellen drgnęła, ale gdy Cason chciał się cofnąć, przytrzymała go w sobie obiema rękami.

- Nie, nie przerywaj teraz! - szepnęła mu do ucha i jeszcze mocniej przyciągnęła go do siebie. - Proszę!

To właśnie chciał usłyszeć. Zaczął całować jej czoło, oczy i usta. Szeptał jej do ust najczulsze słowa, ciągle powtarzając jej imię. Był pewien, że już nie mógłby jej kochać bardziej niż w tej chwili i przysięgł sobie, że znajdzie sposób na to, by być z nią już zawsze.

Po pewnym czasie brakowało mu już tchu, ale wciąż nie był gotowy, żeby skończyć. Rosellen też jeszcze tego nie chciała. Cason nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która brałaby go w siebie aż tak zachłannie i z taką nieustającą, spontaniczną radością.

Przyłgnęła do niego i poruszała się wraz z nim aż do momentu, gdy z jej ust wyrwał się okrzyk spełnienia, a palce wbiły się w jego plecy z taką siłą, że sprawiły mu ból. Była to jednak najrozkoszniejsza tortura, która sprawiła, że i on osiągnął orgazm, który wstrząsał nim, niczym seria kolejnych eksplozji.

W tym wspólnym szczytowaniu wyładowali się do tego stopnia, że z pewnością upadliby z wyczerpania, gdyby Rosellen nie miała za plecami

drzwi, o które znów mogła się oprzeć. Cason objął ją w pól i wtulił głowę między jej ramię i szyję, wchłaniając w siebie cudowny smak i zapach jej skóry.

- Chyba nie powinienem był brać cię w ten sposób - powiedział, ciągle nie mogąc złapać tchu.

- Nie powinienes? - spytała Rosellen i roześmiała się cicho. -Wiesz co? Zrobmy to jeszcze raz.

Cason popatrzył jej w oczy.

- Mam rozumieć, że nie jesteś na mnie zła o to, że nie dałem ci dość czasu i potem nie kochałem się z tobą tak, jak należy?

Rosellen odetchnęła głęboko.

- A dlaczego uważasz, że to nie było jak należy? - spytała uśmiechając się z jawnym zadowoleniem.

- Bo było tak mocno i szybko.

- I wspaniale - powiedziała Rosellen, gładząc go czule po policzku.  
- Mnie się to bardzo podobało. I nie mów, że tobie nie.

- Ja byłem zachwycony - powiedział Cason.

Bo cię kocham, chciał jeszcze dodać. Bóg świadkiem, jak bardzo cię kocham.

Przymknął oczy i znów oparł głowę na jej ramieniu, usiłując ochłonać po tym wybuchu namiętności. Tak, kochał ją i chciał, żeby ona to wiedziała. Ale nie mógł jej tego powiedzieć przed doprowadzeniem do końca tego, co zaczął. Tego, co poprzysiągł pamięci swego zamordowanego ojca. Nie mógł się już z tego wycofać. Czuł, że popełnił straszliwy błąd, zakochując się w Rosellen Lattimer.

To stwierdzenie otrzeźwiło go na moment. Tak, szaleństwem było przypuszczać, że coś się między nimi ułoży. Gdy kopalnia zostanie zamknięta, a jej bracia wyjadą z miasta w poszukiwaniu pracy, Rosellen go znienawidzi.

Z wolna odsunął się od niej, pochylił się i naciągnął z powrotem spodnie, skrywając swą nagość. Rosellen przyglądała mu się uważnie.

- Hej, popatrz na mnie! - powiedziała. Cason podniósł wzrok.

- Będziesz spać ze mną? - spytała.

Potrząsnął przecząco głową. Wciąż był pełen namiętnego pożądania, ale jednocześnie czuł się krańcowo upokorzony. Nie wolno mu było do tego stopnia nie panować nad sobą.

- Nie powinienem. I czuję się winny, bo w ogóle nie miałem prawa kochać się z tobą.

- Ja czułam się z tobą cudownie. Cason delikatnie ujął ją pod brodę.

- Tak, teraz czujesz się cudownie, ale co będzie później? Za tydzień, za miesiąc, za rok - kiedy Makowe Wzgórze opustoszeje i stanie się wymarłym miastem?

Zauważył, że sprawia jej ból. Sprawiał go również sobie.

- Nie każ mi teraz o tym myśleć, Casonie.

Jej prośba była tak szczerą, że nie mógł jej zwyczajnie zignorować.

- Nie powinienem był brać cię tak gwałtownie i brutalnie. I nie powinienem teraz stać tu przed tobą, znów pożądając cię bezgranicznie każdym włóknom swojego ciała. Jesteś wspaniałą kobietą, a nie jakąś tam prostytutką na zawołanie. Z takimi jak ty nie śpi się tak po prostu, tylko najpierw bierze się ślub.

- Ja wcale cię nie proszę o ślub.

- Wiem - powiedział Cason. I w duchu dodał: a powinnaś.

Rosellen patrzyła na niego z lekkim niedowierzaniem.

- Chcę ci powiedzieć jedno - powiedziała. - Od najwcześniejszych lat, jeżeli czegoś chciałam, to po prostu chciałam i nigdy nie przyszło mi do głowy, by zastanawiać się, czy powinnam tego chcieć, czy też nie powinnam. I teraz też nie myślę tego robić. Dlatego weź mnie na ręce, zanieś do łóżka i śpij ze mną. Rozumiesz?

Cason patrzył w jej roziskrzony oczy, patrzył na złociste włosy, które opadły na jej nagie ramiona i piersi, i czuł, że coś go ściska za gardło. Rosellen była zbyt piękna, a on kochał ją za bardzo, by teraz

mógł jej odmówić. Już próbował wcześniej wmawiać sobie, że ona jest taką samą kobietą jak wszystkie inne, ale to nie zdało się na nic. I serce i głowa zgodnie mówiły mu, że to nieprawda. Że ona jest kimś wyjątkowym.

I dlatego ją pokochał. Teraz był tego pewny.

Chciał jej to powiedzieć, ale ostatecznie nie zdobył się na takie wyznanie. Zamiast tego wziął ją w ramiona, przyciągnął do siebie i zaczął całować długo i czule. Jeżeli przed chwilą tylko spółkowali ze sobą, to teraz mieli się naprawdę kochać.

Wolno, bez pośpiechu, rozbierał ją już do końca, a ona zrzucała z siebie kolejno bluzkę, staniczek, spódniczkę, halkę i majteczki, wszystko to beztrzesko zostawiając na podłodze tuż pod drzwiami. Potem Cason również się rozebrał, wziął Rosellen na rękę i bez najmniejszego wysiłku zaniósł do sypialni.

Górne światło nie było włączone, paliły się tylko dwa ścienne kinkiety i osłonięta abazurem lampa na nocnym stoliku, tuż przy zasłanym śnieżnobiałą pościelą łóżku. Cason ostrożnie ułożył na nim Rosellen, a potem ukląkł nad nią, delikatnie pieszcząc palcami czubki jej piersi i wpatrując się w nią z zachwytem.

Już jako kilkunastoletni chłopak w obozie poszukiwaczy złota słyszał rozmowy mężczyzn przy ognisku, niejednokrotnie skarżących się na oziębłość swych kobiet i ich niechęć do współżycia. Prowadziło to nieraz nawet do małżeńskich gwałtów albo po prostu do rezygnacji i szukania pociechy u prostytutek. Cason był pewny, że w przypadku Rosellen nic takiego nie mogłoby mieć miejsca, ponieważ ona lubiła się kochać co najmniej tak samo jak on.

Patrzyli sobie w oczy. Cason delikatnie pieścił twardniejące pod palcami sutki jej piersi, a Rosellen wyciągnięta ręką dotykała po kolei wszystkich mięśni na jego ramionach, a potem na klatce piersiowej. Przez cały czas Cason miał niezwykle ostrą świadomość każdego jej dotknięcia.

- Masz takie wspaniałe muskuły! - powiedziała. - Nic dziwnego, że możesz mnie trzymać tak mocno..

Dłoń Rosellen błędziła teraz po mięśniach jego brzucha, coraz niżej.

- Moje mięśnie już nie są takie jak za czasów, kiedy byłem poszukiwaczem. Nic tak nie rozwija masy mięśniowej, jak praca z kilofem i łopata w górach. Chyba powinienem wrócić do tej roboty, bo to wszystko zaczyna mi mięknąć.

Rosellen przesunęła dłoń jeszcze niżej, na podbrzusze.

- Znam przynajmniej jedno takie miejsce - uśmiechnęła się słodko - które najwyraźniej nie zamierza mięknąć.

Trudno było nie przyznać jej racji. Nabrzmiały od pożądania członek Casona widoczny był już w całej swej okazałości. Gdy palce Rosellen dotknęły go lekko, stał się jeszcze twardszy, a ona pieściła go powoli, czule i delikatnie.

- Rosellen... - szepnął Cason.

Nic nie mogło dać Rosellen większej satysfakcji, niż sprawianie Casonowi przyjemności. Pieściła go, a on co chwila powtarzał szeptem jej imię. Już nie była delikatna, ale wiedziała, że on tego właśnie chce. Ich miłość mogła być ulotna, ale pieczyoty pozostawały bardzo namacalne.

Cason odchylił się do tyłu, splótł palce na karku i przyknuł oczy, pozwalając Rosellen robić, co zechce. Kiedy po pewnym czasie zmieniła pozycję i sama uklękła, z otwartymi ustami pochylając się nad sterzącym członkiem, Cason jęknął głucho, a po chwili wyszeptał:

- Cudownie... Ale za chwilę wybuchnę...

Zrób to, odpowiedziała mu już tylko w myśli, uszczęśliwiona tym, że sprawia mu przyjemność.

Jednak Cason nie zamierzał jeszcze niczego kończyć. Teraz on zmienił pozycję, ponownie ułożył Rosellen na plecach i rozchyliwszy



szeroko jej uda, zaczął ją pieścić wargami i językiem tak, że wkrótce zaczęła najpierw pojękiwać, a potem wręcz krzyżeć, wstrząsana nagłymi drgawkami rozkoszy. Dopiero wtedy, po dłuższej chwili, Cason podniósł głowę i wyciągnął się obok niej. Przytulił ją do siebie i znów zaczął ją całować.

Rosellen czuła jego ciało tuż przy sobie, czuła na policzkach delikatną szorstkość jego zarostu. Jego dłoń pieściła jej piersi, brzuch i podbrzusze, a naprężony do ostateczności członek już po chwili jakby sam znalazł się w jej dłoni. Cason uniósł się na łokciu, kolanami rozsunał jej nogi i wszedł w nią jeszcze raz, do ostatniej chwili prowadzony jej czułymi palcami. Wszedł w nią głęboko, czując pod sobą jej uległe piersi, brzuch i rozchylone uda, które natychmiast i bez wysiłku poddały się jego ruchom. Rozkosz narastała w nim i w niej jednocześnie, kumulując się w jego członku i podbrzuszu, i w jej łonie pulsującym nagłymi falami. Chwilami Rosellen nie potrafiła powstrzymać się od stłumionego krzyku, który wyrwał się z niej wbrew jej woli, kiedy rozkosz zdawała się już nie do wytrzymania. Jej paznokcie wbijały się wtedy w muskularne plecy Casona, zostawiając głębokie ślady.

Poruszali się tak w instynktownie odnalezionym wspólnym rytmie, zatracając się w nim już całkiem bez pamięci, do chwili, gdy wzbierająca gdzieś w głębi Rosellen gorąca fala ostatecznie przerwała wszelkie tamy. Wstrząsana rozkosznymi spazmami orgazmu Rosellen wygięła się w łuk, wciskając się jeszcze mocniej w Casona, który nie przestawał zanurzać się w niej i wydobywać coraz gwałtowniejszymi ruchami, aż wreszcie sam wytrysnął w nią fontanną nasienia, a po kilku wstrząsach zastygł bez siły, wciąż w niej i na niej.

- Moja cudowna Rosellen - wyszeptał. - Nigdy nie byłem z taką kobietą jak ty.

Rosellen leżała nieruchomo, zaspokojona i szczęśliwa bez granic, a mimo to świadoma, że dla Casona jest tylko jedną z wielu i że któregoś dnia będą musieli się rozstać.

Przypomniała sobie to, co ojciec kiedyś mówił jej braciom, nie podejrzewając, że i ona to słyszy. „Mężczyźni nie kochają kobiet, z którymi sypiają bez ślubu. Korzystają z nich, ale potem żenią się z innymi, przyzwoitymi dziewczynami”.

Uśmiechnęła się mimo woli. „Przyzwoite” dziewczyny może i miały swoje racje, ale też bardzo wiele traciły.

Ona jednak też miała wiele stracić. A teraz, kiedy już uświadomiła sobie, że kocha Casona, każdą chwilę spędzoną z nim ceniła sobie jeszcze bardziej, i każdą z nich zamierzała wykorzystać. Dopiero jutro mieli się zająć poszukiwaniem Dodge'a.

Wolno poruszyła biodrami, przytrzymując go w sobie i na nowo pobudzając do działania.

- Rosellen, ty mnie wykończysz - szepnęła Cason.
- To źle czy dobrze? - spytała.
- Więcej niż dobrze. Cudownie - odpowiedział Cason i czule pocałował ją w usta.

Najpierw obudził się Cason. Przeciągnął się i przetarł oczy. Przez okienne szyby wpadało jasne światło poranka. Ktoś dobijał się do drzwi wejściowych, z korytarza dobiegały jakieś przytłumione krzyki.

Rosellen otworzyła oczy, uniosła głowę i spojrzała w stronę wejścia.

- Co się dzieje? - spytała.

Dobijanie się do drzwi nie ustawało. Cason pochylił się i pocałował Rosellen w usta.

- Pewnie jakiś pijak pomylił pokoje - powiedział uspokajająco. - Służba mu to wytłumaczy i odprowadzi na miejsce. A jak się w ogóle czujesz, zbudzona o poranku?

- Mogłabym jeszcze trochę pospać. Przez ciebie prawie przez całą noc nie zmrużyłam oka.

- Taak? - uśmiechnął się Cason. - Jakoś nie przypominam sobie, żebyś się szczególnie uskarżała.

- A niby na co miałabym się uskarżać? Kochanie się aż do rana bardzo mi się podobało.

- Mnie też. No to chodź tu do mnie i zaczniemy wszystko jeszcze raz.

Przyciągnął ją do siebie i znów rozpoczął od całowania swego ulubionego miejsca tuż za jej uchem.

- Z tym hałasem i dobijaniem się do drzwi to się nie uda! - Rosellen odwróciła się i nasłuchiwała przez chwilę. - Chyba naprawdę ktoś usiłuje się dostać właśnie do nas.

- Możliwe - powiedział Cason. - Zostań w łóżku, a ja zobaczę, o co chodzi i przegonię tych hałasujących osobników spod naszych drzwi.

Zsunął się z łóżka i ruszył do saloniku, gdzie schylił się, by podnieść zostawione na podłodze spodnie.

- Bardzo zgrabny tyłeczek! - zawołała w ślad za nim Rosellen.

- Postaram się, żebyś za jakiś czas znów mogła go zobaczyć. - Obrócił się ku niej, ukazując białe zęby w szerokim uśmiechu. Potem skierował się ku drzwiom.

Cason co prawda kazał jej pozostać w łóżku, ale Rosellen nigdy nie była osobą, która posłusznie słuchała rozkazów. Wstała z pościeli, przeciągnęła się z satysfakcją raz i drugi, a potem włożyła na siebie nowy szlafroczek. Niezależnie od tego, co działo się za drzwiami, chciała to zobaczyć na własne oczy.

Przeszła do saloniku, zawiązując po drodze pasek szlafroka, podczas gdy Cason otwierał drzwi prowadzące na korytarz.

Dwaj rośli mężczyźni wdarli się do środka i rzucili się na Casona.

Cason zdołał się uchylić przed pierwszym ciosem ogromnej pięści, ale już następny trafił go w podbródek, odrzucając mu głowę do tyłu. Kolejny cios poszedł na żołądek i Cason zgiął się wpół, z trudem utrzymując się na nogach.

– Walter! Jarred! – wrzasnęła Rosellen. – Przestańcie!

Cason jęknął, zaklął pod nosem i nie zwracając już uwagi na ból, sam zaatakował napastników. Udało mu się ulokować jeden mocny podbródkowy na czyjejs wyjątkowo twardej szczęce, ale sam też został trafiony, na szczęście mniej celnie niż za pierwszym razem. Potem zdołał jeszcze wyprowadzić prawy prosty gdzieś w okolice splotu słonecznego, ale niemal w tej samej chwili otrzymał potężny cios ramieniem w szyję i gardło, po którym stracił oddech i zwałił się do tyłu, przewracając także stojące za nim krzesło.

– Przestańcie wreszcie, wy tumany skończone! Dostyc tego, do jasnej cholery!

Cason słyszał krzyk rozwścieczonej Rosellen, ale po ostatnim ciosie nie był w stanie się podnieść ani nawet wydobyć z siebie głosu. Jak przez mgłę widział ją rzucającą się od tyłu na jednego z napastników i okładającą go pięściami po karku i uszach. Lęk o nią dodał mu sił. Krztusząc się z bólu i kaszląc rozpaczliwie, usiłował wstać, ale w tej samej chwili obuta w traperski kamasz ciężka stopa przygniotła go z powrotem do podłogi.

– Leż i nie ruszaj się!

Tymczasem Rosellen zrezygnowała już z walenia na oslep pięściami, poprzestając na głośnym wymyślaniu od najgorszych.

– Wy kretyni! Skończeni idioci! – wrzeszczała, już naprawdę wściekła. – Przez was muszę się wstydzić, że w ogóle mam braci! A ty zdejmij wreszcie z niego tę nogę i pomóż mu wstać!

Cason patrzył na nią szeroko rozwartymi oczami. Więc ta dwójka osiłków to byli jej bracia? Nic dziwnego, że byli tak rozjuszeni. Każdy by był na ich miejscu.

Uwolniony od nacisku ciężkiego buta Cason odepchnął wyciągniętą do niego rękę i sam spróbował podnieść się na nogi, wciąż z najwyższym trudem łapiąc powietrze. Gdy mu się w końcu udało wstać, miał ogromną ochotę znów walnąć w szczękę jednego i drugiego, zdawał sobie jednak sprawę, że w tym stanie nie miał przeciwko nim żadnych szans.

Nawet wyprostowanie się przychodziło mu z ogromną trudnością. Bolało go w tyłu miejscach naraz, że nie potrafiłby chyba określić, które z otrzymanych uderzeń było najdotkliwsze. Wierzchem dłoni otarł strużkę krwi, spływającą z kącika rozciętej od uderzenia wargi. Na szczęście Rosellen oszczędziła mu wstydu i nie podbiegła do niego z pytaniem, jak się czuje. Czuł się co prawda bardzo źle, ale nie życzył sobie, żeby wiedział o tym ktokolwiek poza nim samym. Bolała go szczeka, a rozbita warga najwyraźniej puchła.

Rosellen poprawiła nieco przekrzywiony szlafroczek i odrzuciła do tyłu pasma włosów, opadające jej na oczy. Obróciła się w stronę Casona, wymownym spojrzeniem dając mu do zrozumienia, że teraz powinien odsunąć się na bok i jej pozostawić załatwienie całej sprawy. Tymczasem w nim ponownie odżyła chęć, by rzucić się na tych dwóch drabów, potrafił się jednak powściągnąć. Skoro Rosellen sama chciała zająć się nimi, to on, choćby tylko przez szacunek dla niej, nic powinien jej w tym przeszkadzać.

- Casonie, poznaj moich braci - powiedziała Rosellen. - To jest najstarszy, Jarred. A to najmłodszy, Walter.

Obaj bracia byli wyżsi i ciężsi od niego. I z pewnością silniejsi - zwłaszcza po tej nocy, kiedy ich siostra odebrała mu znaczną część sił.

Wciąż widział wszystko jak przez mgłę. Próbował intensywnie mrugać i dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że głównym

powodem trudności z wyraźnym widzeniem był pot, który po wyczerpującej walce wciąż jeszcze zalewał mu oczy. W końcu udało mu się je przetrzeć na tyle, że mógł już widzieć w miarę wyraźnie nie tylko sylwetki, ale i rysy twarzy.

Widział, jak bardzo zdenerwowana i jednocześnie zakłopotana jest Rosellen. Jej policzki zaczerwieniły się gwałtownie, a oczy były pełne gniewu.

- Co wy tu, u diabła, robicie? - wykrzyknęła, patrząc po kolei na swoich braci.

- Przyjechaliśmy cię szukać - odpowiedział równie gniewnie Walter.

- Dlaczego znikłaś bez uprzedzenia?

- Zostawiłam mamie wiadomość, dokąd i po co jadę. Więc nie za bardzo rozumiem, po co tu przyjechaliście?

- A jak moglibyśmy nie pojechać za tobą? - spytał Jarred. - Jesteś naszą siostrą.

- No właśnie! - poparł go Walter. Ale chyba jednak przybyliśmy za późno, sądząc po tym, co tu widzimy.

Pochylił się i podniósł koronkową halkę, popatrzył na nią z niesmakiem, po czym rzucił ją z powrotem na podłogę.

Rosellen skrzyżowała ręce na piersi, gotowa przyjąć wyzwanie.

- Trudno mi wprost uwierzyć w to, co słyszę. Sama doskonale potrafisz zadbać o siebie i już kto jak kto, ale wy powinniście o tym wiedzieć. Nigdy nie pełniłam roli młodszej siostry, którą trzeba by się opiekować. Dla was zawsze byłam jeszcze jednym z braci, na równych z wami prawach. Więc skąd ta nagła zmiana?

- Wcale nie nagła. Przez ostatnie dwa lata usiłowaliśmy cię nauczyć chodzenia w sukienkach i zachowywania się po kobiecemu. Ale ty nie chciałaś się na to zgodzić.

Bo zaczęliście zbyt późno. Jarred westchnął głęboko.

- Toteż udało ci się zrobić już wiele głupstw, siostrzyczko. Ale nigdy dotąd nie uciekałaś z domu z mężczyzną.

- Większość z tych głupstw robiłam dlatego, że mnie prowokowaliście.

- To akurat nie ma teraz żadnego znaczenia.

- Masz rację. Dlatego mam do was żal, że nagle wpadliście na pomysł, żeby ni stąd, ni zowąd jechać tu za mną.

- Nie, nie dlatego. Masz do nas żal, że przyłapaliśmy cię z tym tu...

Cason słuchał, nie odzywając się. Na razie Rosellen dawała sobie radę wcale nie najgorzej.

- Lepiej nam powiedz, Rosellen, co się tu właściwie dzieje? - powiedział Jarred. - Czy to, co widzimy, oznacza, że...

Walter nie dał mu dokończyć.

- A czego ci jeszcze brakuje do całości? - spytał z gryzącą ironią. - Jej rzeczy na podłodze - tu Walter kopnął jedwabną spódnicę i halkę - i jego koszula tuż obok. Niech mnie szlag, jeśli to nie oznacza, że ten typ zrobił z niej swoją dziwkę!

Cason zareagował na to atakiem wściekłości, nie licząc się już ani ze stosunkiem sił, ani z czymkolwiek innym. Z głową pochyloną do przodu jak szarżujący byk ruszył na Waltera i z całej siły uderzył go barkiem w klatkę piersiową. Walter był znacznie cięższy, ale mimo to zachwiał się i zwałił do tyłu, ładując na tyłku. Jego groźny pomruk nie wróżył nic dobrego.

- Skończcie już wreszcie z tymi bójkami, dosyć tego! - krzyknęła Rosellen, chwytając Casona za rękę i nie pozwalając mu rzucić się na drugiego z braci.

Ich spojrzenia skrzyżowały się.

- Nie pozwolę nikomu wyzywać cię od dziwek! - oświadczył stanowczo Cason.

- Nic się nie stało! - powiedziała Rosellen, a w jej oczach była niema prośba, by zechciał ją zrozumieć. - Ja i moi bracia nieraz mówiliśmy do siebie bardzo ostrymi słowami. Zdażyłam się już do tego przyzwyczaić.

- Ale ja nie. I nie zamierzam tego robić!  
- Ty synu bandyty! - warknął Walter, usiłując podnieść się z podłogi.

Cason popatrzył na niego ze spokojem.

- Mało mnie obchodzi, co mówicie o mnie - powiedział. - Ale nie zniosę żadnych brudnych obelg pod adresem Rosellen. I dlatego radzę się zamknąć!

- Nikt mi nie będzie dyktował, co mam o niej mówić! To moja siostra!

Cason lekko zmarszczył brwi i powiedział jeszcze spokojniej:

- Przystaniesz ją obrażać albo cię zabiję.

- Nie wyobrażaj sobie, gnojku, że się ciebie przestraszę!

- Przestań już pyskować. - Jarred obrócił się do rozgorączkowanego Waltera. - Spróbujmy porozmawiać o tym spokojnie.

- To ty możesz sobie być spokojny - odparł Walter. - Ja nie mogę. Otwórz wreszcie oczy i rozejrzyj się po tym pokoju! Jest oczywiste, że oni byli ze sobą w łóżku, co może ciebie w ogóle nic obchodzi, ale mnie tak!

- Obchodzi mnie nie mniej niż ciebie, ale wściekanie się niczego tu nie załatwi. - Jarred obrócił się do Casona. - Posłuchaj, Murdock, jesteśmy tu ze względu na nią. Nie możemy się z nią nie liczyć!

- Ale właśnie to od dłuższego czasu robicie! - powiedziała Rosellen, stając pomiędzy nimi. - Wszyscy trzej rozprawiacie o mnie tak, jak gdyby mnie tu w ogóle nie było!

- Daj spokój, Rosellen, wiesz równie dobrze jak my, jak to wszystko wygląda - powiedział Walter. - Zacznij od początku i powiedz wreszcie sama, co się tutaj dzieje.

- Nic, z czego chciałabym się tłumaczyć któremukolwiek z was. Jestem na was wściekła, przede wszystkim za to, że bez mojej zgody pojechaliście za mną! A jak w ogóle mnie znaleźliście?



- Wyjechaliśmy pociągiem w dzień po tobie - powiedział Jarred. - A tu w Denver chodziliśmy od hotelu do hotelu i podawaliśmy wasze nazwiska. Sądziliśmy, że łatwiej odnajdziemy jego, a on będzie mógł nam powiedzieć, gdzie cię szukać. Ale nigdy nie przyszło nam do głowy, że znajdziemy cię w jego pokoju!

- A tym bardziej w jego łóżku - dodał Walter. - Na miłość boską, Rosellen, przecież to jest człowiek, który zamyka kopalnię i wszystkich nas wyrzuca na bruk, a ty z nim śpisz?! Co się z tobą dzieje?!

Cason patrzył na Rosellen, która stała wyprostowana z dumnie uniesionym podbródkiem, bez mrugnięcia okiem słuchając najcięższych oskarżeń. Podziwiał ją za to, że nie dała się onieśmielić, choć jej pozycja w tym sporze była tak bardzo niekorzystna. Bo też sytuacja, w jaką on sam ją wpakował, była doprawdy nie do pozazdroszczenia. Inna sprawa, że nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że jej rodzina mogłaby się kiedykolwiek o tym wszystkim dowiedzieć.

- Chcieliśmy cię zabrać do domu - mówił tymczasem Jarred. - Ale teraz myślę, że najpierw musicie się pobrać.

Rosellen wyprostowała się i głęboko wciągnęła powietrze.

- Co takiego? - spytała zaskoczona.

Cason też mimo woli zeszytniał.

- O czym wy, u diabła, mówicie?

- Nie miałeś prawa jej tknąć! - powiedział Walter, uderzając wyprostowanym palcem w pierś Casona. - Teraz więc domagamy się, żebyś przywrócił jej dobre imię, żeniąc się z nią!

- Zaraz! Chwileczkę! - obruszyła się Rosellen - To o moim życiu teraz rozprawiacie! Żadnemu z was nigdy nie pozwalałam decydować za mnie i tym bardziej nic zamierzam pozwolić teraz.

- Przestań, Rosellen - powiedział Jarred. - Czy nie rozumiesz swojej sytuacji? Przez tego człowieka nie masz już szans wyjść za mąż za kogokolwiek innego. A on może się z tobą ożenić. Nie masz teraz innego wyjścia.

- Oczywiście, że mam - odpowiedziała z oburzeniem. - I nie potrzebuję, żebyście się pakowali z butami w moje życie, wdzierając się tutaj i grożąc mnie albo Casonowi. Nikt was nie prosił, żebyście jechali za mną. A ja sama wiem, co mam robić, i jestem dostatecznie dorosła, żeby i bez was zdecydować, kiedy zechcę wyjść za mąż i za kogo!

Cason przysłuchiwał się temu wszystkiemu, nie za bardzo wiedząc, jak właściwie mógłby jej pomóc. Przede wszystkim nie wiedział, czego Rosellen naprawdę chciała i czego spodziewała się po nim. Nie za bardzo też chciał składać deklaracje miłości w obecności jej braci, tym bardziej że Rosellen. na ile ją znał, z pewnością nie życzyła sobie, by on w jakikolwiek sposób ulegał ich groźbom.

- Nikt tu nie będzie się żenił ani wychodził za mąż tylko dlatego, że wy sobie tego życzyacie - powiedział, patrząc po kolei na jednego i drugiego..

- A chcesz się założyć? - spytał Walter, wyciągając z bocznej kieszeni bluzy sześciostrzałowy rewolwer i kierując go w stronę Casona. - To doprawdy bardzo łatwe, Murdock. Mogę cię zastrzelić, a w dodatku uratuję kopalnię i miasto.

- Oszalałeś, Walterze? - wykrzyknęła Rosellen.

- Nie. - Walter wciąż celował prosto w pierś Casona.

Nie był to pierwszy przypadek, że Cason musiał patrzeć w otwór skierowanej w niego lufy rewolweru. W pracy poszukiwaczy złota podobne sytuacje zdarzały się dosyć często. Bandyci idący ich śladem chętnie polowali na tych, którym udało się wykopać choćby garść kruszcu, a zastrzelenie właścicieli było najprostszym sposobem przejścia bogatej działki. Tym razem jednak sytuacja była szczególna, a Casonowi bardzo nie podobało się to, co widział w oczach Waltera. Najwyraźniej stawką była tu nie tylko reputacja jego siostry.

- Odlóż tę broń, zanim zrobisz komuś krzywdę! - krzyknęła Rosellen.

- Ja właśnie mam zamiar zrobić mu krzywdę.

- Nie możesz tak na zimno zastrzelić człowieka!
- No to uważaj! Jeżeli pociągnę za spust, zbiegną się tu ludzie i uznają, że po prostu przyłapałem cię w łóżku z tym mężczyzną. Nikt nie będzie miał najmniejszych wątpliwości.

Rozgorączkowana Rosellen patrzyła na braci z prawdziwym przerażeniem.

- Powieszają cię albo wsadzą do więzienia! – wykrzyknęła,
- Nie ma takiego sądu, który by mnie skazał w podobnej sytuacji.
- Nie mówisz tego poważnie!
- Owszem, mówię. Po to, żeby uratować nasze miasto i rodzinę, gotów jestem to zrobić. To się nazywa walka o przeżycie, droga siostrzyczko.

- Co takiego? – mimo woli cofnęła się o krok. – Jarredzie, powiedz coś.

- Nie powinnaś była uciekać z tym mężczyzną.
- To niemożliwe! Nie mogę uwierzyć, że słyszę coś takiego od własnych braci!

- Miasto naprawdę nie przetrzyma zamknięcia kopalni – powiedział Jarred. – Wiele rodzin już teraz mówi o konieczności wyjazdu.

Cason słuchał tego wszystkiego, widział też nieklamany lęk w spojrzeniu Rosellen. Mimo to nie zamierzał ustępować ani tym bardziej godzić się na małżeństwo pod przymusem. Nie podobała mu się myśl, że ci dwaj mogliby odtąd pozostawać w przekonaniu, iż groźbą można go do czegoś zmusić.

- Albo on się z tobą ożeni, albo zginie tu na miejscu – powiedział Walter, odciągając kurek rewolweru.

Cason popatrzył na niego bez mrugnienia okiem.

- Może najpierw zastanówcie się, czego tak naprawdę chcecie – powiedział. – Czy domagacie się, żebym się ożenił z Rosellen, czy też chcecie, żebym zrezygnował z zamknięcia kopalni?

- Chcemy jednego i drugiego – przyznał Jarred.

- Ale możemy się zgodzić na jedno - powiedział po chwili Walter.

- Tyle możecie uzyskać - rzekł Cason. - Więc co wybieriecie?

Spojrzał na Rosellen, która była tak wstrząśnięta, że z trudem łapała powietrze. Cason nagle zdał sobie sprawę, że ona cała drży, i to chyba nie tylko z oburzenia i wściekłości. Najwyraźniej nie wierzyła, by jej bracia dla ratowania jej reputacji zrezygnowali z szansy uratowania kopalni i miasta.

Serce mu się krajało, kiedy tak patrzył na nią. Oddała mu się przecież z własnej woli, z ufnością i spontaniczną radością. To on był winien temu, że nagle znalazła się w tej rozpaczliwej sytuacji, odtracona zarówno przez niego, jak i przez braci.

- W porządku! - powiedział szybko. - Wyślę telegram do mojego wspólnika z poleceniem odprawienia straży i utrzymania kopalni w ruchu.

Kątem oka dostrzegł, że Rosellen nawet nie spojrzała na niego. Stała nieruchomo, wpatrując się gdzieś w przestrzeń.

- Utrzymania kopalni w ruchu na jaki czas? - spytał Jarred.

- Co najmniej na rok. Macie na to moje słowo.

- Skąd mamy wiedzieć, że można w to wierzyć?

- Dam wam oficjalnie potwierdzone zobowiązanie na piśmie - powiedział Cason. - Chodźmy od razu do biura telegrafu i tam wszystko załatwimy.

Przed wyjściem Walter obrócił się do wciąż milczącej Rosellen.

- Chyba teraz nie potrzebujesz już więcej dowodów, prawda? Wreszcie naprawdę wiesz, co on myśli o małżeństwie z tobą.

W pobliskim oddziale agencji telegraficznej Cason wypełnił blankiet i wysłał depeszę do Bustera, po czym przy ustawionym obok okna staroświeckim pulpicie zabrał się do pisania zobowiązania w sprawie kopalni. Rosellen trzymała się z dala, chodząc nerwowo tam i z powrotem po niewielkim pomieszczeniu agencji. Po raz setny powtarzała

sobie, że przecież od początku zdawała sobie sprawę, iż na małżeństwo z Casonem nie ma co liczyć, a wobec tego jego decyzja nie powinna mieć dla niej żadnego znaczenia.

A mimo to zabolą ją to bardziej, niż kiedykolwiek mogła przypuścić. Słyszała o kobietach, którym złamano serce, ale było doprawdy zupełnie czymś innym doświadczyć tego osobiście.

Także fakt, że jej bracia bez wahania zdecydowali się poświęcić jej reputację dla ratowania miasta i kopalni, był dla niej ciężkim ciosem. A chyba najbardziej przeraziło ją to, co dostrzegła w oczach Waltera. Przez chwilę była absolutnie przekonana, że on naprawdę chce zastrzelić Casona. Później próbowała sobie wmawiać, że to jej się tylko przywidziało, ale w gruncie rzeczy wiedziała, że sama siebie oszukuje. Jej brat był wtedy naprawdę zdolny do popełnienia morderstwa. I wyglądał w tym momencie zupełnie tak, jak kiedyś ojciec.

Na myśl o tym wszystkim nagły lęk chwycił ją za gardło. Czyżby jej ojciec naprawdę przeszedł wtedy na stronę zbrodni? I czy usprawiedliwiał tamto morderstwo w taki sam sposób, w jaki teraz Walter chciał usprawiedliwiać zastrzelenie Casona? Więc może i ona któregoś dnia spróbuje się w podobny sposób usprawiedliwić? Na samą myśl o tym poczuła tępy ból w okolicach serca.

Nie! – powiedziała sobie stanowczo, z rosnącą determinacją.

Nie wolno jej tak myśleć. Jak w ogóle mogła wątpić w nieskazitelną reputację obu braci i ojca?! Henry Lattimer był niewinny i do końca życia pozostał uczciwym człowiekiem! To przez Casona pojawiły się w niej wątpliwości. To on był winien!

Dlatego należało za wszelką cenę wyzwolić się spod jego wpływu, radykalnie i ostatecznie. A na razie musiała zapanować nad sobą i nie pozwolić sobie na nic głupiego – czym z pewnością byłoby rozplakanie się teraz na oczach ich wszystkich. Wystarczająco dużym błędem było już to, że jej łyzy musiał oglądać Cason, i to nie dalej jak wczoraj. Nie mogła dopuścić, by i bracia widzieli to samo.

A poza tym przyjechała do Denver w bardzo konkretnym celu. I niezależnie od tego, jak bardzo pragnęłaby już wrócić do domu i zapomnieć na zawsze o Casonie, w tej chwili nie mogła się wycofać. Trzeba było odnaleźć Dodge'a i wreszcie dowiedzieć się prawdy. Inaczej cała ta przeszłość, wywołana z niepamięci przez tę okropną kobietę, Gayle, nadal będzie ją dręczyć wciąż tą samą straszliwą niepewnością.

Kątem oka dostrzegła spojrzenie Jarreda i kiwnęła na niego, żeby podszedł do niej. Musiała z nim porozmawiać na osobności. Był najstarszy z całego rodzeństwa, więc też najwięcej mógł zapamiętać.

– Nie wiem, czy powinienem zostawiać ich tam samych – powiedział Jarred, patrząc na Waltera i Casona. – Ci dwaj nie przepadają za sobą, mówiąc ogólnie.

– Dziwisz się temu? – spytała Rosellen.

– Nie.

– Będziemy ich mieć na oku. – Spojrzała na Casona, który wciąż jeszcze pisał, pochylony nad pulpitem. Poczowała nagły skurcz serca. Och, dlaczego się w nim zakochała? Dlaczego ze wszystkich mężczyzn stanu Kolorado musiała wybrać akurat jego?

Otrząsnęła się z tych bezsensownych myśli i obróciła się do Jarreda.

– Czy przypominasz sobie, żeby nasz ojciec kiedykolwiek wspomniał o jakimś kuzynie, albo może tylko znajomym, nazwiskiem Dodge?

Jarred zmarszczył czoło.

– Tak, przypominam sobie takie nazwisko. Ale to musiało być bardzo dawno, bo potem chyba przez kilkanaście lat nic już o nim nie słyszałem. To był taki rosy facet, o ile pamiętam, przychodził do nas rzadko, chyba w ogóle raz albo dwa. Zdaje się, że podczas pobytu w Makowym Wzgórzu zatrzymywał się na noc w miejskim areszcie. U nas w domu nie było wolnych łóżek, więc tata pozwalał mu spać w którejs z wolnych cel. A dlaczego o niego pytasz?

Rosellen stężyła wewnątrz. No tak. A więc rzeczywiście był taki osobnik, nazwiskiem Dodge. Przyjeżdżał do Makowego Wzgórza. Ale to jeszcze nie musiało nic znaczyć. Gayla mogła sobie zapamiętać jego nazwisko, jeśli bywał u niej w saloonie. To proste i prawdopodobne wyjaśnienie.

Spojrzała na Jarreda.

- Ja tego Dodge'a w ogóle nie pamiętam - powiedziała.

- I nic dziwnego. Mogłaś mieć wtedy pięć albo sześć lat i chyba go nawet nie widziałaś na oczy. Ale skoro nagle pytasz o niego po takim czasie, to pewnie masz jakiś powód, prawda?

Rosellen patrzyła na niego w jawnej rozterce. Właściwie wolałaby nie dowiadywać się już niczego, bo też niczego dobrego nie mogła się raczej spodziewać. Ale jednocześnie coś jej kazało brnąć w to dalej, mimo wszystko.

- Chyba tak, rzeczywiście coś mi się przypomniało - powiedziała. - Jakaś taka rozmowa, w której mówiło się właśnie o tym człowieku i o jakichś pieniądzech. Było coś takiego?

- Było - powiedział Jarred. - W jakiś czas po tym, jak ten Dodge wyjechał z Makowego Wzgórza, lata powiedział nam, że on umarł i że przed śmiercią zapisał nam jakieś pieniądze. Nie było tego dużo, ale jego prawnik przysyłał nam co miesiąc pewną sumę, dopóki pieniądze się nie wyczerpały. Pamiętam, że jakiś czas potem tata pojechał do Denver, żeby porozmawiać z tym prawnikiem.

Słuchając tego, Rosellen poczuła się niezbyt dobrze. Miała zamęt w głowie i przez chwilę z trudnością przychodziło jej zachowanie równowagi, ale w końcu jakoś się opanowała. To, co usłyszała od Jarreda, w zbyt wielu szczegółach zgadzało się z wersją Gayli. Choć oczywiście opowieść Jarreda stawiała ojca w znacznie lepszym świetle.

Ale jeśli tak właśnie było, to z jakiego powodu Gayla miałyby zmyślić całą resztę swojej opowieści? Czy chciała się zemścić na Henrym Lattimerze? Tak, to było prawdopodobne. On jako szeryf

musiał niejednokrotnie działać wbrew interesom właścicielki Silver Nugget. Gayla próbowała więc szukać odwetu.

- Hej, Rosellen, dobrze się czujesz? - spytał zaniepokojony Jarred.

- Nie wyglądasz mi najlepiej.

- Czuję się świetnie - skłamała, choć zdawała sobie sprawę, że już samo brzmienie głosu ją zdradzi. Czuła się fatalnie. Bolało ją odrzucenie przez Casona i przez braci, a co najmniej równie mocno cierpiała też z powodu na nowo odradzających się wątpliwości, dotyczących ojca.

- Myślę, że powinnaś usiąść - powiedział Jarred.

- Trochę mi się kręci w głowie, ale to przejdzie - zapewniła go Rosellen. - Ten wasz przyjazd był dla mnie sporym szokiem, chyba rozumiesz. Nie spodziewałam się, że moi dorośli bracia nagle się zjawią i znów zaczną mi rozkazywać.

- Tu nie chodzi o rozkazywanie, tylko o twoją przyszłość - odparł Jarred. - Wracaj z nami, Rosellen. To wszystko tutaj to nie jest twój świat, nawet jeśli mieszkasz tu teraz razem z Casonem. Jeżeli wierzysz, że dotrzyma słowa i nie zamknie kopalni, to nie masz już powodu, żeby tu pozostawać.

- Nie mogę z wami wrócić. Mam tu jeszcze coś do zrobienia.

- Co?

- Tego jeszcze nie mogę ci powiedzieć. Chcę, żebyście wrócili do domu i powiedzieli mamie i Simonowi, że ze mną wszystko w porządku. Bo tak jest, Jarredzie, możesz mi wierzyć. Wiem, co robię, i wiem, co jeszcze muszę zrobić. Niczego też nie żałuję.

- Ale, Rosellen...

- I nie próbujcie mnie osądzać, dobrze?

Spojrzenie Jarreda złagodniało.

- Nie próbujemy. Zawsze wiedzieliśmy, że byłaś inna niż większość dziewczyn. I może to nasza wina, że także i z tego powodu nieraz popychaliśmy cię do robienia rzeczy, których robić nie powinnaś.

- Przyjmuję to jako komplement, nie wyrzut.



Jarred pokręcił głową.

- Ten Cason Murdock zrani cię boleśnie. Wiesz o tym, prawda?

- Wiem - powiedziała Rosellen. - Ale jest we mnie coś, co nie pozwala mi go opuścić. Ja się w nim zakochałam, rozumiesz?

- Och, siostrzyczko, na diabła ci to było? On nie jest dość dobry dla ciebie.

- Uwierz mi, że w ogóle nie myślałam o tym w ten sposób - Rosellen uśmiechnęła się, usiłując ukryć ból. - Tak więc wy też już o tym nie myślcie.

- Możemy go zmusić, żeby się z tobą ożenił.

- Nie. Nie chcę niczego takiego. Tego bym naprawdę nie zniosła. Wyobrażasz sobie, jak bym się czuła, wiedząc, że zrobił to pod przymusem? Nie każ mi przez to przechodzić, nawet w myśli.

Jarred kiwnął głową, ale nic nie odpowiedział.

Rosellen spojrzała w stronę Casona, który właśnie podał kartkę papieru siedzącemu za biurkiem pracownikowi agencji, a potem znów pochylił się nad następną stroną. Najwyraźniej zamierzał dotrzymać słowa, skoro już je dał. Jej takiego słowa nie dał, ale mimo to nie żałowała niczego, co zdarzyło się między nimi.

- Powiem ci coś jeszcze, Jarredzie. Wreszcie naprawdę wiem, dlaczego Cason chciał zamknąć kopalnię. Zrozumiałam to dopiero teraz.

- Albo dopiero teraz przestałaś rozumieć, oślepią miłością. Weź to też pod uwagę, bo żaden powód nie może usprawiedliwić zamiaru zrujnowania całego miasta.

- Gdybyś wiedział, sam musiałbyś przyznać, że on miał powód, jeśli nie wystarczający, to w każdym razie bardzo tego bliski.

- To ty tak twierdzisz, i nietrudno zgadnąć dlaczego. Zmusił cię, żebyś myślała sercem, nie rozumem. Wystarczy zresztą na ciebie spojrzeć - przecież, skłonił cię nawet do tego, żebyś wyglądała i ubierała się jak kobieta.

Rosellen skinęła głową i uśmiechnęła się, ale patrzyła już nie na swego brata, tylko na Casona. Nawet z tej odległości mogła dostrzec obrzęk wokół jego ust.

- Tak - powiedziała, zwracając się znów do Jarreda. - Pierwszy raz w życiu naprawdę chcę nosić sukienki. I co ty na to?

- Powiedziałbym, że to wspaniale, gdyby chodziło o kogoś, kto byłby ciebie wart. Ale on nie jest.

- Jestem przekonana, że źle go oceniasz.

Mogła mieć wątpliwości co do wielu rzeczy, ale jednego była teraz pewna - swego uczucia do Casona. I niezależnie od tego, co mógł myśleć o małżeństwie z nią, kochała go i zamierzała z nim zostać - przynajmniej po to, żeby razem z nim szukać Dodge'a, aż do takiego czy innego skutku.

- A co z mamą? - spytał Jarred. Rosellen poczuła nagły skurcz gardła.

- Opiekujcie się nią - powiedziała. - Postaram się być dla niej dobrą córką, kiedy wrócę.

- A czy jeszcze kiedykolwiek wrócisz?

- Oczywiście. Makowe Wzgórze jest moim domem - powiedziała z przekonaniem, choć nieco mniejszym niż zazwyczaj. Nie mogłaby tego wyznać nawet swemu bratu, ale zdawała sobie sprawę, że już nie potrafi myśleć o ludziach swego miasteczka tak jak dawniej. Wszystko się zmieniło od czasu, gdy zrozumiała, jak potraktowali w swoim czasie Casona i jego matkę.

Do zmiany jej nastawienia przyczyniła się też pamięć niedawnego incydentu z uzbrojonym poszukiwaczem, kiedy to nikt z mieszkańców Makowego Wzgórza nie pośpieszył jej z pomocą, choć zdaniem Casona było to ich obowiązkiem. Czy Cason miał tu rację? Przecież jeszcze dwa dni temu ona sama skłonna była uważać, że wszystko było w porządku.

Czy więc rzeczywiście obywatele Makowego Wzgórza wykazali się egoistyczną nieczułością i brakiem zwykłej ludzkiej solidarności? Czy

dowiedli, że równie mało dbają o nią, jak kilkanaście lat wcześniej mało dbali o zapłakanego chłopca i jego chorą matkę? Czy też jedynie postanowili się nie wtrącać, ufając w pełni, że sama sobie poradzi z tą całą sytuacją? Doprawdy nie umiałyby odpowiedzieć, kto w tym przypadku miał rację.

Ale jedno było pewne – to Cason spowodował, że na wiele rzeczy patrzyła teraz zupełnie innymi oczami.

– Nie opowiesz mamie o Casonie i o mnie, prawda? – spytała cicho.

Jarred uśmiechnął się i żartobliwie ujął ją za podbródek.

– Czy kiedykolwiek na ciebie naskarzyłem?

Rosellen spojrzała na niego, nabrała powietrza i zapytała:

– A powiedz mi jeszcze, póki mam odwagę cię zapytać: gdyby Cason sam nie dokonał wyboru, na co ty byś się zdecydował jako mój brat? Czy zażądałbyś utrzymania pracy w kopalni, czy też kazałbyś mu ożenić się ze mną?

Jarred długo się wahał i w końcu odpowiedział dość niepewnie:

– Wybrałbym to drugie. Twój ślub.

– A co wybrałby Walter?

– O to musisz już jego zapytać.

Rosellen spojrzała na Waltera. Nie, nie zamierzała go pytać.

Jarred przynajmniej skłamał, ale Walter nie zadałby sobie nawet takiego trudu, a ona nie była gotowa na to, żeby usłyszeć prawdę.

W parę chwil później wszyscy czworo wyszli z pomieszczenia agencji i zatrzymali się przed wejściem, na zalanym słońcem chodniku.

Walter obrócił się w stronę siostry.

– Mam już to podpisane oświadczenie – powiedział. – Sprawa jest załatwiona, możemy wracać. Ty też, Rosellen. Jesteś to nam winna, jeżeli już nie chcesz pomyśleć o sobie.

Rosellen popatrzyła na Casona, ale nie zdołała nic wyczytać z jego nieruchomej twarzy. Niech go diabli, pomyślała zirytowana. Dlaczego nawet nie próbuje jej nakłonić do takiej lub innej decyzji?

Dlatego, że prawdopodobnie nie chce, żebyś została, odpowiedziała sobie w duchu. I dlatego powinnaś stąd uciekać.

Tak, z punktu widzenia Jarreda i Waltera, powinna była tak zrobić z całą pewnością.

- Nie jadę z wami! - powiedziała stanowczo. - Mam tu sprawę do załatwienia.

- No cóż, ja moją sprawę już załatwiłem - powiedział Walter i odwrócił się do Jarreda. - A ty masz jej jeszcze coś do powiedzenia, zanim pójdziemy?

Jarred dotknął ramienia Rosellen, a potem popatrzył na Casona i powiedział:

- Ona jest silna jak puma. Wszystko jest w niej silne, z wyjątkiem serca. I w tym względzie trzeba się o nią troszczyć.

Rosellen na moment przestała oddychać. Może Jarred naprawdę ją kochał? Przynajmniej on.

Potem przyglądała się braciom powoli znikającym w głębi ulicy w gęstniejącym porannym ruchu. Nie odczuwała żadnej chęci, żeby pobiec za nimi. Zdawała sobie sprawę, że Cason przygląda się jej i najpewniej się zastanawia, dlaczego nie odeszła z braćmi. Ale ona po prostu nie mogła go zostawić.

Wzięła głęboki oddech i powiedziała.

- Przepraszam cię za to wszystko. Jest mi naprawdę wstyd za moich braci. Nie powinni byli tak na ciebie napaść.

Cason popatrzył na nią bez uśmiechu.

- Nie możesz siebie obwiniać za to, co zrobili twoi bracia. Nie mówiąc już o tym, że na ich miejscu zrobiłbym pewnie to samo. Ale tak czy inaczej, jesteś ich siostrą i powinnaś była jechać razem z nimi. Twoje miejsce jest przy nich, nie przy mnie.

Śluchała tego ze ściśniętym sercem, zdając sobie sprawę, że to właśnie było to odtrącenie, którego się tak obawiała. Cason jasno dawał jej do zrozumienia, że nie chce jej przy sobie.

W tym momencie musiała zebrać wszystkie siły, żeby się opanować i nie wybuchnąć płaczem.

- Nie, nie zamierzam jechać z braćmi - powiedziała nadszpiewanie spokojnie. - Chcę być przy odnalezieniu Dodge'a i chcę na własne oczy zobaczyć, czym się to skończy. Ale mogę się przenieść do innego hotelu, jeżeli sobie tego życzysz.

Cason popatrzył na nią zaskakująco łagodnie i ciepło.

- Dlaczego miałbym sobie tego życzyć?

Rosellen wciąż miała ściśnięte gardło i wilgotne kąciaki oczu.

- Pomyślałam, że może już dojrzałeś do tego, że wolisz być sam.

- Zostań ze mną.

Jej serce nagle zaczęło bić bardzo szybko.

- W porządku - odpowiedziała z pewnym trudem.

Cason patrzył na nią uważnie.

- Ale zdajesz sobie sprawę, że między tobą i mną nadal nic nie jest ustalone?

- Wiem o tym.

- Czy chcesz, żebym ci wytłumaczył, dlaczego nie chciałem się zgodzić na małżeństwo z tobą?

- Nie - odpowiedziała pośpiesznie. Taki temat rozmowy łatwo mógł doprowadzić ją do łez, a ona i tak już od rana walczyła ze sobą, starając się nie rozplakać. Nie zniosłaby teraz jeszcze jednego odtrącenia.

- Ale posłuchaj mnie, Rosellen...

- Nie, proszę cię, nie! Nie chcę popsuć tego, co jest między nami. Nie masz obowiązku niczego mi tłumaczyć, podobnie jak ja tobie.

- W porządku, skoro tak chcesz. Wobec tego ruszajmy do roboty. Spróbujemy sprawdzić, czy uda nam się znaleźć kogoś, kto zna osobnika nazwiskiem Dodge.

Dwa dni później około południa Rosellen wróciła sama do hotelu, z ulgą zdjęła pantofle i usadowiwszy się na kanapie, zaczęła rozcierać i masować obolałe stopy.

Prowadzone przez nią i Casona systematyczne poszukiwania jak dotąd nie dały żadnych konkretnych wyników. Oba poprzednie dni, od rana do wieczora, spędzili na chodzeniu po ulicach Denver, odwiedzaniu najróżniejszych sklepów, restauracji i nocnych lokali. Wypytywali tam o mężczyznę z charakterystyczną blizną na lewej ręce, który mógł używać nazwiska Dodge albo jakiegokolwiek innego. Pytali o niego właściciele sklepów i restauracji, kelnerów i barmanów, policjantów i miejskich włóczęgów, a czasami nawet przypadkowych przechodniów. Parę razy zdarzyło się, że ten czy ów rozmówca przypominał sobie kogoś o takim wyglądzie i nazwisku, ale nikt nic umiał powiedzieć, co się z nim potem stało.

Odnalezienie człowieka po tylu latach byłoby oczywiście nieporównanie łatwiejsze w małym miasteczku, takim jak choćby Makowe Wzgórze, gdzie wszyscy znali wszystkich i wszystko o wszystkich wiedzieli. Denver jednak było prawdziwą metropolią, w której ktoś, kto chciałby się zgubić, mógł to uczynić bez większego trudu.

Zamiast wracać wcześniej do hotelu, Rosellen wolałaby nadal towarzyszyć Casonowi w jego dalszych poszukiwaniach. Okazało się jednak, że miał on umówione spotkanie ze swoimi dawnymi kolegami po kilofie i łopacie w ekskluzywnym Klubie Poszukiwacza, do którego kobiety statutowo nie miały prawa wstępu. Rosellen była wściekła, ale ostatecznie zdecydowała, że najrozsądniej zrobi, jeżeli bez niepotrzebnych sporów wróci do hotelu i tam poczeka na Casona.

A to oczywiście oznaczało, że znów będzie o nim myślała. Nie miała już najmniejszej wątpliwości, że go kocha. Oczywiście, chciała odnaleźć Dodge'a i wreszcie wyjaśnić wszystko do końca, ale nie mogła już nawet

przed sobą udawać, że tylko dlatego tu pozostała. Zrobiła to, ponieważ chciała być z Casonem.

Nigdy nie poddawała się bez walki, więc i o niego zamierzała walczyć do końca. Problem polegał na tym, że tak naprawdę nie wiedziała, jak właściwie miałyby walczyć o człowieka, którego kocha. Bracia nauczyli ją, jak się walczy bronią i pięścią, ale nie mogła się od nich dowiedzieć, jak należy walczyć sercem.

A tymczasem ona i Cason mieli już za sobą dwie kolejne wspólne noce, a prawdę mówiąc, nie tylko noce. Kochali się ze sobą od wieczora do północy, a nawet dłużej, potem znów rano, po obudzeniu się – niemal równie długo. To było tak, jak gdyby oboje przeczuwali, że lada dzień będą musieli się rozstać i próbowali sycić się sobą na zapas. Czasami Rosellen miała poczucie, że jej obrzmiałe od pocałunków wargi i piersi dłużej tego nie wytrzymają, a mimo to pragnęła go wciąż równie mocno i gorąco.

Pukanie do drzwi przerwało jej rozmyślenia. Nie mógł to być Cason, bo dopiero co się z nim pożegnała przed wejściem do klubu. W tej sytuacji Rosellen uznała, że może to być tylko krawcowa, która przyniosła jakieś nowe rzeczy. Otworzyła więc drzwi, nawet nie pytając, kto stuka. Tymczasem, ku jej zaskoczeniu, na progu pojawił się jakiś dziwny osobnik w mocno zniszczonym czarnym garniturze, z równie wytartym i wyrudziałym melonikiem, nieustannie miętoszonym w mocno drżących dłoniach. Zionęło od niego kwaśnym zapachem przetrawionej whisky, zastarzałym odorem potu i od dawna nie pranej bielizny. Na dopiero co ogolonej twarzy widoczne były świeże, krwawiące jeszcze zacięcia, a tłuste, wybrylantynowane włosy przyklepione były do czaszki. Mimo wszystko bez trudu można było zauważyć, że ten podejrzany typ postarał się zrobić wszystko, żeby wyglądać w miarę przyzwoicie.

- Czy mogłabym wiedzieć, co pana tu sprowadza? - spytała Rosellen. Nie czuła lęku i była przekonana, że ten człowiek musiał pomylić pokoje.

- Nazywam się Pilcher, proszę szanownej pani. Ja podsłuchałem... to znaczy, dowiedziałem się w takim jednym barze, że ktoś z tego hotelu poszukuje człowieka, który ma bliznę na lewej dłoni.

Rosellen drgnęła mimo woli i spojrzała uważniej na wyraźnie zdenerwowanego mężczyznę, wciąż miętoszącego w palcach swój biedny melonik. Mimo wszystko nie wyglądał na zwykłego wydrwigrosza ani sprytnego oszusta.

- Powiedzmy, że trafił pan pod właściwy adres - powiedziała ostrożnie. - Jakie informacje miałby pan dla nas?

- Ja... chodzi o to, że chyba wiem, gdzie jest teraz taki właśnie człowiek, z podobną blizną. To dość daleko stąd, ale wiem, jak tam dojechać.

Rosellen słuchała go z zapartym tchem. Ten człowiek wzbudzał w niej dziwne zaufanie. Nie było to zbyt rozsądne z jej strony, ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa był to jakiś miejscowy pijaczek, który po prostu zwietrzył szansę wyłudzenia paru dolarów na alkohol. Wątpliwe było, żeby mógł coś wiedzieć naprawdę.

- Powiedziano mi, że państwo są gotowi zapłacić za wiadomość- mówił dalej, nie przestając miętosić kapelusza. - Nic prosiłbym o to, ale moja żona jest chora i muszę jej kupić lekarstwo.

Pretekst wydawał się tak banalny, że doprawdy trudno było uwierzyć w podobną opowieść, zwłaszcza w przypadku osobnika, z którego ust jechało jak z gorzelnii. A jednak kiedy Rosellen patrzyła na jego pamiętającą lepsze czasy marynarkę i wytłuszczony, lecz starannie zawiązany krawat, miała poczucie, że ten człowiek, nawet jeśli był alkoholikiem, zachował jeszcze resztki godności.

- Rozumiem - powiedziała. - Ale nie będę mogła panu zapłacić, dopóki nie sprawdzę tej informacji.



- Ja mo... mogę panią tam zawieźć, ale nie mam wozu ani konia.
- Jak daleko stąd przebywa ten człowiek?
- No, dosyć daleko.

Rosellen nie była pewna, czy stojący przed nią osobnik nie chce powiedzieć nic więcej, zanim nie otrzyma czegoś do ręki, czy też może sam po prostu nic nie wie i tylko próbuje wyłudzić coś na butelczynę whisky.

- A tam, gdzie ten człowiek teraz jest, mieszka od jak dawna? - spytała, mając nadzieję, że określnymi pytaniami wydobędzie od niego przynajmniej tyle informacji, żeby móc podjąć rozsądną decyzję.

- Ja byłem tam jakieś trzy albo cztery lata temu, ale taki jeden facet wspominał o nim nie dalej jak przed dwoma tygodniami.

- Czy to był człowiek w pana wieku, czy też starszy albo młodszy od pana?

- Chyba mniej więcej w moim wieku. Może trochę starszy. Rosellen zastanawiała się, co powinna zrobić w tej sytuacji.

Casona spodziewała się raczej nieprędko, dopiero późnym popołudniem. Czy należało powiedzieć temu człowiekowi, żeby przyszedł później? Ale wtedy istniało niebezpieczeństwo, że znajdzie pieniądze na wódkę w jakiś inny sposób i w ogóle już się nie pokaże. Jeśli istniała jakaś szansa, że to, co mówił, było prawdą, należało spróbować to sprawdzić. W końcu nie po raz pierwszy wyruszałaby na podobną wyprawę w nieznaną. Bracia niejednokrotnie popychali ją do nie mniej ryzykownych eskapad.

- Jeżeli wynajmę konie, czy zdążymy tam dojechać i wrócić przed zmrokiem? - spytała.

Pilcher otarł spierzchnięte wargi drżącą dłonią.

- Jeżeli wyjedziemy zaraz, powinniśmy zdążyć.

Rosellen jeszcze raz przyjrzała mu się uważnie. Był nerwowy i podniecony, ale nie dostrzegła w nim chciwości ani właściwej niektórym alkoholikom przebiegłości. Jeżeli istniało choćby najmniejsze

prawdopodobieństwo, że rzeczywiście widział Dodge'a, należało tę szansę wykorzystać.

- W porządku - powiedziała w końcu. - Pojadę z panem. Potrzebuję kilku minut na przebranie się. Proszę poczekać na mnie przed tylnym wyjściem.

Mogła zaryzykować taką jazdę w nieznaną, ale nie bez broni. Postanowiła, że wyruszy w swym stroju kowbojskim i z rewolwerem u pasa.

Wydostali się z Denver i jechali dość równym tempem przeszło dwie godziny. Rosellen była przyjemnie zaskoczona faktem, że Pilcher zdawał się dobrze pamiętać drogę i praktycznie nie wahał się przy wyborze kierunku. Starła się jednak zapamiętywać co bardziej charakterystyczne punkty, na wypadek, gdyby z jakiegoś powodu musiała wracać tą drogą sama.

Mimo wszystko podróż była nużąca i w pewnym momencie Rosellen zaczęła się już niepokoić, ponieważ od dłuższego czasu jechali przez niemal zupełnie odludzie. I właśnie wtedy, ze szczytu niewielkiego pagórka, zobaczyła polanę i duży biały dom na rozległej zielonej łące, z majestatycznym łańcuchem odległych górskich szczytów w tle.

Na znajdującej się od frontu werandzie dwaj mężczyźni grali w warcaby, używając jako stolika przewróconej do góry dnem dębowej beczki. W głębi dziedzińca jakiś starszy człowiek rąbał drewno do kuchni. Całość sprawiała wrażenie spokojnego, sielskiego obrazka.

Pilcher wstrzymał konia.

- On tu mieszka - powiedział.

- Z tymi mężczyznami? - spytała zaskoczona Rosellen. Rozejrzała się, odruchowo szukając stajni i koni. - A ten budynek - co to właściwie jest?

- To jest jego kościół - odpowiedział Pilcher.

- Kościół? - powtórzyła zaskoczona Rosellen. Przyjrzała się uważniej i po chwili dostrzegła niewielki drewniany krzyż, umieszczony nad głównymi drzwiami.

- Myślę, że on jest tu kaznodzieją. Zawsze nosi biały kołnierzyk i stale ma ze sobą Biblię.

Rosellen nagle poczuła, że cała ta męcząca wyprawa nie zda się na nic.

- Powinien był pan powiedzieć mi o tym. To nie może być ten człowiek, którego szukam.

Pilcher przełknął ślinę, a jego wydatne jabłko Adama przesunęło się w dół i w górę.

- On ma taką bliznę na lewej dłoni, o jakiej państwo opowiadali.

Mimo to Rosellen nadal nie miała większych nadziei.

- Człowiek, którego poszukuję, kiedyś brał udział w napadzie na bank i jest współwinny morderstwa.

- To może być on! - powiedział Pilcher z jeszcze większym ożywieniem. - Zawsze mi się wydawało, że to, co on tu zbudował, to raczej prywatna misja niż kościół. No i z całą pewnością on ma na grzbiecie lewej dłoni taką właśnie bliznę. Poznałem go, bo kiedyś zgubiłem się w tej okolicy i nie umiałem znaleźć powrotnej drogi do miasta. Wtedy on mnie wyratował, zaprosił do siebie i pozwolił mi tu mieszkać przez kilka dni. To był naprawdę dobry i miły człowiek.

Nie za bardzo się to zgadzało z jej wyobrażeniem poszukiwanego Dodge'a, ale po tak długiej i wyczerpującej jeździe należało to mimo wszystko sprawdzić.

- W porządku - powiedziała. - Jedźmy.

Podjechali do kościoła i uwiązali konie do specjalnej belki, w pobliżu której był też spory żłób z sianem dla koni i drewniane koryto z wodą. Najwyraźniej wszelkiego rodzaju odwiedzający byli tu mile widziani. Grający w warcaby mężczyźni widzieli ich przyjazd, ale nie przerwali gry.

Po chwili główne drzwi otworzyły się i pojawił się w nich rosły, starszy już mężczyzna z długą siwą brodą i równie imponującą aureolą srebrnych włosów wokół głowy. Postąpił kilka kroków, aby przywitać przybyłych. W prawej ręce trzymał oprawny w skórę egzemplarz Biblii, lewa ręka zwisała mu wzdłuż ciała. Mężczyźni na werandzie nadal nie przerywali gry i nawet nie podnieśli wzroku.

- Witajcie, bracie i siostrzo! - powiedział kaznodzieja i gestem zaprosił ich do środka. - Wejdźcie, proszę. Dla zdorzonych wędrowców mam zawsze imbryk kawy, aby mogli ugasić pragnienie, i słowo boże, dla wspomnienia dusz.

Rosellen przyglądała mu się uważnie, bez powodzenia usiłując znaleźć w jego rysach jakieś podobieństwo do swego ojca.

- Czy to on? - spytał cicho Pilcher.

- Nie wiem jeszcze - odpowiedziała Rosellen. Musiałaby się przyjrzeć lewej dłoni starego człowieka, zadać mu kilka pytań, ale była zbyt spięta i zdenerwowana, a poza tym wciąż nie bardzo wiedziała, jak ma zacząć. Ponieważ jednak w grę wchodziła reputacja i dobre imię jej ojca, musiała się opanować i podjąć zasadniczą rozmowę.

Po kilku chybotliwych schodkach weszła na ocieniony ganek.

- Nazywam się Rosellen Lattimer. Szukam człowieka nazwiskiem Dodge.

W oczach siwego mężczyzny można było dostrzec zaskoczenie, które jednak szybko znikło. Przyjrzał się uważnie Rosellen i w końcu kiwnął głową. Podniósł ramię i położył na Biblii lewą dłoń grzbietem do góry, ukazując wyraźnie wielką bliznę o poszarpanych brzegach. Na ten widok Rosellen poczuła nagły skurcz żołądka.

- A więc to pani jest tą małą córeczką Henry'ego, którą pamiętam z Makowego Wzgórza? Pewnie jest z pani bardzo dumny.

Rosellen zdołała tylko skinać głową. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, iż tak naprawdę nigdy nie wierzyła w to, że uda się jej odnaleźć człowieka nazwiskiem Dodge. A teraz, kiedy go już znalazła, nie za

bardzo wiedziała, co właściwie powinna dalej robić. On tymczasem nie przestawał się jej przyglądać.

- Wszyscy tutaj znają mnie jako kaznodzieję Jacka - powiedział. - I nagle pojawia się ktoś, kto szuka dawno zapomnianego Dodge'a. Proszę mi powiedzieć, co mógłbym dla pani zrobić?

Rosellen wciąż wpatrywała się w niego z tym samym niedowierzaniem. Zbyt długo z najgłębszym przekonaniem utrzymywała, że Dodge w ogóle nie istnieje, by teraz od razu pogodzić się z tym faktem.

- Ja... ja bardzo przepraszam szanowną panią - odezwał się Pilcher - ale jeśli to jest ten człowiek, którego pani poszukiwała, byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybym mógł teraz otrzymać pieniądze, ponieważ chciałbym już wracać.

- Tak, to jest ten człowiek - odpowiedziała Rosellen i podała mu wyciągniętą z samego dna kieszeni złotą dwudziestodolarówkę. - Proszę, oto pańskie wynagrodzenie.

Oczy Pilchera rozbiły radością. Ścisnął w garści drogocenny pieniążek i uchylił kapelusza.

- Bardzo dziękuję szanownej pani! Cieszę się, że mogłem pomóc, ale martwi mnie, że zostawiam tu panią samą. Czy może życzyłaby sobie pani, żebym zaczekał i towarzyszył pani w drodze powrotnej do miasta?

- Nie - odparła Rosellen. - Może pan jechać. To pewnie trochę potrwa, ale jestem pewna, że sama trafię z powrotem.

Pilcher jeszcze się wahał.

- Wszystko będzie w porządku - powiedziała uspokajająco Rosellen i znacząco dotknęła rękojeści wiszącego u jej pasa rewolweru. - W razie czego potrafię się obronić.

- W porządku, proszę pani. Cieszę się, że pani pomogłem. - Pilcher odwiązał swego konia i z pewnym trudem wspiał się na siodło. Po chwili był już za bramą.

- Musimy porozmawiać o paru rzeczach - powiedziała Rosellen.

Dodge kiwnął głową.

- Moglibyśmy wejść do środka, ale na zewnątrz jest chyba chłodniej. Może usiądźmy tam, koło studni. Będzie nam wygodniej, a poza tym nikt nas tam nie podsłucha, na co poniektórzy z pewnością mieliby ochotę - kątem oka spojrzął na mężczyzn grających w warcaby.

Usadowili się na starej drewnianej ławie.

- Czy to Henry wysłał panią na poszukiwanie mnie? - spytał Dodge.

Rosellen potrząsnęła głową. Wciąż nie potrafiła znaleźć właściwych słów, powoli jednak zaczynała sobie zdawać sprawę, że nie ma w tym nic dziwnego. Po prostu tak naprawdę wcale nie chciała usłyszeć tego, co Dodge miał do powiedzenia.

- Jak się czuje pani ojciec?

- Ojciec nie żyje.

- Przykro mi to słyszeć. To pewnie stało się już jakiś czas temu?

- Ponad rok.

- Niech spoczywa w spokoju.

Rosellen machinalnie zwilżyła wargi końcem języka i w końcu odważyła się przystąpić do meritum sprawy.

- Czy będzie mógł spoczywać w spokoju, to w znacznym stopniu zależy od tego, co pan mi powie.

- Jestem duchownym, zobowiązanym przysięgą do mówienia prawdy.

- Czy zawsze był pan duchownym?

Dodge roześmiał się odruchowo, a Rosellen po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że za mocno postarzającą go gęstą brodą kryje się twarz wciąż przystojnego mężczyzny.

- Nie, nie - powiedział, poważniejąc. - Jakieś osiem albo dziewięć lat temu poczułem w sobie powołanie, żeby iść między ludzi i głosić słowo boże.

- Rozumiem - powiedziała Rosellen.

Co dalej? Sama nie wiedziała. Przecież nie mogła tak po prostu zapytać tego człowieka, czy razem z jej ojcem napadł na bank i zabił człowieka. Z drugiej strony jakiegokolwiek łagodzenie pytań też wydawało się nie mieć sensu.

- Pani odrobinę przypomina ojca. Raz widziałem panią... to znaczy, widziałem oczywiście tylko małą córeczkę Henry'ego, która wtedy nie mogła mieć więcej niż pięć czy sześć lat.

Rosellen zastanawiała się, dlaczego ona go w ogóle nie zapamiętała, choć przecież zachowała w pamięci z tamtego okresu wcale niemało osób i wydarzeń. Był to czas, kiedy jej ojciec zabił ojca Casona.

- Mam wrażenie, że coś panią dręczy, ale nie umie pani z siebie tego wyrzucić - powiedział Dodge. - Ale przecież nie przyjechała tu pani tylko po to, żeby mnie powiadomić o śmierci swego ojca, prawda?

- Nie - przyznała Rosellen.

- Więc proszę mi powiedzieć, o co naprawdę chodzi.

- Chciałabym się dowiedzieć, co się stało piętnaście lat temu, kiedy pan odwiedził mojego ojca - głos Rosellen załamał się na moment. - W dniu, kiedy w naszym miasteczku był napad na bank.

Dodge przymrużył oczy, przez moment sprawiając wrażenie, że patrzy już nie na nią, ale gdzieś daleko ponad szczytami odległych gór. W rzeczywistości w tym momencie najpewniej patrzył w swoją przeszłość. Odłożył Biblię na drewnianą obudowę studni i przez dłuższą chwilę milczał.

- Myślę, że pani już wie - powiedział w końcu. - W przeciwnym razie nie zadałaby mi pani pytania.

- Nie, nie wiem. - Rosellen poczuła, że coś ją gwałtownie dławi w gardle. - Niczego nie wiem na pewno, a przyjechałam tu dlatego, że ktoś mi powiedział rzeczy, w które do dziś nie potrafię uwierzyć. Dlatego chciałam, żeby pan przysiągł na tę Biblię, że to nieprawda.

- A co właściwie ci powiedziano, moje dziecko?

Łzy napłynęły jej do oczu. Była o to na siebie zła, ale nie mogła nic poradzić.

- Nie mogę tego powtórzyć.

- Wobec tego ja to powiem. Tak jak i wszystkim mnie podobnym. Pan Bóg stale mówi mi, że któregoś dnia będę musiał zapłacić za to, co się kiedyś wydarzyło... to znaczy za tę część, która obciąża mnie bezpośrednio. Mogłem tylko mieć nadzieję, że ten dzień przyjdzie dopiero wtedy, kiedy już będę miał za sobą wszystko, co przedtem chciałem zrobić dla chwały Boga. I ta chwila chyba nadeszła.

- Co stało się przed piętnastu laty?

- Należałoby zacząć od tego, że z pani ojcem wcale nie byliśmy kuzynami, tylko współnikami, którymi staliśmy się przez zupełny przypadek. Któregoś dnia wsadził mnie za kratki za oszukiwanie przy kartach, najpewniej zresztą ratując mi w ten sposób życie, bo inaczej z pewnością by mnie zastrzelono. W każdym razie przy jakiejś okazji zaczęliśmy rozmawiać o poszukiwaczach złota, którzy akurat wtedy mieli swój najlepszy okres. Raz po raz rozchodziła się po całym Kolorado wieść, że ktoś tam znów natrafił na jakąś niezwykle bogatą żyłę. Bogacili się wszyscy, tylko nie my. - W głosie Dodge'a niespodziewanie zabrzmiała dawna tęskna nuta. - A przecież my też chcieliśmy mieć udział w tym powszechnym bogaceniu się. W jakiś czas po tym, kiedy już miałem wyjść z powrotem na wolność, zapytałem go, czy mógłbym pozostać w celi jeszcze trochę dłużej. Nie miałem dokąd pójść, a w więzieniu dostawałem przynajmniej jeść, dwa razy dziennie.

- To znaczy, że nie bywał pan u nas w domu?

- Chyba byłem tam tylko raz, i to bardzo krótko. Ani Henry, ani ja nie chcieliśmy, żeby pani Lattimer zaczęła nam zadawać pytania, na które nie mielibyśmy odpowiedzi.

To wyjaśniało, dlaczego Rosellen go nie zapamiętała, natomiast nadal nie dawało odpowiedzi na najważniejsze pytanie.

- Czy był pan w Makowym Wzgórzu podczas napadu na bank?



- Tak. Wcześniej wiele razy rozmawialiśmy z Henrym o tym, jakie to niesprawiedliwe, że wszyscy wokół bogacą się tak łatwo, podczas gdy tacy jak my stale pozostają w niedostatku. Ja nie miałem nawet grosza przy duszy, a Henry też wiele nie zarabiał, zwłaszcza w porównaniu z tymi poszukiwaczami, którzy niemal codziennie przyjeżdżali do miasteczka, przechwalając się, jak to im się poszczęściło. Rozmawialiśmy więc o tym, jak by to było dobrze, gdyby udało się zdobyć sprzęt i też wyruszyć na poszukiwanie fortuny. Ale to było tylko takie puste gadanie, bo prawdę mówiąc żaden z nas nie miał do tego talentu. Tak że w końcu doszliśmy do wniosku, iż należy obrabować bank.

Rosellen spodziewała się tego, ale i tak wstrząsnęło to nią do tego stopnia, że musiała uchwycić się poręczy. Tymczasem kaznodzieja Jack kontynuował swą opowieść.

- Jest mi ogromnie wstyd za człowieka, którym w owym czasie byłem, choć oczywiście wtedy żaden z nas wcale nie myślał o zabijaniu kogokolwiek. To w ogóle nie wchodziło w nasz plan, nie zamierzaliśmy nikomu zrobić krzywdy.

Rosellen siedziała nieruchomo.

- Proszę mi opowiedzieć wszystko.

- Teraz zdaję sobie z tego sprawę, że nasz pomysł od samego początku był zwyczajnie głupi, ale wówczas byliśmy po prostu chorzy na szerzącą się na całym Zachodzie gorączkę złota. Chcieliśmy tego złota, a najłatwiejszym sposobem wydawało się nam obrabowanie banku. Henry był przekonany, że nikt go nie rozpozna, jeśli tylko zawiąże na twarzy chustkę i przebierze się w jakieś stare łachy. Ale młody kasjer rozpoznał go mimo przebrania i Henry musiał go zastrzelić, gdyż inaczej nieuchronnie trafilibyśmy do więzienia.

Rosellen mimo woli przecząco potrząsnęła głową, jednakże posepny cień złowrogiego, nieodwracalnego fatum przybliżał się do niej coraz

bardziej nieuchronnie. Przez cały czas było jej gorąco, a jednocześnie czuła zimny dreszcz, przenikający ją do głębi.

- To wszystko łatwo teraz powiedzieć, zważywszy na to, że mój ojciec nie żyje i nie może już niczego przeciwstawić pańskiej wersji.

Siwowłosa kaznodzieja popatrzył jej prosto w oczy, jak gdyby zachęcając ją, by zechciała zajrzeć w głąb jego duszy i sprawdziła sama, czy jest tam choćby najmniejszy ślad fałszu, złośliwości albo też złej woli. Ale Rosellen dostrzegła w jego źrenicach tylko głęboki smutek.

- Nic dziwnego, że mogła pani tak pomyśleć, i trudno mieć to pani za złe. Ale niech pani ani przez chwilę nie sądzi, że chciałbym się wybielić kosztem Henry'ego. Jestem winien tak samo jak on, jeśli nie bardziej, bo to ja pierwszy wpadłem na pomysł obrabowania banku. Pani ojciec nadal chciał, żebyśmy spróbowali szczęścia jako poszukiwacze złota, ale mnie taka praca wydawała się zbyt ciężka.

Teraz Rosellen musiała go zapytać o zastrzelenie ojca Casona. To było dla niej jeszcze trudniejsze. Ze zdenerwowania dygotała tak, że nie była pewna, czy Dodge w ogóle zrozumie jej słowa.

- A z tym drugim człowiekiem, który został zabity jako ten który rzekomo dokonał napadu na bank? Jak to było?

- Tak, ten zastrzelony człowiek nazwiskiem Murdock to jeszcze jeden pechowy zbieg okoliczności. Ostatnia już część planu, która w realizacji zupełnie nam nie wyszła. Po napadzie uciekliśmy z banku z ukradzionymi workami złotego piasku i samorodków, i dodatkowo ze znaczną sumą pieniędzy. Pojechaliśmy do opuszczonej kopalni w pobliżu miasta, żeby tam się przebrać w nasze normalne ubrania i pozbyć się tych starych łachów, które wykorzystaliśmy podczas napadu. Ale pech chciał, że natrafiliśmy na jakiegoś samotnego poszukiwacza, który z desperacji próbował wypłukiwać złote drobiny ze strumienia właśnie w tej opuszczonej kopalni. Henry powiedział, że to jakiś nowo przybyły, który w mieście pojawił się dopiero niedawno, ale który znał

go z widzenia. Kiedy ten człowiek podszedł do nas. Henry musiał zastrzelić również i jego.

- Pan kłamie - wykrztusiła Rosellen.

Siwowłosa mężczyzna tylko pokręcił głową i mówił dalej.

- Nikt oczywiście nie zadawał Henry'emu żadnych dociekliwych pytań, kiedy wrócił do miasta z ciałem tego człowieka, przewieszonym przez grzbiet konia. Nikomu nie przyszłoby do głowy podejrzewać szeryfa o obrabowanie banku we własnym mieście. Mógł więc spokojnie powiedzieć ludziom, że drugi bandyta uciekł wraz z całym łupem. Po jakimś czasie mogłem już w miarę bezpiecznie zrealizować ostatnią część planu. Pojechałem do Denver, połowę łupu umieściłem na koncie w banku i zgodnie z umową zleciłem jednej z firm prawniczych comiesięczne przesyłanie Henry'emu pewnej sumy.

Rosellen dygotała jak w febrze.

- Proszę już nic więcej nie mówić! Nie mogę uwierzyć, że mój ojciec mógł kogoś zabić! Nie mogę! Niech pan mnie zrozumie!

- Jeśli to może pani pomóc, mogę się sam zgłosić do sądu i powiedzieć, że to ja pociągnąłem za spust.

- Ja chcę tylko, żeby pan powiedział prawdę - wyszeptwała Rosellen.

Dodge sięgnął po Biblię i położył na niej dłoń.

- Powiedziałem prawdę.

- I jak ja mam to znieść? Jak będę mogła z tym żyć?

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że jestem odpowiedzialny za wszystko w takim samym stopniu jak pani ojciec. - W głosie Dodge'a przebiegało pełne smutku zmęczenie i rezygnacja. - Krew tych ludzi splamiła także moje ręce Nie boję się, że pójdę do więzienia. Pan Bóg i tak dał mi więcej czasu, niż na to zasługiwałem. Próbowałem w jakiś sposób odkupić moje grzechy i udało mi się pomóc niektórym zagubionym dzieciom bożym. Prosiłem też Boga, żeby dał mi znak, kiedy nadejdzie czas, żebyśmy wyznał moje grzechy. Myślę, że la pora właśnie nadeszła, i jestem gotów zeznać wszystko w sądzie i ponieść karę.

Tymczasem Rosellen czuła, że najbardziej na świecie chciałaby po prostu uciec jak najdalej z tego miejsca. Chciała zostać sama i spokojnie – choćby tylko trochę bardziej spokojnie! – wszystko przemyśleć. Ale jak właściwie miała osiągnąć jakikolwiek spokój po tym, co usłyszała? Jak w ogóle mogła rozsądnie myśleć? Miała ochotę płakać i krzyczeć, wyc jak ranne zwierzę – aż do końca, do ostatecznego wyczerpania.

– Mój ojciec był dobrym człowiekiem. Jak mógł zrobić coś takiego?

– On tego nie planował. To sytuacja tak się nieszczęśliwie złożyła.

– Ale dlaczego jednak zabił? I dlaczego pan go przekonał, żeby to był napad na bank?

-- Chciałem po prostu mieć dużo pieniędzy, dużo złota i przyjemności. Taka była prawda i muszę szczerze przyznać, że przez dłuższy czas mnie to zadowalało. Ale któregoś wieczoru wypłem za dużo, zasnąłem po tym jak kamień i właśnie w tym śnie Bóg nakazał mi, żebym przestał marnotrawić pieniądze, wybudował kościół i rozpoczął pokutę za grzechy, przede wszystkim poprzez pomaganie potrzebującym. Ponieważ już wcześniej zdążyłem przepuścić większość mojej części złota, wziąłem to, co zostało z części Henry'ego, wybudowałem za to ten dom boży i pozostałem tu już na stałe. Doszły mnie potem wieści, że Henry przyjeżdżał do Denver i próbował mnie szukać, ale oczywiście bez powodzenia. Nikt z moich znajomych i tak nie powiedziałby ani słowa komuś, kto nosił odznakę szeryfa.

Rosellen milczała. Miała ochotę zarzucić kłamstwo temu człowiekowi, ale nawet na to brakło jej sił. Musiała jakoś wytrwać i wysłuchać wszystkiego do końca

– W każdej chwili, jeśli tylko pani będzie gotowa, możemy jechać do miasta i zgłosić się do sądu. Uważam, że pani przyjazd to właśnie ten znak, na który czekałem.

Rosellen patrzyła na niego, mając pustkę i zamęt w głowie. Czowała nerwowe skurcze żołądka, zbierało się jej na mdłości, zdołała się jednak opanować na tyle, by w miarę spokojnie powiedzieć:

- Dam panu znać, kiedy przyjdzie pora na to pańskie zeznanie. Jest bowiem jeszcze ktoś, komu muszę o tym wszystkim powiedzieć.

- Ma pani na myśli swoją matkę? Ona rzeczywiście powinna dowiedzieć się przed wszystkimi innymi.

Rosellen poczuła nagle ukłucie w sercu. Nie za bardzo wyobrażała sobie, jak w ogóle mogłaby powiedzieć matce coś takiego. Ale to nie o niej mówiła przed chwilą.

- Miałam na myśli syna Franka Murdocka - powiedziała i podniosła się z miejsca.

Wskoczyła na siodło i bez słowa wyjechała za bramę. Przynagliła konia do szybszego biegu. Wiatr rozwiewał jej włosy i chłodził rozpalone policzki, a ona wciąż starała się panować nad sobą, ale nie wytrzymała w tym zbyt długo. Parę minut później zatrzymała konia, zeskoczyła na ziemię i wtuliwszy głowę w końską szyję, zaczęła rozpaczliwie szlochać.

Łzy spływały jej po twarzy, w gardle i piersiach czuła rozdzierający ból. Ale jeszcze bardziej dotkliwe było poczucie straszliwego żalu. Poczucie upokorzenia, że tak strasznie została oszukana. Ojciec oszukał ich wszystkich - swoją rodzinę, swoje miasto i siebie samego. Po tym wszystkim, co zrobił, nadal chodził po ulicach Makowego Wzgórza jako szanowany i uczciwy człowiek, którym już przecież nie był. - Dlaczego, tato? Dlaczego?!

Podniosła twarz sponad wilgotnej od jej łez końskiej szyi, odwróciła się i zaczęła głośno krzyczeć gdzieś przed siebie, w otaczającą ją dziką pustkę.

Gayla miała rację. I Cason. I kaznodzieja Jack, który mówił tylko prawdę. Ale jak ona miała się z tym pogodzić? Łzy spływały jej po twarzy, a ona nawet nie starała się ich ocierać. Bolały ją oczy, nos i

gardło, czuła się rozpaczliwie słaba i rozdygotana, niezdolna nawet do tego, żeby ponownie wsiąść na konia.

W paroksyzmie rozpaczy uniosła ręce do góry i zaczęła wyrażać pięściami nie wiadomo komu – niebu, Opatrzności czy może własnemu ojcu? Jak on mógł zrobić coś takiego swojej rodzinie, tak zniszczyć życie wszystkich, którzy go tak bardzo kochali? Miał kochającą żonę, czworo dzieci i szacunek wszystkich mieszkańców. Jak to możliwe, że to mu nie wystarczało?

Nagle pochyliła się, podniosła z ziemi spory kamień i z całej siły cisnęła nim w stronę nieba. Potem rzuciła jeszcze jeden, i jeszcze – aż do momentu, gdy ostatecznie zabrakło jej sił, a coraz obfitsze łzy sprawiły, że przestała już widzieć cokolwiek. Osunęła się na kolana i nadal płakała, już nie tyle z gwałtownej rozpaczy, ile raczej z bezgranicznego, nie dającego się wysłowić żalu.

Rosellen nie знаła zastrzelonego pracownika banku i nigdy nawet nie widziała jego twarzy, nie spotkała też nigdy Franka Murdocka. Ale nietrudno jej było wyobrazić sobie scenę zabójstwa. Młody człowiek, pełen energii i nadziei, który nagle z dziurą w głowie pada na ziemię, a to jego młode życie wypływa z niego z każdą kroplą powoli ściekającej krwi. Podobnie bez trudu mogła sobie wyobrazić ojca Casona, wspartego przestreloną głową o mur miejskiego aresztu, ze zgrają much, sycących się w słońcu spływającą po martwej twarzy krwią. I zaraz po tym przychodził następny obraz, kilkunastoletniego chłopca, który przystawia sobie lufę rewolweru do skroni i nie ma odwagi pociągnąć za spust, żeby skończyć ze sobą. A ona, myśląc o tym wszystkim, mogła tylko płakać – i nic więcej.

Podniosła się z kolan dopiero wtedy, gdy słońce obniżyło się już niemal nad linię horyzontu. Wczesna wieczorna bryza mocniej poruszała liśćmi i gałęziami drzew. Niebo wyraźnie pociemniało.

- Och tato, tato! - szepnęła patrząc w czerwieniejące ponad chmurami słońce. - Gdybym tylko mogła zrozumieć, co sprawiło, że aż tak bardzo zapragnąłeś tych pieniędzy.

Nie mogła już wybaczyć ojcu, ale musiała brać pod uwagę skutki, jakie mogłoby mieć ujawnienie całej prawdy matce i braciom. Oni też bardzo kochali ojca, więc taki cios z pewnością byłby dla nich niszczący. A matka? Jak w ogóle mogłaby po tym wszystkim choćby tylko przejść się ulicami miasteczka, znosząc te wszystkie spojrzenia i wypowiedane za plecami okrutne i złośliwe uwagi?

Co zatem powinna w tej sytuacji zrobić? Jak przekazać te straszne wiadomości, które nieuchronnie musiały doprowadzić do zniszczenia rodziny?

Ale może pomyślała nagle może to wcale nie musi być takie nieuchronne? Cason przecież nie wiedział, że odnalazła Dodge'a. Pilcher już odebrał swoje wynagrodzenie, powinno mu to wystarczyć na co najmniej tydzień picia. Nikt więc nie musiał się o tym wszystkim dowiedzieć.

- Właśnie tak! - powiedziała głośno i nagle poczuła się lepiej. Podniosła się z ziemi i rękawem otarła sobie oczy. - Przecież nie muszę Casonowi nic mówić. Będzie nadal szukał Dodge'a, ale go nie znajdzie, bo Pilcher pewnie jeszcze długo nie wytrzeźwieje.

Śmierć ojca w ostatecznym rezultacie doprowadziła do zniszczenia całej rodziny Murdocków, a Cason musiał to wszystko przeżyć. Ale co teraz przysłoby mu z tego, że podobnie zniszczona zostałaby także i jej rodzina? Jej ojciec od dawna nie żył i nie można już go było ukarać. Dodge przemienił się w kaznodzieję Jacka i poświęcił się czynieniu dobra. Wsadzenie go teraz do więzienia czy nawet skazanie na śmierć nie przyniosłoby nikomu pożytku.

Tak, najrozsądniej będzie, jeśli po jakimś czasie sama przyjedzie tu znowu i poprosi kaznodzieję Jacka, żeby w ogóle zapomniał, że kiedykolwiek ją widział. Nikt nawet się nie dowie, że ona go odnalazła.

Wsiadła na konia i ruszyła w kierunku Denver. Dotarła tam dobrze po zapadnięciu zmroku. Postanowiła, że nie będzie już rozmyślać nad tym, czy dobrze zrobiła, podejmując taką a nie inną decyzję. Teraz po prostu musi udawać na tyle dobrze, żeby wprowadzić w błąd Casona i przez to ochronić matkę i resztę rodziny od tej udreki, przez którą sama już zdążyła przejść.

Odprowadziła konia do stajni, w której go wynajęła, a potem wróciła do hotelu. Przed wejściem do pokoju odetchnęła głęboko parę razy, jeszcze raz utwierdzając się w postanowieniu, żeby nic nie mówić Casonowi. Wszelkie racje przemawiały za tym, żeby tak właśnie postąpić. Nawet bracia uczyli ją przecież, że są czasami sytuacje, w których po prostu należy skłamać.

Po otwarciu drzwi okazało się, że w pokoju palą się wszystkie światła. Cason, który stał przy oknie, odwrócił się do niej gwałtownie.

– Rosellen, na miłość boską, gdzie byłaś? Martwiłem się o ciebie nie na żarty! – Spojrzał na nią i zmarszczył brwi.— I dlaczego przebrałaś się znowu w strój kowbojski?



Rosellen od razu zauważyła, że Cason musiał martwić się o nią, widać to było po jego oczach i wyrazie twarzy. A ona miała mu powiedzieć nieprawdę, miała po prostu skłamać.

Ale nie była w stanie okłamać człowieka, którego kochała. Gdyby to zrobiła, okazałaby się nie lepsza niż jej ojciec. I tak jak on, już zawsze musiałyby żyć w kłamstwie.

Cała dotychczasowa siła Rosellen opierała się na podziwieniu dla ojca i na nadziei, że kiedyś w przyszłości będzie kontynuować jego pracę, robić to samo co on. I oto nagle zdała sobie sprawę, że już nie chce być taka jak ojciec. Teraz te wszystkie lata ubóstwiania i naśladowania go we wszystkim kończyły się nieodwołalnie. Ta świadomość tak ją wstrząsnęła, że zachwiała się i omal nie upadła.

- Rosellen, co z tobą? - zawołał Cason i podbiegł do niej, żeby ją podtrzymać. - Co się stało? Wyglądasz tak, jakbyś płakała.

Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich nieklamane zatroskanie i niepokój.

- Casonie, mam ci coś do powiedzenia. I nie będzie to dla mnie łatwe.

- Więc lepiej powiedz to od razu. Mało nie zwariowałem z niepokojem o ciebie.

Wciąż podtrzymywał ją za ramię, co też w jakiś sposób dodawało jej odwagi.

- Odnalazłam Dodge'a - powiedziała w końcu. - Nie było cię tu, a ja musiałam szybko się decydować, w obawie, że szansa na dotarcie do niego, która pojawiła się dość przypadkowo, może się nie powtórzyć.

Spojrzenie Casona nagle straciło całe ciepło. W jednej chwili przepadła gdzieś troska o nią, przepadła serdeczna bliskość.

- Gdzie on jest? - spytał, odruchowo odsuwając się od niej. - Pojadę do niego natychmiast!

- Ja już u niego byłam – powiedziała cicho Rosellen.

- To oczywiste, że byłaś!

Także i głos mu się zmienił. Był teraz twardy i surowy.

- I co, uzyskałaś od niego to, co chciałaś? – spytał z ironią.  
Najwyraźniej był przekonany, że go okłamywała.

Rosellen nie miała mu tego za złe. Mógł się po niej czegoś takiego spodziewać, zresztą przecież jeszcze parę minut wcześniej rzeczywiście planowała wprowadzenie go w błąd.

- Dodge powiedział mi prawdę. – Słowa z trudem przechodziły jej przez ściśnięte gardło.

Cason popatrzył na nią niemal ze wzgardą.

- I przypuszczasz pewnie, że ja w tej sytuacji już do niego nie pojedę? Dlatego że tobie powiedział dokładnie to, co chciałaś usłyszeć! Naprawdę myślisz, że dam się na to nabrać?!

Sama nie wiedziała, w jaki sposób udało się jej zapanować nad głosem na tyle, że jej słowa były mimo wszystko słyszalne.

- Ten człowiek nie używa już nazwiska Dodge. Tam, gdzie od wielu lat przebywa, znany jest jako kaznodzieja Jack. Jego kościół znajduje się jakieś dziesięć mil od Denver.

Cason poderwał się i chwycił za kapelusz.

- W którym kierunku należy jechać? Trafie tam!

- Nie wiem, czy musisz się aż tak śpieszyć. Ten człowiek w pełni potwierdził słowa Gayli. Powiedział, że to mój ojciec zabił kasjera w banku, a potem zastrzelił także twojego ojca.

Cason, który już był przy drzwiach, nagle obrócił się na pięcie, wstrząśnięty tym, co usłyszał.

- Co takiego? Coś ty powiedziała?

Rosellen wciąż jeszcze trzymała się na nogach, choć zupełnie nie wiedziała, jakim cudem jej się to udawało. Miała wrażenie, że cały świat wokół niej zachwiał się nagle i zawalił. Było bowiem więcej niż pewne, że

Cason nie będzie już jej chciał, wiedząc bez żadnej wątpliwości, iż jest córką zabójcy jego ojca.

- Kaznodzieja Jack powiedział mi dokładnie to, co chciałeś usłyszeć - powtórzyła. - To mój ojciec był winien, a twój był niewinny.

Cason patrzył na nią bez słowa, oszołomiony i wstrząśnięty. Znów ruszył w stronę drzwi, ale zaraz się zatrzymał i ponownie się odwrócił. Nietrudno było dostrzec jego rozterkę i niezdecydowanie. Czy zechce jej uwierzyć, czy też będzie chciał sam rozmawiać z kaznodzieją Jackiem?

- W którą stronę trzeba jechać? - spytał w końcu, nie patrząc na nią.

- Na zachód - odpowiedziała, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła. -- Jedź główną drogą aż do dawnej stacji dylizansów. Na rozstaju skręć w lewo. Kilka mil dalej, z polany na niewielkim pagórku, zobaczysz biały budynek na łące. To właśnie ta misja, którą teraz prowadzi kaznodzieja Jack.

Cason otworzył drzwi i wyszedł bez słowa.

Rosellen pozostała w ogromnym pokoju z nagłym poczuciem opuszczenia i osamotnienia. Wiedziała jednak, że postąpiła słusznie. Nic rozumiała, jak w ogóle mogła rozpatrywać możliwość okłamania Casona. Kochała go zbyt mocno, żeby krzywdzić go jeszcze w ten sposób. W końcu Bogu ducha winny człowiek, jakim był jego ojciec, przez długie lata po tych wszystkich wypadkach wciąż jeszcze był powszechnie uważany za bandytę i mordercę. Zasługiwał na to, żeby jego imię zostało oczyszczone.

Wolałaby oczywiście, żeby mogło się to odbyć bez sprawiania bólu jej matce i reszcie rodziny. Ale to było niemożliwe, ponieważ prawda o jej ojcu musiała zostać ujawniona.

Zebrała resztki sił i ruszyła do sypialni, żeby zacząć się pakować. Choć wiedziała, ile bólu sprawi tym swojej rodzinie i sobie samej, musiała pojechać do Makowego Wzgórza i opowiedzieć im wszystko.

A potem będzie miała przed sobą zadanie jeszcze trudniejsze – będzie musiała nauczyć się żyć bez Casona.

Był wczesny ranek następnego dnia, gdy wyciskając ze zgonionego konia resztki sił, Cason Murdock wracał do Denver, szarpany gwałtownymi, mocno sprzecznymi uczuciami. Z pewnością był wręcz nieprzytomnie szczęśliwy, że ostatecznie udało mu się potwierdzić niewinność ojca i zyskać gwarancję jego rehabilitacji, z drugiej jednak strony obawiał się o Rosellen i miał w stosunku do niej wyrzuty sumienia. Przecież dla niej musiało to być wyjątkowo ciężkie przeżycie, a tymczasem on niemalże odepchnął ją i odjechał bez jednego słowa. Tak mu się śpieszyło do spotkania z kaznodzieją, w dodatku odnalezionym właśnie przez nią. Kiedy jechał w tamtą stronę, był zbyt podekscytowany i gniewny, żeby o tym wszystkim pomyśleć. Teraz jednak przypominał sobie, jak rozpaczliwie smutna była Rosellen i jak wzruszająco zdeterminowana, kiedy bez najmniejszej próby łagodzenia czegokolwiek powiedziała mu wszystko.

A przecież ona nie tylko kochała swego ojca, ale wręcz go ubóstwiała. Myśląc o tym, Cason był coraz bardziej wściekły na siebie, że nawet nie spróbował zrozumieć tego, co musiała czuć, mówiąc mu tę tak straszną dla niej prawdę. Ile odwagi trzeba było mieć, żeby się na to zdobyć! Mogła przecież wszystko, co wiedziała, zachować dla siebie, a jednak nie ukryła niczego. A on powinien był wziąć ją wtedy w ramiona, utulić i uspokoić, zamiast tak się śpieszyć do rozmowy z kaznodzieją Jackiem.

Musiał więc teraz jak najszybciej wrócić do niej. Tak wiele rzeczy zmieniło się w nim od czasu, gdy ledwie przed tygodniem wjechał do Makowego Wzgórza. Ale największe zmiany nastąpiły w tym, co odczuwał w stosunku do Rosellen.

Na początku nawet nie myślał o szukaniu dowodów niewinności swego zamordowanego ojca. Chodziło mu tylko o zemstę – o zamknięcie

kopalni i zniszczeniu tego przeklętego miasteczka. To chęć zemsty była motywacją dla dalszej egzystencji, nawet wtedy, gdy był już zupełnie pewny, że nie ma po co żyć. I ta chęć zemsty wciąż jeszcze w nim się tliła.

Nadal chciał ukarać to miasteczko, za to chociażby, że odmówiło pomocy jego matce, kiedy tego najbardziej potrzebowała. Nie bardzo jednak wiedział, jak tę chęć odwetu pogodzić z tym, co czuł w stosunku do Rosellen. Właściwie gotów był powiedzieć jej, że ją kocha i chce się z nią ożenić. I że przez resztę życia chce być z nią wszędzie – byle tylko nie w Makowym Wzgórzu w stanie Kolorado.

Tak czy inaczej, kochał ją. I na razie to mu musiało wystarczyć.

Dojechał do Denver jeszcze wczesnym rankiem i pędem wbiegł do hotelu. Drzwi do apartamentu otwierał jednak już bardzo powoli i ostrożnie, obawiając się, że może obudzić Rosellen. Ale ona najwyraźniej w ogóle tej nocy nie spała.

Była nadal w swoim starym kowbojskim ubraniu i niewidzącym wzrokiem patrzyła gdzieś w dal przez lekko uchylone okno. Odwróciła się i spojrzała na Casona zmęczonymi, pełnymi bólu oczami. On w pierwszym odruchu chciał podbiec do niej, wziąć ją w ramiona i ukoić jej wszelkie smutki. Ale te wszystkie nadal nie rozstrzygnięte problemy, dzielące ich niemal od samego początku, sprawiły, że jednak zatrzymał się i nie zrobił tych paru kroków w jej stronę.

– Powinnaś jeszcze być w łóżku.

– Nie warto było się kłisać. I tak nie mogłabym zasnąć. Czy rozmawiałaś z kaznodzieją Jackiem?

– Tak, powiedział mi wszystko. – Cason przeszedł w głąb pokoju i dostrzegł jej plecak. – Spakowałaś się?

Rosellen skinęła głową.

– Nie ma już powodu, żebym nadal tu pozostawała... Ja... to znaczy... my znaleźliśmy już przecież tego, kogo szukaliśmy. – Ponownie

odwróciła od niego wzrok. – Teraz muszę pojechać do domu i powiedzieć rodzinie całą prawdę. Muszę też opowiedzieć wszystko panu Vestly, który z pewnością nie omieszką przekazać tego wszystkim ludziom w mieście. Potem to już on albo może ty czy też jeszcze ktoś inny zdecyduje, co zrobić z kaznodzieją Jackiem i jego uczestnictwem w tym, co się wtedy stało.

Cason znów miał ochotę wziąć ją w ramiona, ale zdał sobie sprawę, że Rosellen w tym momencie z pewnością nie życzy sobie pociechy akurat od niego. Był o to wściekły, nie wiadomo, czy bardziej na nią, czy na siebie. W końcu to jego upór w dociekaniu prawdy o zdarzeniach sprzed piętnastu lat stał się powodem jej cierpienia i udreki.

– Rosellen, niezależnie od tego, co teraz o mnie myślisz, nie mógłbym uczciwie powiedzieć, że te wyniki naszych poszukiwań mnie zmartwiły.

– Wcale tego od ciebie nie oczekiwałam – odpowiedziała nadspodziewanie spokojnie. – Ja też nie widziałabym powodów do ubolewania, gdyby to moje oczekiwania okazały się zgodne z prawdą.

– Ale mimo to szczerze ci współczuję.

Wargi Rosellen wyraźnie drżały. Cason zrobił krok w jej stronę, ale Rosellen natychmiast się usunęła.

– Pamiętam, że kiedyś prosiłeś mnie, żebym ci nie współczuła. No więc teraz to ja cię proszę, żebyś mi nie okazywał litości. Poradzę sobie z tym wszystkim.

Usiłowała zachowywać spokojny wyraz twarzy, ale mimo wszystko nie potrafiła ukryć rzucającego się w oczy rozgoryczenia i bólu.

– Wiem, jak bardzo kochałaś i szanowałaś swego ojca – powiedział cicho.

Rosellen nie dała mu dokończyć.

– Teraz już wiem, że człowiek, którego tak szanowałam i kochałam, w rzeczywistości w ogóle nie istniał. Nie znałam prawdziwego Henry'ego Lattimera. Bo człowiek, którego sobie wyimagino wałam, z całą

pewnością nie mógłby zabić dwóch ludzi, a potem żyć z tym spokojnie przez czternaście lat.

- Myśle, że Gayla mogła mieć rację, kiedy mówiła, że to gorączka złota go wtedy dopadła.

- Nie próbuj mnie pocieszać, Casonie.

- To nie jest próba pocieszania. Ja z tą gorączką złota stykałem się na co dzień. Sam w jakiś sposób na nią zapadłem. Tysiące ludzi popadały wtedy w prawdziwe szaleństwo. Ty choćby z racji wieku nie możesz wiedzieć, co się tu działo w tamtym okresie, zanim jeszcze wielkie przedsiębiorstwa wykupiły niemal wszystkie złotonośne tereny. Wcześniej dosłownie nie było dnia, żeby kogoś nie zabito dla zagrabienia jego działki. Nie mające pojęcia o życiu w górach miejskie paniczyki, biurowi urzędnicy z drapaczy chmur, którzy nigdy nie siedzieli na koniu ani nie spróbowali rozpalic ogniska na wolnym powietrzu, nagle sprzedawali wszystko, co mieli, i kupowali kilofy, łopaty i patelnie do płukania złotonośnego piasku.

- Gorączka złota nie może usprawiedliwiać postępowania mojego ojca.

- Masz prawo tak sądzić, ale gorączka złota przejawiała się w najróżniejszych formach. W każdym razie ludzie od tego głupieli na pewno. No bo kto rozumny zgodziłby się siedzieć w kucki w lodowatej wodzie strumienia przez dwanaście godzin na dobę, wypłukując z piasku po parę złotych ziarenek? Albo czy to normalne, że ktoś w czterdziestostopniowym upale wali kilofem w zbocze góry, jak gdyby miał zamiar przekopać się na jej drugą stronę? Czy zdrowy na umyśle człowiek robiłby coś takiego?

- Ty to robiłeś. I Buster, i jeszcze bardzo wielu innych. Mój ojciec też mógł tego spróbować, jeżeli tak bardzo pragnął tego złota. Nie musiał w tym celu zabijać dwóch niewinnych ludzi!

Głos jej załamywał się czasami, ale ani na moment nie zabrakło w nim stanowczości i determinacji. W dodatku to, co mówiła, było szczerą prawdą. Cason w żaden sposób nie mógł temu zaprzeczyć.

- Tych pieniędzy mój ojciec nie zdobył ciężką pracą, tak jak tamci uczciwi poszukiwacze. - mówiła dalej Rosellen, z rosnącą pasją. - On je po prostu ukradł, a potem zabił dwóch ludzi, żeby się to nie wydało. Jak mogłabym mu to wybaczyć? I jak wybaczyć to, że przez niego będę teraz musiała mojej matce i całej rodzinie powiedzieć rzeczy tak straszne, że doprawdy wolałabym sama umrzeć? Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że on nie tylko przed laty zrujnował i zniszczył twoją rodzinę, ale jeszcze teraz, zza grobu, zrobił to samo z moją?!

- Rosellen... - zaczął Cason i wyciągnął ku niej ręce, ale ona znów się odsunęła.

- Przestań! Nie próbuj mnie pocieszać. Nie chcę już więcej płakać, a boję się, że kiedy oprę się na twoim ramieniu, nie potrafię się powstrzymać.

- Może właśnie tego ci potrzeba, żebyś się wyplakała? - powiedział Cason.

- Nie. Nie przeleję już ani jednej łzy z powodu Henry'ego Lattimera. Nie zasługuje na to.

Cason skinął głową. Niczego bardziej nie pragnął, jak przytulić ją w tym momencie, ukoić jej ból i przywrócić uśmiech tej tak smutnej teraz twarzy. Ale na razie wydawało się to niemożliwe.

- Pojadę na stację i tam poczekam na pierwszy pociąg na południe - powiedziała Rosellen. - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym najpierw sama powiedzieć o wszystkim mojej rodzinie, zanim skierujesz sprawę kaznodziei Jacka do szeryfa i do sądu. Nie chciałabym, żeby wiadomość o tym wszystkim dotarła do Makowego Wzgórza przede mną.

- Wcale nie zamierzałem biec z tym do szeryfa - powiedział, lekko dotknięty jej słowami. - Wracam razem z tobą do Makowego Wzgórza.



- Mówiłam ci już, że powiem mojej rodzinie całą prawdę - zaoponowała Rosellen. - Nie musisz się o to obawiać.

- Ależ ja ci wierzę - odparł Cason. - Natomiast muszę pilnie omówić niektóre sprawy z Busterem.

To tylko częściowo było prawdą. W rzeczywistości Cason nie chciał, żeby Rosellen jechała sama przez niemal cały stan Kolorado. Chciał w tym czasie być przy niej.

Tymczasem w jej oczach znów pojawił się lęk.

- Ale dotrzymasz słowa i nie zamkniesz kopalni? - spytała.

- Dałem słowo i go dotrzymam - odpowiedział Cason. Ale to też nie była cała prawda. W jego umyśle powstał bowiem inny plan, który równie skutecznie mógł doprowadzić do zrujnowania Makowego Wzgórza. Wystarczyłoby wykupić wszystkie sklepy i sklepiki oraz drobne przedsiębiorstwa, a ich jednoczesne zamknięcie dałoby taki sam skutek jak zamknięcie kopalni. Oczywiście tego planu nie zamierzał na razie ujawniać. Rosellen w każdym razie nie mogła o niczym wiedzieć.

Ona tymczasem spojrzała na niego pytająco.

- Masz już swoją sprawiedliwość - powiedziała. - Ale jeszcze nie dokonałeś zemsty. Co teraz zrobisz?

- Sprawiedliwość już jest zemstą, przynajmniej w pewnym sensie. Środki są może odmienne, ale wynik ten sam. Wiedząc o tym, mogę już żyć.

Wychodząc z wagonu na stacji w Makowym Wzgórzu, Rosellen nagle poczuła pierwszy chłód, czasem pojawiający się w tych okolicach gdzieś pod koniec lata. Miała już szczerze dosyć tej podróży, znów trwającej prawie dwie doby. A w dodatku niemal przez cały czas czuła na sobie poważny i pełen współczucia wzrok Casona, co tylko jeszcze bardziej ją przygnębiało i szarpało i tak napięte do ostateczności nerwy.

Chciała jak najszybciej uwolnić się od jego stałej obecności. Choćby dlatego, że kiedy go widziała, odruchowo pragnęła wesprzeć się na nim,

zamiast polegać tylko na sobie – a na taką słabość nie mogła sobie pozwolić. To w końcu był jej ojciec, jej rodzina, jej sprawy – i sama musiała sobie dać z tym radę.

Wiedziała, że Cason pozostanie w miasteczku wystarczająco długo, żeby mieć pewność, że wszyscy poznali prawdę o wydarzeniach sprzed piętnastu lat. Potem zapewne wyjedzie z Makowego

Wzgórza. Już sama myśl o tym sprawiała jej ból. Jak miała sobie dawać radę, jak nauczyć się żyć bez niego? Prawdę mówiąc, nie miała o tym najmniejszego pojęcia. Wiedziała tylko, że tak czy inaczej, nie przestanie go kochać.

Sam przyjazd na stację w Makowym Wzgórzu też już odczuła zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Inaczej myślała o swoim miasteczku i o jego ludziach po tym wszystkim, czego się dowiedziała od Casona. Nie mogła wyrzucić z pamięci myśli o tym, jak kiedyś potraktowali bezradnego małego chłopca i jego matkę. Zastanawiała się, czy przypadkiem i ona wraz z całą rodziną nie zostanie potraktowana podobnie, kiedy wieść o tym, co naprawdę się wydarzyło, rozejdzie się po mieście. Ostracyzm i codzienne szykany były bardzo prawdopodobne. Czy matka i bracia w ogóle będą w stanie wytrzymać w tym mieście?

Bracia jakoś będą musieli sobie poradzić, ale matka z pewnością nie zdoła tego znieść. Może najlepszym wyjściem byłoby sprzedanie domu i wyniesienie się z Makowego Wzgórza? Tylko dokąd?

Podczas rozmowy z karnodzieją Jackiem i nawet jeszcze dość długo po tym Rosellen wciąż czuła się w jakiś sposób odpowiedzialna za zbrodnicze uczynki ojca. Czuła się w obowiązku odpokutować za wszystko, co zrobił. Teraz jednak myślała już o tym znacznie spokojniej, zdając sobie sprawę, że ani ona, ani nikt z jej rodziny nie może, nawet gdyby chciał, przyjmować za to winy ani hańby na siebie. Żadne z nich nie miało nic wspólnego z tą okropną podwójną zbrodnią i nawet przy najlepszej woli nie mogłoby nic zrobić, żeby jej zapobiec.

Obróciła się w stronę Casona.

– Myślę, że tu powiemy sobie „do widzenia”.

– Nie – odpowiedział i wyjął z jej dłoni ciężki plecak. – Chcę z tobą jeszcze porozmawiać. Odprowadzę cię do domu.

– Nie sądzę, Casonie, żeby to był dobry pomysł – odparła Rosellen, a jej wargi wyraźnie drżały. Mogła sobie wyobrazić życie ze świadomością, że straciła ojca, ale myśl o tym, że ma utracić Casona, była wręcz zabójcza. W ogóle nie wiedziała, jak będzie mogła to znieść. – Myślę, że powiedzieliśmy sobie już wszystko. Teraz chciałabym porozmawiać z matką, zanim ostatecznie stracę odwagę.

– Ty miałabyś stracić odwagę? To niemożliwe.

Łzy zakręciły się w jej oczach. Nie potrafiła ich powstrzymać i była o to zła na siebie.

– Nie usiłuj mi dodawać ducha, Casonie. Nie zdajesz sobie sprawy, jak blisko jestem tego, żeby rozkleić się zupełnie i ostatecznie. O nic cię dotąd nie prosiłam, ale teraz proszę, żebyś mnie zostawił, dopóki jeszcze mogę przejść po ulicach tego miasta z podniesioną głową.

– Prosiłaś mnie o coś już wcześniej. O to, żebyśmy nie zamykał kopalni.

– No więc prosiłam! I tak nie mogłabym już czuć się gorzej, niż się teraz czuję, więc proszę cię, odejdz!

Cason delikatnie ujął ją palcami pod brodę, przechylając tak, by Rosellen musiała popatrzeć mu w oczy.

– Nie ma mowy. Odprowadzę cię do domu i nie dyskutujemy już o tym. Idziemy.

To było więcej niż niemądre, ale czasami drobne rzeczy znaczą bardzo wiele. Sama świadomość, że idąc przez ulice miasteczka, będzie miała Casona obok siebie, sprawiła, że poczuła się lepiej. Wątpiła, by o tej porze napotkali po drodze kogokolwiek, ale mimo to była mu wdzięczna. Czerpała siłę z samej jego obecności.

Szła znajomymi ulicami, przyglądając się im dokładnie tak samo, jak to czyniła zawsze. Miasto niby zupełnie się nie zmieniło, ale zmieniła się ona. Na zawsze gdzieś przepadła radość i duma, którą jeszcze tak niedawno odczuwała na widok tych wszystkich znajomych miejsc. Teraz to już nie było jej miasto, a dumę zastąpiło poczucie głębokiego rozczarowania.

Oboje milczeli podczas całej tej drogi przez kolejne ulice. Dopiero kiedy zbliżyli się do otaczającego jej dom płotu z białych sztachet, Rosellen zatrzymała się. Zachowywała pozory spokoju, chociaż wewnątrz była rozdygotana do ostateczności. Nie potrafiła powiedzieć Casonowi tego nieodwracalnego słowa „żegnaj”. Chciała walczyć o swoją miłość, ale jak miała to zrobić?

To, co jej ojciec i jej miasto uczynili Casonowi i jego najbliższemu, było nic do wybaczenia. Dlatego właśnie Cason nie zamierzał nikomu przebaczać, a ona nie chciała go o to prosić. W głębi duszy przyznawała mu rację. Ale już na przykład zamknięcie kopalni skrzywdziłoby również Bogu ducha winnych ludzi, którzy z wydarzeniami sprzed piętnastu lat w ogóle nie mieli nic wspólnego.

Ich spojrzenia się spotkały. Rosellen dostrzegła w jego oczach współczucie i troskę, ale właśnie dlatego czuła, że musi pożegnać go jak najszybciej.

– Myślę – powiedziała cicho – że tę niewielką odległość do furtki mogę przejść już sama.

– Poczekaj, Rosellen – zatrzymał ją Cason. – Są rzeczy, o których musimy porozmawiać.

Porozmawiać! Jak w ogóle mogłaby rozmawiać, skoro była o krok od tego, żeby wybuchnąć rozpaczliwym płaczem?

– Podczas naszej powrotnej podróży miałem czas, żeby sobie wiele rzeczy przemyśleć.

– Wiem. Ja też wiele sobie przemyślałam. Ale nie musisz się martwić o mnie ani o moją rodzinę. Wszystko będzie w porządku.

Cason na moment podniósł oczy ku niebu.

- Najpierw muszę ci się do czegoś przyznać. To, że tak łatwo zgodziłem się na odroczenie zamknięcia kopalni, nie wzięło się z mojej dobrej woli, tylko z tego, że miałem jeszcze inny, rezerwowy plan. Mój cel mógłbym osiągnąć i w inny sposób. Wystarczyłoby, żebym wykupił po kolei wszystkie wasze sklepy, sklepiki i drobne przedsiębiorstwa, a potem je wszystkie zamknął. Skutek byłby dokładnie taki sam. Makowe Wzgórze wkrótce przestałoby istnieć.

Rosellen poczuła, że jej serce na moment przestało bić.

- Zaplanowałeś to jak ostatni łajdak!

Cason skinął głową.

- Oszukałeś nas wszystkich!

- To prawda - zgodził się Cason. - W każdym razie chciałem oszukać wszystkich, ale okazało się, że oszukałem także i siebie. Zamierzałem realizować ten mój plan, ale okazało się, że nie umiem tego zrobić. Nie mógłbym czegoś takiego zrobić tobie!

Rosellen nagle zeszytniała. Spodziewała się usłyszeć coś zupełnie innego - że wszystko między nimi skończone, że już się nie zobaczą albo coś w tym rodzaju. To, co powiedział, zaskoczyło ją. Jeżeli jednak miało to być wyzwanie, postanowiła je podjąć.

- Nie za bardzo cię rozumiem, Casonie - powiedziała. - Co właściwie usiłujesz mi powiedzieć? Że jednak nie wykupisz naszego miasteczka, czy też że je wykupisz?

- Nie wykupię.

Rosellen na moment przestała oddychać. Patrzyła mu w oczy i widziała, że mówi serio. Poczuła ogromną ulgę.

- Myślę, że powinnam ci za to podziękować - powiedziała. - Wiem, że niektórzy ludzie z Makowego Wzgórza zasługiwali na to, co zamierzałeś zrobić, ale to jednak było piętnaście lat temu. A w dodatku wielu obecnych mieszkańców w tamtych dniach w ogóle tu jeszcze nie mieszkało, więc niczym nie zasłużyli na podobną karę.

Cason skinął głową.

- Masz zupełną rację. A poza tym doszedłem do jeszcze jednego wniosku. Zdecydowanie nie chciałbym, żebyś mówiła swojej rodzinie o tym, co nam wyznał kaznodzieja Jack... Ani dziś, ani w ogóle nigdy.

Rosellen patrzyła na niego oszołomiona, z niedowierzaniem potrząsając głową. Nie była pewna, czy dobrze słyszy.

- Czy ty to mówisz poważnie? - spytała.

- Jak najbardziej - odparł Cason. - Ale nie stójmy już może na ulicy, przejdźmy na przykład na werandę - wziął ją za rękę i pomógł wejść po drewnianych schodkach. - Długo się nad tym zastanawiałem, ale ostatecznie doszedłem do wniosku, że opowiedzenie wszystkiego twojej matce i reszcie rodziny nie może nikomu przynieść nic dobrego.

- Naprawdę tak myślisz? - wyjąkała wstrząśnięta Rosellen. Wpatrywała się teraz w jego oczy z nagłą, nierozumną nadzieją.

Cason delikatnie ścisnął jej ramię.

- Nie chcę już niszczyć Makowego Wzgórza i nie chcę, żebyś opowiadała komukolwiek o tym, czego dowiedziałaś się od kaznodziei Jacka. Ta prawda o twoim ojcu nie jest teraz nikomu potrzebna!

Rosellen na moment przestała oddychać, a jej serce zaczęło bić mocniej. Przeżyła przez chwilę gwałtowną i niespodziewaną radość, chwilę nadziei. Ale jednak nie mogła tego zaakceptować! Po prostu nie mogła. Kochała go zbyt mocno, by zgodzić się na aż takie poświęcenie z jego strony!

Musiała raz i drugi przełknąć ślinę, żeby w ogóle wydobyć z siebie głos.

- Trzeba jednak oddać każdemu co należne i oczyścić pamięć twego ojca. To on był uczciwym człowiekiem, a mój ojciec rabusiem i zabójcą, i ludzie powinni się o tym dowiedzieć.

- I twój, i mój ojciec już dawno nie żyją - powiedział Cason. - Powstrzymanie się od rozgłoszenia prawdy nie wyrządzi nikomu krzywdy. Z mojej rodziny nie pozostał już nikt poza mną. Natomiast z

twoją rodziną sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Zaczekaj, nie protestuj zbyt pochopnie! Uwierz mi, dla mnie wystarczy, że i ty, i ja wiemy, jak naprawdę było i – przede wszystkim! – wystarczy mi to, że do końca byłaś zdecydowana powiedzieć prawdę. Wiem, że zrobiłabyś to bez chwili wahania, ale powinnaś się od tego powstrzymać! Ja tak czy inaczej nie zamierzam pozostawać w tym miasteczku, więc nie mogą mnie dotknąć ani zranić żadne plotki czy szeptaki za plecami. Ale twoja matka i bracia będą musieli tu żyć.

Jego wspaniałomyślność wręcz ją obezwładniała.

– Dlaczego miałbyś to zrobić dla mojej rodziny? Przecież moi bracia zaatakowali cię, nie masz powodu ich chronić.

– Nie robię tego dla nich, tylko dla ciebie, Rosellen. Nie chcę, żebyś przechodziła udrekę opowiadania im tego wszystkiego.

A więc Cason gotów był zrezygnować z szukania odwetu, gotów był zrobić to dla niej. Okazał się wspaniałomyślnym, dobrym człowiekiem. Rosellen miała serce tak przepełnione miłością i wdzięcznością za to, co chciał dla niej zrobić, że nie zastanawiając się podbiegła do niego i uściskała go z najgłębszą czułością. Objął ją w talii i przyciągnął bardzo blisko. Przez chwilę Rosellen miała ochotę już pozostać w jego ramionach, ale wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić. Musiała pamiętać o tym, że ten wspaniałomyślny dar wyrzeczenia się zemsty i odwetu był jego prezentem dla niej na pożegnanie.

Pośpiesznie wysunęła się z jego objęć i cofnęła na bezpieczną odległość. Gdyby tego nie zrobiła, pewnie już po chwili zapomniałaby o swym postanowieniu i być może nawet błagałaby go, by jej nie zostawiał i nie odbierał jej swojej miłości.

Teraz z kolei Cason popatrzył na nią z zaskoczeniem.

Spoglądając mu w oczy, Rosellen rozplakała się i tym razem nawet nie próbowała ukrywać łez. Była dumna z tego, że go kocha i nie dbała już o to, jak bardzo mogło to rzucać się w oczy.

- Dziękuję ci, Casonie - powiedziała nieco łamiącym się głosem - ale nie mogę przyjąć twojej wspaniałomyślnej oferty. Wszyscy powinni poznać prawdę. Nie czułabym się dobrze, gdyby miało być inaczej, a twoje poświęcenie jest zbyt wielkie.

Odetchnęła głęboko, przekonana, że postąpiła właściwie, nie przyjmując jego propozycji. Ale Cason był zupełnie innego zdania.

- Nie masz racji, Rosellen. Moje poświęcenie wcale nie jest takie wielkie. Dla mnie ważne jest to, że byłaś gotowa publicznie powiedzieć prawdę. I to mi wystarczy. A ty raczej pomyśl teraz o swojej matce. I nie zmuszaj jej do przechodzenia przez to całe piekło udręki, które już było twoim udziałem. Rozumiesz mnie?

Rosellen patrzyła na niego, na nowo przepełniona miłością.

- Jak mogłabym ci odmówić, kiedy proponujesz, żebym oszczędziła cierpienia własnej matce? - zapytała. Gorąca łza spłynęła po jej policzku. - Ale czym miałabym ci się za to odwdziaczyć? Co mogłabym teraz zrobić dla ciebie?

Cason czubkami palców delikatnie otarł jej łzy.

- Mogłabyś wyjść za mnie za męż.

Rosellen znów zabrakło tchu. A Cason popatrzył jej w oczy i powiedział:

- Jeszcze podczas jazdy powrotnej z Denver uparcie myślałem o zemście, o zdemaskowaniu twego ojca i doprowadzeniu do ruiny Makowego Wzgórza. Chciałem to zrobić, a potem odejść od ciebie bez jednego słowa. Ale okazało się, że nie jestem w stanie wykonać żadnego z tych postanowień. To miasteczko, prawdę mówiąc, w ogóle mnie już nie obchodzi. Ale nie chcę, żebyś komukolwiek powiedziała prawdę o swoim ojcu, bo... bo po prostu cię kocham i nie chcę, żebyś cierpiała z tego powodu ani z żadnego innego!

Rosellen czuła, jak całe jej ciało nagle mięknie i robi się podobne do galarety.

- Naprawdę mnie kochasz? - spytała ledwie dosłyszalnym szeptem.



- Tak, do wszystkich diabłów! Kocham cię! Od pół godziny usiłuję ci to powiedzieć!

- Lepiej, żebyś tym razem nic kłamał, Casonie Murdock!

Cason uśmiechnął się.

- Rosellen Lattimer, kocham cię. Jesteś jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochałem. Chcę wziąć z tobą ślub. Chcę, żebyś została moją żoną i żebyś żyła ze mną aż do końca naszych dni.

- Ja też cię kocham, Casonie - powiedziała Rosellen i zarzuciła mu ręce na szyję.

Cason ujął ją obiema rękami w talii, lekko unióśł do góry i kilkakrotnie pocałował w usta, a potem zakręcił się wraz z nią o trzysta sześćdziesiąt stopni i ponownie postawił na podłodze werandy.

Tymczasem Rosellen przeżyła nagły nawrót lęku. W obawie, że może go stracić, chwyciła go za ręce.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć, Casonie. Jak możesz pragnąć ślubu ze mną po tym, co zrobił mój ojciec?

Cason ponownie przyciągnął ją do siebie i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Nie mam zamiaru cię oszukiwać - odpowiedział poważnie. - Rozmyślałem nad tym długo, ale w końcu doszedłem do jedynego rozsądnego wniosku. Po pierwsze, kiedy to wszystko się wydarzyło, ty miałaś pięć albo sześć lat, więc twój udział w tym wszystkim był żaden. A pod drugie - i to jest najważniejsze - zdałem sobie sprawę, że gdybym teraz obciążał za to winą ciebie lub twoją rodzinę, nie byłbym ani odrobinę lepszy od tych ludzi, którzy kiedyś w podobny sposób obciążali mnie i moją matkę. Powiedziałem więc sobie, że nie chcę być taki jak oni! Rosellen położyła dłoń na jego dłoni.

- I nie jesteś - powiedziała czule. - Jesteś zupełnie inny.

- Można chyba ufać twoim ocenom. - Cason uśmiechnął się. -W końcu zamierzasz zostać tu szeryfem.

- Nie - odpowiedziała szczerze Rosellen, chociaż czuła, że gardło ma przy tym lekko ściśnięte. - Teraz już właściwie o tym nie myślę.

- Jesteś tego pewna?

Uśmiechnęła się kącikami ust.

- Tak, jestem pewna! - powiedziała z odrobiną melancholii. - Myślę, że mogłabym być dobrym szeryfem, ale na pewno nie chciałabym nim zostać tu, w Makowym Wzgórzu. Nawet gdybyś mnie nie poprosił o rękę, i tak czułabym się teraz źle na tym stanowisku.

- Moim zdaniem byłabyś znakomitym szeryfem w każdym mieście.

Rosellen popatrzyła na niego z wdzięcznością.

- To bardzo miłe, że tak mówisz, ale prawdę mówiąc, wcale już tego nie chcę. Z paru co najmniej powodów. Do niedawna sądziłam, że życie mojego ojca było bez porównania ciekawsze od tego, które prowadziła moja matka. Ojciec zajmował się sprawami całego miasta, podejmował decyzje. Poskramiał awanturników i przestępców, rozmawiał z różnymi ludźmi, pomagał im rozwiązywać spory. Tymczasem moja matka właściwie na okrągło tylko gotowała, prała, czyściła, szyła i tak dalej.

Cason pieszczotliwie dotknął jej policzka grzbietem dłoni.

- Większość zameźnych kobiet to robi - powiedział z uśmiechem.

- Tak, ale do niedawna nie wiedziałam, że równie często robią coś jeszcze.

- Coś jeszcze? - powtórzył Cason, lekko unosząc brwi.

- Mężatki kochają się ze swoimi mężczyznami każdej nocy, prawda?

- W większości przypadków tak.

- No więc czy to nie jest powód, żeby zostać taką właśnie mężatką?

- Jeżeli tak uważasz.

Rosellen uśmiechnęła się.

- Tak, zdecydowanie.

- Czy mam to rozumieć jako zgodę na moje oświadczyzny?

- Ależ tak, najdroższy. Kocham cię całym sercem i wyjdę za ciebie.

- Jedna tylko rzecz mnie jeszcze niepokoi - powiedział Cason. - Jestem pewien, że nie mógłbym mieszkać tu, w Makowym Wzgórzu. Czy zgodziłabyś się zostawić swoją rodzinę i wyjechać ze mną?

- Ależ oczywiście. Moje życie odtąd będzie tam, gdzie będziesz ty.

- To niełatwa decyzja, prawda? Wiem, jak bardzo kochałaś swoje miasto. - Obrócił się i spojrzał w kierunku ulicy, którą przyszli.

Rosellen spojrzała w tę samą stronę i uśmiechnęła się niemal niezauważalnie.

- Jeszcze kilka dni temu gotowa byłabym przysiąc, że nigdy nie opuszczę tego miasta. Ale z tobą mogę stąd odejść i nawet się nie obejrzę. Kocham cię, Casonie. Wyjdę za ciebie i pojedę tam, gdzie zechcesz. *Ubi tu Caius*, jak mawiały Rzymianki.

Cason pochylił się ku niej i pocałował ją lekko w usta, jakby pieczętując tym ich wzajemne przyrzeczenia.

- Ale niezależnie od wszystkiego, do jednej sprawy chciałabym wrócić - powiedziała Rosellen. - Nadal uważam, że dobre imię twojego ojca powinno zostać przywrócone.

Cason objął ją i przyciągnął bliżej do siebie.

- I bez tego po mieście krążą pogłoski, że to twój ojciec w rzeczywistości był zabójcą. Kto zechce, ten w to uwierzy, a kto nie będzie chciał, tego i tak nic nie przekona. Zostawmy to tak, Rosellen, i niech czas dokona reszty. Wyjedźmy stąd i zacznijmy na nowym miejscu budować nasz dom i naszą rodzinę, zgoda?

- Och, tak. Zgoda na wszystko, co zechcesz.

Cason pochylił się nad nią i tym razem całował ją długo i mocno. Trwałoby to pewnie jeszcze dłużej, gdyby nie niespodziewane, dyskretne chrząknięcie, które dało się słyszeć w pobliżu całującej się pary.

- Ehm... bardzo przepraszam, jeśli przeszkadzam.

Głos wydawał się znajomy.

- Buster! - wykrzyknął Cason, odrywając się od Rosellen. - Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy?

- Ja? Prawdę mówiąc, nie wiedziałem - odpowiedział z dość dziwnym uśmiechem Buster, kierując się ku nim po drewnianych schodkach werandy. - Ale cieszymy się, że już jesteście.

- Jak to „cieszymy się”? - spytał Cason. - To znaczy cieszysz się ty i kto?

- A tak w ogóle to co pan właściwie robi przed frontem mojego domu o tej porze? - dołączyła się Rosellen. - I to jeszcze z bukietem kwiatów, niezbyt skutecznie ukrywanych za plecami?

Buster wydawał się odrobinę speszony.

- Ja, no cóż... - Spojrzał na Rosellen. - Prawdę mówiąc, to ubiegam się o względy pani szanownej mamy.

- Co takiego? - wykrzyknęła Rosellen, odrywając się na moment od Casona. - I od kiedyż to? Nie wiedziałam, że pan ją w ogóle zna!

Buster wciąż tym samym charakterystycznym gestem spróbował rozluźnić kołnierzyk. - No cóż... Pani matka była uprzejma przyjsć do biura kopalni i zapytała mnie, czy byłbym skłonny rozważyć możliwość zmiany decyzji o zamknięciu wydobycia.

- Moja matka zrobiła coś takiego? Sama przyszła do pana do biura?

- Tak, i to w wielkim stylu, jak prawdziwa dama! A ponieważ sam uważam się za dżentelmena, powiedziałem jej, że gotów jestem pomyśleć o tym, jeżeli z kolei ona zgodzi się rozważyć moją propozycję - abym jak najbardziej formalnie mógł zacząć ubiegać się o jej rękę. Po trwających pewien czas negocjacjach wypracowaliśmy formułę porozumienia i właśnie...

Rosellen i Cason popatrzyli na siebie z uśmiechem. W tym samym momencie drzwi domu otworzyły się i pojawiła się w nich Evelyn Lattimer.

- Usłyszałam jakieś głosy na werandzie... - Urwała na widok córki.  
- Rosellen! Dziecko drogie, wróciłaś! - Wyciągnęła ramiona i mocno ją

uściskała. – Dzięki Bogu, nic ci się nie stało. Tak się o ciebie martwiłam!

– Mamo, przecież zawsze się o mnie martwisz tak samo, ilekroć gdzieś wyjadę! – powiedziała Rosellen i pocałowała matkę w policzek. Potem spojrzała na nią i na Casona. –Aha, chyba nie miałaś jeszcze okazji poznać pana Casona Murdocka.

Evelyn Lattimer zeszytniała, a jej wargi zacisnęły się w wąską linię.

– Nie, kochanie, nie miałam tej przyjemności.

Dreszcz niepokoju przebiegł po plecach Rosellen. Zdała sobie sprawę, że doprowadzenie do jakiegoś ocieplenia między matką a Casonem może być naprawdę trudne.

– A ja pozwoliłem sobie przynieść to dla pani, madame Lattimer – powiedział Buster, podając jej kwiaty.

Evelyn przyjęła bukiet z uśmiechem.

– Dziękuję, panie O'Malley. Są naprawdę piękne.

– To, hmm... może byśmy tak weszli do środka? – zaproponował Buster. – Myślę, że wszystkim nam łatwiej będzie rozmawiać w domowych warunkach.

– To bardzo dobry pomysł – powiedziała Rosellen. – Mamo, idź może z panem O'Malleyem, a my zaraz do was dołączymy.

Evelyn znów obrzuciła Casona badawczym wzrokiem, ale jej spojrzenie już trochę złagodniało.

– Dobrze, kochanie – powiedziała i weszła do domu, przyjmując ramię podane jej przez Bustera.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi, Cason ponownie wziął Rosellen w objęcia i zapytał z uśmiechem:

– Pamiętasz, że umówiliśmy się, iż wszystko, czego dowiedzieliśmy się od kaznodziei Jacka, pozostanie naszą tajemnicą?

Rosellen odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym miłości.

- Jesteś najcudowniejszym człowiekiem na świecie, Casonie. Tyle potrafiłeś wybaczyć. Nigdy dość ci się za to nie odwdzięczę.

- A ty jesteś najcudowniejszą kobietą. Dlatego przestałem myśleć o przeszłości. I dlatego zrobię wszystko, żeby uczynić cię szczęśliwą.

- Już to zrobiłeś.

- I będę starał się to robić nadal - powiedział Cason.

Spojrzała na niego z filuternym uśmiechem.

- Gdybyś zechciał, to mógłbyś nawet jeszcze dziś... Cason spojrzał na nią.

- Zaraz, nie bardzo rozumiem. Co mógłbym nawet jeszcze dziś?

Rosellen popatrzyła na jego zaskoczoną minę i roześmiała się.

- Jeszcze dziś mógłbyś wziąć ze mną ślub!

- Jak to jeszcze dziś? Teraz?

- Prawie. - Rosellen była rozbawiona i ucieszona swoim pomysłem.

- Stary sędzia Mack mieszka tu niedaleko. Jest już zbyt wiekowy, żeby sprawować urząd, ale nadal ma prawo udzielać ślubów. Chodźmy od razu do niego, chyba że chcesz w ostatniej chwili zmienić zdanie.

Cason roześmiał się i uścisnął ją.

- Ja na pewno zdania nie zmienię!

- To dobrze - powiedziała Rosellen. - Bo, widzisz, gdybyśmy się nie pobrali teraz od razu, musielibyśmy dzisiejszej nocy spać oddzielnie. Ty w hotelu, a ja tu, w domu mojej matki.

Cason pocałował ją jeszcze raz i powiedział.

- Mowy nie ma! No to gdzie jest ten sędzia?

Następnego ranka nowo poślubieni państwo Murdock, czule trzymając się za ręce, szli ulicami Makowego Wzgórza w kierunku stacji. Za kilka minut mieli się tam spotkać z wszystkimi bliskimi Rosellen, którzy zbierali się, żeby ją pożegnać.

Opuszczała dom, w którym mieszkała od urodzenia, ale ku swemu sporemu zaskoczeniu – wcale nie odczuwała z tego powodu jakiegoś szczególnego smutku. Teraz ostatni raz szła znajomymi ulicami swego miasteczka. Nie zamierzała już tu wracać, wiedziała natomiast, że zarówno jej matka, jak i reszta rodziny będzie mogła ją odwiedzać w Denver, kiedykolwiek przyjdzie im na to ochota.

W opuszczanej już na zawsze dziewczęcej sypialni schowała na dnie szafy swoje kowbojskie spodnie i rewolwer. Uważała nie bez powodu, że powinna to zostawić za sobą. Czas, w którym marzyła o tym, żeby w przyszłości pójść w ślady ojca, minął bezpowrotnie.

Obróciła się w stronę Casona i uśmiechnęła się.

– Mam nadzieję, że wkrótce będziemy mieli dziecko. Cieszę się na to, a ty?

– Też się na to cieszę, chociaż niekoniecznie chciałbym się aż tak z tym śpieszyć. Wolałbym mieć cię dłużej tylko dla siebie.

– Chciałabym mieć syna, żeby go mogła nauczyć jeździć konno i strzelać, póki to jeszcze pamiętam.

– W Denver są hipodromy i strzelnice, gdzie będziesz mogła ćwiczyć, jeśli tylko zechcesz. Ale uczenie strzelania i jazdy konnej to raczej zajęcie dla taty. Ty powinnaś go uczyć dobrych manier i zachowania przy stole.

– Najpierw sama będę sobie musiała wiele przypomnieć – powiedziała Rosellen, zabawnie wydymając wargi. – Pełnienie roli żony to wcale nie taka łatwa sprawa.

- Na razie nie widzę niczego, co w tym względzie mogłoby ci sprawiać problemy. - Cason uśmiechnął się. - Ale w razie czego zawsze możemy wziąć Bustera na korepetytora.

- Pozostaje jeszcze sprawa tego dość kłopotliwego spadku po Gayli - powiedziała Rosellen. - Zmarła tak szybko, że nawet nie zdążyliśmy wrócić na jej pogrzeb. Ale dlaczego zapisała Silver Nugget Saloon akurat nam?

- No właśnie. Podobno mówiła, że kochała zarówno twojego ojca, jak i mojego, ale nie wiadomo, ile w tym prawdy.

- Podejrzewam, że po prostu mogła już nie mieć nikogo bliskiego. Ale co my teraz z tym zapisem zrobimy?

- Nie potrzebujemy pieniędzy - powiedział Cason. - A ja wcale nie chcę być właścicielem żadnego saloonu.

Spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się w tej samej chwili.

- Już wiem! - wykrzyknął Cason.

- Ja też - dodała Rosellen. - Czy myślisz o tym samym co ja?

- Sprzedamy Silver Nugget, a pieniądze prześlemy kaznodziei Jackowi na jego misję!

Rosellen popatrzyła na niego ze wzruszeniem.

- Tak właśnie myślałam - powiedziała. - Przyzwyczaiałam się już trochę do twojej niezwyklej wspaniałomyślności. Dopomogłeś nam, a teraz znów chcesz wspierać człowieka, który w końcu przed laty mógł pomóc twojemu ojcu, ale nie pomógł. Dlaczego to robisz?

- Ponieważ cię kocham i chcę, żeby wszyscy byli szczęśliwi. Tak jak ja jestem nieustannie szczęśliwy od chwili, kiedy wzięliśmy ślub. Osiągnąłem wszystko, czego chciałem, więc mogę być szczodry dla innych.

- To znacznie więcej niż szczodrość... - zaczęła Rosellen i nagle zatrzymała się jak wryta, urywając w pół zdania.

- Co się stało, Rosellen? - spytał Cason i w ślad za znieruchomiałym spojrzeniem swojej młodej żony popatrzył na stojący po drugiej



stronie ulicy konny furgon do przewozu towarów. – Wyglądasz tak, jakbyś zobaczyła ducha!

– Gorzej niż ducha! – powiedziała Rosellen. – Zobaczyłam upiora.

Sięgnęła odruchowo dłonią do biodra i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że odkąd na stałe zaczęła chodzić w sukienkach, nie miała już przy sobie broni.

– Niech to diabli! – zaklęła i obróciła się do Casona. – Daj mi swój rewolwer!

Zaskoczony Cason zmarszczył brwi.

– O czym ty, u diabła, mówisz?

– Proszę cię, daj mi swój rewolwer.

– Ale, Rosellen...

– Nie mam już czasu, żeby wracać do domu po mojego colta. Dlatego proszę cię, Casonie, daj mi swoją broń.

Cason zrezygnował z dalszych pytań, sięgnął po rewolwer i podał go jej. Jego pełne zaufanie do niej wzruszyło ją i sprawiło, że na moment zastanowiła się nad tym, co chce zrobić. Ostatecznie jednak nie zrezygnowała ze swego zamiaru. Cason przyglądał się jej uważnie.

– Zobacz, co jest napisane na tej reklamowej osłonie – powiedziała, schodząc z chodnika i kierując się w stronę stojącego przed otwartym sklepem furgonu.

– Tu jest napisane tylko „Sprzedaż i dostawa alkoholi – Alford Clark” – odpowiedział Cason, który w ślad za nią również zszedł z chodnika na jezdnię.

– A wiesz, kto to jest Alford Clark?

– Nie mam pojęcia.

– To właśnie ten sprzedawca whisky, który podsłuchiwał wyznanie Gayli dotyczące mojego ojca i potem rozgłosił to na całe miasto. Mam więc z nim nie wyrównane rachunki, zwłaszcza że zrobił to wyłącznie dla pieniędzy.

– Ale chyba za to nie zamierzasz do niego strzelać?

- Do niego nie - odparła Rosellen.

Podniosła broń, wycelowwała starannie i po kolei wpackowała sześć kul w ozdobne litery napisu reklamowego z takim wyliczeniem, żeby każda z kul trafiła w inną część ładunku, każda w nową skrzynkę whisky. Ten zamiar powiódł się w zupełności, ponieważ zanim jeszcze przebrzmiało echo ostatniego wystrzału, spod furgonu zaczęły płynąć rwące strumyki złotawego płynu, rozlewając się na zapiaszczonej jezdni w ogromną kałużę.

To jednak jeszcze Rosellen nie wystarczyło. Ujęła teraz rewolwer za lufę i posługując się nim jak młotkiem, rozbijała kolejne, wystające ze skrzynek butelki. Potem dopiero cofnęła się, oddała Casonowi rewolwer i ująwszy się pod boki, przypatrywała się swemu dziełu zniszczenia.

Chudy, tyczkowaty osobnik pędem wypadł ze sklepu.

- Cholera jasna, niech to szlag! Kto mi zniszczył tyle whisky?! - rozejrzał się i spostrzegł Rosellen i Casona. - To wy? Co wy sobie, u diabła, myślicie?!

Cason szybko ponownie załadował bębenek rewolweru, a Rosellen patrząc na to pomyślała mimo woli, że miło jest mieć przy sobie mężczyznę, który gotów jest wspomóc ją, jeśli będzie taka potrzeba.

Tymczasem ze swych sklepów wyszli na zewnątrz inni zainteresowani niespodziewaną strzelaniną - pan Wilkins i pan Carmichael, niektórzy klienci i klientki, a także pan Vestly, który pojawił się nagle nie wiadomo skąd. W sumie zabrała się już spora grupka ludzi, oczekujących z zaciekawieniem, co z tego wszystkiego wyniknie.

- Ona strzelała do moich butelek whisky! Widzieliście, jak to zrobiła? - wykrzyknął Alford Clark, kierując swe pytanie jakby do wszystkich i zarazem do nikogo.

- To ty, Rosellen? - spytał pan Vestly. - Nie poznałem cię w tej niedzielnej sukience.

- Co pana obchodzi jej sukienka? - wykrzyknął zirytowany właściciel furgonu. - Niech pan tylko zobaczy, co ona zrobiła! Moja

najlepsza whisky leje się do rynsztoka. Musiała rozwalić co najmniej dwa tuziny butelek!

- Tak, panie Clark, mam nadzieję, że co najmniej dwa tuziny - powiedziała Rosellen. - A zrobiłam to po to, żeby się pan na przyszłość dwa razy zastanowił, zanim znów zacznie pan dla pieniędzy roznosić plotki po mieście. Plotkują wszyscy, ale robić coś takiego dla zysku, to nie jest w porządku. Niech pan to sobie zapamięta!

- Pan jest tu szefem rady! - zwrócił się Clark do pana Vestly. - Niech pan ją aresztuje i każe jej zapłacić za moje straty!

- O ile pamiętam, w tym mieście nikomu jeszcze nie udało się zmusić Rosellen Lattimer do zrobienia czegokolwiek, na co ona nie miała ochoty - odpowiedział pan Vestly.

- Ależ to skandal! - wykrzykiwał rozgorączkowany Clark, biegnąc nerwowo wokół furgonu. - Gdzie jest szeryf?

- Doskonale pan wie, że obecnie nie mamy szeryfa.

- Wobec tego domagam się, żeby to pan ją aresztował i kazał jej zapłacić.

- Nic z tego nie wyjdzie. Znam ją od dziecka i wiem, czego można się po niej spodziewać. Zawsze to było półdiabłą i taka już pozostała. Takiemu piekielnemu nasieniu nikt nie da rady!

Cason zrobił taki ruch, jak gdyby chciał sięgnąć po broń i bronić dobrego imienia swej żony, ale Rosellen delikatnie położyła mu dłoń na przedramieniu.

- Nie, Casonie, nie trzeba.

Cason zmarszczył brwi.

- Nie mogę pozwolić na to, żeby ktoś cię tak nazywał! Półdiabłą, czarcie nasienie, co jeszcze?!

Rosellen jeszcze mocniej przytrzymała go za nadgarstek i roześmiała się beztrąsko.

- Tak mnie tu nazywano, Casonie, nie ma na to rady. Ale to już się skończyło i dla nas nie będzie to już miało najmniejszego znaczenia.

- Ta dziewczyna po prostu potrzebuje faceta, który będzie ją krótko trzymał! - odezwał się ktoś z grupki gapiów po drugiej stronie ulicy.

- A i tak się nie zmieni - dodał kpiąco jakiś inny głos. Rosellen spojrzała Casonowi w oczy.

- Oni chyba mają rację - powiedziała z uśmiechem. - Nie żałujesz, że się ze mną ożeniłeś?

- Nie, do wszystkich diabłów i półdiabła! Kocham cię, Rosellen. I nie jesteś w stanie zrobić nic, co mogłoby to zmienić!

Rosellen spojrzała w jego oczy z uwielbieniem i oddaniem.

- Ja też cię kocham, Casonie. Bardzo, bardzo cię kocham. Cason popatrzył na nią, a w jego oczach nagle rozbłysły isierki.

- Wiesz co? Myślę, że moglibyśmy pójść na rękę obywatelom tego miasteczka i zrobić coś takiego, żeby mieli o czym rozmawiać jeszcze długo po naszym wyjeździe.

- I co by to miało być? - spytała Rosellen.

- To!

Przyciągnął ją do siebie i na bardzo długą chwilę zamknął jej usta pełnym miłości pocałunkiem.

---